

Oko księżycyca

Anonim

Z angielskiego przełożył

Nemo

Świat Książki



Tytuł oryginału
THE EYE OF THE MOON

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Hanna Smolińska

Redakcja techniczna
Julita Czachorowska

Korekta
Maciej Korbasiński

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © The Bourbon Kid 2008

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o., 2010

Świat Książki
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10
02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Druk i oprawa
GGP Media GmbH, Pössneck

ISBN 978-83-247-1466-7

Nr 6747

UWAGA DO CZYTELNIKA:

W *Księdze bez tytułu* Mistyczna Dama tak oto przestrzegła Kacy przed Okiem Księżycy:

[Ten kamień] dysponuje nadprzyrodzoną mocą i ściąga zło wszędzie, gdzie tylko się znajdzie. Dopóki masz go przy sobie, nie jesteś bezpieczna. W zasadzie i tak nie jest się bezpiecznym, jeżeli kiedykolwiek miało się z nim kontakt.

Szanowny Czytelniku,

Teraz to Ty trzymasz *Oko Księżycy*.

Ciesz się więc życiem, dopóki trwa...

Anonim

Rozdział pierwszy

Joel Rockwell nie pamiętał, by kiedykolwiek tak się denerwował. Kariera strażnika pracującego na nocnej zmianie w Muzeum Historii i Sztuki w Santa Mondega nie dostarczała mu, oględnie mówiąc, mocniejszych wrażeń. Swego czasu chciał pójść w ślady ojca, Jessiego, i wstąpić do policji, nie sprostał jednak wymogom stawianym w akademii. W pewnym sensie oblanie egzaminów sprawiło mu nawet ulgę. Służba w policji wiązała się z nieporównanie większym ryzykiem. Dobitnie wykazały to wydarzenia sprzed trzech dni, kiedy to jego ojciec zginął z ręki Bourbon Kida w trakcie jatki, jaką ten urządził w następstwie zaćmienia Słońca podczas Festiwalu Księżycowego. Tak więc wygodna rola strażnika wydawała się dużo bardziej bezpieczna. A przynajmniej była taka jeszcze pięć minut temu.

Najbardziej uciążliwa część nocnych obowiązków polegała na siedzeniu w pokoju ochrony i obserwowaniu ściany monitorów, co na ogół dowodziło jedynie tego, że w obrębie muzeum nic a nic się nie dzieje. No i jeszcze ten szary mundur, który Joel musiał nosić w pracy - całe ciało swędziało od niego jak cholera. Zanim trafił do niego w pierwszym dniu służby, prawdopodobnie latami nosiły go niezliczone rzesze innych strażników i zwyczajnie nie był zaprojektowany z myślą o robocie na siedząco. W nocy najtrudniejsze zadanie sprowadzało się przeważnie do tego, żeby czuć się w nim wygodnie. Ale to, co przed chwilą zobaczył na monitorze numer trzy, zmieniło postać rzeczy.

Joel Rockwell nie odznaczał się bujną wyobraźnią. Nie był też obdarzony szczególną inteligencją i to właśnie brak tych dwóch cech spowodował, że oblał egzaminy w akademii policyjnej. Jak to ujął w swoim poufnym raporcie jeden z instruktorów na kursie - posiwiwały trzydziestoletni porucznik - „facet jest tak tępy, że nawet inni kadeci to zauważyli”. Niemniej cechował go swoisty upór i uczciwość, co czyniło z niego wiarygodnego świadka i strażnika, na którym można było polegać - nawet jeśli tylko dlatego, że z braku wyobraźni i inteligencji nie nadawał się do innego zajęcia.

Jeżeli wzrok nie spletał mu figła, dopiero co był naocznym świadkiem morderstwa na ekranie. Wyglądało na to, że jego kolega Carlton Buckley został zaatakowany i zabity, kiedy obchodził galerie pod poziomem ziemi. Rockwell byłby zawiadomił policję, tyle że gdyby im opowiedział, co - jak mu się zdawało - zobaczył na monitorze, zwyczajnie by go wyśmiali, a może nawet aresztowali za to, że zawraca im głowę. W tej sytuacji postąpił najlepiej, jak

mógł, czyli zadzwonił do profesora Bertrama Cromwella, jednego z dyrektorów muzeum.

Miał numer profesora zapisany w swoim telefonie komórkowym i chociaż czuł się trochę nieswojo, że dzwoni do niego o tak nieludzkiej porze, skoczył na głęboką wodę i mimo wszystko to zrobił. Cromwell był jednym z tych niebywale kulturalnych dżentelmenów, którzy nigdy nie wprawiliby go w zakłopotanie z powodu telefonu, choćby sprawa, z jaką dzwoni, była zgoła trywialna.

Czekając, aż Cromwell odbierze, z bijącym sercem i komórką przy uchu opuścił pokój ochrony i zszedł na niższy poziom, żeby na własne oczy się przekonać, czy w sali z ekspozycją sztuki egipskiej naprawdę wydarzyło się to, co mu się zdawało.

Dotarł na sam dół schodów i właśnie skręcił w prawo w długi korytarz, gdy Cromwell odebrał wreszcie telefon. Miał głos człowieka wyrwanego z głębokiego snu, ale trudno było się dziwić.

- Halo? Mówi Bertram Cromwell. Z kim mam przyjemność?

- Hej, Bernardzie, tu Joel Rockwell z muzeum.

- Witaj, Joelu. Nawiasem mówiąc, mam na imię Bertram, nie Bernard.

- Jak znał, tak znał. Słuchaj, coś mi się zdaje, że mamy tu w muzeum intruza, ale nie jestem do końca pewien, no to pomyślałem, że najpierw zadzwonię do ciebie, zanim, no wiesz, zawiadomię policję i w ogóle.

Cromwell jakby się trochę przebudził.

- Naprawdę? Co się dzieje?

- No... pewnie pomyślisz, że ześwirowałem, ale coś mi się widzi, że ktoś się włamał do wystawy mumii egipskich i dopiero co stamtąd wyszedł.

- Mógłbyś powtórzyć?

- Wystawa mumii. Zdaje mi się, że ktoś właśnie wylazł z tego sakramenckiego grobowca.

- Co takiego?! To niemożliwe! O czym ty gadasz, na litość boską?

- Ano, wiem, że to się wydaje pokopane. Dlatego najsamopierw zadzwoniłem do ciebie.

Widzisz, po mojemu ten, co tu był, zaatakował tego drugiego strażnika.

- A kto ma dzisiaj dyżur razem z tobą?

- Carter Bradley.

- Masz na myśli Carltona Buckleya?

- No, jak znał, tak znał. Tylko nie jestem pewny, czy on, tego no, czy się nie zgrywa.

Ale jeżeli to nie żart, to ma poważne kłopoty. Tak na oko naprawdę poważne.

- Dlaczego? Co się stało? - Profesor, całkiem już rozbudzony, przerwał na chwilę,

żeby zebrać myśli, po czym zapytał spokojnie: - Co konkretnie widziałeś, Joel? Fakty, chłopcze... muszę znać fakty. Wybacz, że ci to powiem, ale to, co mówisz, jest cokolwiek bez sensu, a ja jestem nieco zmęczony.

Rozmawiając z Cromwellem, Joel nadal szedł szerokim, kiepsko oświetlonym korytarzem, aż wreszcie - szybciej, niż miałby ochotę - dotarł do końca. Odetchnął głęboko, po czym skręcił w prawo, do olbrzymiej otwartej galerii zwanej Salą Lincolna. I wtedy to usłyszał muzykę! Ktoś delikatnie grał na fortepianie jakąś melodię. Łagodną i smutną melodię, przypominającą nieco temat muzyczny kończący odcinki serialu telewizyjnego *Niesamowity Hulk*, którym Rockwell zachwycił się pod koniec lat siedemdziesiątych. Wiedział, że gdzieś tu na dole jest fortepian, ale kto na nim grał, do kurwy nędzy? No i w dodatku grał do dupy, a poza tym...

- Niech pan poczeka, profesorze Crumpler. Nie da pan wiary, ale słyszę, jak ktoś gra na fortepianie. Na chwilę schowam komórkę do kieszeni. Niech pan się nie rozłącza, zaraz panu powiem, co widzę.

Wsunął mały telefon do górnej kieszeni szarej koszuli i z pętli u pasa wyciągnął pałkę policyjną. Potem wszedł do olbrzymiej sali, żeby dokładniej zbadać sprawę. Fortepian stał upchany za ścianą o barwie piasku, biegnącą po jego lewej ręce aż do połowy długości korytarza i w całości obwieszoną portretami słynnych muzyków. Nie zwracając przez chwilę uwagi na melodię, Joel skupił się na egipskiej wystawie po prawej - imponującym stałym ekspozycie zatytułowanym „Grobowiec mumii”. Była zdemolowana. Podłogę zalegały odłamki szkła ze stłuczonej osłony wokół ekspozycji. A ze szkłem zmieszana była krew. Mnóstwo krwi.

W szczególności rzucało się w oczy, że stojący w środku wystawy złoty sarkofag był otwarty. Wieko leżało na podłodze, a zmumifikowane szczątki ostatniego lokatora zniknęły. Joel wiedział, że jest to ulubiony eksponat profesora Cromwella, którego wielce by zdenerwowało, gdyby ktoś ukradł jego cenną własność lub choćby przy niej majstrował. To była największa atrakcja muzeum, najrzadszy i najcenniejszy obiekt w całej ogromnej kolekcji. A teraz jej najwspanialsza część przepadła.

Rockwell cofnął się pamięcią do tego, co, jak mu się zdawało, zobaczył na monitorze w pokoju ochrony, i z konsternacją pokręcił głową. Od tamtej pory minęło zaledwie kilka minut, a już zaczynał myśleć, że atak na Buckleya był jedynie wytworem jego wyobraźni. To musiał być jakiś żart, co nie? Wprawdzie w stanowczo nieodpowiednim czasie, zważywszy na niedawne zabójstwa w Santa Mondega i okolicy - żart z gruntu niesmaczny, jeśli chcecie znać jego zdanie - ale mimo to żart. A o co tu chodzi z tym pieprzonym fortepianem?

Kimkolwiek jesteś, naucz się prowadzić melodię! - pomyślał z zaskakującą nawet jak na niego niekonsekwencją.

Żeby się dostać do fortepianu - który, jeśli wierzyć pogłoskom, należał niegdyś do słynnego kompozytora - musiał przecisnąć się jakoś między masą szkła i krwi oraz kolosalnym posągami Achilleasa, starożytnego greckiego bohatera, do małej wnęki po drugiej stronie długiej ściany o barwie piasku. Jeśli dobrze pamiętał, przy klawiaturze siedział naturalnej wielkości drewniany manekin, ufryzowany i ubrany tak jak kompozytor, do którego należał kiedyś fortepian. Co to za jeden? - zastanawiał się. Beethoven? Mozart? Manilow? Nie było to na tyle istotne, żeby zawracać sobie tym głowę, zresztą i tak wkrótce się dowie. Gdy minął posąg wielkiego, ponurego greckiego wojownika i okrążył koniec piaskowej w kolorze ściany, zobaczył, że manekin leży na wznak na podłodze, w pewnej odległości od fortepianu, jak gdyby cisnął go tam ktoś dysponujący niezwykle siłą. Kukła odziana była w fioletowy kaftan narzucony na białą koszulę, a stroju dopełniały ciemne rozkloszowane spodnie typu „dzwony” i błyszczące czarne buty. Do lewej górnej kieszeni kaftana przyczepiony był identyfikator z *napisem* „Beethoven”, lecz przestępując nad drewnianą postacią, Rockwell nie zwrócił na niego uwagi, a zatem nadal nie był ani na jotę mądrzejszy w kwestii, którego kompozytora miał udawać manekin.

Najwyraźniej to nie manekin grał na fortepianie, tylko co innego. Rockwell zbliżył się nieco do stojącego w rogu instrumentu, by zobaczyć, cóż to za muzyk tak koszmarnie pitoli. A kiedy po kilku krokach znalazł się dostatecznie blisko, ujrzał postać siedzącą na niskim stołku przy fortepianie i bębniącą w klawiaturę z werwą, acz bez talentu. Na ten widok po plecach przeszły mu zimne ciarki.

Postać miała na sobie długą szatę z kapturem z intensywnie szkarłatnego sukna. Kaptur nasunięty był na głowę właściciela, przez co strój wyglądał jak takie coś, co bokserzy wkładają przed wejściem na ring. Spowity w pelerynę osobnik z zakapturzoną twarzą namiętnie kolebał się z boku na bok i kiwał głową niczym Stevie Wonder, niemiłosiernie fałszując ten kawałek. Buckleya, kolegi Rockwella, nie było nigdzie widać, niepokoił jednak fakt, że smuga krwawych plam na podłodze prowadziła do zakapturzonej postaci przy fortepianie.

Zachowując dystans, Rockwell postanowił zawołać tajemniczego pianistę, licząc, że uda mu się dojrzeć jego twarz. Jeżeli nie spodoba mu się to, co zobaczy, to ma przecież co najmniej dwadzieścia metrów wyprzedzenia na starcie, gdyby musiał wybrać wyjście „spierdalaj co sił w nogach”.

- Hej, ty tam! - krzyknął. - Nie wiesz, że już zamknięte? Nie wolno ci tu przebywać!

Czas się zbierać, kolego.

Osobnik przestał grać i tylko niemal niedostrzegalnie przebierał kościstymi palcami nad białymi i czarnymi klawiszami. Nagle się odezwał.

- Ty zanuć, a ja podejmę temat! - zazgrzytał spod szkarłatnego kaptura metaliczny, jakby zardzewiały głos. Potem rozległ się donośny rechot, ręce opadły i postać znów wróciła do przerwanej melodii.

- Że co? Hej, a gdzie jest Carterton? - zawołał Rockwell, zbliżając się o krok; dłoń, w której kurczowo ścisnął pałkę policyjną, ociekała potem.

Postać znów przerwała grę, odwróciła głowę i spojrzała wprost na niego. A że Rockwell zbliżał się do niej niezbyt żwawym krokiem, bez problemu mógł stanąć jak wryty. Nastąpiła krępująca chwila, w czasie której na serio rozważał, czy nie złać się w portki.

Postać miała pod kapturem jedynie pół twarzy. Większość z tego, co widział przerażony strażnik w cieniu rzucanym przez nakrycie głowy, wyglądało na żółtą czaszkę. Z policzków, szczęki i brody zwisały obrzydliwe strzępy ciała, dojrzał też niesamowicie wyglądające zielone oko, ale drugi oczodół był pusty, a twarzy najwyraźniej brakowało ust i nosa. Rockwell, zdjęty odrazą, uciekł wzrokiem i w rezultacie przekonał się, że stukające w klawiaturę kościste palce są właśnie takie - tylko z samych kości. Palce bez kawałka pieprzonej skóry. Chryste Panie!

Zanim zdążył się odwrócić i dać nogę, otulona szatą postać wstała ze stołka. Mierzyła grubo ponad metr osiemdziesiąt, zdawało się, że dominuje nad tą olbrzymią galerią, i wyciągała w jego kierunku kościste paluchy. Nagle zrobiła coś dziwnego. Pomachała jedną ręką w powietrzu, jak gdyby pociągała za sznurki niewidzialnej marionetki. A pozbawionej wyrazu twarzy jakimś cudem przez cały czas udawało się sprawiać wrażenie, jakby uśmiechała się do niego znacząco.

Joel Rockwell, mimo że znajdował się ze dwadzieścia metrów dalej, odniósł wrażenie, że te kościste ręce coś za szybko się do niego zbliżają. Odwrócił się na pięcie, zamierzając spierdalać stamtąd co sił w nogach - kurde, przecież coś do tego stopnia nieżywego nie może być sprinterem - i wtedy przeżył drugi potężny wstrząs w ciągu ostatnich kilku chwil.

Manekin Ludwiga van Beethovena powstał, ożywiony jakimś cudem przez machającą rękę tego... tego czegoś przy fortepianie. Nagle znalazł się tuż przed Rockwellem, wlepiając w niego puste spojrzenie szklanych oczu spod wielkiej grzywy włosów i wyciągając zakończone drewnianymi dłońmi ręce, by złapać go za gardło. Osłupiały strażnik zamachnął się na niego pałką, ale jedynym efektem był głośny stuk, gdy drewniana głowa kukły przyjęła cios bez szwanku, choć odłamał jej się kawałek ucha. Joel wypuścił bezużyteczną broń z

piekących palców, wyciągnął z górnej kieszeni telefon komórkowy i przyłożył go do ucha, mimo że manekin chwycił go za szyję. Padając na podłogę, przygnieciony drewnianym napastnikiem, który kurczowo ścisnął go za gardło i pozbawiał tchu, zdołał jeszcze wrzasnąć do telefonu o pomoc, z mizerną nadzieją, że Cromwell go usłyszy i jakimś cudem przybędzie na odsiecz albo przynajmniej przyśle ekipę ratunkową.

- Bernard, na miłość boską! Musisz mi pomóc! - wycharczał. - Zaatakował mnie pieprzony Barry Manilow!

Rockwellowi nie dane było się dowiedzieć, czy profesor mu odpowiedział, a nawet czy go usłyszał. Upuścił telefon komórkowy i choć szybko opadał z sił, nie przestawał zmagać się z napastnikiem, próbując mu uciec. Na próżno. Manekin był zbyt silny, a poza tym całkowicie odporny na jego coraz słabsze próby stawiania oporu. Po prostu przygniatał go do podłogi, zaciskając mu ręce na gardle.

Rockwell szamotał się rozpaczliwie, gdy wreszcie zamajaczyła nad nim jakaś postać i stwierdził, że patrzy w odrażającą twarz mumii. Nie do końca nieżywy Egipcjanin potrzebował się nazreć jeszcze więcej ludzkiego mięsa, żeby uzupełnić swe rozkładające się ciało, a Rockwell wręcz wybornie nadawał się do tego celu.

W ciągu następnych dziesięciu minut przerażony strażnik został rozszarpany na strzępy i pożarty przez tę barbarzyńską istotę. Joel Rockwell przez kilka jakże długich minut umierał w niewyobrażalnych cierpieniach. Po raptem trzech dniach poszedł w ślady ojca i przeniósł się na tamten świat.

Posiliwszy się ciałem dwóch martwych strażników, mumia - nieśmiertelne, uprzednio zabalsamowane szczątki faraona znanego niegdyś jako Ramzes Gaius - poczuła się niemal gotowa na powrót do świata żywych. Faraon zamierzał dążyć do - a właściwie domagać się - dwóch rzeczy. Zemsty na potomkach tych, którzy uwięzili go na tak długo, oraz zwrotu najcenniejszego przedmiotu, jaki posiadał, będąc władcą Egiptu: Oka Księżycy.

Rozdział drugi

31 października - osiemnaście lat wcześniej

Dla uczniów liceum Santa Mondega doroczny bal przebierańców z okazji Halloween był najważniejszym wydarzeniem w kalendarzu imprez towarzyskich. Piętnastoletnia Beth Lansbury cierpliwie czekała na ten wieczór od początku semestru. To była jej wielka szansa - i jak sądziła, zapewne jedyna - żeby wpaść w oko pewnemu chłopakowi z wyższej klasy. Nie wiedziała, jak on się nazywa, ale za bardzo się wstydziła, żeby zapytać o to innych, bo mogliby się zorientować, że się w nim podkochuje, i wziąć ją na języki. Z pewnością by się z niej nabijali.

Beth nie miała w szkole przyjaciółek. Była tam jeszcze względnie nowa, a jej wyjątkowa uroda tylko pogarszała sytuację, jako jedna z głównych cech, które pozostałe dziewczęta miały jej za złe. Na domiar złego nie lubiła jej Ulrika Price. Zapowiedziała ona wszystkim dziewczynom, że do Beth nie wolno się odzywać, chyba że ma się jej do powiedzenia coś kąśliwego.

Jak nakazywała moda w tamtych stronach, bal miał się odbyć w szkolnej sali gimnastycznej. Beth od rana pomagała pannie Hinds, nauczycielce angielskiego, dekorować salę. Kiedy skończyły, efekt nie był wprawdzie olśniewający, ale teraz, wieczorem, przy migoczących światłach i dźwiękach muzyki panowała zgoła inna atmosfera. Beth z radością przekonała się, że pomimo spazmatycznie mrugających dyskotekowych stroboskopów w pomieszczeniu panują ciemności - znakomita zasłona dla nielubianych oraz samotników takich jak ona.

Beth przeżywała katusze także z innego powodu. Macocha, która nadmiernie wtrącała się do wszystkiego, uparła się, że sama wybierze jej kostium i, jakżeby inaczej, padło na ubiór koszmarne niestosowny do okazji. Tak więc wszyscy inni przebrali się w stroje pasujące do Halloween (a więc za duchy, zombi, wiedźmy, wampiry i szkielety, choć trafił się nawet jeden nieprzekonujący nietoperz i co najmniej czterech Freddy'ch Kruegerów), natomiast Beth ubrana była kropka w kropkę jak Dorotka z *Czarnoksiężnika z Oz*, miała nawet te obciachowe czerwone buciki. Przekonywała samą siebie, że mimo wszystko i tak będzie się dobrze bawić, a jednak wciąż była zła, że macocha wybrała jej tak niestosowny i głupi kostium.

Powiedzieć, że Olivia Jane Lansbury była skrajnie despotyczna, to z grubsza tak, jak oświadczyć, że Hitler czasami bywał niegrzeczny. Co gorsza, najwyraźniej zawzięła się, żeby uniemożliwić pasierbicy jakiegokolwiek kontakty z chłopcami. Może brało się to z goryczy, jaka zżerała ją w związku z tym, że owdowiała wkrótce po poślubieniu ojca Beth, której przez większą część życia zastępowała rodziców, ponieważ prawdziwa matka dziewczyny umarła przy porodzie. Okres dorastania był dla Beth naprawdę niełatwy. A dzisiejszy wieczór też nie będzie usłany różami, zreflektowała się.

Tak więc przyszła na ową halloweenową imprezę wystrojona jak Niedojda Zapomniana Przez Czas, bez jednej przyjaznej duszy na świecie - główna kandydatka na obiekt zjadliwych uwag ze strony Ulriki Price i jej wianuszka kumpelek. Ulrika i jej trzy najbliższe adoratorki przyszły na bal przebrane za koty. Tamte nosiły kostiumy czarnych panter, Ulrika zaś zrobiła się na tygrysa bengalskiego, włącznie z ostrymi pazurami przyczepionymi do koniuszków palców.

Koty zauważyły Beth, kiedy siedziała na plastikowym krześle na skraju parkietu wraz z kilkoma innymi nie ulubianymi dziewczętami i razem z nimi z całego serca modliła się w duchu, żeby jakiś chłopak poprosił ją do tańca. Fakt, że obiekt ich pogardy przyszedł przebrany za Dorotkę, nie wymagał zjadliwych komentarzy - Ulrika i jej przyjaciółki wskazały tylko Beth palcami i wybuchnęły donośnym, ostentacyjnym śmiechem. Skierowało to na nieszczęsną dziewczynę spojrzenia pozostałych, którzy do tej pory nie zwracali na nią uwagi, ale teraz też zaczęli się z niej podśmiewywać i chichotać. Skoro Ulrika i jej psiapsioty się śmiały, to wszyscy inni chcieli pokazać, że doceniają żart. W liceum w Santa Moniega akceptacja towarzyska była w cenie, gdyby więc Ulrika Price, jasnowłosa pomponiara, zobaczyła, że nie śmiejesz się razem z nią, to równie dobrze od razu mogłeś się pakować i wracać do domu. Jedyłą szczyptę pocieszenia Beth czerpała z faktu, że macocha nie zmusiła jej do ufarbowania włosów na kolor imbiru, by wyglądała jeszcze bardziej autentycznie. Dzięki temu mogła przynajmniej zachować swoją piękną i długą brązową grzywę.

Jak się okazało, niewielka to była pociecha, bo jej upokorzenie sięgnęło zenitu krótko po jedenastej, gdy jedna z czarnych panter namówiła faceta sterującego oświetleniem, żeby wycelował reflektor w Beth. A kiedy ostry promień światła wydobył z mroku żalostną postać, didżej (jeszcze jeden z przyjaciół Ulriki) ogłosił, że, ep!, nasza Dorotka „Mamusiu, muszę siusiu”, ta w świetle reflektora, zdobywa nagrodę za najbardziej obciachowy kostium. Koszmarnie nagłośniony przez wzmacniacze komunikat wywołał kolejne salwy śmiechu ze strony osaczającego ją tłumu nastolatków, nawalonych gorzałą i dragami.

Beth zachowywała pełne godności milczenie, modląc się, żeby reflektor wreszcie się

od niej odczepił, i usiłując powstrzymać ocean napływających łez. Jednak reflektor ani drgnął. Ulrika, która nie chciała stracić okazji do pokazania się na zdjęciu, podeszła do niej niespiesznie i poklepała ją po głowie.

- Wiesz co, skarbie? - rzuciła z wrednym uśmieszkiem. - Gdyby zorganizowali konkurs na największą ofiarę losu na świecie, miałybyś jak w banku drugie miejsce.

Tego już było za dużo. Beth zalała się łzami, z gardła wyrwał jej się potężny, tłumiony szloch. Nie pozostawało jej nic innego, jak wstać i uciec z sali. Wybiegając na zewnątrz, słyszała ścigający ją śmiech wszystkich obecnych. Nawet pozostałe nie ulubiane dziewczyny zaczęły się śmiać - gdyby tego nie zrobiły, zapewne jedna z nich zostałaby kolejną ofiarą. A nikt nie chciał, żeby wrzucono go do tej samej kategorii ofiar losu, do której trafiła dziewczyna przebrana za Dorotkę z *Czarnoksiężnika z Oz*.

Wybiegając przez podwójne drzwi na końcu sali na korytarz, Beth czuła, że upadła tak nisko, jak jeszcze nigdy dotąd. Upraszała macochę, żeby nie robiła wsi i nie wybierała jej takiego kostiumu. Ale te prośby trafiały w próżnię, czego się zresztą spodziewała. Ta suka aż rechotała z radości, kiedy Beth błagała ją, żeby zgodziła się na zmianę przebrania. Wszystko to razem wzięte - publiczne upokorzenie, łzy i ucieczka z sali - były wyłączną winą macochy. Beth zdawała sobie sprawę, że jeśli po powrocie do domu opowie jej o swoim poniżeniu, ta jędrza uśmiechnie się tylko z rozkoszy i zacznie się chełpić, jak to ostrzegęła pasierbicę, by nie popełniała błędów i nie liczyła na to, że ktokolwiek ją zaakceptuje. Od śmierci ojca dziewczyny macocha czerpała przyjemność z powtarzania jej, że jest nic niewarta. A teraz Beth poczuła to na własnej skórze. Prawdę mówiąc, nareszcie zaczęła rozumieć, dlaczego niektórzy odbierają sobie życie. Czasami jest im po prostu za ciężko.

Zmierzając chwiejnie korytarzem do frontowego wyjścia z sali gimnastycznej i marząc, by jak najszybciej opuścić to miejsce, znaleźć się dostatecznie daleko i uwolnić od echa salw śmiechu, usłyszała, że ktoś woła ją za plecami. Był to głos, który przez cały wieczór pragnęła usłyszeć. Głos tego chłopca z wyższej klasy. Dotychczas słyszała go tylko raz, kiedy zapytał ją, czy wszystko w porządku, po tym, jak jedna z kumpeli Ulriki podstawiła jej nogę. Pomógł jej wtedy wstać, spytał, czy nic jej się nie stało, a ponieważ nie odpowiedziała - bo zwyczajnie zaniemówiła - uśmiechnął się i poszedł sobie. Od tej pory nieustannie żałowała, że nie podziękowała mu wówczas, i poprzysięgła sobie, że znajdzie jakiś sposób, by porozmawiać z nim i okazać mu wdzięczność za pomoc. I akurat teraz usłyszała:

- Twoja matka też, co?

Obejrzała się i zobaczyła go w połowie korytarza. Cudacznie przebrany za stracha na

wróble, miał spiczasty brązowy kapelusz na głowie, twarz pokrytą brązowym makijażem udającym błoto i pomarańczową marchewkę z kartonu, przymocowaną do nosa sznurkiem zawiązanym z tyłu głowy. Ubranie stanowiły w zasadzie brązowe szmaty, chociaż miał ładne, odjazdowe brązowe buty po kostki.

- C-co? - Beth nie potrafiła wydukać sensowniejszej odpowiedzi, ocierając łzy, żeby nie robić z siebie widowiska.

- Moja matka też ma hopla na punkcie *Czarnoksiężnika z Oz* - wyjaśnił i pomachał ręką w górę i w dół, wskazując swój kostium. W końcu Beth zdobyła się na wymuszony uśmiech, co jeszcze przed chwilą wydawało jej się niemożliwe. Z żalem spojrzała na niebieską sukienkę z kraciastej bawełny na ramiączkach i białą bluzkę z krótkim rękawem. - Domyślałam się, że nie wybrałaś tego przebrania sama?

Beth poczuła nagle, że znowu zaniemówiła. To właśnie była ta chwila, z którą wiązała swoje plany. Czekala na nią przez cały wieczór, a przy okazji została gorzko upokorzona. Teraz jednak, gdy już ten moment nastąpił, nic nie przebiegało zgodnie z planem. Nie zamierzała się mazać i wyglądać jak kupka nieszczęścia, tyle że niewiele już mogła na to poradzić. Jezus, on mnie uzna za kompletną niedojdę, pomyślała.

- Zapalisz? - spytał chłopak, podchodząc do niej z wyciągniętą paczką papierosów.

Odmówiła ruchem głowy.

- Nie pozwalają mi.

Potrząsnął paczką, podniósł ją, wyciągnął zębami jednego papierosa i przytrzymał wargami tak, że zawisł mu w kąciku ust. Wciąż zbliżając się do Beth, odciągnął nos z kartonowej marchewki i przesuwając go przed papierosem, opuścił tak, że zadyndał mu na szyi.

- No coś ty - rzucił z uśmiechem. - Trzeba używać życia, no nie?

Beth w żadnym razie nie mogła dopuścić, żeby pomyślał, że nie jest zabawowa, zresztą szczerze mówiąc, nie paliła wyłącznie dlatego, że macocha jej zabraniała. A co tam, teraz akurat miała macochę głęboko w dupie.

- Zgoda - powiedziała, sięgając do paczki po papierosa, i spytała: - Masz ogień?

- E-e - zaprzeczył z poważną miną. - Nie mogę się znaleźć w pobliżu otwartego ognia.

Od razu bym poszedł z dymem.

- He?

- No wiesz, słoma - wyjaśnił i uśmiechnął się, widząc, że się zmieszała. - To przebranie za stracha na wróble.

Beth opadła szczęka, lecz usiłowała wziąć się w garść.

- A tak... tak. - Zachichotała nerwowo.

Idiotko! - pomyślała. Nawet nie jarzysz jego żartów. Skupże się, na miłość boską, bo jeszcze uzna, że jesteś głupia!

Zapadła niezręczna cisza, kiedy wkładała papierosa do ust, zastanawiając się, jak ma sobie poradzić bez zapalniczki.

- Jak mam go zapalić? - spytała.

Chłopak znów się uśmiechnął, mocno zassał niezapalonego papierosa, który zwisał z kącika ust, i zaciągnął się głęboko, gdy ten zapalił się jak sztuczne ognie.

- Uau! Ale bajer! - wyrwało jej się; nareszcie zdołała odezwać się bez zastanowienia. - Jak to zrobiłeś?

- Tajemnica. Pokazuję to tylko przyjaciółom.

- Aha...

I znów zapadła krępująca cisza, podczas gdy Beth zastanawiała się, czy poprosić go, żeby jej mimo wszystko pokazał. Sęk w tym, że gdyby odmówił, to tak, jakby jej powiedział, że nie są przyjaciółmi. W końcu jednak, po horrendalnie długiej i niezręcznej pauzie, chłopak jeszcze raz zaciągnął się papierosem i lewą ręką wyjął go z ust.

- Ta Ulrika Price to kawał zołzy, co? - powiedział, wydmuchując dym nosem.

Beth mimowolnie przytaknęła żarliwie ruchem głowy.

- Nienawidzę jej - oświadczyła, wyjmując papierosa z ust. Przez chwilę tylko uśmiechali się do siebie, po czym chłopak znów się odezwał:

- To co, chcesz, żebym ci pokazał, jak zapalać papierosa, czy nie?

Na twarzy Beth, która wciąż kiwała głową jak szalona, rozlał się szeroki uśmiech. Był tak przepiękny, że udało mu się zatuszować łzy, które jeszcze przed chwilą spływały jej po policzkach.

- Jasne, poproszę - zagruchała.

- To chodź, spadajmy stąd w cholere, zanim się włączy alarm przeciwpożarowy.

I wówczas nastąpił najbardziej namiętny moment w życiu Beth. Chłopak, ten sam facet, o którego względy tak rozpaczliwie zabiegała, wyciągnął rękę i oparł ją na jej ramionach. Nerwowo objęła go dłonią w talii i przyciągnęła delikatnie. Skwapliwie skorzystał z okazji i przysunął ją nieco bliżej siebie. Po czym ruszyli korytarzem do wyjścia ze szkoły. Dorotka i strach na wróble idący razem... to się nadaje na piosenkę, pomyślała.

- Idziemy na spotkanie z czarnoksiężnikiem - zanuciła.

- Lepiej nie śpiewaj. - Jej nowy kawaler pokręcił głową.

- Naprawdę? - bąknęła, spąsowiała i oblała się zimnym potem. Obawiała się, że

popelniła fatalny bład w ocenie sytuacji.

- Nic dziwnego, że nie masz przyjaciół! - zażartował. Spojrzała na niego i z ulgą zobaczyła szeroki uśmiech na jego twarzy. Nagle przyciągnął ją do siebie mocno i przytulił. Phi, on tylko się ze mną droczy!

Gdy wychodzili ze szkoły, we frontowych drzwiach minął ich rozpędzony młody człowiek przebrany za kolosalnego gryzonia. Miał na sobie jednoczęściowy kasztanowy kostium ze sztucznego futra, a na policzkach wymalowane bokobrody. Beth go nie znała, za to jej nowy przyjaciel rozpoznał twarz ukrytą pod makijażem.

- Trochę się spóźniłeś - powiedział, kiedy futrzana kula ich mijala.

- Tak, zostawiłem w domu prochy. Musiałem się po nie wrócić - mruknął gryzoń. - A przy okazji, widziało które z was tę dziwkę Ulrikę Price?

- Jest w głównej sali - odparła Beth, ruchem głowy wskazując korytarz.

- Klawo, dzięki. Postawię tej pannie kielicha. - I drapiąc się po takiej okolicy gryzonięgo kostiumu, jakby chciał pokazać, że robi sobie dobrze, ruszył w głąb korytarza.

- Kim jest ten odrażający ktoś? - zapytała Beth.

Jej przystojny, zaprzyjaźniony strach na wróble dobrze znał tamtego chłopaka.

- To Marcus Gnida - wyjaśnił. - Totalny zboczek. Bóg jeden wie, co on szykuje tej twojej milutkiej Ulrice.

Para młodych ludzi nie wiedziała, bo i skąd, że nieprzyjemność, jaką Marcus Gnida miał zamiar wyrządzić Ulrice Price, była niczym w porównaniu z grozą i cierpieniem, jakie wkrótce czekały ich oboje w trakcie tej najkoszmarniejszej ze wszystkich nocy.

Rozdział trzeci

Beth i strach na wróble przechadzali się promenadą; po lewej ręce mieli fale rozbijające się o ściany portu. Nad nimi, na nocnym niebie, jasno świecił księżyc w pełni. Otaczały go ciemne deszczowe chmury, sprawiające wrażenie, że w każdej chwili może lunąć, ale - może z szacunku - trzymały się z dala od księżyca, jak gdyby nie chciały go zasłaniać przed wzrokiem ludzi na dole.

Beth jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak pełna życia, tak rozemocjonowana. Jej macosze udawało się odstraszać wszystkich chłopców, którzy próbowali się do niej zbliżyć, dlatego do tej pory nie miała okazji choćby porządnie porozmawiać z jakimś młodym człowiekiem. Od dziecka pobierała prywatne nauki w domu, w wyniku czego zdobyła przyzwoite wykształcenie, ale praktycznie nie miała żadnego doświadczenia życiowego, dopóki niedawno nie poszła do szkoły. I oto teraz, po raz pierwszy w życiu, spacerowała promenadą z chłopakiem, który obejmował ją ramieniem. Gdyby ciemne chmury nad nimi były ponumerowane, można by powiedzieć, że kierowała się na numer dziewięć. Rozmowa ze strachem na wróble wcale nie okazała się tak trudna i stresująca, jak się tego obawiała. Serce wciąż łomotało jej w piersi, nie mogąc się oprzeć potężnemu napływowi adrenaliny, który odczuwała dziewczyna. Odbierała to ciepłe, bliżej nieokreślone uczucie, jak gdyby nigdy nie miało przeminąć, i szczerze liczyła na to, że faktycznie się nie skończy.

- To jak, panie Strachu na Wróble, przedstawi mi się pan czy nie? - zapytała, wesoło ściskając go w pasie.

- To ty nie wiesz, jak się nazywam?! - odparł zaskoczony.

- Nie. Wiem tylko tyle, że to ty pomogłeś mi wstać, kiedy ktoś mnie kiedyś przewrócił.

- Uau! A ja wywiedziałem się o twoje imię pierwszego dnia, kiedy wstąpiłaś do naszej szkoły. Tymczasem ty, chociaż jesteś tu już ile... dwa miesiące?... nadal nie wiesz, kim jestem?

- Nie. Ale niech ci nie będzie przykro. Ja w zasadzie nie znam niczyich imion. Nikt ze mną nie rozmawia.

- Nikt? - Znow sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- No. Przez tę Ulrikę Price wszystkie inne dziewczyny traktują mnie jak powietrze. Od

pierwszego dnia w szkole ona coś do mnie ma i dlatego nikt się do mnie nie odzywa.

Strach na wróble zatrzymał się i cofnął rękę, która spoczywała na jej ramionach. Zagroził jej drogę, żeby nie mogła iść dalej, a kiedy znaleźli się tak blisko siebie, że niemal się dotykali, a ona czuła na twarzy jego oddech, przeciągnął lewą ręką po jej długich brązowych włosach.

- JD - powiedział.

- Słucham?

- JD. Tak do mnie mówią przyjaciele.

- A, rozumiem. Od czego ten skrót?

- Sama się domyśl.

- Zgoda - odparła z uśmiechem. Spojrzała w górę, na księżyc, i próbowała znaleźć w pamięci jakieś ciekawe imię i nazwisko odpowiadające inicjałom JD.

- Wymyśliłaś coś? - zapytał.

- Joey Deacon?

Przestał gładzić jej włosy i szturchnął ją wesoło.

- To dlatego nikt się do ciebie nie odzywa!

Beth zrewanżowała mu się uśmiechem. Rozmowa z JD z jednej strony sprawiała jej dużą frajdę, a z drugiej była zaskakująco łatwa. Nieważne, co mówiła, wiedziała, że on i tak załapie. Może faceci mimo wszystko nie są tacy skomplikowani? W każdym razie ten najwyraźniej nadawał na tych samych falach co ona. Dotychczas z nikim nie miała tak dobrego kontaktu, a już zwłaszcza z chłopakiem. Zdawało się, że ją rozumie, i po raz pierwszy w życiu ani trochę nie obawiała się, że palnie coś głupiego. Prawdę mówiąc, zaczynała czuć, że przepelnia ją coraz większa pewność siebie. To było coś nowego.

- Coś ci powiem, Beth - rzekł JD, cofając się o kilka kroków. - Jeżeli uda ci się dowiedzieć, od czego pochodzi JD, umówię się z tobą na randkę.

Przechyliła głowę na bok.

- A skąd pomyśł, że miałabym ochotę na randkę z tobą? - odparła, wzruszając ramionami.

Przez chwilę JD obracał językiem w ustach, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wymyślenie jej nie zajęło mu wiele czasu.

- Oczywiście, że chcesz się ze mną umówić - odrzekł, puszczając do niej oko.

Dziewczyna ruszyła dalej i mijając go, trąciła go ramieniem.

- Może - przyznała.

JD patrzył, jak Beth idzie promenadą w stronę wyludnionego mola sto metrów dalej.

Gdy była już dziesięć metrów przed mołem, ruszył za nią powoli, podziwiając jej lekko rozkołysane biodra. Z kolei ona wiedziała, że chłopak się jej przygląda, więc kręciła biodrami nieco przesadnie, żeby na pewno nie spuszczał wzroku z jej pupy.

- Będziesz się tak włókl przez całą noc? - zawołała w końcu do niego.

- O w mordę! - usłyszała krzyk JD. Zatrzymała się i odwróciła. Jego głos zdradzał autentyczną irytację.

- Co się stało? - zapytała.

- Dochodzi dwunasta! - JD rozglądał się, wyraźnie przerażony.

- I co z tego? Musisz wracać do domu?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Słuchaj, muszę pędzić. Mam odebrać z kościoła młodszego brata. Jeżeli się spóźnię, wpadnie w panikę i będzie zdenerwowany.

Zbliżyła się do niego o krok.

- Jeśli chcesz, pójde z tobą.

- Nie. Dzięki za propozycję, ale mój braciszek tylko się podnieci na twój widok i nijak nie da się zawlec do domu. A jeśli się spóźni, matka zacznie świrować.

- Hm, jeżeli uda ci się wrócić, mogę tu na ciebie poczekać. - Beth nie potrafiła ukryć, że nie chce, żeby ten wieczór już się skończył, no i w żadnym razie nie chciała jeszcze wracać do domu i macochy.

- Na pewno?

- Jasne, że tak. Coś ci powiem. Jeżeli uda ci się wrócić przed pierwszą, kiedy kończy się godzina duchów, pozwolę ci odprowadzić się do domu.

JD uśmiechnął się do niej szeroko.

- No to do pierwszej. Czekaj na mnie na molu. Ale uważaj na siebie, dziś w nocy kręca się tu rozmaite dziwadła. - Jego odpowiedź jeszcze nie zdążyła przebrzmieć, a już odwrócił się i pognął w kierunku miasta.

Promenada wciąż była wyludniona, fale uderzały cicho w mur portu, tuż obok idącej Beth. Odświeżające morskie powietrze wpadało do płuc, więc zaczęła oddychać głęboko. Nareszcie poznała stan, gdy człowiek jest prawdziwie szczęśliwy.

W niecałą minutę dotarła do mola i weszła na skrzypiący drewniany pomost biegnący nad wodą. Molo miało nie więcej niż pięćdziesiąt metrów długości i było nieco rozchwierutane, ale jak dotąd burmistrz nie uznał go za niebezpieczne. Beth przeszła na sam koniec, oparła się o drewnianą balustradę i zapatrzyła na ocean.

Księżyc wciąż świecił jasno i zatraciła się w nim, patrząc, jak odbija się w pomarszczonych falach i uśmiecha się w kierunku brzegu i w stronę otwartego morza. Krople

deszczu, które delikatnie padały z rzadka na jej twarz od kilku minut, teraz się ciut nasiliły, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Podobnie jak zupełnie nie przejmowała się tym, że obiecała macosze wrócić przed północą.

Niestety, w Santa Mondega panuje wiele niepisanych zasad. Jedną z nich mówi niedwuznacznie, że nikt nie ma prawa być szczęśliwy przez dłuższy czas. Na horyzoncie zawsze czeka nas coś niemiłego. W przypadku Beth to coś znajdowało się znacznie bliżej niż horyzont za morzem, na który się gapiała.

Zaledwie kilka metrów dzieliło ją od jednego z najbardziej niemiłych przedstawicieli świata żywych trupów. Gdyby spojrzała prosto w dół, zobaczyłaby czubki palców dwóch kościstych rąk, uczepionych skraju drewnianego mola. Były to ręce wampira. Jego zaopatrzone w szpony stopy dyndały w wodzie na dole. Fale obmywały mu nogi po kostki, bo poziom wody podniósł się wyraźnie w czasie, gdy wampir czekał cierpliwie, aż przyjdzie jakaś łatwowna, niewinna istota i zapatrzy się na ocean. Tym łatwownym niewiniątkiem okazała się Beth.

Pora karmienia.

Rozdział czwarty

Sanchez nie znośił chodzić do kościoła, dlatego też starał się zaglądać tam jak najrzadziej. Tym razem jednak, bez dwóch zdań, była to wyjątkowa okazja. Mając to na uwadze, włożył najlepsze ubranie: niepodarte dżinsy i biały golf bez widocznych plam. Mało tego, wtarł nawet w gęste czarne włosy nieco żelu, żeby po zaczesaniu do tyłu nadały mu tego „hej, chłopie, wyglądasz czadowo” sznytu.

Dzisiejszy wyjątkowy wieczór zawdzięczali nowemu kaznodziei, który niedawno przejął miejscowy kościół i z upodobaniem wdrażał najrozmaitsze nowości. Najnowszym krzykiem mody było zapraszanie wszystkich przybyszów w Halloween na mszę o północy, na której miał wystąpić gość specjalny - jak twierdził wielebny „największe zjawisko w świecie rock and rolla w Santa Mondega”. Klecha nie zdradził jednak nazwy tegoż zjawiska, dlatego na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że będzie to jakaś kiczowata kapela w stylu braci Osmond, Sanchez przybył przygotowany, taszcząc ze sobą brązową papierową torbę ze zgniłymi owocami, którymi zamierzał obrzucić każdego, czyj talent muzyczny nie spełni jego wygórowanych wymagań.

Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości: kościół pod wezwaniem Błogosławionej Świętej Urszuli i Jedenastu Tysięcy Dziewic (la Iglesia de la Bendita Santa Úrsula y las Once Mil Vírgenes) prezentował się wspaniale, zarówno z zewnątrz, jak w środku. W jasną noc pradawny budynek odcinał się wyraźnie na tle ciemnego nieba, otynkowane na biało ściany lśniły w blasku księżyca, a iglica sięgała nieba. Jednak w tę konkretną halloweenową noc na dworze było ciemno jak zwykle. Zaledwie rozpoczęło się nabożeństwo, ciężkie chmury przez większą część wieczoru wiszące nad kościołem zrzuciły swój ładunek i na Dom Pański spadły strugi deszczu.

Ze swojego miejsca w dziesiątym rzędzie Sanchez słyszał, jak deszcz bębni w witrażowe okna za ołtarzem, przy którym stał wielebny. Rzędy kościelnych ławek zajęte były przez ludzi w każdym wieku i z każdej grupy społecznej. Obok Sancheza siedział miejscowy głupek, dwunastoletni gówniarz imieniem Casper, który - jak powiadano - miał nierówno pod sufitem. Nikt nie wiedział dokładnie, co właściwie z nim jest nie tak, ale Sanchez na własne oczy widział, jak biedny mały od dziecka bezlitośnie brał po dupie od innych szczeniaków. I to nawet nie dlatego, że był trochę wsiakiem. Po prostu wyglądał śmiesznie. Jego włosy

zawsze sterczały w ośmiu różnych kierunkach, a oczy jakby robiły to samo. Należał do tych dzieciaków, na widok których człowiek spodziewa się błyskawicy, po której nastąpi grzmot, a w tle być może donośnie zabrzmiały kościelne dzwony. Rzecz jasna, pewnie specjalnie, żeby wkurzyć Sancheza, ten akurat wieczór przebiegał dokładnie według tego schematu.

Kościół był kiepsko oświetlony. Tego wyjątkowego wieczoru zdano się wyłącznie na świece w olbrzymich kinkietach wiszących dookoła na ścianach oraz na dwie potężne gromnice stojące po obu stronach ołtarza, których światło odbijało się w wysokim złotym krucyfiksie osadzonym w centrum tegoż ołtarza. (Prawdę mówiąc, krucyfiks wcale nie był złoty, tylko z mosiądzu. W Santa Mondega nic, co choćby przypominało drogocenny kruszec, nie mogło się utrzymać, chyba że było przyśrubowane i strzeżone w dzień i noc przez półdzikie pitbulle). Niestosowny tutaj widok masy supernowoczesnego sprzętu nagłaśniającego i innych urządzeń wraz z płataniną kabli zalegających posadzkę przed ołtarzem nasunął Sanchezowi myśl, że zapowiadany koncert rockowy prawdopodobnie będzie związany z pokazem świateł stroboskopowych - i stąd to kiepskie oświetlenie.

Brak światła był dla Sancheza tym gorszy, że każdy grzmot powodował migotanie świec, a w nagłym blasku błyskawic widział jedynie siedzącego obok szurniętego dzieciaka, który maniakalnie gapił się na niego obłąkanym wzrokiem. Nagle, zgodnie z oczekiwaniami, rozdzwoniły się kościelne dzwony, a dzieciak obdarzył go przerażająco obłąkańczym uśmiechem. Sanchez chętnie by się przesiadł, gdyby nie to, że kościół, psiakrew, był niemal pełny. W ławkach za nim nie było ani jednego wolnego miejsca, a nie uśmiechało mu się siedzieć gdzieś z przodu, bo wielebny mógłby go wezwać do udziału w jednej ze swoich nazbyt żarliwych opowieści. Chodziły słuchy, że niedawno powołany duchowny skłaniał się do filozofii New Age i dlatego wolał, by nie nazywano go „ojcem”, tylko „wielebnym”. Może to i prawda, a może nie, ale ponieważ był młody i pełen energii, miał zwyczaj wciągać swoich parafian do udziału w zaimprovizowanym odgrywaniu ról w stylu Dawida i Goliata.

Po godzinie słuchania żarliwych opowieści wielebnego o Bogu, Jezusie i innych pierdołach Sanchez zaczął się niecierpliwić. Przyszedł tu przecież tylko po to, żeby sprawdzić zespół. Gdyby okazali się dobrzy, chciał się przekonać, czy namówi ich do występów w swojej nowej speluncie, barze Tapioca w centrum Santa Mondega. A jeśli będą do dupy, po prostu wstanie i wróci do domu. Najpierw jednak obrzuci ich zgniłymi owocami.

Wreszcie, pięć minut po północy, wielebny zakończył kazanie, a zebrani zaczęli się wiercić w oczekiwaniu na występ zespołu. Zza wysokiej na ponad metr drewnianej ambony stojącej na platformie wzniesionej przed ołtarzem wielebny (który, zdaniem właściciela baru, jak na księdza był skończonym palantem) zwrócił się do publiczności. Mimo że ledwo

przekroczył dwudziestkę, cechowała go indywidualność i Sanchez czuł, że pod długą, ponurą czarną szatą kryje się barczysty, muskularny facet. To dlatego sześć czy siedem pierwszych rzędów zapełniały porządne młode chrześcijanki oraz dziwki przebrane za porządne młode chrześcijanki, a wszystkie spijały każde słowo z jego ust. Wstyd i hańba! - pomyślał Sanchez. Przyłóżą tylko po to, żeby zobaczyć wielebnego. Czy one nie mają wstydu? I kiedy, do ciężkiej jasnej, zacznie się występ zespołu?

- No cóż, kochani, chyba już usłyszeliście ode mnie dość jak na jeden wieczór - powiedział wielebny, patrząc na parafian z góry. Miał uśmiech z gatunku tych, które topią damskie serca, oraz, zdaniem Sancheza, ze wszech miar niestosowny dla duchownego błysk w oku. - Zanim rozpocznie się dzisiejsze wielkie muzyczne widowisko, jeszcze tylko kilka drobnych ogłoszeń. Na początek wzywam wszystkich do składania przed wyjściem szczodrych datków do puszek przy głównych drzwiach. - W jego głosie zabrzmiała wyraźnie stalowa nuta i wierni niespokojnie zaczęli się wiercić w ławach. (Od pewnego czasu dobroczynność zadomowiła się w Santa Mondega i tak już zostało). Przerwał, wyraźnie zastanawiając się nad dalszymi słowami. - A po drugie - zagrzmiął - przyznam się, że z wielkim rozczarowaniem dowiedziałem się, że w wodzie święconej wykryto ślady moczu. Proszę więc unikać wody z kropielnic przy zachodnim wyjściu. Dla celów sakralnych mamy nieco wody święconej w butelkach, natomiast gdyby kogoś dręczyło pragnienie, polecam wodę z kranu. - Obrzucił wiernych surowym wzrokiem i dodał: - A jeśli znajdę sprawcę, który dopuścił się tego obmierzłego czynu, niech Bóg ma go w swojej opiece.

Słowa te publiczność skwitowała, cmokając z niezadowoleniem i z dezaprobatą kręcąc głowami. Nagle Sanchez zdał sobie sprawę, że stuknięty chłopak obok niego przygląda mu się złym okiem, jak gdyby podejrzewał barmana, że to on dopuścił się skażenia wody.

- Co jest? - syknął do niego, wytrącony z równowagi zezującym, nieprzeniknionym spojrzeniem chłopaka.

Dzieciak pokręcił głową, naciągnął kaptur kurtki i odwrócił się, znów patrząc przed siebie. Sanchez z powrotem skupił się na słowach kaznodziei. Nie ma sensu, żeby ktoś nakrył go na tym, że przypatruje się niepełnosprawnemu umysłowo chłopcu. Jeszcze też by go uznano za szurniętego, co nie wpłynęłoby korzystnie na jego reputację.

Nad nimi, na ambonie, wielebny manipulował przełącznikami na konsolce przed sobą. Najpierw rozbłysły i zaczęły migotać światełka na sprzęcie nagłaśniającym, a potem wystartowała muzyka. Z licznych olbrzymich głośników gruchnął tytułowy temat z filmu

Odyseja kosmiczna 2001. Sanchez lubił tę melodię¹, która narzuciła niezłą atmosferę, zwłaszcza w ciemnościach i w przeciągu kościelnej nawy oraz przy wtórce deszczu, wciąż bębniącego w okna i dach.

Nie minęło dwadzieścia sekund, odkąd zabrzmiała muzyka, gdy naraz zza pleców barmana do kiepsko oświetlonego budynku wdarł się podmuch zimnego, wilgotnego powietrza. Towarzyszył mu zatechły, nieprzyjemnie piwniczny zapach. Ktoś otworzył wielkie podwójne wrota na tyłach kościoła, za rzędami ław.

Wszyscy się rozejrzeli, a wielebny ze swojej ambony przy ołtarzu spojrzął ponad głowami parafian, by sprawdzić, któż to tak bardzo się spóźnił na nabożeństwo. Każdy z zebranych zobaczył wchodzącego mężczyznę. Człowiek ten miał na sobie długą czarną pelerynę z naciągniętym na głowę kapturem. Po chwili w ślad za nim przez drzwi weszło kilku innych, identycznie odzianych mężczyzn. Weszli gęsiego, zatrzymali się, po czym ustawili się w szeregu za ławami. Było ich w sumie siedmiu, a ostatni z wchodzących zamknął za sobą olbrzymie podwójne wrota i w ciemnych cieniach zalegających z tyłu kościoła prawie nie sposób było już dostrzec spowitych w peleryny przybyszów. Rozsiewali denerwujące poczucie zła. Rozeszło się ono wśród parafian niczym zapach, który wtargnął po otwarciu wrót. Nie potrzeba było geniusza, by stwierdzić, że ci ludzie tu nie pasują. Tego wieczoru wypadał Halloween, a te siedem zakapturzonych postaci wyglądało jak straszdyła, które zjawyły się w kościele, by siać spustoszenie i zamęt.

Wielebny od razu wyczuł niebezpieczeństwo i szybko pstryknął przełącznikiem na konssole. Z tyłu kościoła natychmiast zapaliły się lampy. Wszyscy mogli sobie teraz obejrzeć siedmiu mężczyzn, a ostre światło elektryczne zlikwidowało element zaskoczenia, gdyby tamci zamierzali podkraść się do kogoś w panującym mroku. I o dziwo, taki właśnie mieli zamiar.

W miarę jak muzyka narastała i gęstniała, siedzący w ławach wierni w liczbie dwustu czy coś koło tego obejrzeli się na siedmiu mężczyzn, zdjęci strachem przed tym, co się wydarzy. Wtedy w imieniu wszystkich przemówił wielebny, zwracając się do nieproszonych gości.

- Ludzie waszego pokroju nie są tu mile widziani. Natychmiast opuśćcie kościół. - Mówił do mikrofonu spokojnie, ale dostatecznie głośno, by słyszano go pomimo muzyki. Bił od niego niezaprzeczalny autorytet. No tak, facet jest skończonym palantem, bez dwóch zdań,

¹ Tak naprawdę jest to wstęp do poematu symfonicznego Ryszarda Straussa *Tako rzecze Zaratustra*. Sanchez tego nie wiedział, ale i tak miałby to gdzieś.

pomyślał znowu Sanchez, mimo obezwładniającego strachu.

Przez kilka sekund siedem zagadkowych postaci z tyłu kościoła ani drgnęło. W końcu mężczyzna stojący w środku, który wszedł jako pierwszy, wystąpił do przodu i ściągnął kaptur. Miał wąską, upiornie bladą twarz okoloną długimi czarnymi włosami, które opadały na ramiona. Otwierając usta, żeby się odezwać, zaprezentował olbrzymie jaskrawożółte kły.

- Mamy Halloween i jest godzina duchów - wysyczał. - Jesteśmy wampirami z klanu Kapturów i rościmy sobie prawo do tego kościoła i wszystkich, którzy się w nim znajdują. Nikt z obecnych nie wyjdzie stąd żywy!

Najogólniej mówiąc, jego słowa wywołały powszechną panikę. Wszystkie kobiety, sztuka w sztukę, i co najmniej połowa obecnych mężczyzn z wrzaskiem zerwali się z miejsc. Kłopot w tym, że nikt w zasadzie nie wiedział, dokąd uciekać. Z wyjątkiem miejsca, gdzie stało siedmiu mężczyzn, cały kościół pogrążony był w półmroku, a wielebny wyraźnie nie kwapił się z zapaleniem pozostałych świateł. W każdym razie nie od razu. Gdy jednak temat z *Odysei kosmicznej 2001* dobiegł końca i zaczęła się następna piosenka, trącił następne przyciski na konsolce. Nagle reflektor punktowy oświetlił scenę dokładnie na wprost przejścia biegnącego środkiem kościoła między ławami. Ostry promień światła nie wydobył nikogo, jedynie mikrofon na stojaku, wokół którego unosiły się gęste kłęby kurzu.

Widok ten odwrócił uwagę obecnych zaledwie na krótką chwilę. Nagle siedem wampirów zawyło donośnie niczym sfora dzikich zwierząt szykująca się do ataku na ofiarę. Kolejno opuściły kaptury, skoczyły z wykładanej kamiennymi płytami podłogi i poszybowały wysoko, pod łukowate sklepienie nad nawą. Każdemu z nich chodziło tylko o jedno: by wybrać ofiarę tam w dole, spaść na nieszczęśnika i pożywić się jego krwią.

Przerażeni parafianie wciąż nie mieli pojęcia, dokąd uciekać. Ludzie szamotali się w ławach; jedni usiłowali gramolić się po plecach sąsiadów, inni postanawiali się ukryć pod solidnymi drewnianymi ławami. Sanchez, jak większość, skamieniał ze strachu. W pierwszej chwili pomyślał, żeby sięgnąć do brązowej papierowej torby, z którą tu przyszedł, i obrzucić wampiry zgniłymi owocami, szybko jednak zdał sobie sprawę, że nie byłoby to najrozsądniejsze wyjście. Postanowił więc przykucnąć pod ławą, licząc na to, że ktoś wyższy szybciej padnie ofiarą napastników. Wobec tego z odwagą, która określała go i jako barmana, i jako mężczyznę, padł na kamienną posadzkę i ukrył się pod siedzeniem. Na wszelki wypadek, jako dodatkowe zabezpieczenie, pociągnął Caspra, tego zabawnie wyglądającego dzieciaka w kurtce z kapturem, i nakrył się nim. A kiedy wampiry krążyły nad nimi w zimnym kościelnym powietrzu, otaczając swoje ofiary i napawając się strachem, jaki wzbudzały wśród rozwrzeszczanych wiernych, z głośników stereo zagrzmiął zniecka

dźwięk trąbek, wprowadzając wśród obecnych jeszcze większy galimatias i dezorientację.

Nagle wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Wielebny, który wciąż stał wyprostowany przy ambonie, ryknął do mikrofonu.

- Ostrzegałem was, wy pojebane wampiry, żebyście nigdy nie ważyły się przestąpić progu tego kościoła! - Zaczął wygrażać pięścią żywym trupom w pelerynach, krążącym groźnie nad tłumem zdjętych przerażeniem mieszkańców miasta. - To teraz przekonacie się, co znaczy ból. Panie, panowie i wy, pojebańcy! Przedstawiam wam... króla rock and rolla!

Na dotychczas niezajęte miejsce na scenie, tam, gdzie padło światło reflektora, wyszła masywna, imponująca postać. I oto, w białym jednoczęściowym kombinezonie z grubym złotym pasem w talii oraz gęstą grzywą czarnych włosów i z bujnymi bokobrodami, stanął przed nimi Elvis, największy z żyjących płatnych cyngli w Santa Mondega. W rękach miał bluesową gitarę. Modną, kształtną czarną bestię, lśniąca tak, że od razu było widać, że ten instrument to jego radość i duma. Pewnymi dłońmi, z nerwami jak postronki, zaczął grać w chwili, gdy z głośników stereo popłynął muzyczny podkład. Mocno brzdąknął kilka akordów bluesowych i zaczął wybijać nogą rytm, szykując się do odśpiewania pierwszej zwrotki *Steamroller Blues*.

Elvis był tak pochłonięty muzyką i tym, by zabrzmiała w uszach publiczności idealnie, że najwyraźniej nie zważał na nic, co działo się dookoła. Prezentował się na scenie tak, że wszyscy zatrzymali się i wlepili w niego wzrok, nawet szemrane wampiry unoszące się tuż pod sufitem. Każdy z nich taksował go spojrzeniem, upatrując w nim swojej pierwszej ofiary.

Nagle Elvis zaczął śpiewać:

Jestem walcem parowym, maleńka,

Zaraz się po tobie przetoczę...

W chwili, gdy pierwsze dźwięki gruchnęły ze wzmacniaczy, jeden z wampirów nie był w stanie dłużej pohamować żądzy krwi. Zawył przeraźliwie i z wyszczerzonymi kłami zanurkował na wirującego naśladowcę Elvisa, gotów go zabić. Nie wypadając z rytmu, Król zareagował na to, obracając biodra w jedną stronę, a gitarę w drugą i celując gryfem w górę, w nadlatującego krwiopijcę.

Z otworu ukrytego na końcu gryfu superczaderskiej czarnej gitary wystrzeliła srebrna strzałka. Przemknęła w powietrzu szybciej niż błyskawice na zewnątrz i z niepokojąco głośnym hukiem wbiła się w serce nadszarpniętego wampira. Zaszokowany przedstawiciel

świata żywych trupów poczuł, jak strzała przesywa mu serce, i zamarł w powietrzu, wytrzeszczając oczy z bólu i niedowierzania. Jego ostatnia myśl brzmiała: O w mordę! Nie chcę zdychać przy tej kijowej piosence Jamesa Taylora... Chwilę później spontanicznie zajął się ogniem i opadł w płomieniach na scenę u stóp Elvise, gdzie szybko zamienił się w małą kupkę wciąż dymiącego popiołu.

U Świętej Urszuli panika i przerażenie wśród wiernych w mgnieniu oka przerodziły się w nadzieję i optymizm. Tego samego nie można było powiedzieć o krążących pod sufitem wampirach. Po unicestwieniu jednego z nich na chwilę osłupiały, lecz zaraz znowu skupiły całą uwagę na piosenkarzu na scenie.

A Król przez cały czas grał bluesa.

Sanchez z przerażeniem wyjrzał ze swojej kryjówki na zimnej kamiennej posadzce, spod - zaskakująco ciężkiego - dzieciaka, którego pociągnął za sobą.

Zapowiadała się impreza nie z tej ziemi.

Rozdział piąty

Kione uwielbiał trzydziesty pierwszy października. Zabijanie w Halloween miało w sobie coś szczególnego. Ten niepowtarzalny, przepyszny smak.

Santa Mondega była siedzibą wampirów z całego świata, ale centrum miasta zarezerwowane było dla żywych trupów z Europy i obu Ameryk. Pierwsi osadnicy wśród wampirów wywodzili się z Paryża, a w ślad za nimi przybyli ich liczni europejscy kuzyni, na długo przed odkryciem Ameryki przez Kolumba. W wieku osiemnastym miasto spodziewało się wielkiego napływu uciekinierów z Ameryki Łacińskiej. Gdy ci już się zdomowili, wielu z nich szybko stało się członkami świata żywych trupów i utworzyło własne klany. Nie minęło czasu wiele, a populacja wampirów rozrosła się ponad możliwości miasta, dlatego jeszcze zanim zaczęły przybywać wampiry z Afryki, takie jak Kione, wprowadzono niepisaną politykę imigracyjną. W rezultacie wampiry z Afryki i Azji osiedliły się na wzgórzach otaczających Santa Mondega. Szczególnie ci z Orientu i północnej Afryki miłowali wolność i świeże powietrze wzgórz i dolin i woleli polować na swoje ofiary w dziczy na obrzeżach miasta. A raczej wszyscy z wyjątkiem Kione. Już dawno temu wygnano go ze wzgórz za to, że złamał nie tylko niektóre, lecz wszystkie zasady kodeksu honorowego wampirów. Ta pozbawiona skrupułów, klasy i dumy kreatura mieszkała pod mołem i noc w noc wybierała się na łowy, w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby wpaść w jej odrażające łapska.

Mieszkając na wzgórzach, należał do Czarnej Dżumy, klanu, który zawsze trzymał się na uboczu. Byli niezwykle liczni i równie bestialscy jak każdy inny wampirzy klan i powszechnie było wiadomo, że jeśli zdecydują się kiedyś przeprowadzić akcję w mieście, w świecie żywych trupów wybuchnie powszechna wojna. Jednym z głównych powodów, dla których trzymali się z daleka, był stary, wywodzący się sprzed wielu stuleci przesąd. Tradycja ludowa Santa Mondega głosiła, że każdej nocy przez godzinę strachy na wróble budzą się do życia, po czym ścigają i zabijają wszystkich obcych, którzy odważyli się zapuścić do miasta. Nigdy nie znaleziono dowodów na potwierdzenie prawdziwości tej legendy, ale we frontowych ogródkach wielu domów na peryferiach stały strachy na wróble, które skutecznie trzymały wampiry ze wzgórz na obrzeżach miasta.

Członkowie Czarnej Dżumy z rzadka tylko zapuszczali się do Santa Mondega, a jeśli już, to niemal zawsze przybywali liczną gromadą, podobnie jak robiły to klany miejskie, gdy

zamierzały grasować po wzgórzach i dolinach. A ponieważ Kione nie miał przyjaciół pośród swoich - nawiasem mówiąc, w ogóle nie miał przyjaciół - ukrywał się samotnie w porcie od czasu do czasu pożywiając się tylko złapaną mizerną rybą, czy skorupiakiem. Czasami jednak - w takie noce jak ta - trafiał na żyłę złota. Jego ulubionym pokarmem były istoty młode i niewinne, a na widok dzisiejszego niewiniątka aż mu ślinka pociekła.

Patrzył, jak towarzyszący dziewczynie strach na wróble odchodzi, a potem obserwował ją z napięciem, gdy szła promenadą na molo. Modlił się do bogini Yemai, by tej szczególnej nocy skierowała tę młodą dziewczynę w jego stronę. I Yemaya go wysłuchała. Ochoczo poprowadziła młode dziewczę promenadą na drewniane molo... i na spotkanie z Kione. A on nie miał najmniejszego zamiaru odrzucić tak wspaniałej propozycji.

Uczepiony długimi pazurami ostatniej drewnianej listwy na końcu mola, cierpliwie czekał na idealny moment do ataku. Dziewczę wydawało się tak szczęśliwe i bez troskie, a takie właśnie Kione lubił najbardziej. Przez chwilę pozwolił jej stać i wpatrywać się w ocean, a sam z kolei gapił się i podziwiał błyszczące czerwone buty. Wkrótce niebiesko-biała sukienka zakrywająca niemal całkiem tułów dziewczęcia także nabierze tego koloru, gdy nasiąknie jej krwią. Na samą myśl nie mógł się powstrzymać, by nie oblizywać warg. Dręczył się tym tak długo, że niemal osiągnął orgazm, aż w końcu przeszedł do działania.

Tak szybko, że nikt by nie uwierzył własnym oczom, oderwał się od mola, pod którym wisiał u stóp dziewczyny, i pozwolił sobie na przyjemność unoszenia się w powietrzu na wysokości jej wzroku, zaledwie ćwierć metra od niej; jego zakończone szponami stopy wisiały półtora metra nad falami. Chwila ta dostarczała mu wyjątkowej rozkoszy. Napawał się widokiem zmian zachodzących na twarzy jego ofiary, gdy uświadamiała sobie, że lada chwila zostanie pożarta żywcem przez odrażającego nocnego prześladowcę w podartych brązowych łańkach i trącającego rybą. Mimo oczywistego przerażenia widocznego w jej źrenicach, rozszerzających się z każdą chwilą, jeszcze większą rozkosz czerpał ze świadomości, że dziewczę nie ma pojęcia, ile namiętności i żądzy wyzwoli w nim w tym samym momencie, w którym on zada jej niewyobrażalny ból.

Patrząc, jak otwiera usta, szykując się do krzyku, zaczął rozbierać ją wzrokiem. Och, żeby tak zerwać tę sukienkę i nasycić oczy, język i ręce jej jedwabistym białym ciałem!

- Witaj, ślicznotko! - parsknął szyderczo głosem, który w naiwności swojej uważał za uwodzicielski.

Beth była z gruntu odmiennego zdania. Głos był odpychający, w dodatku towarzyszył mu odór oddechu tak smrodliwego, jakby wydobywał się z głębi odbytu szatana. Gdy początkowy szok minął, odruchowo cofnęła się o krok i zastanowiła nad swoim kłopotliwym

położeniem. Czy powinna salwować się ucieczką? A może zostać i próbować wywinąć się z kłopotu gadaniem? Zadziałał jednak instynkt przetrwania i odwróciła się do ucieczki, ale zaledwie okręciła się na pięcie, Kione znów znalazł się tuż przed nią. Zwinnie i gibko zwinął się w kłębek, wykonał nad dziewczyną salto w powietrzu i wylądował na molu, między nią a zapewniającą schronienie promenadą.

- Och, proszę - zaczęła go błagać. - Nie rób mi krzywdy. Muszę wracać do domu.

Kione uśmiechnął się szeroko, pokazując pożółkłe kły, kły pasujące kolorem do barwy białek jego wąskich nickszemnych oczu. W szparach między krzywymi zębami wciąż gnily małe kawałki mięsa z poprzedniego dnia. Ten wampir był brudnym draniem w każdym tego słowa znaczeniu. Niedomyty, niemily i niegodny zaufania, bez dwóch zdań był także niesamowitym, najgorszym z możliwych zbrodźcem seksualnym.

- Ściągaj sukienkę! - rozkazał, łypiąc na nią lubieżnie.

- Słucham?

- Sukienka. Zrzuć ją.

- Ale... ale... co proszę?!

- Słyszałaś. Zrób dla mnie striptiz. Ruchy, dziewczyno, ruchy, bo jak nie, to zapewniam cię, że jeśli nie rozbierzesz się sama, ja ci w tym pomogę, a powiadają, że mój dotyk nie należy do najdelikatniejszych na świecie.

Beth spojrzała na jego dłonie. Trzymał je na wysokości brzucha, przebijając długimi kościstymi palcami i zaciskając je, jak gdyby miętosił wymaginowane piersi. Nie wiedząc, co robić, ale za wszelką ceną chcąc zyskać na czasie, żeby wymyślić, jak się od niego uwolnić, zaczęła zsuwać z ramion niebieskie ramiączka sukienki. Kione mimowolnie oblizywał usta, szykując się na to, co nastąpi.

Tymczasem zaledwie pierwsze ramiączko zjechało w dół, rozległ się stukot podkutych butów o drewniane deski mola za nimi. Początkowo rozbrzmiewał tylko w podświadomości Kione, bo żądza przesłoniła jego zdolność myślenia. Dudnienie kroków wciąż narastało, było coraz szybsze, ktoś zbliżał się do nich z wielką prędkością. Żądza Kione trwała nieco za długo, zanim instynkt znowu wziął górę. Dlatego zareagował zbyt późno. Odwrócił się w ostatniej chwili, by ujrzeć, jak pięść stracha na wróble wali go prosto w nos. Poleciał do tyłu na Beth, która wrzasnęła i odskoczyła w bok, a wampir grzmotnął na deski. Ogarniając sukienkę, zobaczyła JD, który z wytrzeszczonymi oczami gapił się na swoją pięść, zaskoczony tym, czego przed chwilą dokonał.

Z całej trójki najszybciej zareagował Kione. Zaledwie sekundę po upadku na deski zerwał się na nogi. Beth odebrała to jako sygnał do działania i popędziła mołem w kierunku

promenady. Biegiem minęła wampira i JD, którzy szykując się do walki, w ogóle nie zwracali na nią uwagi. Jej głupie czerwone buty niespecjalnie się nadawały do biegania po deskach z dużymi szczelinami między nimi i zdawała sobie sprawę, że każdy kolejny krok grozi jej upadkiem.

W połowie mola zatrzymała się. A co z JD? Czy za nią biegnie? Czy może został, żeby nadal walczyć z wampirem?

- AU! - Odpowiedź dotarła do niej w postaci wrzasku Kione, pełnego bólu i nie mniejszej dawki gniewu i irytacji. Odwróciła się i ujrzała, że wampir gramoli się na czworakach, po tym jak zarobił kolejny potężny cios we wrażliwy punkt anatomii. Podniósł się, tym razem wolniej niż poprzednio, a Beth patrzyła, jak JD z rozmachem wali wampira pięścią w głowę. Po chwili chłopak zasypał kulącego się ze strachu zboczeńca gradem uderzeń.

Wkrótce Kione leżał na wznak i ściskając rękę, skamlał o litość.

- Wybacz mi, proszę. Nie chciałem jej zrobić krzywdy! Myśmy się tylko zabawiali. Mówię, jak było!

JD cofnął się ostrożnie i pozwolił zażenowanemu wampirowi dźwignąć się chwiejnie na nogi.

- Wypierdalaj stąd, ty śmierdząca kupo gówna! - rozkazał.

Kione spuścił głowę niczym niegrzeczny uczeń stroszony za niestosowne zachowanie podczas lekcji. JD obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i odwrócił się, by sprawdzić, co z Beth.

- Nic ci nie jest? - zawołał.

- UWAŻAJ! - wrzasnęła w odpowiedzi. Kione tylko blefował, licząc na to, że JD odsłoni się na chwilę. A chłopak właśnie tak zrobił. Wampir zwietrzył okazję i z rozczapierzonymi szponami rzucił się wrogowi do gardła. Młody człowiek w przebraniu stracha na wróble dysponował jednak wyśmienitym refleksem i zanim jeszcze ucichł wrzask Beth, okręcił się na pięcie i wyrznął nacierającego napastnika z boku w twarz. Przez chwilę obaj mocowali się, spleceni w mocnym uścisku, próbując zyskać przewagę. Beth z przerażeniem obserwowała ich zmagania. W pewnym momencie zdawało się, że JD obezwładni Kione, lecz wampir wyślizgnął się i zajął pozycję dającą mu przewagę. W końcu, kiedy wampirowi pomimo wszelkich podstępów ani razu nie udało się ugryźć choćby kawałka ciała JD, młody człowiek cisnął nim o rozchwierutaną drewnianą balustradę biegnącą z jednej strony mola i mocno złapał tracącego siły Kione za gardło, pozbawiając go tchu.

Wampir krztusił się, usiłując zaczerpnąć powietrza, i błagalnym wzrokiem patrzył w wykrzywioną twarz napastnika.

- Proszę - wycharczał. - Nie...

Głos miał słaby, a jego twarz przybierała coraz ciemniejszą barwę. JD spojrział w jego zrozpaczone oczy i rozluźnił uścisk na tyle, by Kione mógł zaczerpnąć powietrza.

- Proszę... nie... zabijaj... mnie - wysapał wampir. - Ja już raz umarłem... dawno temu. Nie każ mi... przechodzić przez to... jeszcze raz. Proszę. Zostaw mnie. Pójdę sobie. Obiecuję.

JD z zaciętą twarzą znów ścisnął go mocno, patrząc, jak z jego żalosego przeciwnika uchodzi życie żywego trupa. Pozbawienie kogoś życia, nawet takiego, które formalnie rzecz biorąc, nie istnieje, nie jest jednak takie łatwe. Przede wszystkim ofiara powinna się wypowiadać. Dlatego też w chwili współczucia, na które Kione absolutnie nie zasługiwał, JD zwolnił nieco potworny ucisk na gardle kreatury.

- Zjeżdżaj stąd! I nigdy nie wracaj - warknął, nie potrafiąc ukryć obrzydzenia w głosie.

Wampirowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. W jednej chwili wyskoczył w powietrze i zniknął w ciemnościach.

Beth podbiegła do JD, który po walce z nocną bestią był ciutkę zasapany.

- Jesteś cały? - zapytała, zatrzymując się dwa metry od niego, by mógł się spokojnie przeciągnąć i odetchnąć.

- Tak, cały i zdrowy - odparł, jedną ręką ostrożnie obmacując szyję w poszukiwaniu śladów ugryzienia. - Pomijając fakt, że właśnie stoczyłem walkę z wampirem, który, jak powiadają, jest istotą fikcyjną, wszystko gra. A jak z tobą? Nic ci nie zrobił, zanim tu dotarłem?

- Nie, ale gdyby nie ty, pewnie już bym nie żyła. Skąd wiedziałeś, że trzeba wrócić?

- Nie wiedziałem. Wróciłem, bo zapomniałem o czymś. JD zbliżył się do Beth i wyciągnął do niej rękę. Nie miała ochoty się cofnąć, chociaż gdyby godzinę temu jakiś chłopak próbował jej dotknąć, na pewno by się wzdrygnęła. Przeciwnie, nie protestowała, gdy odgarniał jej włosy z ramion i oglądał szyję, sprawdzając, czy nie widać śladów krwi albo ugryzienia.

- O czym zapomniałeś? - zapytała.

JD pogładził ją po szyi, szukając zadrapań, ale patrzył jej prosto w oczy.

- O tym - powiedział. Nachylił się i pocałował ją w usta. Beth nigdy jeszcze się nie całowała i chociaż uspił jej czujność i wziął ją z zaskoczenia, poczuła ciepło, od którego po całym ciele przeszły ją ciarki. Oddała pocałunek, powolna naturalnemu instynktowi, i w ten sposób nadrabiając brak doświadczenia. Jak to przeważnie bywa z pierwszymi pocałunkami,

także i ten spełnił jej najśmielsze marzenia.

Po trwającym dobre dziesięć sekund uścisku, który pozwolił Beth zapomnieć o przerażającej próbie, jaką musiała przejść zaledwie kilka minut wcześniej, JD się odsunął. Posłał jej ten swój zawadiacki, pewny siebie krzywy uśmiech, w którym z każdą chwilą zakochiwała się coraz bardziej.

- Chodź, spadamy stąd - powiedział.

Wziął ją za rękę i ruszyli po molu w stronę lądu. Ochładzało się, a nocne niebo coraz bardziej ciemniało, w miarę jak czarne chmury nadciągały ku nim nad promenadą z drugiej strony miasta. Fale w porcie były coraz wyższe i nieuchronnie zanosiło się na burzę.

Beth i JD świata poza sobą nie widzieli, dlatego też żadne z nich nie zwróciło uwagi na pogarszającą się pogodę. Ich uwagę przykuła dopiero samotna postać, która najwyraźniej czekała na nich na końcu mola. Była to kobieta w średnim wieku, od stóp do głów ubrana na czarno. Miała białe włosy i z oddali wydawała się wyjątkowo szpetna. A im bardziej się do niej zbliżali, tym bardziej jej brzydota rzucała się w oczy.

- Czy to znowu był ten przeklęty wampir? - zawołała ochryplym głosem, równie szpetnym jak jej twarz.

- No, chyba tak - przytaknął JD.

- Śmierdząca padlina! - prychnęła kobieta. - Pałętał się tam już od miesiący, żarł jakieś gówno i co popadnie. Dobry z ciebie chłopak, żeś go tak pogonił. - Co rzekłszy, skupiła się na Beth. - Nic ci się nie stało, panienko? - Pomimo dziwnego wyglądu i odrażającej twarzy miała w sobie coś dziwnie dodającego otuchy. Dziwadło, pomyślała Beth. Pewnie też trochę stuknięta. Ale nie jest zła.

Para młodych ludzi zatrzymała się metr przed kobietą, jeszcze nie schodząc z mola.

- Nie, wszystko w porządku, dzięki. - Rozpromieniona Beth spojrzała na JD i ucisnęła jego dłoń, z trudem hamując rozpieszczającą ją radość i ciepło, jakie czuła, będąc u jego boku.

- Powinniście zajrzeć do mnie - powiedziała kobieta, wskazując rozklekotaną starą przyczepę kempingową zaparkowaną na poboczu promenady. - Zrobię wam coś ciepłego do picia. Lada chwila niebiosa się otworzą, nadciąga straszna burza. Lepiej nie być wtedy na dworze.

Znienacka niebo rozświetliła błyskawica i ostatnie słowa niemal zagłuszył najpierw pomruk, a zaraz potem kolosalny grzmot pioruna oraz wirujący wiatr, który pojawił się nie wiadomo skąd. Wystraszył ich wszystkich, a gdy spojrzeli w górę, oślepiła ich kolejna błyskawica, po której nastąpił drugi grzmot. Kilka sekund później, równie niespodziewanie, z ciemnych chmur nad nimi lunął chaotyczny, na pozór niekończący się potok deszczu.

- W morde, muszę się zbierać - powiedział JD, patrząc na Beth. - Jeżeli nie odbiorę młodszego brata, będę miał przesrane, powaga. Wrócę, jak go odstawię do domu. Może zaczekasz tu na mnie z panią... - Spojrzał na dziwną kobietę. - Jak pani się nazywa?

- Annabel de Frugyn.

Bębniący deszcz i pomruk grzmotu pioruna zagłuszyły jej słowa, więc tylko skinął głową. Kobieta się odwróciła i zmagając się z przeciwnym wiatrem i zacinającym deszczem, ruszyła do przyczepy, oddalonej o dobre dwadzieścia metrów. Kuśtykała straszliwie, co nasuwało podejrzenia, że ma złamane biodro albo przynajmniej jedną nogę krótszą.

Przez chwilę JD przyglądał jej się ciekawie, zahipnotyzowany śmiesznym chodem. W końcu otrząsnął się z chwilowego odrętwienia, nachylił i znów pocałował Beth w usta, po czym odgarnął jej z oczu mokre, powiewające na wietrze włosy.

- Słuchaj, idź teraz z tą zawianą babą, a ja wrócę o pierwszej, tak jak obiecałem. Zgoda?

Beth uśmiechnęła się i też go pocałowała.

- Zgoda.

- Fajnie. Zobaczymy się niedługo, przyrzekam.

JD znów odbiegł w noc, po kilku sekundach znikając w strugach deszczu. Zmierzał w stronę kościoła, nie zdając sobie sprawy, że ten wieczór przybierze dla niego makabryczny, jeszcze gorszy obrót.

Beth ruszyła za Annabel i zrównała się z nią, gdy tamta prawie dotarła do przyczepy. Dziwna kobieta posłała jej odrazający uśmiech, pokazując szpary między zębami.

- Jak mnie nazwał ten twój chłopak? - zapytała dziewczynę.

Beth przede wszystkim uradowała się, słysząc, że Annabel mówi o JD jako o jej chłopaku. Nagle jednak uświadomiła sobie, że nazwał ją „zawianą babą”. Sytuacja zdecydowanie wymagała dyplomacji.

- Zdaje się, że nazwał panią Mistyczną Damą - odparła, kryjąc się przed deszczem, gdy Annabel otwierała różowe drzwi przyczepy.

- Mistyczną Damą, hę? - powtórzyła kobieta. - Nie powiem, nawet mi się podoba.

Gdy Beth wchodziła za Annabel do przyczepy, wampir Kione był już niemal kilometr dalej, lecąc w ulewnym deszczu i huraganowej wichurze, które przyniosła burza. Gdyby zostało mu za grosz dumy, doznałby poważnego uszczerbku w wyniku upokarzającego lania, jakie spuścił mu na molo ten nastolatek. Ale Kione nie miał dumy. Miał za to portfel, który podprowadził z kieszeni JD w trakcie walki. Portfel zawierający adres domowy właściciela. Lecąc nad podejrzanymi zaułkami Santa Mondega, wampir Kione obmyślał zemstę.

Rozdział szósty

Tego samego wieczoru, wcześniej

Olivia Jane Lansbury, wdowa należąca do tej parafii, była kobietą dumną. A także jedną z najbogatszych osób mieszkających w Santa Mondega. Dom, który odziedziczyła po świętej pamięci nieboszczyku mężu przed dwudziestu laty, należał do najbardziej wpadających w oko budowli w mieście. Stał na szczycie stromego wzgórza na skraju eleganckiej podmiejskiej dzielnicy, skąd rozciągał się widok na całą okolicę. A że szczycił się niemniej niż dwudziestoma sypialniami, nadawałby się na pensjonat, tyle że Olivia Jane nie musiała zarabiać. Była dostatecznie bogata, by nie czuć potrzeby wynajmowania licznych pokoi, jakie miała do dyspozycji. Zazwyczaj jedynie dwie sypialnie w domu były zajęte - należąca do niej oraz zajmowana przez Beth, pasierbicę, którą zaadoptowała.

Jej mąż Dexter zginął od śmiertelnego postrzału w łazience podczas ich nocy poślubnej. Wstępne dochodzenie przeprowadzone przez miejscowego detektywa Archibalda Somersa wykazało, że morderstwo mogła popełnić wyłącznie Olivia Jane. Jednakże krótko po tym, jak wyznaczyła nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za wszelkie informacje mogące się przyczynić do identyfikacji zabójcy, Somers dostał cynk od jednego ze swoich kapusiów, że mordu dokonał miejscowy rybak. Sprytny detektyw osobiście przejął śledztwo i wytropił rybaka. Wymusiwszy od podejrzanego zeznania za pomocą pięści, zmuszony był go zastrzelić, bo ten stawiał opór przy próbie aresztowania, usiłował nie dopuścić, żeby go złapano, oraz utrudniał pracę funkcjonariuszowi policji na służbie. Sprawa zamknięta. Czysta robota.

W zasadzie nikt w mieście nie rozumiał, dlaczego Olivia Jane zaadoptowała Beth. Zdawało się, że w ogóle nie ma dla niej czasu. Za młodu dziewczęcia na okrągło zmieniały się przy niej nianie, ale odkąd Beth podrosła na tyle, że wkroczyła w wiek szkolny, macocha sama zajęła się jej wychowaniem i uczyła ją w domu. Rzadko wypuszczała dziewczynkę na dwór i nadzwyczaj starannie pilnowała, żeby Beth nie zadawała się z dziećmi w swoim wieku. Aż do niedawna.

Zaledwie przed dwoma miesiącami w sercu Olivii Jane Lansbury najwyraźniej zaszły głębokie zmiany, bo zapisała pasierbicę do jednej z miejscowych szkół, a nawet zachęcała ją,

by poszła na halloweenowy bal. Zachowanie to było dla niej tak nietypowe, że Beth, z jednej strony niesamowicie zaskoczona, nabrała głębokich podejrzeń. Ale tak czy owak skwapliwie skorzystała z okazji, żeby pobyć wśród rówieśników.

Podejrzenia Beth okazały się ze wszech miar słuszne. Powody, dla których Olivia Jane wysłała pasierbicę w świat, wiązały się z jej planem, wprowadzonym w życie piętnaście lat wcześniej. Teraz zaś ów plan miał się ostatecznie zrealizować. Czas na przyjęcie.

Goście, których zaprosiła na kolację, przybyli jednocześnie, pod osłoną nocy; dźwięk dzwonka u drzwi wywołał u Olivii Jane gwałtowny przyływ podniecenia. Po raz ostatni przejrzała się w wysokim lustrze obok drzwi wejściowych i przygotowała się na czekający ją wieczór. Ponad godzinę spędziła na zakręcaniu gęstych blond włosów w taki sposób, że czuła, iż wygląda jak Marilyn Monroe. Dopelnieniem tego wyglądu była obcisła jak skóra, różowa suknia bez ramiączek. Wcale nieźle jak na babkę po czterdziestce, pomyślała.

Otworzyła drzwi i zobaczyła wysokiego mężczyznę w długiej białej szacie i złotej masce przedstawiającej barani łeb, którego rogi zawijały mu się tuż nad uszami. Za nim stało dwanaście innych postaci - sześciu mężczyzn ubranych identycznie jak on oraz sześć kobiet w szkarłatnych szatach i zwykłych białych maskach.

- Witamy, szanowna pani - odezwał się mężczyzna dźwięcznym głosem.

- Wejdźcie, proszę. - Olivia Jane uśmiechnęła się i ruchem ręki zaprosiła gości do przytulnego holu wejściowego.

Trzydziestu gości weszło gęsiego; mijając Olivię Jane, każde z nich witało ją skinieniem głowy, jednocześnie podziwiając roztaczający się przed nimi widok. Urządzając dom, Olivia Jane uparła się przy jednym elemencie: wszystkie ściany, sufity i dywany były krwistoczerwone, w tym samym odcieniu co szkarłatne szaty zaproszonych kobiet. Ten, kto by obejrzał cały dom, przekonałby się, że w rezultacie powstał wspaniały, acz przyprawiający o gęsią skórę widok. Wszelako program wieczoru nie przewidywał zwiedzania domu z przewodnikiem i nikt z gości nie miał zamiaru o to prosić. Wszyscy, sztuka w sztukę, wprost nie mogli się doczekać, kiedy rozpoczną się nocne uroczystości.

Olivia Jane zaprowadziła wszystkich do salonu - olbrzymiego, imponującego pomieszczenia z sufitem wiszącym dokładnie dziesięć metrów nad wyłożoną czerwonymi dywanami podłogą. Stało tam wiele wygodnych czerwonych mebli oraz dwa stoły zastawione butelkami wina i półmiskami pełnymi wykwintnych potraw. Nie minęło dziesięć minut, a wszyscy goście zrzucili szaty i nadzy, jeśli nie liczyć masek, rzucili się w wir orgii. Przy cichych dźwiękach muzyki klasycznej oddawali się wszelkim możliwym czynnościom seksualnym, od czasu do czasu przerywając, żeby się napić albo coś przekąsić.

Gospodyni domu mogła sobie oszczędzić fatygi i nie tracić tyle czasu na układanie fryzury i wybieranie stroju. W okamgnieniu suknię zdarł z niej w porywie niepoahamowanej żądry jakiś krzepki mężczyzna, podczas gdy inny chwycił ją za włosy i przyciągnął jej niezakrytą maską głowę do swojego krocza. Ich sekta satanistyczna rozpoczęła w ten sposób inicjację Olivii Jane. Tuż po północy zaś, po dwugodzinnej orgii, miał nastąpić główny punkt programu imprezy. Przyjęcie Olivii Jane do sekty zależało od tego, czy podczas godziny duchów złoży im w ofierze młodą dziewicę.

A Beth miała wrócić do domu przed północą.

Rozdział siódmy

Sanchez wiedział, że nie powinien był chwytać upośledzonego umysłowo chłopca i pociągać za sobą na posadzkę. Bo teraz dzieciak ścisnął go kurczowo niczym napalony pies ryćkający nogę jakiegoś pechowca. Zarzucił barmanowi obie ręce na szyję i wpatrywał się w niego z uwielbieniem.

- Uratowałeś mnie - powiedział Casper, uśmiechając się idiotycznie.

- No. No, zgadza się - przytaknął Sanchez. Skoro dzieciak chciał wierzyć, że pociągnął go na ziemię, żeby ochronić jego, a nie siebie, to co za sens rozwiewać złudzenia małego, wyznając mu prawdę? Bo tak naprawdę to posłużył się chłopcem jak tarczą przed pikującymi z góry wampirami. Wyszło jednak na to, że przejmował się niepotrzebnie, bo wszystkie wampiry skupiły się teraz na atakowaniu Elvisa i unikaniu jego śmiercionośnych strzałek. Sancheza ogarnęły dwa uczucia. Po pierwsze ulga, że wciąż jeszcze żył. Po drugie zaś, jeśli miał być całkiem szczery, był poważnie zażenowany tym, że ktoś może go zobaczyć, jak tuli małego chłopczyka w kościele.

- Jesteś moim bohaterem - oświadczył Casper z promiennym uśmiechem.

- Bła, bla, bla. Będzie tego, rozumiemy się? I złaż ze mnie, do kurwy nędzy! Nie chcę, żeby ktoś nas tak zobaczył. Jedna wielka żenada.

Zakłopotanie Sancheza najwyraźniej podziało na chłopca ośmielająco, bo przytulił się do niego jeszcze mocniej. Leżeli między dwoma rzędami ław, spleceni ze sobą nogami, i na dobrą sprawę obłapiali się niczym para młodych kochanków.

- Mam tego serdecznie dość, psiakrew! - wybuchnął barman, odrywając chłopaka od siebie. - Ruchy, kurwa, ruchy!

Jednym silnym pchnięciem zrzucił z siebie dzieciaka i wepchnął go pod ławkę za sobą. Ledwo się z tym uporał, któryś z wampirów zanurkował na nich z góry, jedną ręką chwycił Sancheza za kark i poderwał go na nogi.

- Ożeż kurwa mać!

Krwiopijca o bladej twarzy i czerwonych oczach nachylił się z rozdziawionymi ustami i wyszczerzył kły, gotów wbić je w słodkie mięso na karku Sancheza. Młody barman, zdjęty strachem, zamknął oczy i skrzywił się. Usłyszał ostry trzask, ale nie poczuł bólu. Ani zębów na szyi. Nagle odetchnął z ulgą, czując, że wampir rozluźnia uścisk. Otworzył oczy i zatkało

go ze zdumienia. Wampir, z szyją owiniętą rzemieniem bykowca, sycząc z wściekłości, odlatywał od niego błyskawicznie, wleczony przez człowieka trzymającego rękojeść bata. Człowiekiem tym był nie byle kto, bo wielebny we własnej osobie! Rany boskie! Sanchez polubił nagle tego nowego kaznodzieję. Odkąd tu przybył, wniósł do mieściny ożywczy powiew, nikt jednak by się po nim nie spodziewał, że rozprawi się z wampirem jedynie za pomocą bykowca. To przesądza sprawę, pomyślał Sanchez. Nie będę się więcej odlewał do wody święconej wielebnego.

Barman i chłopiec, ukryci pod ławkami, z przerażeniem patrzyli, jak nieogolony święty człowiek przyciąga do siebie szamoczącego się wampira, którego szyję wciąż ciasno oplatał rzemień bicia. A kiedy kreatura znalazła się tak blisko, że mogła poczuć na twarzy szczecinę na brodzie kaznodziei, wydarzyło się coś zgoła nieprawdopodobnego. Wielebny wydobyl z zakamarków ciemnej szaty obrzyn i wbił lufę w napiętą skórę pod brodą krwiopijcy.

BUM!

W powietrze trysnęła krew, rozbryzgi mózgu oraz odłamki strzaskanej czaszki. A potem resztki wampirzego ciała zajęły się ogniem i w płomieniach opadły na podłogę. Nie przejmując się tym, ksiądz rozejrzał się za następną ofiarą.

Przez następne dwie minuty osłupiali parafianie obserwowali, jak wielebny i Elvis unicestwiają pozostałe zakapturzone wampiry. Elvis przez cały czas śpiewał *Steamroller Blues* i brzdąkał na gitarze, z której co pewien czas celował w wampira i wypuszczał kilka strzałek. Sanchez przyglądał się temu z rozdziawionymi ustami, nie posiadając się ze zdumienia.

Coś kapitalnego!

Wreszcie jednostronna potyczka dobiegła końca i pośród wstrząśniętych wiernych zapadła cisza. Feter rodem z grobowca ulotnił się, zastąpił go swąd spalenizny i niebieska mgielka dymu po strzelaninie. Wielebny przystąpił do sprawdzania, czy jego trzódka jest cała i zdrowa i czy nikt nie został ugryziony. Kiedy przyszła kolej na Sancheza - którego Casper znowu się uczeplił - ksiądz zlustrował go wzrokiem od stóp do głów.

- Jestem z ciebie dumny, Sanchez. To, co zrobiłeś, wymagało nie lada odwagi.

- Że co?

- Widziałem, jak pociągnąłeś chłopca za sobą na podłogę, a potem wepchnąłeś go pod ławkę, kiedy wampir się na niego rzucił - ciągnął duchowny. - Do czegoś takiego trzeba mieć jaja. Możesz być z siebie dumny.

Sanchez nie widział potrzeby rozwiewania poglądów świętego człowieka na swój

temat.

- E tam, nie ma o czym mówić, wielebny, na moim miejscu każdy postąpiłby tak samo. - Wzruszył ramionami, z nadzieją, że w ten sposób strząśnie uczeplonego do siebie chłopaka. Nie udało się.

Duchowny uśmiechnął się do niego.

- Nie tytułuj mnie wielebnym. Przyjaciele mówią do mnie Rex - powiedział.

- Wielebny Rex? Czaderskie imię jak dla kaznodziei, co nie? - zauważył barman.

- Hm, prawdę mówiąc, nie jestem kaznodzieją. Ja tylko zabijam w imieniu Boga tych złych, jarzysz?

- A... No. Jasne.

- To jak, chłopaki, udostępnić wam pokoik na zapleczu?

Sanchez odebrał to jako znak, by znów spróbować zrzucić z siebie dzieciaka w kurtce z kapturem.

- Sanchez mnie uratował. - Casper uśmiechnął się promiennie do Rexa.

- A żebyś wiedział. Po mojemu jesteś mu teraz coś dłużny.

Casper obdarzył Sancheza, swojego nowego bohatera, szerokim uśmiechem. I chociaż ten uśmiech był nieco cudaczny, a w dodatku towarzyszyła mu błyskawica i grzmot pioruna na dworze, miał w sobie jednak coś ujmującego. W połączeniu z bezradną miną i wyrazem bezgranicznej wdzięczności w oczach chłopca sprawił on, że serce Sancheza nieco stajało. Właściwie ten biedny dzieciak był nawet dosyć miłutki... Jak na świra.

- No już, dobra. Będzie tego! - warknął Sanchez. - Nie sądzisz, że dawno powinieś być w domu i spać?

- On ma rację - poparł go wielebny Rex i odwrócił się do tłumu oszołomionych wiernych, z których wielu wynurzało się spod rzędów ław. - Słuchajcie mnie, wszyscy. Proponuję, żebyście albo wrócili do domów, albo przespali się tutaj. Szaleje sakramencka burza, a będzie jeszcze gorzej.

Pomimo fatalnej pogody nikomu nie uśmiechała się perspektywa spędzenia nocy w kościele po makabrycznych wypadkach, jakich byli świadkami, dlatego też większość parafian ruszyła do drzwi na końcu kościoła. Kiedy wychodzili z budynku, szeptem wymieniając uwagi na temat tego, co właśnie widzieli, Elvis zeskoczył ze sceny.

- Dzięki, ludziska. Dzięki wielkie! - zawołał do rozchodzącego się tłumu.

Odłożył gitarę i ruszył główną nawą w stronę Sancheza, Rexa i tego dzieciaka, Caspra.

- Ej, Rex, zdaje się, że ja już tu na dzisiaj skończyłem. Dasz radę posprzątać sam?

- Kurde, chłopie! - warknął Rex. - Już mnie opuszczasz?

- Kolego, dziś w nocy mam jeszcze paru innych skurwieli do wykoszenia - bronił się Elvis.

Rex wzruszył ramionami i uśmiechnął się do zaprzyjaźnionego zabijaki.

- Nie ma sprawy, stary. Rób, co do ciebie należy.

- Nie mogę się tego doczekać - wyznał Król. - Muszę zabić kilku łajdaków w tej miejscinie.

Z tego Elvisa był spoko facet i Sanchez nie potrafił ukryć, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim jego pewność siebie i jawna buta.

- Uau! - wysapał. - A ten zespół to też wampiry?

Elvis wyciągnął z górnej kieszeni ciemne okulary - swój znak firmowy - i włożył je na nos.

- A skąd. To zwyczajny bojsband - odparł ze śmiertelną powagą, ale oczy miał teraz ukryte za szklami.

- Jasne. No. Oczywiście - wydukał barman.

Elvis skinął mu głową i skierował się do drzwi. W tym momencie do kościoła wpadł jakiś młody człowiek, przedzierając się przez tłum. Przebrany za stracha na wróble - choć tak przemoczony, że wyglądał jak zmokła kura - rozglądał się po kościele, gorączkowo szukając kogoś czy czegoś.

- Casper! - zawołał.

Od razu było widać, że jest kimś, kto dla Caspra wiele znaczy. Dzieciak, który dopiero co tak wielbił Sancheza, w mgnieniu oka całkiem zapomniał o swoim wybawcy i popędził nawą do stracha na wróble, po drodze wyprzedzając Elvisa. Sanchez patrzył, jak mały wskakuje na młodego człowieka, który złapał go, choć w rezultacie impetu omal nie padł na wznak na podłogę.

- Casper, co tu się działo, u licha? Na dworze ludzie dostają hopla. Twierdzą, że wdarła się tu zgraja wampirów. Nic ci się nie stało?

- No, braciak, nic mi nie jest.

Uczepiony kurczowo starszego brata Casper zdał sobie sprawę, że teraz już jest bezpieczny, i zaczął szlochać, gdy dotarło do niego, w jak śmiertelnym niebezpieczeństwie się znalazł.

- Już w porządku, Casper. Jestem z tobą. Chcesz wracać do domu? - Chłopiec nie odpowiedział słowami, tylko przytulił się jeszcze mocniej. - Chodź, odprowadzę cię. Ale musimy się śpieszyć, bo leje coraz bardziej, a nie wzięłem płaszcza.

- Włóż mój - powiedział Casper, uśmiechając się i ściągając kaptur kurtki, żeby

przekazać ją bratu.

- Czyś ty na głowę upadł? - rzekł JD życzliwie i zmierzwił włosy brata. - Tobie płaszcz bardziej się przyda niż mnie. Mama by mnie zabiła, gdybym cię przyprowadził przemoczonego, a sam zjawił się w twojej kurtce.

Elvis zrównał się z nimi na środku nawy. Przystanął, zmierzwił stracha na wróble wzrokiem od stóp do głów i powiedział:

- Wiesz co, powinienes podziękować tym dwóm facetom tam w głębi, bo uratowali twojego brata przed wampirami.

- No - przytaknął Casper. - Sanchez mnie uratował.

- Sanchez, tak? - upewnił się JD, przyglądając się barmanowi, pogrążonemu w rozmowie z wielebnym. - To zdaje się, że jesteśmy mu winni przysługę.

- A jak - rzucił Elvis. - Wpadnij kiedyś do jego baru. Do Tapioki. Przydadzą mu się stali bywalcy. Tylko weź ze sobą gnata. W jego mordowni różnie bywa.

- Że c...? Znaczy się, tak. Jasne, chłopie. - JD był kompletnie oszołomiony.

Casper puścił brata i wskazał Rexa.

- Powinienes poznać wielebnego, jest naprawdę odjazdowy - powiedział podnieconym głosem, ciągnąc starszego brata za rękaw.

- Jasne, braciak, ale innym razem. Musimy się zbierać.

Wprawdzie nic nie wskazywało na to, by deszcz na dworze zamierzał zelżeć, ale JD nie uśmiechało się, żeby Casper dalej siedział w kościele, którego posadzki i ściany były tu i tam zbryzgane krwią. Im szybciej wyciągnie stąd młodszego brata, tym lepiej. I tak rysowała mu się perspektywa bezsennej nocy, jeżeli Caspra zaczną dręczyć koszmary na temat tego, czego był świadkiem. Gdy starał się popychać brata w kierunku głównych drzwi, Elvis odezwał się do niego.

- Nie zamierzasz chociaż uścisnąć ręki nowemu kaznodziei?

- Na pewno będę miał jeszcze okazję się z nim przywitać - odparł JD i uśmiechnął się uprzejmie, wlokąc Caspra nawą do wyjścia.

- Ej, strachu na wróble! - zawołał za nim Elvis. - W tym swoim wdzianku przemokniesz jak jasny gwint. Weź to.

Król podniósł z podłogi ciemny materiał i rzucił go młodemu człowiekowi. Była to szata z kapturem, jeszcze niedawno noszona przez jednego z wampirów. JD złapał ją i przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

- Dzięki, Elvis! - odkrzyknął.

- Nie ma za co, chłopie. Tylko dobrze pilnuj braciszka.

Kiedy JD rozpościerał szatę, by się nią okryć, ale nie zaplątać, Elvis minął ich i wyszedł w noc. Miał na głowie inne sprawy - musiał załatwić grupę popową miejscowego chowu.

JD szamotał się przez chwilę z długą czarną szatą, próbując włożyć ręce do rękawów. Gdy mu się to wreszcie udało, stwierdził, że leży na jego ramionach jak ulał i kończy się prawidłowo, tuż nad kostkami. Przewiązawszy się w talii wąskim skórzanym paskiem, wyszedł za rozemocjonowanym młodszym bratem na deszcz, po drodze naciągając kaptur na głowę.

Rozdział ósmy

Beth siedziała w jednym z dwóch wygodnych, acz wyraźnie brudnych ciemnozielonych foteli znajdujących się w przyczepie kempingowej Annabel de Frugyn. Starsza kobieta wyczuła, że zimny wiatr i deszcz wyziębiły Beth, dlatego nastawiła czajnik, żeby zaparzyć im po filiżance swojej najlepszej herbaty.

Czajnik stał na kredensie za jej plecami, w części zajmującej tył przyczepy i uchodzącej za kuchnię. Stojąc tyłem do Beth, Annabel naląła wrzątku do swoich dwóch najlepszych kubków i przez chwilę mieszała zawartość, po czym cofnęła się, usiadła naprzeciwko młodej dziewczyny i podała jej naczynie. Herbata była niezwykle cienka, ale bardziej niepokoił fakt, że kubek zdobiło zdjęcie Johna Denvera - piosenkarza country, aktora, poety i zagorzałego zwolennika Partii Demokratycznej. Słabość herbaty wynikała z faktu, że Annabel nigdy nie używała więcej niż jednej torebki ekspresowej dziennie. A że tego dnia wypila już ze cztery filiżanki, wysuszona śliwka udająca torebkę herbaty nie przydała wrzątkowi zbyt wiele smaku i zapachu.

Annabel rozsiadła się w fotelu naprzeciwko Beth i postawiła swój kubek (ze zdjęciem irlandzkiego piosenkarza Vala Doonicana) na małym stoliku między nimi.

- Wiesz, on wróci po ciebie - powiedziała, żeby dodać jej otuchy.

- Czy to aż tak po mnie widać? - spytała Beth.

- Zupełnie jakbyś miała to wypisane na czole, kochanie. Ale on do ciebie pasuje. Ja to wiem. Mam nosa do takich rzeczy. Z zawodu jestem wróżką.

- Naprawdę? - Beth zastrygła uszami. - Czyli że potrafiłaby pani przepowiedzieć mi przyszłość? - Nagle coś jej przyszło do głowy. - Ale ja nie mam pieniędzy - dodała nieśmiało.

Ubrana na ciemno kobieta uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Wyciągnij rękę. Powrócę ci z dłoni.

- Dobrze.

Beth odstawiła kubek na stolik w taki sposób, by John Denver mierzył się wzrokiem z Valem Doonicanem. Następnie wyciągnęła rękę, żeby Annabel mogła ją obejrzeć.

Na dworze rozpadało się jeszcze bardziej, bębniący w blaszany dach deszcz powodował nieziemski harmider. Przyczepa nie miała chyba elektryczności, bo jedynym źródłem światła były świece ustawione na biegnącej dookoła ścian półce, migoczące

niesamowitym zielonym płomieniem. Jedyne okno znajdowało się tuż za głową Beth i co pewien czas błyskawice na dworze oświetlały bladą, pokrytą brodawkami twarz Annabel. Jeden z tych błysków nastąpił akurat w chwili, gdy wróżka oburącz ujęła dłoń dziewczyny i obdarzyła ją szczerbatym uśmiechem.

- Beth, kochanie, wyczuwam, że czekają cię wielkie rzeczy - powiedziała po dłuższej chwili.

- Naprawdę? Na przykład jakie?

Annabel obrzuciła ją wzrokiem od stóp do głów i pokiwała głową.

- Tak, no tak, przebyłaś długą drogę, żeby się tu znaleźć. Ty nie pochodzisz z Santa Mondega, mam rację?

- Owszem, zgadza się. Ojciec przeniósł się tutaj kilka tygodni po tym, jak się urodziłam.

- Zdaje mi się, że z Kansas.

- Prawdę mówiąc, to z Delaware.

- Cicho, sza. Nie przerywaj mi, chyba że chcesz przytaknąć. Bo nie będę się mogła skoncentrować.

- Przepraszam.

- A więc tak - ciągnęła Annabel. - Tęsknisz za domem, prawda? I chcesz tam wrócić, tyle że nie wiesz jak.

Beth zmarszczyła czoło. Ta kobieta chyba nie mówi serio? Z tego, że jestem przebrana za Dorożkę z *Czarnoksiężnika z Oz*, wcale nie wynika, że pochodzę z Kansas i uważam, że nie ma to jak dom. Poczula ulgę na myśl, że to się wkrótce skończy i że JD po nią wróci. Szczerze mówiąc, ta starucha, która przepowiadała jej przyszłość, to chyba jakiś żart. Mało tego, wydawała się na tyle głupia, by sądzić, że Beth nigdy nie widziała *Czarnoksiężnika z Oz*. A jednak dziewczyna jej nie przerywała.

- Ten twój przyjaciel, on też czegoś szuka. Jego droga dobiegnie końca, kiedy odnajdzie swą duszę.

Beth uniosła brew.

- Chyba miała pani na myśli mózg?

- Słucham?

- Strach na wróble z *Czarnoksiężnika z Oz* chciał mieć mózg.

- Co to takiego ten *Czarnoksiężnik z Oz*?

- Pani żartuje? - Zaskoczona Beth ze zdumienia zapomniała o właściwym jej dobrym

wychowaniu.

Annabel cofnęła się i oparła w fotelu; wydawała się z lekka obrażona.

- Chcesz, żebym ci przepowiedziała przyszłość, czy nie?

- Przepraszam panią. Proszę mówić dalej.

- Dziękuję. - W głosie wróżki wyczuwało się nutę podejrzliwości. Nie nawykła do tego, żeby ktoś stawiał jej się równie bezceremonialnie. - W twoim przypadku, kochanie, nieważne, jaką drogę obierzesz, i tak zawiedzie cię w to samo miejsce. Bo wszystkie drogi prowadzą do tego, co uważasz za swój dom. W świetle bezsennego księżyca ten chłopak zawsze będzie z tobą.

Beth uniosła brew. Baba postradała rozum, pomyślała. Ta stara nietoperzyca ma kompletnego fioła.

- A co to konkretnie oznacza? - spytała, nie mogąc się doczekać, kiedy ta błazenada wreszcie się skończy.

Odziana na czarno kobieta, zamiast odpowiedzieć, podskoczyła nieco, jak gdyby ktoś dźgnął ją szpilką w zadek.

- Ktoś jest przed drzwiami - syknęła.

- Proszę?

Zanim Annabel zdążyła się odezwać, dobiegło głośnie pukanie do drzwi przyczepy.

- To po ciebie, Beth - powiedziała wróżka spokojnie.

- Słucham?

- Moim zdaniem wygląda na to, że ta niegodziwa wiedźma cię znalazła. Powinnaś otworzyć.

Beth poczuła nagły przyływ strachu.

- Jest tu moja macocha?

Annabel kiwnęła głową.

- Przyszła, żeby cię zabrać do domu.

- Och, nie. Obiecałam JD, że na niego zaczekam. Czy możemy udawać, że mnie tu nie ma?

Poprzez bębnienie deszczu doleciały trzy kolejne gromkie uderzenia, gdy ktoś zabębnił pięścią w drzwi. A potem Beth usłyszała głos, który zawsze mroził jej krew w żyłach.

- Beth! Jak mi Bóg miły, wiem, że tam jesteś! Widziałam cię przez okno. Wracasz ze mną do domu, ale już! Poczekaj, niech ja cię tylko dostanę w swoje ręce, ty mała zdiro...

Beth wstała i podeszła do drzwi, szykując się na psychiczny i fizyczny atak ze strony

wzburzonej macochy.

Kiedy sięgała do klamki, co niewątpliwie zapoczątkowałyby grad obelg, Annabel spokojnie przekazała jej ostatnią uwagę.

- Beth, masz krew na rękach.

Nawet jak na wróżkę było to dziwne stwierdzenie, ale wywołało pożądaną reakcję. Beth spojrzała na swoje dłonie. Ani śladu krwi! Wobec tego odwróciła ręce na drugą stronę. Nadal nie widziała ani kropelki! Ze zdziwieniem obejrzała się na tę dziwną, szpetną kobietę.

- Nie widzę żadnej krwi - powiedziała.

- Ale zobaczysz, kochanie, zobaczysz. Jeszcze jak.

Rozdział dziewiąty

JD i Casper brnęli w ulewnym deszczu przez dwadzieścia minut, zanim w końcu dotarli do domu. Wynajęta kwatery, mała chałupka w szeregu hałaśliwych jednopiętrowych domków, w której mieszkali wraz z matką, leżała w dzielnicy czerwonych świateł Santa Mondegga. Były po temu dwa powody. Po pierwsze, na nic lepszego nie było ich stać. Po drugie zaś, ich matka była dziwką. Z zawodu i z reputacji. JD o tym wiedział, ale Casper nie miał zielonego pojęcia. Któregoś dnia zapewne to do niego dotrze i może okaleczy go psychicznie, ale na razie ten dzień wydawał się jeszcze bardzo odległy.

JD nigdy nie okazał matce, że nie pochwała tego, czym ona się zajmuje. W chwili gdy uświadomił sobie, w jaki sposób zarabia na życie, zrozumiał także dlaczego. Nie wybrała sobie takiego zawodu z własnej woli. Była samotną matką usiłującą zarobić na utrzymanie dwóch dorastających synów. JD był jeszcze mały, kiedy jego ojciec uciekł, nawet nie próbując się wytłumaczyć. Sytuacja poprawiła się na krótko, gdy matka zamieszkała z innym facetem, niejakim Russo, który spłodził Caspra, ale niedługo on także się wyniósł. Powrócił do byłej żony, z którą miał pierwsze dziecko - syna imieniem Bull, rówieśnika JD. Do tej pory mieszkali w pobliżu.

Ich drzwi frontowe ukryte były w ciemnym zaułku i żeby się do nich dostać, zazwyczaj musieli przejść obok licznych dziwek, alfonsów i handlarzy narkotyków. Nie bali się tego, bo wszyscy tam wiedzieli, kim są - dziećmi Marii, a niemal każdy, kto szwendał się w tym zaułku, wcześniej czy później pracował z ich matką, za nią, pod nią albo na niej. W sumie jednak byli to całkiem porządni goście. Ale dzisiejszej nocy, w tej wichurze i ulewnym deszczu, nikt tam się nie kręcił, dzięki czemu dotarli do drzwi bez zwyczajowych przystanków na powitania i pogaduszki.

JD przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi na oścież, by Casper mógł wbiec do środka. Ściągnął kaptur swojej nowej szaty, który opadł mu na ramiona, i wszedł za młodszym bratem do domu. Znaleźli się w małym przedsionku, na brudnym czerwonym dywanie, zabłoconym niewątpliwie przez kilku klientów, którzy wpadli tu wcześniej. Żaden z nich nie zwracał jednak uwagi na błoto, bo w domu czekała na nich prawdziwa jatka. Casper natychmiast się zasmucił i zmieszał. JD wystarczył rzut oka dookoła, żeby bezzwłocznie podjąć właściwą decyzję dla dobra młodszego brata.

- Casper, wyjdź na dwór! - warknął ostro, zupełnie nie w swoim stylu.

Ich dom nie był duży i odkrycie kolejnych śladów makabrycznej historii, jaka niedawno się tam wydarzyła, nie zabrało JD wiele czasu, dlatego chciał wyrzucić stamtąd brata jak najszybciej, zanim jego niewinne oczy zobaczą coś, co może przyprawić go o nocne koszmary. W chwili, gdy mówił do Caspra, jego oczy napotykały coraz więcej niepokojących oznak. Casper wydawał się kompletnie oszołomiony.

- Co się dzieje? - zapytał.

JD chwycił młodszego brata za głowę i odwrócił tak, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedział. - Chcę, żebyś pobiegł tą drogą do domu swojego ojca. Jak już tam dotrzesz, powiedz mu, że coś się stało i że musi tu przyjść natychmiast. Ale ty zostań tam z Bullem, zgoda? Nie wracaj, tylko przyślij mi tu swojego ojca. Zdaje się, że ktoś się do nas włamał.

- A co z tobą? - Chłopcu załamał się głos, strach obezwładniał go coraz bardziej.

- O mnie się nie martw, dobra?

Pomogę tu mamie posprzątać.

- A gdzie jest mama?

- Pewnie poszła na policję. Casper! Patrz na mnie!

Dzieciak na chwilę przeniósł wzrok na ścianę za JD. Ale słysząc ostry ton brata, znów spojrzał mu w oczy.

- Czy to... Czy to na ścianie to krew? - zapytał.

- Nie. To pewnie czerwona farba. Włamywacze często malują domy, które okradli, na czerwono, żeby się nie pomylić i już tam nie wracać.

- Chcę zostać z tobą. - Dolna warga Caspra drżała, chłopiec głośno przetykał ślinę.

- Wiem, mały, ale musisz już iść. Wpadnę później po ciebie. Zawsze przychodzę cię odebrać, prawda? Wiem, że stale się spóźniam, ale ostatecznie zawsze się zjawiam, no nie?

Casper się zasmucił.

- Nie zawsze.

- No nic, od dzisiaj już zawsze będę po ciebie przychodził. A teraz śpiesz się. Raz-dwa. Masz biec jak najszybciej i nie oglądać się, zanim nie dotrzesz do domu ojca. Zgoda?

- Zgoda. - Casper przytulił się mocno do JD.

Ten, wiedząc, że brat jest przerażony, też tulił go przez kilka sekund i głaskał po włosach, a potem wypchnął na dwór.

W zbryzganym krwią przedsiönku, pomimo strachu i obaw, JD dziękował Bogu, że Casper zobaczył tylko krew na ścianie, a nie zauważył wampira stojącego w kuchni po lewej i

szcherzącego do nich w złośliwym uśmiechu zakrwawione kły.

Rozdział dziesiąty

- Pożalujesz, że musiałam się tu po ciebie fatygować, przysięgam - syknęła Olivia Jane do Beth, wlokąc ją za długie kasztanowe włosy krętą ścieżką prowadzącą do ich domu na szczycie wzgórza. Beth zwróciła uwagę, że macocha wygląda jak siódme nieszczęście, co w jej przypadku było, oględnie mówiąc, niespotykane. Złożyła to na karb wichury i deszczu, a także tego, że Olivia Jane była wyjątkowo wzburzona.

- Ale mam, poznałam chłopaka - broniła się błagalnym tonem. - Obiecałam, że spotkam się z nim na molu o pierwszej. Czy mogę tam wrócić? Zaraz potem przyjdę do domu.

- Nie waż mi się odszczekiwać, moja panno! Wracasz do domu i koniec. Nie po to wychowywałam cię przez piętnaście lat, żebyś teraz w ostatniej chwili zniweczyła moje plany.

Burza dopilnowała, żeby obie były kompletnie przemoczone i wyczerpane, zanim dotrą do drzwi wejściowych. Niebiesko-biała sukienka Beth kleiła się do niej, mokra od deszczu. Dziewczyna cieszyła się, że nikogo nie ma w pobliżu, bo ubranie stało się niemal przezroczyste i niewiele pozostawiało wyobraźni. Macocha miała na sobie długą czerwoną suknię, której Beth dotychczas nie widziała. I także kleiła się do właścicielki jak druga skóra.

Kiedy dotarli do drzwi frontowych ich kolosalnego domu, Olivia Jane wyjęła z kieszeni sukni wielki klucz, przekreśliła go w zamku i pchnęła drzwi. Wciągnęła za sobą do środka zrozpaczoną, potykającą się córkę i brutalnie przewróciła ją na podłogę. Beth padła twarzą na czerwony dywan i poczuła, że pali ją skóra na nosie i brodzie.

Przetoczyła się na bok i z przerażeniem spostrzegła, że mają gości. Przez wejście do salonu po swojej lewej ręce ujrzała grupę mężczyzn i kobiet w maskach i długich szatach; mężczyźni nosili białe, kobiety - czerwone. Jeden z mężczyzn, w ozdobnej masce w kształcie baraniego łba, przeszedł z salonu do holu i stanął obok Olivii Jane.

- A więc to jest ta dziewczica, którą mamy złożyć w ofierze? - dobiegł spod maski głęboki głos. - Ależ ona ładniutka!

- Już niedługo.

Beth widziała, że macocha porusza ustami, i słyszała jej głos, ale nie wierzyła własnym uszom. Patrzyła, jak człowiek w masce podaje macosze mały złoty sztylet. Olivia

Jane chwyciła go skwapliwie i spojrzała w dół na przerażoną pasierbicę; jej twarz była uosobieniem zła w najczystszej postaci.

- Przez piętnaście lat znosiłam twoje biadolenie - syknęła. - Przez piętnaście lat karmiłam cię, ubierałam, uczyłam, słuchałam twoich głupot. Nadszedł czas, żebyś mi za to zapłaciła, żebyś dowiodła, że jesteś coś warta... i żebyś mogła zająć należne mi miejsce Wielkiej Księżnej. - Zerknęła na stojącego obok człowieka w masce i pozwoliła sobie na uśmiech. On zrewanżował się, łapiąc ją swawolnie za udo.

- No już. Zrób to - ponaglił ją. - Godzina duchów zaraz się skończy.

Jak gdyby na potwierdzenie jego słów rozdzwonił się dzwon kościelnego zegara w położonym poniżej mieście. Ze swojego miejsca na podłodze Beth zobaczyła, jak uśmiech znika z twarzy macochy i powraca ów wyraz zła. Wtedy mężczyzna znów przemówił spod maski.

- Pośpiesz się, Olivio Jane. Musimy ją złożyć w ofierze, zanim dzwon przestanie bić.

Beth patrzyła z przerażeniem, jak przemoczona, zmieniona nie do poznania kobieta rzuca się na nią z wyciągniętym ostrym złotym sztyletem, gotowa odebrać życie pasierbicy.

Rozdział jedenasty

- Coś ty narobił, do kurwy nędzy?! - zapytał ostro JD.

Kione uśmiechnął się tak szeroko, że odsłonił zakrwawione dziąsła, pokazując kawałki chrząstek, które utknęły mu między zębami. Złachane brązowe ubranie miał zbryzgane krwią i kępkami zbitych kłaków, a jeszcze więcej włosów sterczało spomiędzy jego długich pazurów. Oparty o kuchenną ladę, wyglądał na niesłychanie zadowolonego z siebie, co było dokładnym przeciwieństwem tego, jak się czuł po niedawnym spotkaniu z JD.

- Powinieneś mnie zabić, kiedy miałaś okazję - odezwał się, chichocząc. - A teraz patrz, co straciłeś. - Wskazał coś po lewej ręce, w głębi kuchni. JD wiedział, że zobaczy coś makabrycznego, lecz mimo to wszedł do kuchni i zajrzał za framugę, tam, gdzie wskazywał wampir.

Nagle zwymiotował. Zgiął się wpół, gdy gorący płyn podszedł mu do gardła i wytrysnął z ust, ochlapując białe kafelki na kuchennej posadzce.

A Kione wybuchnął śmiechem. Kione rechotał!

Maria, matka JD, leżała w kałuży krwi na podłodze; z ziejącej rany na jej szyi w zastraszającym tempie tryskała posoka. Jeszcze żyła, lecz wpatrywała się w sufit, najwyraźniej pogrążona w szoku, a jej usta poruszały się słabo, gdy usiłowała zaczerpnąć powietrza. Biała bluzka była przesiąknięta czymś w kolorze czerwonego wina, a krótka spódniczka zadarta powyżej talii. Było aż nadto oczywiste, że zboczona kreatura zgwałciła ją w jej własnej kuchni na wszelkie możliwe sposoby. JD nie miał ochoty poznać szczegółów, zdawał sobie jednak sprawę, że bestia zadała jego matce nieopisany ból oraz cierpienia fizyczne, seksualne i psychiczne. Obrażenia fizyczne dowodziły tego ponad wszelką wątpliwość, a wyraz jej twarzy miał go prześladować już zawsze, wryty w jego pamięci niczym słowa w kamieniu. Zareagował odruchowo i podbiegł do niej z boku. Tego właśnie spodziewał się Kione - w mgnieniu oka cisnął nim do tyłu, na szafki pod ścianą za swoimi plecami, i przycisnął go do nich, nie pozwalając mu dotknąć matki.

- No i widzisz, coś na tym zyskał? - syknął wampir. - Chciałeś mi dopierdolić, to ja wypierdoliłem twoją matkę! A jak już skończę z tobą i z tym kurwiszonym, to na deser zostanie mi twój popieprzony braciszek. I jak ci się to podoba, ty... strachu na wróble?

Wampir ścisnął długimi kościstymi palcami szyję chłopaka, pozbawiając go tchu.

Drugą ręką przyszpilił lewe ramię JD do blatu kuchennego, żeby nie mógł go odepchnąć. JD gorączkowo macał za plecami prawą ręką, licząc na to, że na wbijającym mu się w krzyż kredensie znajdzie jakąś broń. Macał na oślep, szukając noży, których Maria jakże często używała do przygotowywania posiłków. Ale niełatwo było je znaleźć, bo matka chłopców pilnowała, żeby Casper nie mógł się do nich dostać i zrobić sobie krzywdy.

Kione ścisnął mocniej, coraz mocniej, ze złośliwą satysfakcją patrząc, jak krew odpływa z twarzy jego przeciwnika. Nagle pochylił się, spragniony kęsa białego ciała z szyi JD.

Gdy wampir rozwarł szczęki jak najszerzej, by wpić się w jedną z pulsujących żył, zniemacka poczuł przejmujący ból. Straszliwy ból nie był dla Kione niczym nowym, ale czegoś takiego jak w tej chwili jeszcze nie doświadczył. Oszołomiony, wrzasnął z bólu i zaskoczenia. JD prawą ręką złapał ostry nóż kuchenny, ukryty za zardzewiałym starym chromowanym opiekaczem do grzanek. Jednym gwałtownym ruchem udało mu się dźgnąć Kione głęboko w lewe oko. Dokładnie w źrenicę! Krew trysnęła we wszystkie strony, po czym rozległo się odrażające mlaśnięcie - JD podważył nóż i wydlubał lewą gałkę oczną wampira z oczodołu. Trzymała się teraz mocno na czubku noża, ze zwisającym krótkim fragmentem odciętego nerwu wzrokowego.

Cierpiący katusze wampir puścił gardło JD i zatoczył się do tyłu. Był w czarnej rozpacz, na jego twarzy malowała się udręka i skrajne przerażenie. Jego nogi przypominały teraz nogi noworodka żyrafy próbującego stawiać pierwsze kroki, uginały się z wysiłku pod ciężarem ciała. Kione znów wrzasnął głośno, niczym rozpaskudzony bachor, któremu odebrano ulubioną zabawkę. Jedną rękę przyciskał do ziejącej dziury, w której jeszcze przed chwilą było jego oko, bezskutecznie usiłując powstrzymać potok krwi, która przeciekała między palcami.

JD nie był w stanie od razu wykorzystać kłopotliwego położenia krwiopijcy, ponieważ zgięty wpół, rozpaczliwie usiłował zaczerpnąć tchu. Zasysał silnie kilka razy, zanim jego tchawica otworzyła się na tyle, by wielki haust powietrza wypełnił mu płuca. Wyprostował się, obrzucił Kione przeciągłym spojrzeniem i zerknął na nóż w ręku. Nie miał czasu na obmyślenie skomplikowanego planu, ale zadziałał instynkt. Chwycił gałkę oczną, zerwał ją z czubka noża i rzucił na podłogę. Zanim zdążyła się odbić i odturlać, przydeptał ją, wgniatając w kafelki. Następnie, trzymając nóż nisko przed sobą, przygotował się na nowy atak ze strony wampira, który darł się histerycznie i miotał wściekle dookoła, rozbijając i przewracając wszystko, co nie było przyśrubowane.

Szesnastolatek jak dotąd nie miał do czynienia z taką sytuacją. Nigdy nie chwycił za

nóż we wrogich zamiarach. Nigdy nikogo nie dźgnął. Nigdy nikomu nie wydłubał oka i nie rozgniótł go na podłodze. Ale też nigdy dotąd w jego własnym domu nie zaatakował go wampir, który dopiero co zgwałcił mu matkę i wyrwał z niej zębami wielkie płaty mięsa.

Kione odwrócił się do niego, szykując się do kolejnego ataku, chociaż wyraźnie stracił ducha do walki. Ten sakramencki gówniarz już dwa razy go pokonał, więc szybko tracił pewność siebie. Natomiast JD cisnął w niego nożem tak, jak to robią cyrkowcy. Trzymając za czubek ostrza, uniósł rękę powyżej barku i rzucił nóż trzonkiem do przodu. Ten przekoziółkował w powietrzu zaledwie raz, po czym wbił się w drugie oko wampira. I znów trysnęła krew, a Kione zawył piskliwie z wściekłości, strachu i rozpacz, gdy jego świat w jednej chwili spowiła kompletna ciemność. Po chwili poczuł, że pada na wznak i wali głową w posadzkę kuchni, a chłopak natychmiast przygniata kolaniem jego pierś, by nie mógł się dźwignąć na nogi. I wreszcie ogarnęło go niezdrowe podniecenie, któremu towarzyszyło paskudne mlaśnięcie, dowodzące, że jego prawe oko także zostało wyłupione z oczodołu.

Na koniec przelotnie odczuł jeszcze jedno - wściekły cios w głowę, po którym stracił przytomność. Było to coś, do czego z czasem miał przywyknąć.

Rozdział dwunasty

Ujarmiona na czerwonym dywanie w holu wejściowym Beth gwałtownie uniosła rękę w odruchu samoobrony, odwracając głowę i zamykając oczy. Dzwon na wieży kościelnej w mieście poniżej nadal dzwonił, jego dźwięk niósł się ponad wyciem wichury i grzmotem deszczu. Dziewczyna, która przeżyła tego wieczoru taką huśtawkę, znów znalazła się na pochylni. Wrzasnęła głośno, czując, jak złoty sztylet przecina miękką skórę na jej prawym policzku i wbija się tak głęboko, że czubek ostrza podrapał od środka jej zęby. Sztylet przeciął jej twarz na długości ośmiu centymetrów i niemal dotarł do kącika ust, zanim go wyciągnięto. Otworzyła oczy, lecz były zalane łzami bólu, nie była więc w stanie dostrzec, co się dzieje ze sztyletem. Rozpaczliwie wymachiwała rękami, w nadziei, że złapie rękę macochy, zanim ta znowu pchnie ją nożem.

Zobaczyła błysk połyskującego złota, gdy sztylet ponownie się na nią zamierzył, i odruchowo uniosła prawą rękę, żeby odparować cios. Jednocześnie, całkiem przypadkowo, udało jej się chwycić czerwoną szatę, w którą ubrana była macocha. Szarpnęła ją z całej siły i poczuła, że tamta traci równowagę. Olivia Jane padła plackiem na przerażoną pasierbicę i szamotanina dobiegła końca.

Kościelny dzwon przestał bić i przez chwilę słychać było jedynie bębnienie deszczu na dworze. W końcu przywódca, wysoki mężczyzna w masce przedstawiającej barani łeb, przemówił w imieniu członków sekty, którzy zebrali się w holu za jego plecami, żeby obserwować składanie dziewczęcia w ofierze.

- Olivia Jane? - odezwał się uroczyście w nagłej ciszy. - Czy nic ci się nie stało?

Przemoczona Olivia Jane Lansbury powoli stoczyła się z ciała pasierbicy i zległa na wznak na czerwonym dywanie. Więcej już się nie poruszyła. Z boku jej szyi sterczał złoty sztylet, a krew spływała po jej barku na włosy. Leżąc obok niej Beth, ogarnięta panicznym strachem i z twarzą usmarowaną krwią, patrzyła na zamaskowanych czcicieli diabła okupujących jej dom. Rzut oka w bok, na postać zakrwawionej, umierającej macochy, przeważył szalę. Z szybkością wynikającą z czystego strachu zerwała się na nogi i wybiegła przez frontowe drzwi, które przez cały czas były lekko uchylone. Znowu uciekła na deszcz, usmarowana krwią macochy i swoją, płynącą z przerażającej rany na jej twarzy. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej dostać się na molo i znaleźć ukojenie w ramionach JD,

jedynego człowieka na świecie, któremu, jak sądziła, mogła zaufać.

Człowiek w białej szacie, który wręczył złoty sztylet Olivii Jane, zrobił kilka kroków, wyrzwał za drzwi i patrzył, jak zrozpaczona młoda dziewczyna zbiega ze wzgórza nad morze. Zdjął maskę i zmiażdżył ją w dłoniach. Kiedy odwrócił się do pozostałych dwunastu członków sekty, jego wyraziste rysy mężczyzny w średnim wieku zdradzały skrajną irytację.

- No cóż, moi drodzy, do roboty, sprzątnijcie ten bajzel - polecił niedopuszczającym sprzeciwu głosem. - Ja muszę iść i aresztować tę dziewczynę.

Rozdział trzynasty

W zlanej krwią, zarzyganej kuchni JD pochylił się, by sprawdzić, co z matką, która leżała na podłodze jak pognieciona i połamana lalka. Obfitość krwi pokrywającej jej ciało była nadzwyczaj niepokojąca, ale odsunął myśli na ten temat. Przykucnął, uniósł matkę do pozycji siedzącej i oparł o jedną z niższych szafek. Odgarnął długie, ciemne, zakrwawione włosy z oczu matki, delikatnie odrywając kosmyki, które krzepnąca krew przylepiła do twarzy. Kiedy na niego spojrzała, jej wzrok zdradzał przejmujący szok i ból. Wiedział, że jest niedobrze - dobitnie świadczyła o tym krew i ziejąca rana na jej szyi - co jeszcze bardziej potwierdzały rozszerzone źrenice i płytki, urywany oddech. W normalnej sytuacji matka nigdy nie okazywała bólu, czy to fizycznego, czy emocjonalnego, ale tej udręki nie potrafiła ukryć. Tyle że teraz umierała i wiedziała o tym, a JD powoli uświadamiał to sobie i próbował się z tym jakoś pogodzić. Nie potrafił znaleźć sensownych czy pocieszających słów. Nie miał też czasu na kombinowanie, co w takiej sytuacji wypada powiedzieć - otepiał mózg się wyłączył i przeszedł na autopilota.

- Nie umieraj, mammo. Proszę cię, nie umieraj. Co teraz pocznę? Co będzie z Casprem?
- Głos JD się załamał. Po raz ostatni zwracał się do matki, jedynej osoby na świecie, która konsekwentnie przy nim trwała. Wiedział jednak, że nie powinien teraz myśleć o sobie. Kobieta umierała i w tych ostatnich chwilach potrzebowała pociechy.

Spojrzała na niego, wciąż walcząc o złapanie tchu. Było jasne, że ledwie go widzi i raczej nie poznaje. Ale głos JD dodał jej otuchy w tych ostatnich chwilach.

- Synu - wysapała. - Zabij mnie!
- Jesteś w szoku - wymamrotał JD, głaszcząc jej włosy. - Wezwę karetkę.
- Już za późno. Zabij mnie!
- Mammo, nic takiego nie zro...
- ZABIJ MNIE! - W jej głosie zabrzmiał nagle zupełnie inny ton. To nie była prośba, tylko rozkaz. A wypowiedziała to głosem wampira. Jednego z żywych trupów. Bo właśnie tym się stawała. Jej źrenice zwęziły się, gdy rzuciła się na roztrzęsionego syna, ukazując sterczące zza warg nowe śnieżnobiałe kły.

Zaskoczony JD odskoczył do tyłu i wylądował na zadku.

- Co jest, do kurwy nędzy?

- ZABIJ MNIE! - syknęła znów matka. Ciałem i duszą należała teraz do żywych trupów, ale w sercu, przynajmniej jeszcze przez krótką chwilę, miała swojego syna.

- Nie wygłupiaj się, nie mogę cię zabić.

- Jeżeli... nie... zabijesz... mnie... natychmiast... - wysapała - stanę się jedną z nich! - Wskazała na nieprzytomnego Kione, leżącego bezwładnie z drugiej strony kuchni. Jej głos nabrał siły. - Wcieleniem zła. Zabiję cię... i twojego brata także. Nie zmuszaj mnie do tego. Zabij mnie, proszę. Szybko, zanim będzie za późno.

JD pozbierał się na nogi i pokręcił głową.

- Nie mogę. To obłąd. Nie potrafię cię zabić. Jesteś moją matką, na litość bos...

Nagle Maria z zaskakującą szybkością zerwała się z podłogi i rzuciła na niego, celując kłami w miękkie ciało na jego szyi. Znakomity refleks pozwolił mu odeprzeć atak, chociaż nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Zebrał wszystkie siły i cisnął matką o szafki nad zlewem za sobą. Uderzyła głową w drzwiczki i zwała się jak kłoda u jego stóp.

- Boże, mamó, wybacz mi. Nie chciałem. - Przykucnął i uniósł jej głowę z podłogi. - Czy nic ci...? Ożeż kurwa! Nie. NIE!

Świadomość, że matka nie żyje, spadła na niego z siłą kafara. Jej twarz była właściwie nie do rozpoznania. Na powierzchnię bladej skóry wypełzły oślizłe niebieskie żyły, jej oczy pociemniały, a spiczaste zęby były ostre jak brzytwa. JD przeszedł zimny dreszcz i puścił głowę matki. Znów poczuł ogarniającą go falę mdłości i zakrył usta, żeby nie zwymiotować - chociaż i tak nie miał czym, bo jego żołądek był całkiem pusty.

Przez dłuższą chwilę gapił się na ciało czegoś, co kiedyś było jego matką, i znowu przełączył się na autopilota. Zablokuj umysł, powtarzał sobie. Nie myśl o tym, co powinienesz zrobić. Po prostu zrób to. Musisz to zrobić i świetnie o tym wiesz.

Poruszając się jak w transie, wyszedł z kuchni i ruszył schodami na górę, do sypialni matki. W szufladzie nocnej szafki obok łóżka trzymała rewolwer, na wypadek gdyby któryś z jej klientów postanowił przekroczyć - przynajmniej, że dość liberalne - granice przyzwoitości, jakich od nich wymagała. Bywało, że poza stałymi klientami trafiali się tacy, co w trakcie seksu przejawiali nadmierną brutalność albo po nieudanym (tylko i wyłącznie z ich winy) spotkaniu domagali się zwrotu pieniędzy. Kilkakrotnie zmuszona była sięgnąć po broń, acz nigdy nie wystrzeliła.

JD wszedł do sypialni. Poczł odrażający fetor i mdłości na widok zakrwawionej pościeli na łóżku zajmującym środek pokoju. Przed oczami przemknęła mu wizja matki umierającej w męczarniach z ręki Kione w tym pomieszczeniu, więc szybko oderwał wzrok od łóżka i podszedł do małej drewnianej szafki nocnej. Wysunął górną szufladę, odsunął na

bok nieco bielizny i ujrzał należący do matki błyszczący srebrny rewolwer. Ponieważ nigdy nie musiała z niego wystrzelić, wciąż lśnił jak nowy. Chłopak odetchnął głęboko, wziął broń i obejrzał ją dokładnie, wysuwając bębenek i sprawdzając, czy jest naładowany. Kul było sześć. Posłużę się tym rewolwerem, żeby zabić matkę, pomyślał.

Już sama ta myśl była potworna. Chciał rzygnąć, ale nie miał czym. Żołądek miał pusty, a wnętrzności skurczone. Nie dam rady! Nagle zauważył coś na blacie szafki.

Butelkę bourbona!

Wcisnął bębenek z powrotem, odłożył broń na łóżko obok kałuży zasychającej krwi i podniósł butelkę. Była pełna, nienaruszona. Wlepił twardy wzrok w gładki, przezroczysty, złoto-brązowy płyn w środku. Czy to świństwo rzeczywiście pozbawi go skrupułów przed tym, co miał do zrobienia? W końcu to tylko bourbon. Zwyczajny alkohol, chociaż dający niezłego kopa. Czy podsunie mu właściwe rozwiązanie? Albo doda siły? Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Zakrętka trzymała się mocno, a jego ręce dygotały tak bardzo, że musiał się z nią niezłe namocować. W końcu, zbierając resztki sił z ciała, które wydawało mu się puste, odkręcił ją i upuścił na podłogę.

- Boże, wybac mi to, co za chwilę zrobię - szepnął, unosząc butelkę wysoko, jak gdyby przemawiał do Pana. Przyłożył szyjkę do ust i pociągnął z gwinta pierwszy łyk. Bourbon smakował paskudnie.

Łyknął raz jeszcze. W żołądku wciąż miał gulę i z trudem powstrzymał się przed zwróceniem tego, co wypił. Jest na to tylko jedna rada, pomyślał. Golnij sobie więcej.

I tak też zrobił. A chociaż każdy łyk smakował mniej obrzydliwie niż poprzedni, wciąż jeszcze nie był gotów sięgnąć po rewolwer i wrócić na dół.

Pił więc dalej.

Wkrótce mdłości ustąpiły i kontrolę nad JD przejęła adrenalina. Stopniowo alkohol ukoił mu nerwy. JD poczuł, jak wypełnia pustkę w jego ciele. Z żołądka zaczęło promieniować nowe doznanie, wściekły szal, gdy zaczęło do niego w pełni docierać to, co się stało, a także co musi teraz zrobić. Autopilot się wyłączył, w przeciwieństwie do chłopaka. Ogarnęła go nowa żądza. Łaknienie krwi! Ale nie takie, jakie odczuwa wampir - nie było to pragnienie zabijania dla jedzenia ani dla sportu. Teraz pragnął zabijać, by czuć, że żyje.

Ani się obejrzał, a w butelce zostało bourbona już tylko na jeden ostatni, solidny łyk. Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem, odetchnął głęboko i wlał resztkę do gardła. Teraz już całkiem zaślepiła go żądza krwi. Wyprostował się, jego usta ułożyły się w szyderczy grymas. Wydał pierś i spojrzął na rewolwer, który odłożył na łóżko. A gdy tak na niego patrzył, przed

oczami znów mignęły mu przebłyski makabry, do jakiej doszło w tym pokoju, co jeszcze bardziej zwiększyło napływ adrenaliny. Ni stąd, ni zowąd widział pokój jak przez mgłę, a i broń była niewyraźna. Lepiej uporaj się z tym, zanim będzie za późno, pomyślał.

Z całej siły cisnął butelką bourbona o ścianę; rozbiła się w drobny mak, zasypując wszystko odłamkami szkła. Towarzyszył temu huk, który mógłby obudzić zmarłego, tym razem jednak obudził żywego trupa. Chłopak usłyszał, że jeden z dwóch wampirów poruszył się w kuchni na dole. Po raz ostatni odetchnął głęboko, wziął rewolwer i wyszedł z sypialni na schody.

Zszedłszy na parter, zobaczył w rogu kuchni bezwładne ciało nadal nieprzytomnego Kione. Wampir leżał oparty o szafki pod zlewem, obojętnie gapiąc się na JD pustymi oczodołami, w których niedawno miał oczy. Był zamroczony. Śmierć nie zawładnęła jeszcze bestią, z której ust wydobywały się małe obłoczki pary, gdy powietrze uchodziło z poturbowanych płuc.

W drugim kącie kuchni, poza zasięgiem wzroku JD, urzędowała wampirzyca, która niegdyś była jego matką. Wstała i rozglądała się za czymś do jedzenia. JD z trudem rozpoznał tę kobietę, kiedy przeszła powoli nad Kione i pojawiła się w jego polu widzenia. Twarz wciąż miała pokrytą skorupą krwi, pod którą pulsowały niebieskie żyły. Maria po raz pierwszy pragnęła zakosztować ludzkiej krwi. Widząc w JD jedynie potencjalną ofiarę, obdarzyła go szerokim, złaknionym krwi uśmiechem i rzuciła się na niego. W jej oszalałych oczach malowała się żądza jego krwi.

Stojąc u podnóża schodów, JD usiłował zapanować nad swoim opilstwem, chociaż w środku nadal paliła go ślepa furia. Powoli uniósł prawą rękę i wycelował rewolwer w nacierającą wampirzycę. Jego dłoń dygotała niepohamowanie, a nogi, które zniosły go po schodach na dół, zmieniły się w galaretę. Już samo wycelowanie broni kosztowało go mnóstwo wysiłku, ale gdy nadeszła ostatnia szansa na strzał, skorzystał z niej. W ostatniej chwili, zanim potwór dobrał się do niego, zamknął oczy i nacisnął spust.

PIF!

Huk wystrzału zatrzęsł całym domem. Był o wiele głośniejszy, niż chłopak sobie wyobrażał, w dodatku odbijał się echem, jakby nigdy nie zamierzał ucichnąć. Kilka sekund później, gdy dźwięk nieco zelżał i jedynie dzwonił mu w uszach, JD otworzył oczy. Ciało matki leżało na wznak w progu kuchni, a z ziejącej dziury w jej piersi, w miejscu, gdzie trafiła ją kula, wznosiły się w górę kłęby dymu. Serce Marii zostało rozerwane na strzępy. Dym rozwiał się znad jej ciała, które zmieniło się w nicość, a wraz z nim uleciała także dusza.

Ręka JD już się nie trzęsła, trzymał rewolwer pewnie i po raz pierwszy poczuł na

twarzą tę wilgoć, tam, gdzie zbryzgała go krew matki, gdy kula przeszła jej ciało. Maria leżała przed nim, martwa. Straciła duszę, ale przy okazji on także stracił swoją. Jakimś cudem kuchenne okno stało się otworem i obie ich dusze uleciały przez nie, rozplywając się w mroku nocy.

Chłopak zrobił dwa kroki w stronę trupa i przyjrzał mu się przez chwilę. W zakrwawionej twarzy nie dawało się rozpoznać poczerwiałych oczu. To już nie była jego matka, on zaś nie był już JD, niewinnym, skorym do żartów chłopcem, który dopiero co zakochał się w Beth. Niewzruszoną ręką wycelował błyszczący srebrny rewolwer w martwe ciało i wystrzelił pozostałe kule w jego twarz i pierś, trafiając w cel z precyzją zadziwiającą jak na takiego młokosa, w dodatku pijanego.

Opróżniwszy bębenek rewolweru, wsadził broń za pasek spodni na plecach i naciągnął na głowę kaptur szaty. Kione udzielił mu cennej nauki. Jeśli masz okazję kogoś zabić, nigdy z niej nie rezygnuj, bo ów ktoś może powrócić i cię ugryźć. Najpierw zabijaj, martw się potem.

Gniew JD narastał, gdy patrzył, jak rozkładające się ciało matki na podłodze zamienia się w proch. Gdyby mężczyźni życia Marii nie opuścili jej, najprawdopodobniej nigdy by do tego nie doszło. A teraz musiał pójść do domu jednego z tych ludzi i wytłumaczyć młodszemu bratu, że nigdy więcej nie zobaczy matki. To nie w porządku. Dobrych ludzi spotykały złe rzeczy, a tak być nie powinno. Ani on, ani Casper na to nie zasłużyli.

Czuł, że ból rozdziera mu serce. Na razie koł go nieco napływ adrenaliny, spowodowany tym, że teraz to on zada cierpienie innym.

Rozdział czternasty

Bull był w parszywym nastroju. Nawet w najlepsze dni nie miał zbyt wiele wyrozumiałości dla młodszego brata przyrodniego. Casper był tępy i na ciekawą rozmowę z nim nie miał co liczyć, co najwyżej na szczeniackie uwagi. Jasne, rozumiał, że mały ma nie po kolei w głowie. W głębi duszy było mu go żal, ale w takich chwilach jak teraz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gówniarz ma, na co zasłużył.

Matka i ojciec Bulla rozstali się na krótko przed wielu laty, a potem jego tata, Russo, przez pewien czas zadawał się z dziwką. Ta dziwka zaszła w ciążę i stąd wziął się Casper. Opóźniony umysłowo bękart kurwy. Ojciec Bulla od początku podejrzewał, że ta dziwka Maria wrobiła go w bachora, więc rzucił ją zaraz po narodzinach dziecka. Na jego nieszczęście prawo stanęło po stronie Marii i po przeprowadzeniu testów na ustalenie ojcostwa stanęło na tym, że co tydzień musiał jej płacić alimenty, a czasami nawet przychodzić i pod jej nieobecność zajmować się tą pomyłką, której dano na imię Casper.

A teraz właśnie nadeszła jedna z takich chwil. Ani Russo, ani jego piętnastoletni syn Bull nie mieli cierpliwości do Caspra, do jego nadmiernego podniecenia i przejawów nadpobudliwości. Siedzieli w salonie przed rozpalonym kominkiem i grali w szachy. Mieli na sobie identyczne niebieskie piżamy i szkarłatne szlafroki, by w każdej chwili udać się do łóżka, a zatem nie mieli ochoty na niezapowiedziane wizyty, bez względu na to, kto by się zjawił. A zwłaszcza na wizytę tak męczącego osobnika jak Casper.

Tymczasem szczeniak siedział teraz tutaj, w ich własnym domu, i bredził coś, że musi u nich zostać, dopóki nie odbierze go starszy brat, JD. Gadał jeszcze bardziej bez sensu niż zwykle. Zarówno Russo, jak i Bull byli przekonani, że ma to związek z JD, którym obaj gardzili w tym samym stopniu. Temu rozrabiacie brakowało dyscypliny, stale łamał prawo, ale zawsze uchodziło mu to na sucho, a w dodatku był z niego kawał twardziela. Niezliczoną ilość razy mocował się z Bullem na rękę i zawsze wygrywał, co Bulla wkurzało jak jasny gwint, bo jak na swój wiek był nadzwyczaj silny i z nikim innym nigdy nie przegrał. JD miał lekką przewagę, jako że był o rok starszy, ale pewnego dnia miało się to zmienić, a kiedy już ten dzień nadejdzie, Bull zatriumfuje, czy to w siłowaniu się na rękę, czy w inny sposób. Prędzej czy później ten dzień nastąpi. Bez dwóch zdań.

Casper dotarł kompletnie przemoczony. Przedzierał się do nich przez burzę, a teraz ta

roztrzęsiona, rozdygotana kupka nieszczęścia głądziła coś o wampirach, czerwonych ścianach, Elvisie i księdzu uzbrojonym w obrzyn. Knypel bredził, jak zwykle.

Po jakichś dwudziestu minutach Russo i Bull wspólnymi siłami zdołali uspokoić chłopca i posadzić go na dywanie przed kominkiem. Siedział więc tam, w przemoczonych dżinsach i zielonym swetrze. Rękami kurczowo obejmował kolana, przyciskając je do piersi. Trząsał się - albo z zimna, albo ze strachu przed czymś. A może z obu tych powodów naraz.

Russo spojrział na Bulla, który na propozycję, żeby zajrzał do JD w domu Marii, stanowczo odmówił. Jego syn był przystojną młodszą wersją ojca, tyle że miał więcej włosów i bielsze zęby.

- I co ty na to? - zapytał.

- Mały to pacan. Po mojemu JD miał się nim opiekować, ale mu się zachciało gdzieś wyskoczyć, no to go nam tu przysłał. Kawał fiuta.

- Mnie też się widzi, że masz rację. Ta suka Maria pewnie leży na plecach i zarabia na dupie, a JD kradnie teraz samochody. A nam zwalili na głowę tego pieprzonego jełopa. - Russo był tak zirytowany, że nawet nie starał się ukryć faktu, że Casper nic dla niego nie znaczy.

Bull zgadzał się z ojcem.

- Nie pojmuję, dlaczego go stąd normalnie nie wykopiesz. Ona twierdzi, że jest twój, ale bez jaj... każdy mógł jej go zrobić. Weź tylko popatrz na tego małego fiutka. Nic a nic do ciebie niepodobny. Taki mięczak nie może być jednym z nas.

W tym momencie ktoś głośno zastukał do tylnych drzwi. Bull pokazał ojcu ręką, żeby nie wstawał z fotela.

- Otworzę - powiedział z westchnieniem.

Wyszedł z pokoju do kuchni, po drodze poprawiając portki od pizamy, które wpiły mu się w tyłek. Tylnie drzwi były z drugiej strony kuchni. Bull przez szybę zobaczył ciemną, zakapturzoną postać na dworze.

- Kto tam? - zawołał przez drzwi.

- Russo w domu? - dobiegł z zewnątrz ochrypły głos.

- A kto pyta?

- Wpuść mnie.

- JD? To ty?

- Weź, kurwa, otwórz te drzwi!

Bull w zasadzie rozpoznał głos JD, chociaż brzmiał zupełnie inaczej, miał w sobie nieznaną mu dotąd chropawość i nie wydawał się zbyt przyjazny. Przekręcił jednak klucz w

zamku i otworzył drzwi.

- Russo w domu? - zapytał głos spod ciemnego kaptura.

- Przyszedłeś odebrać brata? On nas doprowadza do białej gorączki! Bajdurzy coś jak dwulatek. - Bull urwał i pociągnął nosem, gdy JD mijał go szybko, wchodząc do kuchni. - Jezu, facet, czyś ty coś pił? Śmierdzisz jak gorzelnia!

JD zignorował go i przeszedł do salonu, gdzie zobaczył, że jego młodszy brat siedzi przed kominkiem i suszy ubranie. Casper po raz pierwszy nie zwrócił na niego uwagi, pograżony we własnych myślach. Russo siedział w fotelu po drugiej stronie małego i wyglądał, jakby był wkurzony nie na żarty. JD miał to gdzieś.

- Russo, musisz mi wyświadczyć przysługę. - Nie zabrzmiało to jak prośba. Zabrzmiało jak rozkaz.

Russo wstał z fotela i naprężył muskularne ciało, na wypadek gdyby miało dojść do konfrontacji. Jak na mężczyznę po czterdziestce był w całkiem niezłej formie. Jedyne rzednące włosy zdradzały jego wiek. Gdy ruszył ku JD, z każdego jego ruchu przebijała agresja. Mowa ciała mówiła wiele - że nie był w nastroju do wysłuchiwanie głupot od kogokolwiek i że natychmiast wyczuł zapach alkoholu w oddechu chłopaka.

- JD, zapomnij o jakichkolwiek przysługach. Zabieraj Caspra i wypierdalajcie stąd. I żebyś mi się nie ważył wywinąć takiego numeru jeszcze raz. Haruję na dwóch etatach. Nie mam, kurwa, czasu zajmować się nim za każdym razem, jak dojdziecie z matką do wniosku, że jest dla was kulą u nogi.

- On nie jest żadną kulą u nogi.

- Owszem, kurwa, jest, i doskonale o tym wiesz. Nie mam dla niego ani czasu, ani cierpliwości. Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja jest taka, że przez całe lata stawałem na głowie dla tego dzieciaka, bo żal mi było twojej matki, ale ty i ona przeginacie pałę. I nie mam więcej czasu na zajmowanie się tym sakramenckim debilem. Zabieraj go stąd w pizdu i więcej go tu nie przysyłaj, nigdy. I przekaz to tej kurwie, twojej matce. Mam tego dość. Koniec. Słyszałeś? - Groźnie zbliżył się do JD jeszcze o krok i dodał: - Spadaj stąd, zabieraj go i nie wąż się, kurwa, wracać. Nigdy więcej.

Bull nasłuchiwał tego uważnie z kuchni, z szerokim uśmiechem na twarzy. Najwyższy czas, żeby ojciec wytłumaczył tym dwóm skurwielom, jak się sprawy mają. A jednak, pomimo prowokacyjnego zachowania Russo, odpowiedź JD była na spokojnie przemyślana.

- Nic nie rozumiesz, Russo. Coś się stało. Chcę, żeby Casper pomieszkał trochę u ciebie. Teraz nie mogę ci wyjaśnić dlaczego.

Russo pchnął chłopaka w pierś.

- To ty nic nie pojmujesz. Zostawcie nas wreszcie w spokoju czy nie? Co się z wami, kurwa, porobiło? Ty jesteś moczymordą, twój brat to debil. Wypierdalać! Jazda.

- Russo, ty nic nie rozumiesz.

- A ty rozumiesz, co znaczy „wypierdalać”?

- Psiakrew! Posłuchasz mnie przez chwilę?

- Won, powiedziałem! - Russo odwrócił się do Caspra. - A ty, Casper, wkładaj ten pieprzony płaszcz. Wracasz do domu. - Ale mały jakby go nie słyszał, wciąż gapił się tępo na płomień przed sobą. - Hej, Casper! Hej, ty tam! Debilku! - Ostatnie słowo przeciągnął tak (dee-biil-ku), że zabrzmiało wyjątkowo upokarzająco.

Tymczasem w kuchni Bull raczył się mlekiem z lodówki. Uznał, że lepiej nie wtrącać się do tej kłótni. Chociaż była ciekawa. Kiedy otwierał karton, żeby nalać mleka do półlitrowego kubka na kuchennym blacie, usłyszał odpowiedź JD. W głosie chłopaka brzmiał złowróżbny ton, jakiego Bull nigdy wcześniej nie słyszał.

- Jeszcze raz nazwiesz mojego brata debilem, a klnę się na Boga, że cię zabiję.

- Że co?

- Zabiję cię. Ja nie żartuję.

- Grozisz mi, wypierdku jeden?

Bull się uśmiechnął. Jeżeli JD zaczął grozić ojcu, to najpewniej dostanie wreszcie w skórę, na co od dawna solidnie sobie zapracował. Ojciec od lat powtarzał, że musi wbić chłopakowi trochę dyscypliny do głowy. JD sam się prosił o manto, które go zaraz czeka. Russo służył w zielonych beretach i był mistrzem walki wręcz. Skoro po tylu latach postanowił wreszcie spuścić chłopakowi łomot, będzie to szybkie i nad wyraz bolesne.

JD może coś odpowiedział, ale Bull tego nie usłyszał. Ha! Pewnie robi w gacie ze strachu i próbuje się wycofać! - pomyślał. Doleciały go słowa ojca, który po raz ostatni wbijał JD do głowy, jak się sprawy mają.

- No, to wynocha. Nikt was tu nie chce. Prawdę mówiąc, ani ty, ani twój brat nigdy nie byliście tu mile widziani.

I znów rozległ się głos JD, ten sam złowrogi, ochrypły ton.

- Casper. Wkładaj płaszcz. Wychodzimy.

Wyglądało na to, że nareszcie do niego dotarło. No i skończyło się odstawianie twardego!

Bull wlał do kubka resztkę mleka i przeszedł w róg kuchni do kosza na śmieci z przykrywką, żeby wywalić karton. Usłyszał ostatni prztyczek ojca pod adresem Caspra, rzucony tylko po to, żeby wkurzyć JD i pokazać mu, kto tu jest szefem.

- No, jazda! Na miłość boską, ruszaj się, ty sakramencki debilu!

Bull wrzucił karton z woskowanego papieru do kosza; stukot pudełka zagłuszył głośny trzask z salonu. Z drwiącym uśmieszkiem na ustach wrócił po kubek mleka stojący na ladzie obok zlewu. Ale zanim do niego dotarł, omal nie przewrócił go Casper, który minął go pędem i wybiegł przez tylne drzwi. Na twarzy małego malowało się przerażenie, jak gdyby zobaczył potwornego ducha. Dzieciak wystraszył się czegoś i nawet nie próbował zamknąć za sobą drzwi czy zaczekać na brata. Wpadł na dwór jak strzała, zostawiając drzwi otwarte na oścież, tak że do kuchni wdarły się podmuchy wiatru i deszcz.

Bull pociągnął długi haust mleka z kubka. Po chwili z salonu wyszedł zakapturzony JD i przepchnął się obok niego, specjalnie trącając go w ramię tak, że Bull rozlał trochę mleka. Jego twarz skrywała się w zakamarkach ciemnego kaptura. Fiut! - pomyślał Bull, z uśmiechem machając ręką do oddalających się pleców JD.

- Hejka! - rzucił z sardonycznym uśmieszkiem. - Nara. Wpadnij jeszcze kiedy.

Ku jego irytacji JD nawet nie pofatygował się, żeby zamknąć drzwi za sobą, odstawił więc mleko, podszedł do wyjścia i zamknął drzwi na klucz, żeby odciąć się od wyjącej wichury i deszczu. Gdy już to zrobił, odniósł wrażenie, że w domu zapadła niesamowita cisza. W salonie było cicho, chociaż Bull spodziewał się, że ojciec przyjdzie do kuchni i zacznie rozprawiać o JD. Odczekał kilka sekund, po czym zawołał:

- Dać ci coś do picia, tato? Już sobie poszli.

Bez odpowiedzi.

- Tato?

Nadal nie doczekał się reakcji. Podniósł kubek mleka i przeszedł z kuchni do salonu. A tam zobaczył upiorny widok, który miał go prześladować do końca życia. Bull liczył sobie zaledwie piętnaście lat. Nigdy nie widział śmierci z bliska, a teraz miał ją przed sobą. Zmarłym był jego ojciec. Kubek wypadł z rąk chłopaka, odbił się od jego stopy i potoczył po podłodze.

- Chryste Panie! Tato! Ożeż kurwa, nie!

Jego ojciec leżał na wznak na podłodze, ze złamanym karkiem i przekrzywioną na bok głową. Miał wywalony język, a jego oczy uciekły w głąb czaszki, tak że widać było tylko białka.

Kiedy początkowy szok Bulla na widok trupa ojca minął, jego miejsce zajęła wściekłość. Nienawiść, jaką od zawsze żywił wobec JD, wybuchła w jego żołądku niczym wulkan, ogarniając całe ciało. Jak opętany przebiegł przez kuchnię do tylnych drzwi i gwałtownie otworzył je na oścież. Nocne niebo skrywało wszystko, widział jedynie ulewę i

słyszał, jak huraganowy wiatr grzmoci o ściany domu. Krzyknął w ciemność, licząc na to, że wiatr poniesie jego słowa jak najdalej.

- Ty złamasie! Zabiję cię, JD! Tylko poczekaj! - Usiłował powstrzymać łzy smutku i wściekłości, które zbierały się w kąciakach jego oczu. - Pewnego dnia uznasz, że wszystko poszło w niepamięć, a wtedy będę na ciebie czekał. Ty durna pizdo! Już nie żyjesz, człowieku! Zabiję cię, pojebie! Zapamiętaj sobie moje słowa! Bóg może ci kiedyś wybaczy, ale ja dalej będę na ciebie czekał, ty w dupę jebany skurwysynu!

Chcąc dać upust wściekłości, Bull jeszcze przez dłuższy czas wył na wietrze. Chciał zapamiętać to uczucie, chciał mieć pewność, że jeśli drogi jego i JD kiedyś się skrzyżują, to zareaguje tak, jak należy.

I zabije drania.

Rozdział piętnasty

Wracamy do przyszłości

Kapitan Robert Swann z Sił Specjalnych Stanów Zjednoczonych od blisko trzech lat odbywał karę w więzieniu o zaostrzonym rygorze na pustyni graniczącej z peryferiami Santa Mondega. Przez cały ten czas nie odwiedził go choćby jeden gość. To samo można by rzec o większości pozostałych więźniów. Świat zapomniał o tych ludziach, a dane na temat życia przeważającej części z nich zostały wymazane z wszelkich możliwych baz danych. Z czterystu osadzonych zaledwie garstka miała szansę ujrzeć jeszcze kiedyś wschód słońca jako wolni ludzie. Wszyscy ci więźniowie wiedzieli coś, czego wiedzieć nie powinni, albo zrobili coś okropnego komuś, z kim nie powinni byli zadzierać, dlatego też de facto czekali na wyrok śmierci, z tym że bez możliwości eutanazji, która skróciłaby im oczekiwanie.

Zbrodnie, jakie miał na sumieniu Swann, należały do wyjątkowo nieprzyjemnych. Był seryjnym gwałcicielem, który popełnił ten błąd, że dopuścił się szczególnie odrażającego gwałtu na córce kogoś wysoko postawionego w sferach rządowych. W wyniku brutalnego ataku jego ofiara doznała tak poważnego urazu psychicznego, że krótko potem odebrała sobie życie. W sumie obróciło się to na korzyść Swanna, bo z braku dostatecznych dowodów winy nie można go było formalnie postawić przed sądem wojskowym. Mało tego, szczęście sprzyjało mu do tego stopnia, że nie zlikwidowano go cichcem za tę zbrodnię. Nawet nie został karnie wydany z wojska - formalnie rzecz biorąc, nadal czynnie służył w armii.

Na korzyść Swanna przemawiała jedna rzecz, dzięki której pozostał przy życiu. Tylko dlatego miał szczęście i odsiadywał wyrok w utajnionym więzieniu na pustyni. Był wielokrotnie odznaczanym kombatantem wojennym, człowiekiem o tak niewiarygodnie rzadkich talentach do walki, że z punktu widzenia władz likwidowanie go byłoby bezsensowne. Co więcej, swego czasu uratował życie szefowi łączności w Białym Domu. Wszystko to razem wzięte wystarczyło, by ocalić mu życie, chociaż niewiele brakowało. Swann był wyjątkowym żołnierzem, nieustraszonym i gotowym umrzeć dla ojczyzny, tyle że nie potrafił utrzymać swojego węża w klatce. Nawet teraz, w wieku trzydziestu siedmiu lat, był rozszalałym maniakiem seksualnym, a tak długie zamknięcie w więzieniu jedynie pobudziło jego nienasycony apetyt.

We wczesnych godzinach porannych siedemnastego dnia października dwaj uzbrojeni strażnicy obudzili Swanna w jego celi. Był na tyle mądry, żeby nie stawiać oporu, gdy zakuwali go brutalnie w kajdanki, i chociaż jego pytania, o co chodzi, pozostawały bez odpowiedzi, to nie awanturował się, bo był im wdzięczny, że przerwali monotonię jego codziennej rutyny.

Odprowadzili go więziennymi korytarzami, przez niezliczone, zdawałoby się, drzwi, wprost do gabinetu naczelnika. Wepchnęli go do środka i usadzili na krześle przed naczelnikowskim biurkiem. Tylko raz miał okazję przebywać w tym pokoju - pierwszego dnia pobytu, gdy naczelnik Gunton wbijał mu do głowy zasady panujące w jego więzieniu.

Gabinet był dwukrotnie większy od gównianej celi, w której Swann spędził ostatnie kilka lat. Na wszystkich czterech ścianach biegły półki z książkami i bibelotami, tu i tam przerwane, żeby było gdzie zawiesić obrazy. Za biurkiem, między dwoma oknami, wisiał wielki portret siwowłosego Guntona o skórze jak garbowana, mający podkreślić próżność tego człowieka. Postać na obrazie była ubrana w elegancki szary garnitur. Nie dziwiło to nikogo, kto znał naczelnika - miał on bowiem dziesięć garniturów, a wszystkie identyczne, szare i nudne. Co skądinąd znakomicie go podsumowywało.

Tego ponurego poranka dziwne było tylko to, że naczelnik nie siedział za biurkiem, jak Swann się tego spodziewał. Jego fotel zajął inny mężczyzna. Nie taki wazelinarz i konus jak naczelnik, lecz wielki, barczysty kawał drania, który potrafiłby dać wycisk wykidajle z klubu nocnego. Ubrany w szary garnitur, jak naczelnik, miał bladą, gładko ogoloną głowę, a jego oczy kryły się za okularami przeciwsłonecznymi. Te cyngle są tylko na pokaz, bo jest jeszcze noc, dumiał Swann. A może facet jest ślepy? Hmm. Mało prawdopodobne.

Dwaj strażnicy, którzy go wprowadzili, skinęli głowami facetowi za biurkiem i wyszli. Mężczyzna przyglądał się Swannowi zza ciemnych okularów; jego mina niczego nie wyrażała. Więźniowi przyszło na myśl, że może podziwia jego gęste włosy, bo chociaż Swann był przystrzyżony po bokach, to na czubku głowy miał gęstą kasztanową czuprynę. Może gość mu zazdrościł? Raczej nie, chociaż wszystko było możliwe. Przez niemal trzydzieści sekund żaden z nich się nie odezwał. Pierwszy pękł Swann.

- No dobra, poddam się. Co jest grane? - zapytał, wyglądając przez okno dla podkreślenia faktu, że ma gdzieś onieśmielający wzrok faceta za biurkiem.

- Zdjąć ci kajdanki? - zapytał tamten.

- Jasne. Czemu nie?

- Ręce na stół.

Był to rozkaz, a Swann nie lubił wysłuchiwać rozkazów od ludzi, których nie znał. Na

razie jednak nadal był więźniem, a ten gość mógł się okazać kimś wysoko postawionym w Tajnej Służbie czy podobnej instytucji, więc nie protestując, wyciągnął ręce nad biurkiem, na co ten kawał byka ujął go za nadgarstki. Miał bardzo mocny uścisk. Błyskawicznym ruchem szybko odwrócił dłonie Swanna grzbietem w dół i chociaż zdawało się, że nie zrobił nic ponad to, kajdanki pękły w trzech miejscach i spadły z nadgarstków więźnia na blat biurka.

Swann był pod wrażeniem. Zgrabna sztuczka, bez dwóch zdań. Ale nie okazał po sobie żadnych uczuć, tylko rozparł się w fotelu, bez słowa podziękowania.

- To jak, chcesz się stąd wydostać? - zapytał facet siedzący w fotelu naczelnika.

- Nazywam się Robert Swann, jakby pan był ciekawy.

- Dziękuję, wiem, kim jesteś.

- Ale pan jakoś mi się nie przedstawił. Na mój gust to trochę nieuprzejmie.

Tamten uśmiechnął się.

- Możesz się do mnie zwracać „Panie E”.

- Jak w Tajemniczym Człowieku?

- Nie. Jak w Panu E.

- W porządku, nie gorączkuj się, włos ci z głowy nie spadnie.

Pan E uśmiechnął się. Swann wyczuwał, że facetowi podoba się jego postawa. I miał rację. Więzień był dokładnie takim aroganckim, niekupującym bzdur sukinsynem, jakiego szukał Pan E.

- Załatwiłem panu ułaskawienie, panie Swann.

- Dzięki. No to chyba na mnie już czas - rzekł Swann, wstając z krzesła.

- Nie. Nie tak prędko. Siadaj. Odstawianie cwaniaka jak dotąd ci się przydało, ale nie przeciągaj struny. To mało zabawne, a ty już nie masz dwunastu lat, więc skończ z tym.

Swann usiadł z powrotem. Misja wykonana. Wkurzył faceta jak się patrzy. A teraz czas posłuchać i zobaczyć, na czym polega oferta.

- No to wal pan śmiało. Co pan dla mnie ma? - powiedział, zacierając ręce w oczekiwaniu na to, co usłyszy.

- Potrzebuję faceta z jajami ze stali, który będzie pracował dla mnie jako tajniak. Ciężka robota. Można stracić życie.

- Jako tajniak? Gdzie?

- W Santa Mondega.

- Wal się pan - rzucił Swann odruchowo.

- Momencik. Ta robota nie jest taka jak inne. Tajny agent ma przeniknąć do bandy wampirów, udając jednego z nich.

- Powtarzam, wal się, pojebany łysolu! Czy ja ci wyglądam jak durna cipa?

- Owszem. Ale ty mnie wcale nie słuchasz. Ta robota nie jest tak zła, jak by się zdawało. Pozwól, że dokończę. - Ani obelgi, ani ogólnie odpychająca postawa Roberta Swanna nie zburzyły spokoju Pana E. - Do Santa Mondega powrócił mnich z zakonu hubalan z Okiem Księżycy i chcę, żebyś znalazł i jego, i kamień.

Swann wciąż słuchał go jednym uchem. To było zadanie dla idioty, a on nie był idiotą.

- A niby jak mam uchodzić za jakiegoś pieprzonego wampira? - zapytał.

- Nie będziesz musiał. Na początek chcę, żebyś znalazł kogoś, kto będzie pracował pod przykrywką jako wampir. Opracowaliśmy surowicę, dzięki której zwyczajny śmiertelnik może poruszać się w świecie żywych trupów tak, żeby się nie zorientowały, że nie jest jednym z nich. Przydadzą mi się twoje umiejętności przesłuchiwania i doświadczenie w pracy tajniaka, żebyś wyszkolił tego nowego tak, żeby go nie zabili po pięciu minutach.

Swann w duchu odetchnął z ulgą. A zatem przynajmniej nie szykowali go na nowego tajniaka, który raz-dwa kopnie w kalendarz.

- Jacy „my”? - zapytał podejrzliwie.

- Tego nie musisz wiedzieć.

- Ale rzecz jest oficjalna? Wyszła z samej pieprzonej góry, tak?

- A jak inaczej znalazłbym się tutaj i gadał z tobą? Jak ci się zdaje, skąd wzięło się twoje ułaskawienie?

- Uhm. Ale takiej roboty mógłby się podjąć tylko kompletnie skretyniały bezmózg. Powiem panu, że w życiu nie spotkałem debila, który by na to poszedł.

- Całkiem słusznie - przytaknął Pan E. - Nie spotkałeś go. Na razie. Ale taki człowiek istnieje.

Swann pokręcił głową. Sądził, że zna wszystkich ludzi z Sił Specjalnych, dostatecznie wyszkolonych i odważnych, by podejmować się najtrudniejszych misji, a to zadanie wyglądało na najpaskudniejsze na bardzo krótkiej liście wyjątkowych zadań. A zatem musiało chodzić o kogoś nowego. Kogoś, kto szybko awansował podczas tych kilku lat, jakie spędził w odosobnieniu.

- Śmiało - rzucił z uśmiechem. - Niech mnie pan oświeci. Kto ma takie jaja, żeby przeniknąć do gangu wampirów, jako kamuflaż mając do dyspozycji tylko surowicę i jakiś biały podkład? Muszę to wiedzieć. A nawet jeżeli jest dostatecznie odważny i durny, żeby się tego podjąć, to co nim kieruje? Ile płacicie temu szurniętemu kamikadze?

- Płacimy? Ha! - Pan E wyprostował się i pochylił nad blatem biurka, uśmiechając się do więźnia. - Nie, on to zrobi za friko.

Swann zaczął podejrzewać, że chodzi tu o jakiś dowcip. Pewnie się z niego nabijają, mimo to jednak postanowił grać dalej.

- Jezu, to rzeczywiście jakiś kretyn. No więc... Jak się nazywa?

Pan E pchnął po blacie biurka sztywną brązową kopertę. Skazaniec podniósł ją. Była lekka, co sugerowało, że dane na temat owego tajemniczego człowieka są raczej skąpe. Otworzył ją i wyciągnął czarno-białe zdjęcie w dużym formacie, przedstawiające jakiegoś gościa przebranego za Terminatora. Położył je na biurku i wyjął resztę zawartości koperty, czyli zaledwie kilka zapisanych na maszynie kartek z danymi osobowymi człowieka na fotografii. Raz-dwa przebiegł wzrokiem informacje i uświadomił sobie, że ten pajac nie ma żadnego doświadczenia, ani wojskowego, ani w siłach policyjnych. Spojrzał na ostatnią kartkę, zatytułowaną „Szczegóły misji”. Ją także przejrzał i natychmiast się zorientował, że ta farsa nie niesie dla niego większego ryzyka. Pan E mówił prawdę - to tamten facet pakował się w kłopoty.

- Co jest, kurwa? Co to za jeden, ten Dante Vittori? I dlaczego akurat jego żeś pan sobie wybrał, do kurwy nędzy?

Pan E pozwolił sobie na lekki chichot, czym zaskoczył Swanna, bo łysa głowa i okulary przeciwsłoneczne nie zdradzały człowieka o nadmiernym poczuciu humoru.

- Prawdę mówiąc, jego kwalifikacje są aż nadto wystarczające. Po pierwsze, on wie o wampirach w Santa Mondega, tak że nie grozi złamanie tajemnicy państwowej, bo facet na własne oczy widział żywe trupy w akcji.

- Rozumiem. - Brak przekonania w głosie więźnia dokładnie odzwierciedlał jego uczucia.

- Po drugie, pomijając fakt, że jest skończonym kretynem, on zupełnie nie zna uczucia strachu, choćby dlatego, że w swojej kurewskiej bezmyślności nie orientuje się, kiedy mu grozi niebezpieczeństwo. - Pan E przerwał na chwilę. - Po trzecie, ma swoją motywację. Tu jest taśma z nagraniem filmu dokonany przez policję z Santa Mondega. To krótka rekonstrukcja ubiegłorocznej strzelaniny w barze Tapioca podczas zaćmienia Słońca, nakręcona przy udziale aktorów. Barman Sanchez, jako naoczny świadek, zrelacjonował nam przebieg wydarzeń i na podstawie tego zrobiono krótki film, żeby ustalić winowajców. Na materiale widać, jak Dante Vittori w przebraniu Terminatora strzela w lokalu wraz z mnichem w stroju Kobra Cai oraz słynnym seryjnym zabójcą, Bourbon Kidem. Cała trójka prawdopodobnie trafi na krzesło elektryczne, jeżeli uda nam się ich złapać żywcem. Weź, zobacz.

Pan E odwrócił się i wycelował pilota w przenośny telewizor naczelnika więzienia,

stojący na małym stoliku w rogu gabinetu. Ekran ożył z sykiem, po kilku sekundach rozjaśnił się i Robert Swann uświadomił sobie, że to, co ogląda, jest zapewne wierną rekonstrukcją masakry w Tapiocce podczas zaćmienia Słońca. Wskazując telewizor, Pan E zaczął objaśniać akcję. Na ekranie rozgrywała się właśnie scena nakręcona w barze. Podłoga usiana była licznymi manekinami, przedstawiającymi mnóstwo zwłok, które odkryto, gdy skończyło się zaćmienie Słońca i powróciło światło.

- Tutaj, na dole ekranu - wskazał palcem - widać, że kiedy zaćmienie Słońca się kończy, ten Dante Vittori przebrany za Terminatora wypada z toalety i dołącza do strzelaniny.

- Pan E na chwilę zatrzymał taśmę. - A teraz zobaczysz młodego mnicha z zakonu hubalan... o, tutaj... który celuje w Bourbon Kida, a na podłodze... o, tu... leży ledwo żywa dziewczyna.

Swann patrzył, zafascynowany. Obejrzenie chociażby fragmentu tego pasjonującego filmu było prawdziwym zaszczytem. Odkąd trafił za kratki, rzadko miał okazję oglądać telewizję, a jeśli już, to wyłącznie filmy familijne. Pan E nadal odtwarzał taśmę wideo i komentował.

- Teraz zobaczysz, że zamiast celować ze strzelby do Bourbon Kida, który właśnie zabił z setkę osób, nasz Vittori mierzy w tył głowy mnicha. To nasza pierwsza przesłanka, że mamy do czynienia z idiotą. Następnie mnich omawia coś z naszym człowiekiem, po czym wymyka się tylnymi drzwiami. Dalej mamy drugą wskazówkę, że nasz Dante jest kompletnym cymbałem. Zamiast zabić potem Bourbon Kida, celuje w umierającą dziewczynę na podłodze. Kid dołącza do niego i zespół rozwalają ją na strzępy.

Przez pewien czas obaj mężczyźni oglądali film w milczeniu, po czym Pan E podjął komentarz.

- Dalej mamy chyba same pierdoły. Barman Sanchez, to ten facet przebrany za Batmana... o tutaj... wyskakuje zza baru przez kontuar, bije się z Bourbon Kidem na pięści i pokonany Kid ucieka jak ostatni tchórz.

- Bez jaj?

- No, ale w to akurat nikt nie wierzy. Zdaje się, że ten Sanchez upierał się, że to prawda, i odmówił współpracy przy filmie, jeżeli nie wstawimy tej sceny.

- Świrus. - I to jaki.

- A co właściwie stało się z tym Dantem po strzelaninie?

- No cóż, zwał i wydaje mu się, że nikt nie wie o jego udziale w tej chryi. Ale był wtedy w barze z tą panienką. - Pan E podsunął Swannowi po biurku fotografię w mniejszym formacie, powiększenie zdjęcia paszportowego wyjątkowo ładnej ciemnowłosej dziewczyny.

- Nazywa się Kacy Fellangi, a Dante jest dla niej gotów na wszystko. Wobec tego musimy

tylko znaleźć Dantego, znaleźć jego dziewczynę i trzask-prask!... mamy tajniaka wampira.

Swann wciąż nie był przekonany. I wątpił, żeby to się kiedyś zmieniło.

- Tak, no... niby tak. Ale skoro z tego gościa jest taki kretyn, to przecież wampiry natychmiast go przejrzą.

- Jasne, istnieje takie ryzyko, ale gotów jestem je podjąć. Ty tylko znajdź mi Dantego Vittori i Kacy Fellangi. Przedstawimy mu propozycję nie do odrzucenia i pozostawimy go z wrażeniem, że jeśli nie zrobi tego, o co prosimy, to ucierpi na tym jego dziewczyna, a wtedy będzie nasz.

- Zgoda. Macie jakiś pomysł, gdzie go zacząć szukać?

- W sumie to wcale nie będzie trudne. Moja ekipa od inwigilacji rozgląda się za nim już od jakiegoś czasu, czekamy tylko, aż wystawi dupę zza krzaka i pojawi się na naszym radarze. - Przerwał na chwilę, po czym zapytał: - Pamiętasz, jak mówiłem, że to skończony kretyn?

Swann odniósł wrażenie, że Pan E podkreśla fakt, że Dante jest kretynem, o wiele bardziej, niż to konieczne. Skoro już raz to ustalili, po co ciągle do tego wracać?

- No? - rzucił sceptycznie, choć wbrew sobie był ciekaw, co też jego przyszły pracodawca mu wyjawia.

- No więc wiemy, że on i Kacy wyjechali z Santa Mondega zaraz po zaćmieniu Słońca. Naszym zdaniem przenieśli się na Florydę, co jest całkiem rozsądnym posunięciem, jeśli się wie, że Santa Mondega jest opanowana przez wampiry. No nie? Ale wiesz co? Dwa dni temu zadzwonił do hotelu Santa Mondega International i zarezerwował na tydzień apartament dla nowożeńców pod koniec tego miesiąca. Swann pokręcił głową.

- Popieprzony frajer.

- Pomyślałem dokładnie tak samo.

Obaj nareszcie się uśmiechnęli. W końcu doszli jednak do porozumienia. Pan E wiedział, że Swann jest dość bystry, by samemu wiedzieć, czego od tej pory od niego oczekują, więc podrzucił mu już tylko jedną ciekawostkę.

- Moim zdaniem w tych aktach mamy obecny adres Vittoriego i Fellangi. Namierzyliśmy go dzięki płatnościom jego kartą kredytową. Więc chcę, żebyś się tam wybrał i zgarnął ich oboje. A jak już będziesz ich miał na pokładzie, zlecisz gościowi tę misję.

Zamiast wczytać się w szczegóły misji na kartce, którą wyciągnął z brązowej koperty, Swann wziął fotografię Kacy i przyjrzał jej się uważnie.

- To ta dziewczyna, he? - zapytał, doskonale wiedząc, że to o nią chodzi.

- Tak.

Swann popatrzył na Pana E.

- I chce pan, żebym po wykonaniu misji załatwił ich oboje, tak?

- Nie przypominam sobie, żebym mówił coś takiego.

- Ale taka jest prawda, nie?

- Owszem.

- Szkoda - rzucił skazaniec i zacmokał z dezaprobatą. - Z miłą chęcią pofiglowałbym sobie z tą panienką.

Pan E wstał zza biurka i odwrócił się tyłem do Swanna; wyraźnie wolał patrzeć na portret naczelnika więzienia wiszący między dwoma oknami.

- No to ją zerznij, zanim ją zabijesz - powiedział beznamiętnie. - Albo... najpierw ją zabij, a zerznij potem. Mnie tam wisi, w jakiej kolejności. Tylko dopilnuj, żeby żadne z nich nie żyło, kiedy misja dobiegnie końca. Bez względu na to, czy się powiedzie, czy nie. - Z wewnętrznej kieszeni szarego garnituru wyjął małą białą kopertę i podał Swannowi. - To twoje ułaskawienie. Datowane dzisiaj i podpisane przez prezydenta. Tylko go nie zgub... niełatwo jest zdobyć coś takiego.

Swann wziął kopertę, schował ją wraz ze zdjęciem dziewczyny do brązowej koperty ze szczegółami misji i fotografią Vittoriego, wstał i ruszył do wyjścia.

- Nie ma sprawy, szefie. - Uniósł brew i uśmiechnął się pod nosem. - Załatwione. Wszystko, co do joty.

Rozdział szesnasty

Dla nikogo nie było tajemnicą, że Dante nie lubi wróżek. A tymczasem siedział ze swoją ukochaną śliczną Kacy, przy okrągłym stoliku naprzeciwko jakiejś zwariowanej starej wiedźmy.

Tym razem także trafiła im się raczej nieszczególna siedziba. Przycupnęli we trójkę w namiocie, wprawdzie całkiem przestronnym, lecz był to chyba najbardziej parszywy z lokali licznych wróżek, jakie odwiedzali. No, ale Bogiem a prawdą, był to jeden z mnóstwa namiotów należących do objazdowego jarmarku, więc w sumie nie powinni oczekiwać zbyt wiele. Rzeczona medium kazało się tytułować „Madame Sangria”. Ta starsza pani w bezkształtnej czarnej sukni, z włosami przepasanymi czerwoną chustką, wyraźnie gustowała w olbrzymich złotych kołach w uszach, a także nosiła co najmniej pięć tandetnych wielokolorowych naszyjników z paciorków, zwisających jej aż po łono.

Tego dnia Dante i Kacy obchodzili piątą rocznicę i chłopak obiecał swojej dziewczynie wielką niespodziankę. Kacy doskonale wiedziała, że nie wybierają się na wyszukaną kolację do drogiej restauracji. Bo gdyby tak było, Dante z pewnością uparłby się, żeby włożyła coś bardziej stosownego niż dżinsy i wyciągnięty szary sweter, które wybrała na ten dzień. Sam też pewnie bardziej by się postarał, a nie wskoczył w podarte dżinsy i brudny biały T-shirt z wizerunkiem Kuraka Leghorna z filmu *Być kurakiem* na piersi.

Znając intelekt Dantego lepiej niż ktokolwiek, Kacy przygotowała się na to, że owa wielka niespodzianka okaże się do bani. No i jest do bani, jakżeby inaczej, pomyślała. Swego czasu często bywali u wróżek, bo podobały jej się takie sesje, ale z tego wcale nie wynikało, że miała ochotę na kolejną taką wizytę w charakterze specjalnego prezentu z okazji piątej rocznicy bycia razem. Jedyłą pociechę czerpała ze świadomości, że Dante prawdopodobnie łamał sobie głowę tygodniami, zanim wpadł na ten pomysł. Była wdzięczna, że przynajmniej zadał sobie trud i pomyślał o tym, więc się cieszyła... no, powiedzmy. Bo chociaż Dante nie wyróżniał się szczególną bystrością, to jednak naprawdę miał złote serce i nieważne, że coś, co uznał za przebłysk swojego geniuszu - czyli zabranie jej do kolejnej wróżki - było kiepskim pomysłem. Ważne, że kochał ją na tyle, by zadać sobie trochę fadygi.

Dante zapłacił madame Sangrii dwadzieścia dolarów, żeby postawiła Kacy tarota. Kobieta rozdała karty na okrągłym stoliku przed sobą. Stolik był mały, nakryty brudnym

obruszem w biało-czerwoną szachownicę. Najpierw rozłożyła karty w jednym rzędzie koszulkami do góry, a potem kolejno odwracała je powoli. Żeby wzmóc napięcie, nie odzywała się. Niech karty przemówią same za siebie.

Karta pierwsza - Kochankowie

Karta druga - Głupiec

Karta trzecia - Kielich

Karta czwarta - Diabeł

Karta piąta - Śmierć

I karta szósta...

Na widok szóstej karty serce podeszło Kacy do gardła. Nie była to normalna karta do tarota. Ta była wyjątkowa. Nie znalazłoby się drugiej takiej w żadnej z rozmaitych talii kart do tarota jak świat długi i szeroki. Nie było na niej żadnego obrazka, tylko następujący napis:

Kacy, kocham Cię z całego serca. Czy wyjdiesz za mnie?

Obejrzała się na Dantego i natychmiast chwyciła go za dłoń, żeby się uspokoić. Sprawił, że dosłownie zaparło jej dech w piersiach. Mężczyzna, którego kochała, powszechnie uchodzący za kretyna facet z połówką szarej komórki w mózgu, kompletnie ją zaskoczył. Należała do niego duszą i ciałem.

- Tak - wydukała; jej oczy zaszyły łzami. - Ja też cię kocham, matolku.

- No i w porzo - rzucił Dante, nachylając się i całując ją gorąco w usta. - To zjeżdżajmy stąd w pizdu i chodźmy zalać ryło.

- Z miłą chęcią.

Dante puścił oko do starej wróżki po drugiej stronie stolika, szybko wymamrotał pod nosem: „Dziękuję”, i wyprowadził Kacy z namiotu. Gdy znaleźli się na świeżym powietrzu, przytulił ją mocno i zaczęli się całować tak namiętnie jak nigdy dotąd. Kacy nie chciała go puścić. Serce waliło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi - tak bardzo rozpiekało ją szczęście.

- Zrobię wszystko, żebyś był przy mnie baaardzo szczęśliwy - szepnęła świeżo upieczonemu narzeczonemu.

- Już to zrobiłaś - odparł, również szeptem. - Powiedziałaś „tak”.

Przerwał im trzeci głos, głos mężczyzny.

- Dante Vittori, jest pan aresztowany.

Jak większość oświadczeń, także i to w jednej chwili sprowadziło Dantego i Kacy na ziemię. Chłopak wyraził na głos ich wspólne myśli.

- Ożeż kurwa jego mać!

Przed nimi stało dwóch zwalistych mężczyzn w eleganckich czarnych garniturach, pod krawatem i w bardzo ciemnych okularach przeciwsłonecznych. Dante oderwał się od Kacy i stanął z nimi oko w oko.

- A co ja znowu zrobiłem?

Za dwoma facetami przechadzały się po jarmarku liczne rodziny i ludzie cudacznie przebrani w karnawałowe stroje, nieświadomi kłopotliwej sytuacji, w jakiej znalazł się Dante. Ich uwagę przykuwały setki ciekawszych rzeczy, jak turniej rzutów orzechem kokosowym czy karuzele. Dwaj mężczyźni w garniturach rozmawiający z parą młodych obdartusów plasowali się na samym dole listy tego, co należy obejrzeć i zrobić.

Ten, który odezwał się pierwszy - potężny gość z sumiastym wąsem, wyglądający na Araba - podniósł otwarty portfel i machnął nim Dantemu przed nosem, błyskając legitymacją ze zdjęciem. Nie dał młodym ludziom dość czasu, żeby mogli przeczytać, co jest na legitymacji, tylko szybko schował portfel z powrotem.

- Agent specjalny Baez - przedstawił się. - A to agent specjalny Johnson - dorzucił, wskazując kolegę. - Jest pan poszukiwany w związku z serią zabójstw w Santa Mondega. W pańskim interesie leży niestawianie oporu. Jeżeli zechce pan się szarpać, będziemy zmuszeni powstrzymać pana przy użyciu wszelkich niezbędnych środków. Niech mnie pan do tego nie zmusza.

Madame Sangria wystawiła głowę przez drzwi namiotu, by sprawdzić, co się dzieje.

Dante zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- Jesteś gównem, nie wróżka - poskarżył się. - Oddawaj moje cholerne dwadzieścia dolców, ty bezużyteczna stara wiedźmo.

Starucha uśmiechnęła się do niego.

- Aha, czyli ta karta z głupcem to byłeś ty?

- Niekoniecznie - odparł Dante, odwracając się do elegancko odzianego agenta Baeza.

- Patrz! - Wskazał na niebo za agentem.

- Nie dam się nabrać na taki stary numer. - Baez westchnął i pokręcił głową.

- Już się nabrałeś - rzekł chłopak.

Agent specjalny Baez pogubił się zaledwie na jedną dziesiątą sekundy, ale Dantemu w zupełności wystarczyło to, żeby skoczyć do przodu i zaprawić go z byka w twarz. Rozległ się głośny trzask pękającego nosa agenta, po którym nastąpił cichy stuk, gdy Dante kopnął go w jaja. Obficie krwawiąc z nosa, agent zgiął się w pół z bólu, na co chłopak przytrzymał go za tył głowy i z całej siły przyładował mu kolanem w twarz. Baez zwałił się na ziemię jak kłoda i wymiotując, usiłował powstrzymać skurcze żołądka, a także zmusić jajka, żeby wróciły na

swoje miejsce stamtąd, gdzie się znalazły.

Dante okręcił się na pięcie, chcąc się rozprawić z drugim agentem. Johnson jednak był o wiele szybszy. Widząc, jak Dante atakuje jego partnera, wyciągnął pistolet spod marynarki i przystawił lufę do głowy Kacy.

- Jeszcze jeden nierozważny ruch z twojej strony, przyjacielu, a twoja dziewczyna pozna, co to ból - zapowiedział zawziętym tonem.

Nagle za Dantem pojawił się znikąd trzeci mężczyzna. Zanim Kacy zdążyła ostrzec chłopaka, nowo przybyły (tak się składa, że był nim agent specjalny Robert Swann) powalił młodego człowieka jednym szybkim ciosem dłoni w kark, pozbawiając go przytomności.

- To nasz facet, bez dwóch zdań - orzekł, patrząc na bezwładną, nieruchomą postać Dantego. Potem przeniósł wzrok na Kacy i uśmiechnął się. - Witaj, panienko. No, no, szkoda gadać, ładniutka z ciebie bestyjka.

Rozdział siedemnasty

Dante i Kacy spędzili wyjątkowo nieprzyjemny wieczór, telepiąc się na pace opancerzonej furgonetki. Oboje przeżyli upokorzenie, gdy skuto im kajdankami ręce na plecach, a głowy zakryto workami z czarnego płótna i zawiązano na szyi. Gdy w końcu furgonetka stanęła, młodych kochanków wywleczono na zewnątrz i rozdzielono. Dante nie miał pojęcia, co się dzieje z Kacy, a jej dobro zajmowało nadrzędne miejsce w jego myślach. Wreszcie, po zdawałoby się niekończącym się marszu pod obstawą co najmniej kilku agentów, zdjęto mu worek z głowy.

Rozejrzał się i stwierdził, że siedzi przed biurkiem w eleganckim małym owalnym gabinecie. Nie było tam okien, ale szafirowy dywan, jasnobiałe ściany i szykowne meble z mahoniu sprawiały wrażenie, że jest to gabinet czy też pokój do spotkań kogoś, kto zarabia kupę kasy. Tym kimś był zapewne człowiek siedzący naprzeciwko niego po drugiej stronie biurka - ogolony na łyso, elegancko odziany i noszący okulary przeciwsłoneczne Pan E.

- Czy to Biały Dom? - zapytał Dante.

- Owszem - przytaknął Pan E; jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. - A ja jestem prawdziwym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ten gość, co go oglądasz w telewizorze, to tylko aktor.

Dante nie był do końca przekonany.

- Naprawdę? - upewnił się czujnie.

- Nie. - Pan E pokręcił głową. Nie rozczarował go ten Dante Vittori. Prezentował sobą wszystko to, co o nim mówiono. Wręcz idealny kandydat na kozła ofiarnego. - Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Czy to ma jakiś związek ze sprzedażą pirackich taśm wideo?

Pan E pomasaował czoło lewą ręką. Nie zajęło mu wiele czasu uświadomienie sobie, że rozmowa z Dantem będzie irytująca; na dobrą sprawę irytował go już sam fakt, że musi siedzieć naprzeciw kogoś o tak szczątkowej inteligencji. Pan E szczylił się wybitną inteligencją i nie miał zamiaru jej kalać.

Za plecami Dantego, nieco z lewej, stał Robert Swann. Pan E dał mu znak prawą ręką. Swann natychmiast przekręcił głowę chłopaka w lewo, w stronę kolosalnego ekranu

telewizora plazmowego wiszącego na ścianie. Potem nacisnął przycisk pilota, który trzymał w ręku, i krzykiem wydał rozkaz.

- Oglądaj. To ci powinno dać odpowiedź na pytanie, jakie sobie zadajesz, czyli: „W jakie gówno się wpakowałem?”.

Dante patrzył na nagranie wideo z rekonstrukcji strzelaniny w Tapiocie podczas zaćmienia Słońca i zaraz po nim. Aktor odgrywający jego rolę wcale nie był do niego podobny, ale oglądanie i wspomnianie wydarzeń rozgrywających się na ekranie wywołało jego uśmiech; chłopak z uznaniem pokiwał głową, widząc, jak sprawnie jego dubler radzi sobie z bronią. Aktor sprawił się wyśmienicie, dziurawiąc kulami Jessicę, Królową Wampirów.

- Niezły odjazd, co nie? - rzucił i uśmiechnął się, zadowolony z siebie, gdy film dobiegł końca.

- Taki sobie - odparł Pan E i znowu pokręcił głową. - Z tego powodu, przyjacielu, wylądujesz na krześle elektrycznym. Tam jest z setka trupów. Jak dotąd zabójcy nie postawiono przed sądem, nie mówiąc już o skazaniu za te morderstwa.

Widząc, że ma okazję pograć tamtemu na nerwach, chłopak uczeplił się jej kurczowo.

- Ja tam nie widzę żadnych trupów. Mnie to wygląda na manekiny. Nie przypominam sobie, żeby zabójstwo manekina było przestępstwem. Jak to jest?

Pan E westchnął, zirytowany, zupełnie nie wyczuwając, że Dante się z niego nabija.

- To rekonstrukcja, baranie. Manekiny są tylko na pokaz. Trudno byłoby nam wykorzystać prawdziwe zwłoki, nie sądzisz?

- Jedna z nich wygląda całkiem jak Kim Cattrall.

- A cóż to za kretyn, jak pragnę Boga! - Pan E spojrział na Swanna, licząc na odrobinę współczucia.

- Palant odstawia zgrywusa - podsunął Swann, nadal stojąc za chłopakiem. - Osobiście uważam, że chce wylądować na krześle. Jeśli chcesz znać moje zdanie, jak ktoś opowiada takie głodne kawałki, to świadczy o tym, że jest winny. Po mojemu, tych pozostałych gości też zabił, nie tylko umierającą dziewczynę. Za ich śmierć też łatwo będzie go skazać.

Dante zorientował się, że czas na żarty się skończył.

- No, to nie ja ich wszystkich zabiłem, tylko ten popieprzony świr w kapturze. W dwie minuty wystrzelił ze dwieście kul. A ja? Ja tylko załatwiłem tę popapraną wampirzycę na podłodze. Nie można zamordować kogoś, kto i tak już nie żyje. A jak wszystkim wiadomo, wampiry nie żyją.

Swann poklepał chłopaka po ramieniu.

- Może i tak było, mały, ale nie ma dowodów, że to nie ty zabiłeś kilka innych ofiar, prawda? Nie wykluczamy też możliwości, że działałeś jako wspólnik Bourbon Kida.

- Hm - mruknął chłopak, strząsając rękę Swanna ze swojego ramienia. Odwrócił się i zmierzył go wzrokiem. - Na mój gust z tego filmu, coście mi go właśnie puścili, wynika jasno, że byłem w łazience ze świecznikiem i profesorem Śliwką. Jeżeli to wszystko, co na mnie macie, to dzięki, wybywam.

Pan E zerknął na Swanna. Porozumieli się wzrokiem, ale Dante tego nie widział. Ich spojrzenia mówiły: „No, to na pewno facet dla nas. Ma jaja”.

- Dante - odezwał się Pan E z najcieplejszym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć. - Nie chciałbyś pracować jako tajny agent dla rządu Stanów Zjednoczonych i podjąć się misji, którą tylko ty możesz wykonać?

Chłopak przestał się gapić na Swanna i odwrócił się do Pana E. Milczał przez chwilę, jak gdyby dumał nad czymś głęboko.

- Nie, dzięki, muszę wracać do domu.

- Przykro mi. Nie wracasz do domu. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Do wyboru masz albo więzienie i w dalszej perspektywie krzesło elektryczne, albo przeprowadzenie naszej misji i ułaskawienie z rąk prezydenta.

- Przepraszam?

- Zgadza się, całkowite ułaskawienie.

- Nie, chciałem powiedzieć „przepraszam, nie dosłyszałem”. Jestem głuchy na prawe ucho.

- Och, wybacz. - W głosie Pana E zabrzmiała autentyczna skrucha. - Mówiłem, że...

- Wiem, co pan mówił. Wcale nie jestem głuchy, kretynie.

Tego rodzaju poczucie humoru, jakie prezentował Dante, zupełnie nie trafiało do Pana E. Oględnie mówiąc, zbiło go z tropu.

- Słuchaj no, młody człowieku. Czy twoja odpowiedź brzmi „tak”, czy jak mam to rozumieć?

- Moja odpowiedź na co?

- Czy podejmiesz się naszej misji i będziesz pracował jako tajny agent rządowy?

- A co to za misja? Mam panu znaleźć nową perukę?

Pan E znowu westchnął. Nie potrafił ukryć irytacji, nawet nie tyle; z powodu uwagi chłopaka, ile z kryjącej się za nią dziecinady. Mimo to zaczął mu tłumaczyć, powoli i z wystudiowaną starannością.

- Chcemy, żebyś udając wampira, przeniknął do bezwzględного gangu żywych trupów

w Santa Mondega. Mamy powody przypuszczać, że są w posiadaniu Oka Księżyca. Wierzmy także, że ten młody mnich z wyspy Hubal, Peto, który przebywał w Tapiocie podczas zaćmienia Słońca, powrócił z Okiem do Santa Mondega i korzysta z jego mocy, żeby się ukryć pośród wampirów.

- A po kiego grzyba miałby robić coś takiego?

- On szuka Bourbon Kida. W zeszłym roku Kid wymordował na Hubal wszystkich mnichów, z wyjątkiem młodego Peta Solomona, którego poznałeś. Peto uciekł z Okiem Księżyca. Podejrzewamy, że dowiedział się, jak z niego korzystać, i chce się zemścić na Bourbon Kidzie. To akurat nie byłoby takie złe, ale potrzebny nam ten kamień, bo jeżeli ścieżki Peta i Kida się skrzyżują, najprawdopodobniej Oko dostanie się w ręce Kida, a do tego nie możemy dopuścić.

- Dlaczego?

- To zbyt skomplikowane, żeby dało się wytłumaczyć komuś takiemu jak pan, panie Vittori. Wmieszaj się między wampiry, znajdź Peta, odszukaj kamień i dostarcz go nam. Podejrzewam, że jeżeli Peto udaje wampira, to sam cię zaczepi, kiedy cię zobaczy. Formalnie rzecz biorąc, w tej zapomnianej przez Boga i ludzi miejscinie jesteś dla niego kimś najbardziej zbliżonym do przyjaciela. Jak tylko dasz nam mnicha i kamień... albo nawet sam kamień... ty i twoja dziewczyna będziecie wolni.

Dante wybuchnął głośnym śmiechem, lecz nie minęły dwie sekundy, a z miny Pana E wynioskował, że facet mówi śmiertelnie poważnie.

- Pewnie bierzecie mnie za jakiegoś, tego, no, kretyna - rzekł z szerokim uśmiechem. Pan E i Swann znów szybko porozumieli się wzrokiem. Dante rozparł się na krześle i założył prawą nogę na lewą. - Takiego wała. Znajdźcie sobie innego jelenia.

- E-e. Nic z tego - odparł Swann. - Albo podejmiesz się tej misji, albo, wierz mi, osobiście dopilnuję, żebyście razem z twoją dziewczyną cierpieli. Wyobraź sobie, co najgorszego mogłoby ci się przydarzyć, a gwarantuję, że to pestka w porównaniu z tym, co dla ciebie szykuję.

- Bo ja wiem? Przychodzi mi na myśl parę okropnych rzeczy - rzucił Dante nonszalancko.

- Na przykład?

- No... kiedyś wysiedziałem z rzędu na trzech filmach z Nicolasem Cage'em. Fajne to nie było.

- Mądrała, co? To będzie gorsze niż wszystko, co jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Chłopak jęknął.

- Potrójny seans z Chrisem Tuckerem?

Cierpliwość Swanna się wyczerpała.

- Pomyśl o tym, że patrzysz, jak twoją dziewczynę obrabia grupa moich ludzi, a to dalej będzie nic. Odszczeknij się jeszcze jeden jedyny raz, a i tak was załatwię, nawet jeśli się zgodzisz na misję, którą ci proponujemy.

- Dobra, już dobra. Kapuję. Zrobię to. Kurna, człowieku, gdzie twoje poczucie humoru?

Swann położył rękę na ramieniu chłopaka i ścisnął go tak, żeby ten odczuł pewien dyskomfort.

- Może jednak nie jest aż tak tępy, jak myśleliśmy - powiedział, unosząc brwi.

Pan E przytaknął ruchem głowy.

- Zabierz go i zacznij podawać mu surowicę. Niech się do niej przyzwyczaja przez kilka dni, zanim go tam wyślemy.

Rozdział osiemnasty

Profesor Bertram Cromwell już po pierwszym sygnale chwycił słuchawkę telefonu stojącego na antycznym drewnianym biurku w jego gabinecie w muzeum. Spodziewał się, że zadzwoni, i nie mógł się tego doczekać. Wyświetlacz aparatu wskazywał połączenie z recepcją, więc Cromwell, orientujący się w najdrobniejszych szczegółach we wszystkim, co dzieje się w jego muzeum, wiedział, że w słuchawce usłyszy Susan Fraser.

- Witaj, Susan.

- Cześć, panie profesorze. Mam tu kogoś, kto chce się z panem zobaczyć. To pan Solomon.

- Znakomicie. Dziękuję ci, Susan. Oczekiwałem jego wizyty. Czy mogłabyś wysłać kogoś, żeby zaprowadził go do mojego gabinetu, jeśli łaska?

- Ależ oczywiście. Przyślę go do pana natychmiast.

- Jeszcze raz dzięki. Do zobaczenia.

Już od bardzo dawna Cromwell nie był tak przejęty żadną wizytą. Wyglądało na to, że wybiera się do niego ostatni pozostały przy życiu mnich z wyspy Hubal. Mnich ów niespodziewanie zadzwonił do niego poprzedniego dnia i spytał, czy profesor mógłby poświęcić mu kilka minut. Cromwell zgodził się bez wahania. Mógł się dowiedzieć od tego człowieka wielu rzeczy, a także podzielić się z nim własnymi informacjami. Dwie minuty później usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał, zaintrygowany, co też wyniknie z tego spotkania.

Ochroniarz otworzył drzwi, wprowadził młodego człowieka o drobnej budowie i zamknął je za nim. Hubalanin rozejrzał się po gabinecie Cromwella, podziwiając boczne ściany, od podłogi po sufit zajęte przez półki pełne książek w twardych oprawkach. Po kilku sekundach skupił wzrok na profesorze, a ten wstał z wielkiego czarnego fotela, w którym zasiadał przy biurku.

- Pan Solomon - odezwał się grzecznie. - Czy mogę mówić panu Peto? Proszę, zechce pan usiąść. - Uprzejmie wskazał gościowi jeden z dwóch mniejszych, krytych czarną skórą foteli po drugiej stronie biurka.

Profesor tradycyjnie ubrany był wyjątkowo elegancko i wielce kosztownie - w szyty na miarę, wyśmienicie skrojony trzyczęściowy grafitowy garnitur, nienagannie wyprasowaną

białą koszulę i jedwabny krawat w łagodnym odcieniu czerwieni, tak dyskretny, że niewątpliwie wykonany był ręcznie i kosztował krocie. Spojrzał ponad wąskimi szklami okularów „połówek” na mnicha, którego odzienie daleko odbiegało od jego stroju.

Peto miał na sobie czarne spodnie bojówki i obcisłą czarną tunikę bez rękawów od kimona do karate, z cienką żółtą podszewką. Zapaścił gęstą czarną czuprynę, chociaż pomijając ze dwa, trzy centymetry z przodu, resztę włosów zakrywała czerwona chusta, zawiązana na głowie na piracką modłę. Gdy Cromwell wskazał mu fotel, podziękował schyleniem głowy i ruszył w stronę biurka, kłapiąc sandałami po drewnianej podłodze. Przed biurkiem stanął na wprost siwowłosego dyrektora muzeum i dopiero wtedy odezwał się:

- Jeszcze raz dziękuję, profesorze, że poświęcił mi pan swój czas. To bardzo miło z pańskiej strony.

- Ależ bynajmniej - odparł Cromwell, podając mu rękę nad biurkiem. - Cała przyjemność po mojej stronie. Wspaniale, że mogłeś się ze mną spotkać.

Peto uściśnął dłoń profesora i obaj usiedli.

- Wie pan, po co tu jestem? - zagaił.

- Powiedziałbym, że ma to coś wspólnego ze zmumifikowanymi szczątkami Ramzesa Gaiusa, choć to tylko mój domysł.

- I całkiem trafny. - Mnich uśmiechnął się przelotnie. - Z tego, co słyszałem, mumię skradziono z pańskiego muzeum w ubiegłym roku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Bourbon Kid dokonał masakry wszystkich moich braci hubalan.

- Masz absolutną słuszność. Mumia zniknęła dokładnie tej samej nocy, kiedy Bourbon Kid wylądował na waszej wyspie i zamordował Ishmaela Taosa i wszystkich mnichów z Hubal. Jednakże pozwolę sobie sprostować w części twoje twierdzenie. Ja nie wierzę, że mumię skradziono. Uważam, że uciekła sama.

Zapadła cisza - obaj czekali na reakcję drugiego. Cromwell chciał się przekonać, czy mnich mu uwierzył, Peto zaś się upewnić, że profesor się z niego nie nabija. W końcu obaj uznali, że stoją po tej samej stronie. Peto odezwał się pierwszy.

- Ja też tak podejrzewałem. A zatem wie pan o kłątwe mummii?

- Oczywiście. - Cromwell w duchu odetchnął z ulgą. - Inna sprawa, że poza tobą nie widzę nikogo, kto mógłby w to uwierzyć. Gdybym powiedział o tym komuś innemu, z pewnością umieściliby mnie w zakładzie dla obłąkanych. Szczerze mówiąc, fakt, że w to wierzę, nawet mnie niepokoi. Przyznam ci się, że czasami sam zadaję sobie pytanie, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

- Tak - mruknął mnich ze współczuciem. - Rozumiem pana, ale kiedy ostatnim razem

byłem w tym mieście, widziałem kurewsko dziwne rzeczy. Od tej pory w mało co już nie wierzę.

- Przyjechałeś tu na poprzednie zaćmienie Słońca, prawda?

- Uhm.

- Hmm. To się stało dzień po tym, jak mój były pracownik zjawił się w moim gabinecie z Okiem Księżyca. - Cromwell wrócił pamięcią do chwili, gdy Dante Vittori siedział w tym samym fotelu, który teraz zajmował Peto. Podczas tamtego spotkania profesor dźgnął Dantego nożem w ramię, by empirycznie potwierdzić lecznicze właściwości Oka. Rezultat nie przyniósł jednoznacznego wyniku, a jedynym godnym zapamiętania faktem z tego wydarzenia było to, że po raz pierwszy od ukończenia szkoły profesor został nazwany jebanym ciulem.

Peto odchylił z jednej strony tunikę karate i pokazał niebieski kamień, wiszący mu na szyi na srebrnym łańcuchu.

- Ma pan na myśli to Oko Księżyca? - spytał, szybko zakrywając je z powrotem.

- Wielkie nieba! - jęknął Cromwell i poruszył się niespokojnie w fotelu, który zatrzeszczał pod wpływem tego ruchu. - A zatem Bourbon Kid go jednak nie dopadł?

- Nie. Zabrałem je i uciekłem. Czułem, że on po nie przyjdzie. Ale potem, kiedy dowiedziałem się nowych rzeczy o Ishmaelu Taosie, moja wiara w jego nauki nieco się zachwiała. Uznałem, że na jakiś czas muszę odpocząć od wyspy. I wybrałem sobie idealną porę, kurde balans. Tej nocy, kiedy opuściłem wyspę, wszyscy moi współpracownicy, włącznie z Taosem, zostali zamordowani.

- I tej samej nocy została zdjęta klątwa z Ramzesa Gaiusa.

- Właśnie. Dlatego teraz tu wróciłem. Ciekaw jestem, czy może mi pan powiedzieć coś nowego o mumii. Z tego, co słyszałem, jest pan człowiekiem olbrzymiej wiedzy, który wie od groma na temat każdego eksponatu w tym wspaniałym muzeum.

- Pochlebiasz mi. - Cromwell uśmiechnął się. - Ale masz całkowitą rację. Później pokażę ci resztki naszej ekspozycji... inna sprawa, że niewiele zostało do oglądania. Ale ciekawi mnie coś jeszcze. Przed chwilą powiedziałeś, że podczas ostatniego pobytu w tym mieście napatrzyłeś się na bardzo dziwne rzeczy. Czy mógłbyś to rozwinąć? Chodzi o wampiry, czcicieli diabła czy o co? Bardzo chciałbym to wiedzieć.

Peto odetchnął głęboko.

- No cóż, nie sądziłem, że spotkam kiedyś kogoś, kto uwierzy w tę historię, ale w zasadzie wszystko zaczęło się, kiedy ja i Kyle, mój brat z zakonu, obejrzelśmy ten popieprzony film, *Weekend u Berniego*. Najpierw myśleliśmy, że to jakaś naciągana komedia,

ale po tym, co zobaczyliśmy później, zacząłem podejrzewać, że właściwie jest to film dokumentalny. Zaatakowały nas wampiry i widzieliśmy, jak łowca nagród, który twierdził, że pracuje na zlecenie Boga, rozwała w drobny mak wilkołaka. A potem pojawił się Bourbon Kid i podczas zaćmienia Słońca wykosił prawie wszystkich, z niewielką pomocą moją i niejakiego Dantego.

- Dantego Vittori. To mój były pracownik, ten, który rok temu przyszedł do mnie z Okiem Księżyca.

- Tak? Miły gość... tak mi się zdaje.

- I owszem. - Profesor bronił swojego sympatycznego byłego pracownika. - Jest może nieco nieokrzesany, ale miał śliczną młodą dziewczynę, która trzymała go w ryzach.

Peto skinął głową.

- A, tak. Faktycznie, ekstralaska.

Cromwell wstał zza biurka i podszedł do ściany książek po lewej.

- Często podejrzewałem, że to miasto jest siedliskiem żywych, trupów - powiedział, zdejmując z półki na wysokości oczu książkę w twardej oprawie. Przez chwilę przyglądał się okładce, zdmuchnął z niej kurz i wrócił do biurka.

- Och, one są wszędzie - zauważył mnich rzeczowym tonem. - Niedawno przeniknąłem do gangu wampirów, żeby przekonać się, czy uda mi się odkryć, gdzie może przebywać Bourbon Kid.

- Naprawdę? Jak ci się to udało? To chyba niebezpieczne?

Peto poklepał się po piersi.

- Ten niebieski kamień ma cudowne moce i na pewno wiele z nich dopiero muszę poznać, ale jedna pozwala mi się poruszać wśród żywych trupów bez obawy, że mnie zdemaskują.

- Fascynujące - rzekł Cromwell, kręcąc głową ze zdumienia i podziwu, gdy siadał z powrotem w wielkim skórzanym fotelu. - Ale w jakim celu tu wróciłeś i chcesz odnaleźć Bourbon Kida? Czy szukasz zemsty? Bo z tego, co słyszałem o tym gościu, lepiej go unikać.

- Chcę go wyleczyć.

Cromwell nie wierzył własnym uszom.

- Wyleczyć go? Z czego? Z zabijania ludzi? Moim zdaniem na to jest tylko jedno lekarstwo: krzesło elektryczne!

- Może mi pan wierzyć lub nie, ale ten facet wzbudził we mnie odrobinę współczucia - oświadczył mnich, chociaż przez chwilę nie był w stanie spojrzeć profesorowi prosto w oczy.

- O ile wiem, miał ciężkie dzieciństwo. I wierzę, że potrafię go wyleczyć z choroby, która

każe mu zabijać bez powodu. A przede wszystkim chcę mu spojrzeć prosto w twarz i sprawdzić, czy w głębi duszy czuje wyrzuty sumienia z powodu tego, czego się dopuścił. Skoro w jego żyłach płynie krew Ishmaela Taosa, to nie może być zły do szpiku kości. Wierzę, że gdzieś tam pod całą tą nienawiścią i gniewem bije w nim dobre serce.

Cromwell na sekundę uniósł brwi.

- Cóż, życzę powodzenia - bąknął, podsuwając mnichowi książkę, którą dopiero co zdjął z półki. - Proszę, stanowczo powinienes ją przeczytać. Wyjaśnia szczegółowo, na czym polega klątwa mumii, która uciekła stąd w zeszłym roku.

- Ramzesa Gaiusa?

- Kogóż by innego?

- Ta książka?

- Ależ tak. Ramzes Gaius był niezwykle potężnym władcą Egiptu głównie dzięki wiedzy, jaką posiadał, posługując się tym niebieskim kamieniem, który nosisz teraz na szyi.

- A więc to prawda? To on był pierwotnym właścicielem Oka Księżyca?

- Nie. Pierwszym był Noe.

- Co jest, kurwa, jaja se pan ze mnie robisz?

Profesor westchnął.

- Co ten kamień ma w sobie takiego, że każdy, kto go nosi, dostaje syndromu Tourettea?

- A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć? - Peto wzruszył ramionami. - Ale Noe... powaga?

- No, w każdym razie według tej książki - rzekł profesor. - Weź ją i przeczytaj. Skoro jasno dałeś do zrozumienia, że twoim zdaniem *Weekend u Berniego* nie jest filmem fabularnym, tylko dokumentem, to bez kłopotu uwierzysz przynajmniej w połowę tego, co tu znajdziesz. - Cromwell przerwał i zadumał się na chwilę, po czym mówił dalej: - No chodź, pokażę ci wystawę mumii egipskich, z której uciekł Gaius. Tej nocy, kiedy zniknął, zamordowano dwóch moich strażników. Jeden z nich zadzwonił do mnie w środku nocy i powiedział, że widział coś podejrzanego, niestety z przykrością stwierdzam, że zanim zdążył mi wyjaśnić, co to było, usłyszałem, jak ktoś go zabija.

- Bez jaj. Ta mumia?

- Prawdę mówiąc, coś mi się zdaje, że zabił go Beethoven.

Peto zmarszczył czoło.

- Beethoven? Ten bernardyn?

Cromwell przywykł do tego, że ma do czynienia z idiotami, ale to już przekraczało wszelkie granice. Wprawdzie, ogólnie rzecz biorąc, Peto był całkiem bystry, ale najwyraźniej

naoglądał się za dużo gównianych filmów i żyjąc z dala od Hubal, kierował się tym, co na nich widział.

- Nie, durniu! - warknął. - Beethoven, ten kompozytor.

Peto walnął się w czoło.

- Oczywiście. To ma sens. Jakżeż mogłem podejrzewać psa, skoro najwyraźniej winny jest dziewiętnastowieczny kompozytor?

Cromwell się zamyślił. Może jednak zbyt pośpieszył się z osądzaniem mnicha. Należały mu się chyba przeprosiny. Wstał z fotela.

- Chodź, po drodze napijemy się kawy i może coś przekąsimy - zaproponował.

- Dzięki - odparł Peto. Wsadził książkę pod pachę i wstał. -

Ale mam do pana jeszcze jedną prośbę.

- A konkretnie? - rzucił profesor z uśmiechem, ruszając do drzwi.

- Nie wie pan, gdzie mógłbym skombinować taśmę z *Weekendem u Berniego dwa*?

Rozdział dziewiętnasty

Jedną z niewielu rzeczy, które Sanchez cenił w życiu jak mało co, było śniadanie przygotowane przez kogoś innego. Za najlepszy lokal w Santa Mondega, gdzie można było zjeść porządne śniadanie, uchodziła knajpa Olé Au Lait. Mało tego, jedzenie podawała rozkoszna młoda kelnerka, Flake. Dzisiaj była aż tak miła, że obok talerza Sancheza położyła gazetę. Wiedział jednak, że traktuje go szczególnie dobrze tylko dlatego, że o tej porze - konkretnie o ósmej - w kawiarni nie było innych klientów. Pozostali mieszkańcy miasta leczyli pewnie kaca; w sumie był on jedynym rannym ptaszkiem w lokalu.

- Dostaniesz sowity napiwek - obiecał, puszczając oko do Flake. Uroczą młodą brunetka zrewanżowała się tym samym, ale nie odezwała się, tylko wróciła za kontuar, czekając na następne zamówienie. Sanchez był umiarkowanie przekonany, że odchodząc od stolika, specjalnie dla niego kręciła tyłkiem. Dlatego też wlepił wzrok w jej pupę, żeby te wysiłki nie poszły na marne.

Gdy przestał się gapić, spojrzał na to, co ma na stole. Szybko stygnąca filiżanka kawy podana dziesięć minut przed jedzeniem, które zamówił, gazeta i olbrzymi talerz pełen bekonu, kiełbasek, sadzonych jajek, wielgachnych grzybów, płatków owsianych i frytek domowej roboty. Od czego zacząć?

Najpierw łyknął kawy, po czym wziął sztućce i wbił je w najbliższą kiełbaskę. Podniósł widelec z nadzianą kiełbaską i odgryzł wielki kawał z jednej strony. Mmm, pychota, pomyślał.

Pierwszą stronę gazety zajmował nudnawy artykuł o skandalu z miejscowym księdzem, molestującym chłopców z chóru. Dobrze znana historia, zupełnie nieciekawa dla ludzi pokroju Sancheza. Jak w wielu innych brukowcach, także i w tym na trzeciej stronie zamieszczano zdjęcie ponętnej młodej dziewczyny. Barman odwrócił pierwszą stronę, żeby nasycić oczy.

Gdy jednak spojrzał na fotografię, o mały włos nie zadławił się kiełbaską. Opadła mu szczęka i na wpół przeżute kawałki mięsa spadły na blat stołu obok talerza. Ze zdjęcia na trzeciej stronie „Santa Mondega Universal Times” (przez miejscowych nazywanego SMUTASEM) gapiła się na niego Jessica. Wprawdzie całkiem ubrana, ale niewątpliwie była to ona. Przy bliższym spojrzeniu przekonał się, że jest to nie tyle jej fotografia, ile zdjęcie

portretu, zaopatrzone w podpis:

Zaginęła. 500 dolarów nagrody za informację na temat miejsca jej pobytu.

Wstrząśnięty, rozejrzył się podejrzliwie. Wciąż jeszcze był jedynym klientem Olé Au Lait, mógł więc spokojnie założyć, że nikt nie widział, jak kielbaska wypadła mu z ust. Jeśli nie liczyć Ricka, szefa kuchni za kontuarem.

- Wszystko w porządku, Sanchez? - zawołał Rick. Wielka, obwisła kucharska czapa opadała mu na twarz, ale i tak był niezwykle podobny do szwedzkiego kucharza z *Mupetów*. Miał wielkie krzaczaste brwi, malutkie, niemal niewidoczne paciorkowate oczy i sumiaste kasztanowe wąsy. - Coś nie tak z kielbaską?

- Nie. - Sanchez pokręcił głową. - Zebrało mi się na kichanie, i tyle. Już mi przeszło.

- Dobra. - Rick kiwnął głową i wrócił do lektury gazety rozłożonej na ladzie.

Sanchez zajął się swoją gazetą. Na zdjęciu Jessica była ubrana całkowicie na czarno, a jeśli dobrze pamiętał, czarny strój był jedynym, jaki posiadała. Pod fotografią wydrukowano krótki tekst, upraszający wszystkich, którzy wiedzą, gdzie jest ta kobieta, o kontakt z gazetą. Nie podano, kto zamieścił ogłoszenie ani kto wyznaczył nagrodę. Barman nie miał wprawdzie nic przeciwko temu, by zgarnąć pięćset dolców nagrody, ale zdecydowanie bardziej wolał pozostać przy życiu. Gdyby rozeszło się, że ukrywa pogrążoną w śpiączce Jessicę w pokoju nad barem Tapioca, to miał jak w banku, że odwiedzi go Bourbon Kid. A na to, kurna, nie miał najmniejszej ochoty. Może właśnie Kid zamieścił to ogłoszenie o zaginionej? Jedno było pewne - musi się dowiedzieć, kto szuka Jessiki i dlaczego. Nie mógł jednak ryzykować i samemu dzwonić do SMUTASA, boby się wydało, że interesuje się tą historią. Rozkojarzony, podniósł na w pół przeżute kawałki kielbaski ze stołu, wsadził je do ust i znów zaczął żuć. Gdy już je przełknął i popił haustem kawy, zawołał do kucharza:

- Ej, Rick! Chciałbyś zarobić na darmową flaszkę gorzałki?

Rick zmarszczył czoło.

- Jak muszę na nią zarobić, to nie jest darmowa.

- Chcesz tę pieprzoną flaszkę czy nie?

- Jasne. A gdzie jest haczyk?

- Mógłbyś zadzwonić zamiast mnie do SMUTASA i dowiedzieć się, kto zamieścił to ogłoszenie o zaginionej? - Barman podniósł otwartą na trzeciej stronie gazetę, żeby kucharz mógł się przyjrzeć.

Rick wylazł zza kontuaru, wziął gazetę i obejrzał ogłoszenie.

- Nie da rady, nie powiedzą, kto je nadał. To poufna informacja - powiedział, wzruszając ramionami.

- Musi być jakiś sposób, żeby się dowiedzieć.
 - Może i jest. Kumpel mojego kumpla pracuje dla SMUTASA. To pewnie mogę poprosić, żeby pogrzebał i sprawdził, jeżeli to dla ciebie takie ważne.
 - Jest ważne. I warte najlepszej flaszki mojej gorzały, którą dostaniesz, jak mi to załatwisz.
 - Whisky z Tennessee? - zapytał kucharz z nadzieją.
 - Cokolwiek zechcesz - obiecał Sanchez wspaniałomyślnie. Ci, co go znali, wiedzieli, że jeśli gotów jest oddać gratis coś, na co musiał zapracować w pocie czoła, to sprawa jest dla niego naprawdę ważna.
 - Dobra, stoi. To może potrwać dzień czy dwa, ale przekręcę do ciebie, jak tylko czegoś się dowiem.
 - Dzięki, Rick, jestem ci bardzo wdzięczny - rzekł Sanchez. Zabrzmiało to całkiem szczerze. - Dolej mi jeszcze kawy, co?
- Rick zatroskał się.
- A dlaczego nie zadzwonisz do SMUTASA sam? - zapytał.
 - Nie chcę, żeby ktoś wiedział, że interesuję się tą dziewczyną, i tyle. Niech to zostanie między nami. Zgoda?
 - Jasne - przytaknął kucharz. Nagle uśmiechnął się szeroko i dorzucił: - Wiesz, gdzie stoi dzbanek z kawą. Sam sobie dolej, spaślaku.

Rozdział dwudziesty

Stephanie Rogers dostała najbardziej pasjonujące zadanie w całej swojej policyjnej karierze. Choć fakt, że początkowo wyglądało to na nudne ćwiczenia. Przeczytać książkę, dokonać prezentacji opartej na tym, co odkryje, i podsunąć ważnym panom detektywom pomysły, jak mają się zabrać do sprawdzania jej odkryć. Nie była to jednak normalna książka, tak jak i nie była to normalna komenda policji w mieście, które także dalekie było od normalności.

Funkcjonariuszka Rogers dostała do czytania księgę bez tytułu napisaną przez anonimowego autora. Tę samą księgę, którą czytało wielu innych ludzi, tyle że już nieżyjących. Wszystkich zamordowano. Nikt nie pozostał przy życiu. Sukces jej zadania zależał od tego, co też znajdzie na kartach tej księgi. Liczono na to, że odkryje powody, dla których doszło do tych morderstw. No cóż, właśnie zakończyła zadanie. Projekt jednoosobowy i o najwyższym stopniu tajności. Mogła rozmawiać o nim wyłącznie z kilkoma osobami, które jej to zleciły.

Teraz właśnie przedstawiała swoje odkrycia owym nielicznym wybrańcom. Trzem detektywom mającym wyjaśnić wielką tajemnicę *Księgi bez tytułu*, jej związek z morderstwami i oczywiście z niesławnej pamięci Bourbon Kidem.

Od początku wbijano Stephanie do głowy, że ma im przedstawić absolutnie wszystko, co uda jej się odkryć, choćby wydawało się zgoła absurdalne. Przyjęła to z ulgą, bo szczerze mówiąc, jej odkrycia były z gruntu nedorzeczne i całkowicie niewiarygodne.

W pokoju odpraw siedzieli kapitan De La Cruz oraz detektywi Benson i Hunter, każdy przy osobnym biurku. Wygląd i atmosfera pomieszczenia przywodziły na myśl salę lekcyjną w szkole. Całą jedną ścianę zajmowały okna, z zaciągniętymi ciemnymi żaluzjami. Ściana naprzeciwko była bez okien, jeśli nie liczyć małej szybki w drzwiach po lewej stronie mównicy dla prelegenta, przed którą stało dwanaście biurk, po trzy w każdym rzędzie.

Na małym plastikowym krzeselku w pierwszym rzędzie, od strony okna, siedział Michael De La Cruz. Był to przystojny Latynos, zawsze starannie uczesany i ubrany z nienagannym gustem. W całej policji nie było pewnie równie próżnego oficera, ale jego starannie wystudiowany wygląd najlepiej odzwierciedlał skrupulatność, z jaką podchodził do wszelkich aspektów życia. Dla tego człowieka liczyły się nawet najdrobniejsze szczegóły.

W każdym razie z pewnością dla niego liczyły się dużo bardziej niż dla jego kolegi, Randy'ego Bensona - siedzącego w trzecim rzędzie niechluj, który sprawiał wrażenie niedomytego. Benson wciąż jeszcze mieszkał z matką i chodziły słuchy, że nigdy nie miał dziewczyny. Stephanie wierzyła w te plotki, bo ten zaniedbany, siwowłosy frajer w brązowym bezrękawniku słyszał z tego, że jest w gorącej wodzie kąpany - co zapewne wynikało z głęboko zakorzenionej frustracji seksualnej. Był pod każdym względem nieatrakcyjny. A do tego wyjątkowo owłosiony. Stephanie sądziła, że gdyby, Boże uchroni!, zobaczyła go kiedyś bez koszuli, to pewnie by się okazało, że do klatki piersiowej ma przylepioną fryzurę afro.

Trzeci funkcjonariusz, Dick Hunter, siedział przy środkowym biurku w ostatnim rzędzie. Stephanie nie знаła go zbyt dobrze. Służył w policji zaledwie od ośmiu miesięcy czy coś koło tego - kolejny z wielu rekrutów sprowadzonych do miasta, by wzmocnić szeregi policjantów, przeredzone w wyniku ubiegłorocznej masakry. Ten pochodzący z Republiki Południowej Afryki lekko łysiejący jasny szatyn przeważnie sprawiał wrażenie człowieka wykształconego i wygadanego. Może tylko jest zbyt nieśmiały, pomyślała Stephanie.

Przez trzydzieści minut trzech policjanci słuchali, jak Stephanie opowiada o tym, co odkryła, ale nikt z nich ani razu jej nie przerwał i w żaden sposób nie zdradził się z tym, co myśli. Stephanie stwierdziła, że nie potrafi się zorientować, czy trzech funkcjonariusze po trzydziestce biorą ją na serio, czy nie, dlatego zanim doszła do podsumowania, czuła się zażenowana i żałowała, że w ogóle przydzielono jej to zadanie.

- A zatem podsumujmy - powiedziała, nareszcie wzbudzając zainteresowanie Michaela De La Cruza. Chciała mu zaimponować, już choćby dlatego, że zaledwie pół roku wcześniej miała z nim krótki, acz burzliwy romans i liczyła na powtórkę. Ten facet był seksualnym tyranozauem. Po prostu diabłem wcielonym.

Słyszając, że Stephanie przystępuje do podsumowania, usiadł prosto, jak gdyby dopiero teraz zaczął zwracać uwagę na jej słowa. Za wszelką cenę starała się nie okazywać po sobie, że to zauważyła, ale zdekoncentrował ją na chwilę. Przechodząc do końcowej części wystąpienia, przerwała na moment, żeby nie zaplątać się we własne słowa. Na tę prezentację specjalnie wystroiła się w najelegantsze i najbardziej seksowne ubranie służbowe - w szary zakiet i białą bluzkę odsłaniającą lekko dekolt, a jednak ani jeden z tych żalonych palantów nie zdobył się na komplement. Jedyne Benson łypnął na nią pożądliwie, ale to nic nowego. Gapiłby się na kobietę w worku na śmieci, gdyby sądził, że zobaczy kawałek ciała.

Z różnych powodów nie chcąc nawiązywać kontaktu wzrokowego z żadnym z

detektywów, utkwiała spojrzenie w ekranie komputera na małym stoliku obok mównicy i rozpoczęła podsumowanie.

- *Księga bez tytułu* to w zasadzie miszmasz rozmaitych historii i rzekomych faktów skleconych w jeden tom. W większości jest zupełnie bez sensu. Gramatyka i ortografia są wręcz koszarne, natomiast autor to niewątpliwie idiota, co być może tłumaczy, dlaczego się nie podpisał pod tekstem. - De La Cruz roześmiał się uprzejmie, co trochę ukoilo jej nerwy. Pozwoliła więc sobie na przelotny uśmiech, po czym mówiła dalej: - Chociaż to akurat może wynikać z tego, że autorów było kilku, nie jeden. W każdym razie główne fakty są takie... - Wskazała biały ekran za sobą, na którym pojawił się pierwszy slajd z prezentacji przygotowanej na komputerze. Była to fotografia Archiego Somersa. - Detektyw Archibald Somers, wysoce ceniony oficer tego wydziału aż do czasu tajemniczego zniknięcia, w rzeczywistości był Panem Żywych Trupów, Armandem Xavierem.

Poczuła gwałtowny skurcz żołądka, gdy potworność jej słów targnęła nią niczym ciężki atak zatrucia pokarmowego. Trzej policjanci porozumieli się wzrokiem. Żaden z nich nie dał po sobie nic poznać, ale też nie było takiej potrzeby. W przekonaniu Stephanie niewątpliwie mieli ją za idiotkę. Teraz już nie ma sensu się zatrzymywać, pomyślała i pokazała drugie przezrocze.

- Ta kobieta, znana jako Jessica Xavier, była jego żoną i to przez nią zamienił się w jednego z żywych trupów, krótko po tym, jak znalazł świętego Graala i wypił krew Chrystusa, co... jakżeby inaczej!... uczyniło go nieśmiertelnym. - Na wszelki wypadek, żeby się z niej potem nie śmiali, usilnie starała się sprawiać wrażenie, że nie wierzy w te bzdury, które im relacjonuje. Ale i tym razem nie zareagowali.

Slajd trzeci - zdjęcie mężczyzny w kapturze, z twarzą ukrytą w cieniu.

- Ten człowiek, Bourbon Kid, rzekomo zabił zarówno Archibalda Somersa... czy, jak kto woli, Armanda Xaviera... jak i jego żonę Jessicę podczas ubiegłorocznego zaćmienia Słońca. Ich trzech synowie - puściła slajd czwarty, zdjęcie El Santina, Carlita i Miguela, trzech miejscowych gangsterów zastrzelonych w Tapioce - prawdopodobnie także zostali zabici przez Kida. Ich zwłoki wydobyto spośród innych i potwierdzono, że nie żyją.

Slajd piąty - zdjęcie *Księgi bez tytułu*, wykonane zapewne na podstawie starego drzeworytu.

- Ta księga, którą właśnie czytałam i badałam, została rzekomo wykonana z krzyża, na którym ukrzyżowano Jezusa Chrystusa. A to oznacza, że żaden żywy trup nie może jej dotknąć, bo go zabije. Coś jak z Supermanem i Kryptonem. - I znów, brak uśmiechów ze strony publiczności. Ja pierdziele! - Księga ta niezbitnie dowodzi, że Archibald Somers to

Armand Xavier i to z tego powodu zabijał każdego, kto ją przeczytał. Rzecz jasna, nie mógł zniszczyć samej księgi, bo dotknięcie jej groziłoby mu śmiercią.

Slajd szósty - stop-klatka z *Indiany Jonesa i ostatniej krucjaty*, na której Harrison Ford trzyma drewniany kubek.

- Kielich Chrystusa. Księga nie mówi nic na temat tego, gdzie się znajduje, poza tym że ostatni ludzie, którzy go widzieli, to Armand Xavier i jego przyjaciel Ishmael Taos... mnich i, naszym zdaniem, ojciec Bourbon Kida.

Slajd siódmy - zdjęcie mnicha mające przedstawiać Ishmaela Taosa, chociaż naprawdę był to Chow Yun Fat w filmie *Kuloodporny*.

- Według *Księgi bez tytułu* picie z kielicha Chrystusa, znanego także jako święty Graal, zapewnia nieśmiertelność. - Przerwała. - No, niezupełnie. - Trzej detektywi przejawili większe zainteresowanie, tak samo jak wcześniej, kiedy pierwszy raz dotknęła tego tematu w swojej prezentacji. - Picie krwi Chrystusa gwarantuje nieśmiertelność, tyle że Xavier i Taos wypili ją setki lat temu i dla innych już nic nie zostało. Nieśmiertelność można sobie także zapewnić, chociaż w mniejszym stopniu, pijąc krew Xaviera, Taosa albo ich potomków. Wypicie krwi wampira z tego kielicha daje z grubsza ten sam efekt, z tym tylko, że biorca staje się żywym trupem. Moim zdaniem ta księga *de facto* mówi, że człowiek przejmuje siłę tego, czyją krew pije ze świętego Graala. A więc gdybyście wypili krew Einsteina, stalibyście się geniuszami czy kimś takim. Ale w tekście znajduje się także sugestia, której, jak podejrzewam, nigdy nie sprawdzano. Ten, kto wypije mieszankę krwi potomków tych, którzy napili się krwi Chrystusa, krwi wampira i krwi śmiertelnika, nie tylko stanie się nieśmiertelny, ale i wszechpotężny. Zostanie nie tylko Królem Żywych Trupów, ale Królem czy Panem Wszystkiego. Bardziej potężnym niż Somers, Jessica, Bourbon Kid czy Ishmael Taos. A zapewne potężniejszym niż oni wszyscy razem wzięci. Kartą atutową, jeśli wolicie.

Co rzekłszy, formalnie zakończyła prezentację i popatrzyła na trzech mężczyzn, licząc na jakąś reakcję z ich strony... miała nadzieję, że pozytywną. Poczula ulgę, gdy De La Cruz zaczął bić brawo.

- Stephanie, przeszłaś samą siebie. Fantastyczny materiał.

- Naprawdę?

- Jeszcze jak. To jest dokładnie to, o co nam chodziło.

- Wobec tego powinnam dodać, że jest jeszcze jedna rzecz, której nie włączyłam do prezentacji. Najlepsza z tego wszystkiego.

Benson i Hunter wyprostowali się na krzesłach jak struna. Czy Stephanie Rogers rzeczywiście coś miała, jakieś informacje lepsze od tego, co już ujawniła?

De La Cruz wstał z krzesła i przemówił w imieniu wszystkich.

- Słuchamy - rzekł, dołączając do Stephanie przy komputerze.

Odetchnęła głęboko.

- Odkryłam, co się stało z Ishmaelem Taosem - oświadczyła z uśmiechem.

- Nie przeszkadzajcie, dajcie jej mówić! - pisnął Hunter zza biurka na tyłach pokoju.

- Krótco po zaćmieniu Słońca Ishmaela Taosa zamordowano. Ktoś odciął mu głowę w jego sypialni.

- Au! - wrzasnął De La Cruz, krzywiąc się i masując kark.

- Podejrzewam, że zamordował go Bourbon Kid, który, jak już wcześniej sugerowałam, jest jego synem. Kid zabił i jego, i wszystkich innych mnichów z wyspy Hubal, a potem zniknął wraz z bezcennym przedmiotem, niebieskim kamieniem znanym jako Oko Księżycy.

Trzej detektywi porozumieli się wzrokiem. Nie wiadomo dlaczego Stephanie przyszło nagle na myśl, że o tym akurat chyba już wiedzieli. Prawdopodobnie tylko udawali zaskoczenie, żeby nie sprawić jej przykrości. A zatem... najwyższy czas zaskoczyć ich raz jeszcze.

- Wiedzieliście już o tym? - zapytała.

- Tak podejrzewaliśmy - przyznał Benson, wstając z krzesła i pocierając krocze, żeby poprawić genitalia. Hunter poszedł w jego ślady i także wstał. Podniósł teczkę stojącą na podłodze z boku biurka i ruszył do wyjścia. Ale ich dowódca, kapitan De La Cruz, ruchem ręki kazał im zaczekać. Dostatecznie dobrze znał Stephanie, by wiedzieć, że ma im jeszcze coś do powiedzenia, coś ważnego.

Stephanie faktycznie miała im coś do powiedzenia. Próbowwała zdobyć się na nonszalancję, ale jej głos zdradzał, jak bardzo jest z siebie dumna.

- A czy któryś z was wie, kim jest Bourbon Kid? - zapytała z nutką samozadowolenia.

- Albo gdzie mieszka?

- E tam. - De La Cruz pokręcił głową. - Nikt tego nie wie. I podejrzewam, że nikt nigdy się nie dowie.

Stephanie uśmiechnęła się. Nadeszła jej wielka chwila.

- A ja chyba wiem - oświadczyła.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Hotel, w którym Dante zarezerwował pokój na miesiąc miodowy w charakterze niespodzianki dla Kacy, okazał się idealny na punkt tranzytowy w jego misji jako tajnego agenta. Po szybkim podniesieniu standardu, za co Robert Swann zapłacił gotówką, znaleźli się w imponującym apartamencie na drugim piętrze. Szczęśliwa para miała dla siebie podwójną sypialnię, a poza salonem była tam jeszcze druga sypialnia dla Swanna i jego koleżanki, którzy mieli ich „niańczyć”.

Dante siedział na wielkim podwójnym łożu w sypialni, którą dzielił z Kacy. Pomieszczenie było naprawdę przestronne, ze świeżo wypranym pomarańczowym dywanem; na samym środku stało łóżko. Już tylko minuty dzieliły Dantego od rozpoczęcia pierwszej nocy, podczas której będzie próbował uchodzić za wampira.

Do pokoju wszedł Swann i podszedł do podopiecznego z pełną surowicy strzykawką w rękę.

- Gotowy na zastrzyk? - zapytał, siadając na łożku.

- No już, wsadź mi, ty żaloszny dupku - warknął chłopak.

Podwinął lewy rękaw kasztanowej koszuli, żeby Swann mógł mu zrobić konieczny zastrzyk życiodajnej surowicy. Obok niego siedziała Kacy, w dzinsach i różowym T-shircie. Trzymała go za rękę, chcąc jak najlepiej wykorzystać ostatnie chwile, zanim te tchórzliwe szumowiny z tajnych służb wyślą go, żeby odwalił za nich brudną robotę. Modliła się z całego serca i liczyła na to, że uda mu się przeżyć pierwszą noc wśród wampirów i że dzięki surowicy nie zostanie zdemaskowany. Wyjaśniono im, że surowica obniży temperaturę krwi Dantego na tyle, by mógł się obracać między żywymi trupami bez obawy, że skończy jako danie na ich kolacji.

Agent Swann sprawiał wrażenie, że czerpie chora przyjemność z wstrzykiwania przezroczyściego płynu w ramię chłopaka. Trzeba oddać Dantemu sprawiedliwość, że nawet się nie skrzywił, gdy igła wbiła się w żyłę i pozostała w niej jakieś piętnaście sekund, znacznie dłużej, niż to było konieczne. Swann, urodzony sadysta, z każdą chwilą coraz bardziej nie lubił młodego człowieka (co jest typowe dla większości ludzi u władzy), dlatego też przedłużanie bólu Dantego nieźle go jarało.

Razem z nimi w sypialni przebywała nowa koleżanka Swanna, agentka specjalna

Roxanne Valdez. Ta wysoka, czarnoskóra kobieta o zaczesanych do tyłu, ozdobionych koralikami włosach miała na sobie obcisły biały sweterek, uwydatniający wspaniałe wypukłości. Do tego nosiła krótką brązową spódniczkę. Ich stroje były częścią fasady stworzonej na użytek personelu hotelu - dwóch par spędzających razem wakacje. Swann ubrał się jak turysta, w niebieską hawajską koszulę i bermudy khaki. No i całą dyskrecję szlag trafił, pomyślał młody człowiek, mężnie znosząc zastrzyk aplikowany mu przez agenta specjalnego. Jesteś żywą reklamą tajnego agenta, głupi fiucie!

W końcu agentka Valdez położyła kres nieprzyzwoicie długiemu zastrzykowi. Zauważyła, że kolega zbytnio napawa się tą czynnością.

- No już, starczy tego! - warknęła. - Robisz z siebie ostatniego dupka. Skończ z tym!

Swann szybko obrzucił ją mściwym spojrzeniem i wyciągnął igłę z ramienia Dantego.

- Specjalnie się przykładałem, żeby na pewno podać mu tyle surowicy, ile trzeba. Od przybytku głowa nie boli - wyjaśnił, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Sprawdził, że w strzykawce nic nie zostało, wstał i wyniósł ją z pokoju. Przemierzył duży salon wyposażony w kanapę, dwa głębokie fotele, minibarek, niski stolik i telewizor i zniknął za drzwiami w rogu, prowadzącymi do jednej z dwóch łazienek należących do apartamentu. Gdy wyszedł, Roxanne Valdez podeszła z boku do łóżka, tam gdzie siedział Swann w trakcie zastrzyku. Przysiadła obok Dantego i ujęła go za ramię, sprawdzając, czy po wkłuciu igły nie został zdradziecki siniak. Kacy była przekonana, że agentka trzyma biceps jej chłopaka w taki sposób, jakby chciała sprawdzić jego siłę, a nie siniaki. Poza tym Valdez ukradkiem oparła wolną rękę na jego udzie, jak gdyby chciała się podeprzeć. Mało tego, wyglądało na to, że dotyka Dantego ciutkę dłużej, niż to konieczne dla dokonania oględzin.

- W porządku, wyglądasz całkiem nieźle - orzekła Valdez, uśmiechając się do swojego pacjenta. - Jak się czujesz? Gotów stanąć do walki ze światem przestępczym?

Dante spojrzał jej w oczy i zdobył się na sztuczny uśmiech.

- Ugryź mnie, suko! - warknął.

Kacy z ulgą przekonała się, że ani uśmiech, ani ciut niestosowne trzymanie za biceps nie sprawiło, żeby jej chłopak polubił agentkę.

- Hej, nie bądź taki - odparła Roxanne, uśmiechając się do niego ciepło i znowu pieszcząc jego ramię. - To jak, jesteś gotów nosić dzisiaj podsłuch? Czy na razie wolisz nie?

- Nosić podsłuch? Czy ja ci wyglądam na głupią cipę?

- Nie - odparła Roxanne spokojnie. - Tutaj nikt nie wygląda na cipę.

- Nie zgadzam się - rzekł chłopak, wskazując przez drzwi na agenta Swanna. - Popatrz na niego. Cipa.

Swann wmaszerował z powrotem.

- Słyszałem. Daj se siana. Wszyscy mamy swoje rozkazy, no nie? To nie ja wymyśliłem dla ciebie tę misję. Jestem tylko facetem, któremu polecili was niańczyć. I wcale nie bawi mnie siedzenie w tym pieprzonym hotelu przez cały pieprzony dzień i pilnowanie tej twojej marudnej przyjaciółeczki. Więc daruj sobie te gówniane uwagi.

- Oj, bo się, kurwa, rozplącę! - rzucił Dante, przedrzeźniając go. - Jeszcze raz nazwiesz Kacy marudą, a tak ci dam popalić, że dopiero będziesz miał powód do płaczu.

- Co ty powiesz? - zadrwił Swann ponad jego ramieniem, wracając do salonu.

- To, coś słyszał.

Roxanne postanowiła położyć kres temu prężeniu mięśni, którego infantylność jej zdaniem ocierała się o poziom piaskownicy, i wtrąciła się, żeby rozładować sytuację. Jeszcze raz pogładziła ramię chłopaka i opuściła mu rękaw, zakrywając ślad po zastrzyku.

- Słuchaj, Dante, dziś wieczorem zapomnijmy o podsłuchu - powiedziała spokojnie. - Przekonaj się tylko, czy uda ci się dostać do któregoś z klanów wampirów. I sprawdź, w którym z nich ukrywa się twój kumpel mnich. Możliwe, że on już nie żyje, a jeśli tak, to dowiedz się wszystkiego, co tylko się da, o Oku Księżycy i czy któremuś z klanów udało się go zdobyć.

- Ona ma rację, kolego! - zawołał Swann z sąsiedniego pokoju, gdzie stał oparty plecami o dębowy stół przed łazienką. - Jak już ustaliliśmy, najlepiej wybierz się do Lelka-Kufelka. To tam się zbierają wszystkie wampiry. Zobacz, czy uda ci się dostać do środka, oczaruj swoją osobowością jakiegoś wampira, który będzie sam, zakoleguj się z nim i poproś, żeby przedstawił cię kumplom. I ani się obejrzyysz, jak będziesz walił z gwinta z samym pieprzonym hrabią Draculą. Betka. Dasz se radę.

- Skoro to, kurde, takie łatwe, to czemu sam tego nie zrobisz, twardzielu? - odciął się Dante.

- Chętnie bym się tym zajął, gdyby nie to, że nie wiem, jak wygląda ten twój koleś mnich, Peto. Kapujesz, jełopie?

Swann cmoknął, jak gdyby zirytowała go głupota chłopaka, mimo że nie zamieniłby się z nim miejscami za żadne skarby świata. Znów ruszył w kierunku sypialni, lecz przystanął przed minibarkiem, żeby wziąć coś do picia. Kiedy się schylił i zajrzał do lodówki, Kacy ścisnęła ramię Dantego, by zwrócić jego uwagę. Ten przestał obserwować Swanna i odwrócił się do niej.

- Nie zadawaj żadnych pytań, jeśli uznasz, że wpadłbyś przez to w kłopoty - powiedziała; nie potrafiła zetrzeć zmartwienia malującego się na jej twarzy. - Jeżeli uznasz,

że to by cię spaliło i wyszedłbyś na obcego, nie pytaj o nic. W zasadzie na razie nic nie rób, tylko próbuj się do nich dopasować. Pieprz tych agentów i ich żądania. To dopiero twoja pierwsza noc jako tajniaka. Nie śpiesz się. Nie wyrwij się z czymś głupim. Nastawiaj tylko uszu, gdzie możesz, a nuż dowiesz się czegoś pożytecznego.

Dante nachylił się i pocałował ją w usta, żeby się uspokoiła; uwolnił rękę z uścisku Roxanne Valdez i zaczął głaskać długie czarne włosy Kacy, dodając jej otuchy.

- Zaufaj mi, maleńka. Wiem, co robię. Jak trzeba, potrafię się wmieszać w każde środowisko. Nic się nie martw, przed świtem będę z powrotem.

- Tylko uważaj na siebie. I, do kurwy nędzy, nigdy więcej nie mów „ugryź mnie”.

- Nie ma sprawy, maleńka. - Dante puścił do niej oko i wstał z łóżka. - No dobra, chyba już czas.

W drzwiach stanął Swann i kiwnął na niego palcem.

- Słuchaj swojej dziewczyny, kolego. Nie rób głupot, ale postaraj się dowiedzieć wszystkiego, o czym gadaliśmy. I chcę znać szczegóły dotyczące każdego klanu z osobna. Zobacz też, czy uda ci się wykryć, kto jest głową każdego z klanów. Jak zrobisz wrażenie na szefie, to może na koniec dostaniesz jeszcze jakąś nagrodę.

- W dupie mam, czy twój szef będzie pod wrażeniem - mruknął chłopak, przecisnął się obok agenta i wyszedł do salonu. - Ten łysy kutas, co go nazywasz swoim szefem, niech sam se szuka pieprzonych głów klanów.

Wszedł do łazienki i zniknął za drzwiami. Ta łazienka była mała (większa przylegała do sypialni Dantego i Kacy); po lewej była biała umywalka z porcelany, naprzeciwko niej kabina prysznicowa, w rogu sedes, a wszystko to od kompletu. Chłopak stanął przed umywalką i przejrzał się w lustrze. Dasz radę, szepnął pod nosem. Masz nerwy ze stali. Poradzisz sobie. To łatwizna.

Zacisnął pięści, zrobił minę twardziela i obejrzał się w lustrze. Nie chciał, żeby Kacy widziała go w takim stanie, jak musi się nakręcić do działania. Powinna zobaczyć go zimnego, na luzie i niewzruszonego, takiego jak wtedy, gdy w sąsiednim pokoju dał sobie zrobić zastrzyk. Nie miało sensu martwić jej bardziej, niż to absolutnie konieczne. Nic by to nie dało, gdyby wiedziała, że po raz pierwszy w życiu jest wręcz sparaliżowany strachem.

Po krótkiej walce na spojrzenia ze swoim odbiciem w lustrze odkręcił kurek do gorącej wody nad umywalką i oburącz ochlapał twarz. Surowica zaczynała działać i dostał zimnego kopa, gdy spadła mu temperatura krwi. Ciepła woda pomogła uporać się z początkowym lodowatym wstrząsem.

Wkrótce zza framugi wyjrzała ciemna twarz Roxanne.

- Wszystko w porządku? - zapytała agentka. - Mam wrażenie, że jesteś zdenerwowany, kotku. Może strzelisz sobie jednego, zanim wyruszysz?

- Nie, szafa gra - rzekł Dante. - Te pojebane wampiry pewnie tankują jak gąbka, więc najlepsze, co mogę zrobić, to się nie upodlić przed wyjściem. W nocy i tak pewnie nażłopię się browaru i tequili, a bądźmy szczerzy, im bardziej się nawalę, tym większa szansa, że się wpakuję w kłopoty.

Roxanne weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Stała obok chłopaka i zaczęła masować mu kark.

- Wiesz, Dante, w sumie jesteś o wiele bystrzejszy, niż to się ludziom wydaje - powiedziała z uśmiechem, żeby go podnieść na duchu.

- Dzięki. - Zrewanżował jej się uprzejmym uśmiechem, kiedy czule przesunęła dłonią po jego ramieniu. Może jednak nie była aż taką suką? Jak dotąd robiła, co mogła, żeby go uspokoić. Należało jej się z jego strony chociaż trochę wdzięczności. - Będę się zbierał.

Poklepał ją z wdzięcznością po ramieniu, przecisnął się obok niej w wąskiej przestrzeni między umywalką a prysznicem i otworzył drzwi. Uśmiechnął się do niej po raz ostatni i wyszedł z łazienki, gotów stawić czoło żywym trupom po raz pierwszy od wyjazdu z Santa Mondega przed rokiem.

Szkoda więc, że chociaż zachowywał zimną krew, nie starczyło mu sprytu, by zwrócić uwagę na jedną rzecz, kiedy Roxanne stała obok niego i masowała mu kark.

W lustrze nad umywalką widać było tylko jego odbicie!

Rozdział dwudziesty drugi

Szatnia w podziemiach budynku komendy głównej policji nie była używana od lat. Od czasu do czasu funkcjonariusze schodzili tam, żeby pogadać na osobności, ale było to źle widziane i oficjalne stanowisko głosiło, że tych, którzy się wedrą do szatni, może czekać publiczna reprimenda.

Mimo to Stephanie przebywała właśnie w tejże szatni wraz z De La Cruzem, Bensonem i Hunterem.

- Czego właściwie tu szukamy? - zapytała nerwowo. Miała bzika na punkcie procedury i nie lubiła wchodzić tam, gdzie oficjalnie było to zabronione.

- Niczego nie szukamy, przeciwnie - odparł De La Cruz. - Coś tu znaleźliśmy i moim zdaniem powinnaś to zobaczyć.

Poprowadził ich przez tracącą stęchlizną, obskurną szatnię do dawien dawna nieużywanych pryszniców na tyłach. Ufała Michaelowi De La Cruz, ale przebywanie w podziemnej szatni z trzema samcami (nawet jeśli to policjanci) było cokolwiek przerażające. Mimo to starała się ukryć ogarniające ją napięcie. Szła tuż za De La Cruzem, a Benson i Hunter trzymali się nieco z tyłu, jak gdyby chcieli pogadać szeptem na osobności. I rzeczywiście tak było.

Gdy weszli do otwartego pomieszczenia z natryskami, De La Cruz odwrócił się do Stephanie.

- Jesteś gotowa dowiedzieć się, dlaczego wstęp do tej szatni od zawsze jest wzbroniony?

Uniosła brwi.

- Jasne.

De La Cruz nacisnął przycisk włączający prysznic, który znajdował się najdalej od wejścia. Nagle rozległ się hurkot, a po nim nastąpił przeciągły, bardzo głośny zgrzyt. Jasnyniebieska ściana za natryskami zaczęła przesuwać się w lewo. De La Cruz właśnie otworzył tajemne przejście. Furtkę do rzeczy, których pewnie lepiej nie tykać. Stephanie ogarnął jeszcze większy niepokój. Właściwie to co takiego chcą jej tu pokazać? A jednak wbrew sobie zaintrygowana tym, co może zobaczyć, pozwoliła, żeby ciekawość wzięła górę, i zajrzała do środka, chcąc się przekonać, coż to za sekret, że trzeba go ukrywać za ścianą pod

prysznicami. Na pierwszy rzut oka nic tam nie było. W mroku małego pomieszczenia odsłoniętego przez ruchomą ścianę dostrzegła jedynie antyczny drewniany stół, a na nim książkę i złoty kielich mszalny. Odwróciła się od ciemnego pokoju i spojrzała pytająco na De La Cruza.

- To, moja droga Stephanie, jest święty Graal, o którym czytałaś w *Księdze bez tytułu* - powiedział cicho. - Albo, jeśli wolisz, kielich Chrystusa. Przez cały czas był tutaj, pod naszym nosem, ukryty w podziemiach komendy głównej policji.

Nie bardzo wiedząc, jak zareagować na to osobliwe wyznanie, Stephanie po prostu uśmiechnęła się z przekąsem. Ten De La Cruz pewnie się ze mnie nabija, pomyślała.

- Żartujesz sobie, co? - spytała, sprawdzając reakcje Bensona i Huntera za jej plecami. Obaj wyglądali śmiertelnie poważnie. - Jak to, nie nabijasz się?

De La Cruz pokręcił głową.

- Widzisz tę książkę na stole? - zapytał.

- Tak.

- Uważamy, że napisał ją Archibald Somers. Wygląda to jak dziennik czy inny pamiętnik. Potwierdza większość z tego, co mówiłaś nam o zawartości *Księgi bez tytułu*.

- Naprawdę? To po co kazaliście mi prowadzić te badania?

Stephanie miała mętlik w głowie. I była zirytowana. Skoro po lekturze tej nowej książki wiedzieli aż tyle, to po co zmusili ją do czytania w całości pieprzonej *Księgi bez tytułu*?

- Cóż, wygląda na to, że Somers pisał własną wersję. Tyle że to coś w rodzaju dziennika, ze szczegółowym wykazem jego wykroczeń i tłumaczący, jak przepisywał własnymi słowami historię *Księgi bez tytułu* - odparł De La Cruz. - Jako jeden z żywych trupów, nie mógł dotknąć oryginalnej książki. Ustaliliśmy już, że dotknięcie książki by go zabiło, a zatem najwyraźniej spisywał własną wersję, z mnóstwem nowych rozdziałów.

- A jaki to ma związek z naszą sprawą? - spytała Stephanie, z każdą minutą coraz bardziej zdenerwowana tym wszystkim.

De La Cruz przeciągnął palcem pod kołnierzykiem koszuli i poluzował go.

- Nie jesteś ciekawa, dlaczego ukryta jest tu w podziemiach?

- Czy przypadkiem także prowadzi do śmierci każdego, kto ją przeczyta?

Z tyłu doleciał ją krótki śmiech Bensona. Zerknęła na niego, ale jego twarz znów przybrała surowy, poważny wyraz.

- Jest tutaj, bo sam ją tu ukryłem - oświadczył kapitan, podchodząc do stołu i otwierając czarną skórzaną okładkę książki.

Nagle Stephanie poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Do czego zmierzał De La Cruz?

- Nie rozumiem, co próbujesz mi powiedzieć - wydukała.

Kapitan westchnął, po czym odparł cierpliwie:

- Ta księga ujawniała miejsce ukrycia świętego Graala. Przyszedłem tu z Bensonem i Hunterem, żeby ją odnaleźć. Rzecz jasna, kłopot polegał na tym, że jak potwierdziły twoje odkrycia na podstawie pierwotnej księgi, nie zostało w nim ani kropli krwi Chrystusa, którą można by wypić. - Przerwał na chwilę, bijąc się z myślami, po czym ciągnął: - A więc żeby zapewnić sobie ostateczną nieśmiertelność... czyli w gruncie rzeczy stać się bogiem... należałoby wypić krew nie tylko zwykłego śmiertelnika, ale także wampira i, na wszelki wypadek, potomka Ishmaela Taosa albo Armanda Xaviera. I krew z nich wszystkich trzeba by wypić właśnie z tego kielicha.

Podniósł złoty puchar i trzymając go na wysokości twarzy, podziwiał jego piękno. Naczynie miało niewiele ponad dwadzieścia centymetrów wysokości i kształt przywodzący na myśl wykuty z metalu kieliszek do koniaku, tyle że z nieco dłuższą nóżką.

- I co zamierzasz z tym zrobić? Zawiadomić FBI? - spytała Stephanie, zupełnie nie chwytając, do czego zmierza wyjaśnienie detektywa.

- Ależ skąd, moja droga - odparł De La Cruz, odstawiając kielich i opierając się o stół. - Powiedziałaś nam, że chyba wiesz, gdzie znaleźć Bourbon Kida, syna Taosa. Co oznacza, że musimy tylko wypić jego krew, wraz z krwią wampira i krwią śmiertelnika, a uzyskamy nieśmiertelność. A ty, droga Stephanie, należysz do zwykłych śmiertelników.

Odwróciła się do Bensaona i Huntera, sprawdzając, czy są równie zdezorientowani jak ona.

Obaj gapili się na nią. Wyglodniali, szeroko otworzyli usta, prezentując idealne, spragnione krwi kły. Zmartwiała z przerażenia, odwróciła się w samą porę, by ujrzeć, jak De La Cruz rzuca się na nią. W ręku ścisnął piętnastocentymetrowy srebrny sztylet i podobnie jak jego koledzy, też obnażał odrażające kły. Spod skóry na jego twarzy, która stała się cieńsza, wyszły na wierzch niebieskie żyły, gotowe wypełnić się jej krwią.

Elegancko odziany detektyw poderżnął gardło Stephanie jednym ciosem srebrnego sztyletu. Nieprzytomnie spragniony, patrzył szeroko otwartymi oczami, jak krew byłej kochanki splywa do kielicha, który przyciskał drugą ręką do jej piersi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Gdy Dante dotarł do Lelka-Kufelka, było już całkiem ciemno. Mimo że myśli kłębiły mu się w głowie, wydawał się całkiem spokojny. Czy ta mikstura, którą mu podali, naprawdę zadziała? A może od razu zdemaskują go jako oszusta? Ile wampirów zostanie w środku? Ale martwiły go także inne rzeczy, na przykład w jaki sposób ma odróżnić wampira od zwykłych gości. No cóż, pomyślał fatalistycznie, czas pokaże. Na razie musi jakoś dostać się do środka.

W ciągu roku, jaki minął od czasu ostatniego pobytu chłopaka w Santa Mondega, w Lelku-Kufelku nastąpiły liczne zmiany. Przede wszystkim mieli teraz nowego szefa baru. Poprzedni, Berkley, został zastrzelony przez Bourbon Kida w noc przed ostatnim zaćmieniem Słońca. Jego obowiązki przejął Europejczyk, niejaki Dino, i od razu odnowił lokal. Dino, dziecko Włochów, w przeciwieństwie do większości swojej klienteli o każdej porze dnia i nocy ubierał się nienagannie, w eleganckie i modne ciuchy. A szczerze mówiąc, w przeciwieństwie do całej klienteli. Żeby podnieść standard baru (który w znacznej mierze przeprojektował i zmienił wystrój oraz wyposażenie), skorzystał z okazji i zatrudnił kilku ochroniarzy. Dzisiaj frontowego wejścia pilnowało dwóch bramkarzy. Dante musiał najpierw przedrzeć się przez nich, żeby w ogóle mieć szansę na poznanie wampirów.

Kiedy próbował ich minąć i wejść do baru na tyle swobodnie, na ile potrafił się zdobyć w tych okolicznościach, jeden z wykidajłów, znany jako „Wujek Les”, wyciągnął rękę na wysokość piersi chłopaka, zanim ten dotarł do drzwi. Les, jak należało oczekiwać po człowieku jego zawodu, był potężnym mężczyzną w skórzanej kamizelce bez rękawów narzuconej na czarny T-shirt, niewątpliwie po to, by popisać się kolekcją tatuaży na ramionach. Długie siwe włosy miał zebrane w koński ogon, a pobrużdżona twarz i szara szpecina świadczyły, że jest nieco po pięćdziesiątce. Mimo to lepiej było z nim nie zadzierać. Stary czy nie, sprawiał wrażenie człowieka zaprawionego w barowych bijatykach.

- Jak ci na imię, synu? - zapytał z przeciągłym akcentem południowca.
- Dante.
- Skąd jesteś?
- Miejscowy.
- Wcześniej żem cię tu nie widział.
- Bo nie zaglądałem, odkąd zabili Berkleya.

- W porzo - rzucił Wujek Les, szukając wzrokiem potwierdzenia u swojego kolegi. - Jak ci się widzi, Jericho? Wpuścimy tego gościa?

Jericho sztachnął się cienkim cygarem zwisającym mu z kącika ust i obrzucił chłopaka przeciągłym spojrzeniem. Nie sposób było się zorientować, o czym myśli, bo z wiecznie przylepioną do twarzy szyderczą miną wyglądał, jak gdyby lada chwila miał splunąć na podłogę. Nosił rozpiętą do połowy koszulę z czarnego dżinsu, spod której sterczały krzaczaste włosy na opalonej piersi. Dżinsy też miał czarne, z metalową szyną biegnącą na prawej nogawce od kostki aż po udo, gdzie była przywiązana brązowym skórzanym rzemieniem. Niemal rok temu postrzelił go w tę nogę pewien mnich, więc teraz potrzebował takiej podpory, żeby kolano nie ugięło się pod nim, gdyby zbyt je obciążył. Właśnie ta szyna w dużej mierze odpowiadała za jego paskudną minę. Każdy, komu przyszłoby do głowy z nim zadrzeć, z wyrazu twarzy natychmiast zrozumie, że nie jest on w nastroju do żartów.

Jericho obejrzał sobie Dantego od stóp do głów.

- Jaka jest twoja ulubiona piosenka, synku?

- A co to ma, kurwa, do rzeczy?

- Odpowiadaj na pytanie.

- Jezu, cokolwiek - rzucił Dante, próbując powściągnąć niecierpliwość i usiłując wymyślić tytuł ulubionej piosenki.

- Chwilka - rzekł Jericho i uciszył go, podnosząc lewą dłoń. Drugą ręką pchnął solidne dębowe drzwi, a gdy się uchylili, zajrzał do środka. Hałas z lokalu wydostał się na zewnątrz. Ponad harmider rozmów wybijały się dźwięki kapeli grającej pierwsze takty *Cokolwiek* zespołu Oasis. - Psycholki cię lubią. To pewnie możesz wejść - burknął Jericho.

- He? Psycholki? Co to za jedne, do kurwy nędzy?

- Taka kapela. Jeżeli grają twoją piosenkę, to możesz wejść. A że właśnie ją grają, pakuj dupsko do środka, zanim się rozmyślę.

Dante wykonał polecenie i wszedł do baru, nie bardzo wiedząc, co właściwie przed chwilą się wydarzyło. Następny facet w kolejce próbował wejść za nim. Dante usłyszał, jak Wujek Les wypytuje go w ten sam sposób.

- Ulubiona piosenka?

- Cokolwiek, byleby to był Michael Bolton.

- To wypierdalaj.

Wnętrze Lelka-Kufelka bardzo różniło się od tego, co zapamiętał Dante. Zdawało się, że jest niemal dwukrotnie większe niż niegdyś, za to o wiele ciemniejsze. Chłopak pomyślał także, że jest tłoczno jak cholera. I wszyscy w lokalu w zasadzie wyglądali na wampiry.

Prawdę mówiąc, pewnie zawsze tak wyglądali, ale jeszcze przed rokiem Dante nie miał pojęcia, że wampiry w ogóle istnieją, nic więc dziwnego, że wcześniej ich nie zauważał.

W barze tłoczyło się z dwustu popijających klientów i panował ogólnie wesoły nastrój. Jeśli go pamięć nie myliła, bary w Santa Mondega przeważnie były dla ryzykantów, naprawdę niebezpieczne, ale odnowiony Lelek-Kufelek sprawiał wrażenie, że można tam miło spędzić czas. Na scenie po lewej złożona z dziewczyn kapela ryczała na całe gardło „jego” piosenkę. Panny miały na sobie seksowne wdzianka z czarnej skóry, nieprzesadnie zakrywające ich ciała. No i potrafiły grać. Rany, ależ one grały! Główna wokalistka, dziewczyna o długich, sięgających do połowy pleców płomienistorudych włosach, to była iście gorąca sztuka. Reszta grała na różnych instrumentach, od gitar i bębnów po skrzypce i flety. W sumie było osiem lasek i przysadzisty facio dmuchający w tubę. Wydawał się tam nie na miejscu - jako jedyny mężczyzna w zespole, jedyny grubas, jedyny zakrywający resztkami włosów łysinę i jedyny grający na niepasującym do reszty blaszanym instrumencie. Z dziewczynami łączył go tylko obcisły skórzany strój, tyle że na nim akurat wyglądał nieszczęśliwie.

Dante przyglądał im się przez minutę, po czym przecisnął się przez tłum do baru. A że ludzie niechętnie ustępowali mu drogi, było jasne, że prędzej czy później wpadnie przypadkiem na plecy jakiegoś potężnego faceta. Usłyszał, jak tamten przeklina, i zobaczył, że z jego kufła wylewa się coś na podłogę. Nie dziwota, że gość odwrócił się, by zobaczyć, kto go tak popchnął.

- Jesteś tu nowy, co? - odezwał się z angielskim akcentem.

Dante uśmiechnął się ze skruchą i spojrzał na faceta, który zagradzał mu drogę. Jak większość ludzi w tych stronach, także i ten ubrany był w czarną skózaną kurtkę bez rękawów i dzinsy. Był nieogolony, a pod czarnymi rozczochranymi włosami miał wyjątkowo wąską, zapadniętą twarz, podkreślającą wystające kości policzkowe. Wszędzie miał tatuaże. Oczu nie było widać, bo nosił zachodzące na boki okulary przeciwsłoneczne - zdaniem Dantego niezły bajer. Trzymał na wpół pusty kufel piwa, bo druga połówka ściekała mu po ręku na podłogę.

- Eee, no. Skąd wiesz? - Chłopak wciąż uśmiechał się, żeby się przypodobać.

- Nie nosisz godła i jesteś sam.

- Godła?

- Ano. Pokazuje, do którego klanu należysz. Sam powinieneś o tym wiedzieć. Jesteś wampirem, dobrze mówię?

- No. Jasne. Oczywiście, że tak.

- To dobrze, bo wiesz, mieliśmy tu ostatnio tajniaków, którzy próbowali przeniknąć do tego lokalu, a pierwsze, co ich zdradziło, to brak godła.

- O w mordę! - Dante wyczuł, że już na początku znalazł się w poważnych opałach. A mówienie „O w mordę” tym bardziej pogarszało sytuację. - Możesz mi skombinować godło?

- Niby że nie należysz do żadnego klanu? - zapytał tamten.

- Nie. Przyjechałem do miasta dziś rano. Mogę się przyłączyć do twojego klanu... proszę?

Pośród tętniącego życiem, hałaśliwego tłumu zapadła niezręczna cisza. Dante doskonale zdawał sobie sprawę, że jego prośba o przyjęcie do klanu zabrzmiała rozpaczliwie, jakby był palantem, który pierwszy raz poszedł do nowej szkoły. Facet, któremu rozlał piwo, lustrował go wzrokiem od stóp do głów. Dantemu zdawało się, że minęła wieczność, nim tamten wreszcie się odezwał.

- Nie ma sprawy. - Nagle rozdziawił usta w uśmiechu. - Masz, weź to. - Sięgnął do małej kieszonki z przodu kurtki i wyciągnął parę okularów przeciwsłonecznych, identycznych z tymi, jakie sam nosił. Podał je chłopakowi, który wymamrotał podziękowania i czym prędzej włożył je na nos.

Ku swemu zdziwieniu niedoszły wampir stwierdził, że widzi w nich absolutnie wyraźnie, jak gdyby szkła nie były przyciemniane. Przyjął to z ulgą, bo Lelek-Kufelek nie grzeszył nadmiarem światła. Teraz mógł się gapić na innych bez skrępowania, bo nikt nie pozna, czy patrzy na niego, czy nie. A skoro facet, od którego dostał okulary, też nosił takie same, Dante spokojnie uznał, że teraz już nie odstaje od innych. Cały czas powtarzał sobie obietnicę, jaką wymogła na nim Kacy. Nie rób głupot i nie ściągaj na siebie uwagi.

- Dzięki, stary. Jestem ci wdzięczny. - Podał tamtemu rękę. - A w ogóle to jestem Dante. A ciebie jak zwa, kurdebalans?

- Posłuszny. - Wampir zdawkowo uściśnął rękę chłopaka.

- Słucham?

- Posłuszny.

- Chyba się przesłyszałem. Zdawało mi się, że powiedziałaś „Posłuszny”.

- Zgadza się. Nazywają mnie Posłuszny, bo zawsze robię to, o co mnie proszą. Wiesz, lubię sprawiać przyjemność.

- Powaga?

- No.

- Ekstra! - ucieszył się Dante, jak najszybciej chcąc sprawdzić posłuszeństwo swojego nowego znajomka. - To weź kup mi browar i przedstaw mnie koleśiom.

- Jasne - odparł Posłuszny z uśmiechem.

Uczynny wampir usłużnie zaprowadził chłopaka do baru i zamówił dwa piwa. Wszyscy w lokalu wyglądali dosyć wampirowato, ale jak dotąd nikt nie przeistoczył się w nocną bestię. Punkt dla mnie, uznał Dante, czekając, aż barman obsłuży Posłusznego.

Kiedy podano im browar, nowy znajomek Dantego podał mu butelkę piwa marki Srająca Małpa i poprowadził go przez tłum dziwnie wyglądających gości. Jedni przebrani byli za klaunów, inni za kobiety, niektórzy przypominali dzikich Maorysów, a szczególnie dużą grupę w wielobarwnych T-shirtach z batiku można by określić jako „białych rastafarian”. Posłuszny nie zwracał na nich uwagi, kierując się do ciemnego kąta, skąd trzej mężczyźni przyglądali się kapeli.

- Swoją drogą, wybrały zajebisty kawałek - zauważył Posłuszny, podchodząc do trzech mężczyzn.

- Dzięki - odrzekł Dante. - Cały czas chodził mi po głowie.

- No, tak bywa.

Zatrzymali się przed trzema mężczyznami ubranymi tak samo jak Posłuszny. Wszyscy nosili identyczne, zabudowane po bokach ciemne okulary. Posłuszny chwycił za ramię najbliższego z nich - faceta ze starannie zaczesaną grzywą jasnych włosów i wyjątkowo obciachowym przedziałkiem oraz gęstymi żółtymi wąsami, opadającymi mu na górną wargę. Gość miał też dosyć wąskie, zniewieściałe baczki (jeżeli baczki w ogóle mogą być zniewieściałe) i był nadzwyczaj błądy. Nawet jak na pieprzonego wampira, pomyślał chłopak.

- Fritz, poznaj Dantego - dokonał prezentacji Posłuszny, ruchem ręki wskazując swojego nowego przyjaciela.

Fritz podał chłopakowi rękę.

- JAKŻE MI MIUO CIE POSNACZ, DANTE! MAM NA IMIE FRIC! - krzyknął blondyn z silnym niemieckim akcentem.

- No, mnie też miło, eee... Fritz, tak? - odparł Dante, już nie tak donośnie. Wprawdzie kapela grała głośno, ale nie było potrzeby drzeć się na całe gardło, tak jak ten koleś z Niemiec.

- Wybacz Fritzowi - wtrącił się Posłuszny. - Nie potrafi się powstrzymać, żeby nie krzyczeć.

- JAK MNIE UGRYCŁ MÓJ SZTWURCA, USKODZIU MI KHRTAŃ!

- A, tak. Jasne - rzekł Dante niepewnie, z nadzieją, że nie będzie musiał za często rozmawiać z najgłośniejszym człowiekiem w Santa Mondega. Z tym świrem trudno byłoby nie zwracać na siebie uwagi. - A ten co za jeden? - zapytał, wskazując pierwszego z

identycznie ubranych mężczyzn po lewej ręce Niemca.

- CISA! - wrzasnął Fritz.

- Dobra, nie ma sprawy, nie gorączkuj się. Tak się tylko, kurwa, pytałem.

- NIE, NIE! TY NIE ROCUMIES! - warknął Niemiec agresywnie. - ON MA CISA NA IMIE! - Poklepał stojącego obok gościa po plecach. Ten miał ciemne włosy, krótko przystrzyżone na czubku głowy, a po bokach wygolone do gołej skóry. Pomijając to, wyglądał dokładnie tak, jak zdaniem Dantego powinien wyglądać wampir. Śmiertelnie blady, miał krzywe zęby i głęboko osadzone czarne oczy, a do kompletu dwudniowy zarost.

- Dlaczego nazywają cię Ciszą? - zapytał go Dante. A że tamten nie odpowiedział, chłopak zwrócił się do Posłusznego: - Dlaczego nazywają go Ciszą?

- Bo prawie wcale się nie odzywa.

- A, jasne. Ale dlaczego?

- Jego twórca uszkodził mu krtań. Mówienie sprawia mu wyjątkowy ból, więc rzadko to robi.

Dante uśmiechnął się do Ciszę, który także uśmiechnął się do niego półgębkiem. Ale para świrów, pomyślał chłopak. Wrzeszczący Szwab i jego niemy koleżka.

- Domyślam się, że w świecie żywych trupów jesteście jak Jay i Cichy Bob, co? - zażartował.

Nikt się nie roześmiał. Przeciwnie, zapadła niezręczna cisza.

O w mordę! - pomyślał Dante.

- A tego jak zwą? - zapytał, wskazując trzeciego z nich, żeby jak najszybciej prześliznąć się po swojej gafie.

- To jest Déjà-Vu - wyjaśnił Posłuszny.

Déjà-Vu palił papierosa. Zaciągnął się głęboko i wypuścił coś na kształt kółka z dymu, tyle że przypominało rozwijającego się węża. Dym owiał jego tłuste, sięgające ramion włosy i zniknął pod sufitem.

Skinął głową Dantemu.

- Czy my się skądś nie znamy? - zapytał.

- Nie sądzę - odparł chłopak, nie bardzo wiedząc, czy tamten się z niego nabija, czy nie.

- Nie przejmuj się - rzekł Posłuszny. - Déjà-Vu to się zdarza na okrągło.

- Gadanie - burknął Déjà-Vu, bez śladu ironii w głosie.

Przez następne dwie godziny Dante oraz Posłuszny i jego trzech znajomkowie popijali piwo i opowiadali sobie różne historyjki. Wszyscy byli nastawieni przyjaźnie, z wyjątkiem

Ciszy, który nie odezwał się do Dantego ani razu. Browar zawsze stawiał Posłuszny, Fritz wydierał się, wtórując Psycholkom, cokolwiek grały, a Déjà-Vu... no cóż, on przeważnie wydawał się zmieszany i kulił się za każdym razem, kiedy ktoś przechodził obok.

Jako nowi kolesie ci tutaj byli całkiem w porzo. Przyjęli Dantego do swojego klanu, a Posłuszny obiecał nawet, że mu załatwi taką samą kurtkę z czarnej skóry i bez rękawów, jakie wszyscy nosili. Kurtki te miały z tyłu logo ich grupy - haftowane złote litery układające się w dwa słowa: „Ciemne Szkła”. Jak dotąd misja Dantego jako tajnego agenta przebiegała bez zakłóceń. Zdobył już czterech kumpli i został przyjęty do ekskluzywnego klanu, klubu czy innego kurestwa. Z każdym kolejnym piwem opuszczały go resztki zdenerwowania, jakie odczuwał na myśl o czekającym go zadaniu. Już czuł się jednym z nich. Czas pokaże, czy to dobrze, czy źle.

Tyle tylko, że Dante nie zauważył, iż niejeden z klientów Lelka-Kufelka zorientował się już, że nie jest on wampirem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Po kolejnym z wielu wieczorów pośród żywych trupów w Lelku-Kufelku Peto siedział samotnie w swoim pokoju. Wciąż jeszcze nie zdobył żadnych informacji na temat Bourbon Kida, ale - o dziwo - zobaczył tego młodzika, Dantego Vittori, którego poznał przed rokiem. Podczas ostatniej wizyty Peta w Santa Mondega Dante zaoferował mu oraz jego koledze Kyle'owi pomoc w odzyskaniu Oka Księżyca. Formalnie rzecz biorąc, dotrzymał warunków umowy, chociaż w ostatniej, decydującej chwili zwrócił się przeciwko Petowi i wycelował w jego głowę, uniemożliwiając mu zastrzelenie Bourbon Kida. A gdyby Peto zdołał zabić Kida, nieświadomie ocaliłby życie wszystkich braci z wyspy Hubal, którzy wkrótce zostali brutalnie zamordowani.

Mimo to Peto odnosił wrażenie, że Dante jest w porządku. Taką opinię wyraził Cromwell, a w tych stronach jego zdanie wyraźnie się liczyło. Peto przypomniał sobie, jak po ubiegłorocznym zaćmieniu Słońca Dante wyprawił go z Tapioki z Okiem Księżyca i obiecał, że sam zajmie się Bourbon Kidem. Z tego, czego mnich dowiedział się od tej pory, zrozumiał, że Dante nic podobnego nie zrobił. Przeciwnie - dołączył do Kida i razem wpakowali setki kul w bezwładne ciało młodej kobiety przebranej za Kobietę-Kota.

Jego przeczucia wobec Dantego potwierdziły się, kiedy w księdze pożyczonej od Bertrama Cromwella zobaczył zdjęcie kobiety uderzająco podobnej do Jessiki, Kobiety-Kota. Księga ta, zatytułowana *Mitologia Egiptu*, zawierała całostronicową reprodukcję jej portretu i podawała, że jest to Jessica Gaius.

Teraz, gdy znalazł w tej książce coś, o czym warto było poczytać, Peto zaparzył sobie dzbanek kawy i usiadł w rogu wąskiego łóżka w swoim obskurnym, nieogrzewanym pokoju. Nagi, jeśli nie liczyć Oka Księżyca wiszącego mu na szyi, położył się pod cienkim prześcieradłem z bawełny i oparł się o zagłówek. Zdejmowanie bezcennego amuletu nie miało sensu, bez względu na okoliczności. Dopóki miał go przy sobie, żaden nocny intruz, który chciałby go zabić czy zranić we śnie, nie miał szans. Uzdrawiająca moc kamienia była, krótko mówiąc, fenomenalna. (A poza tym był nadzwyczaj przydatny, bo ten, kto go nosił, po całonocnym tankowaniu budził się rano bez śladu kaca).

Łagodny blask emanujący z Oka, jeśli nie było zakryte, był na tyle jasny, że umożliwiał dalszą lekturę nawet po zgaszeniu lampy na nocnym stoliku. Tak więc, leżąc na

łóżku ze stygnącą kawą i bezcennym Okiem, Peto dalej czytał o Jessice. To, czego się dowiedział, było nadzwyczaj ciekawe. Ale też nader niepokojące.

Według suchego, nieco akademickiego tekstu Jessica była córką Ramzesa Gaiusa, władcy Egiptu, którego zmumifikowane szczątki rzekomo uciekły, czy też zostały wykradzione, z Muzeum Historii i Sztuki w Santa Mondega. Cromwell wyjaśnił, że Gaius nie tylko był właścicielem Oka Księżyca, lecz także w pełni opanował wykorzystanie jego mocy. Peto czytał dalej, zaabsorbowany, i dowiedział się, że Gaius był przełożonym mnichów w egipskiej świątyni w pierwszym stuleciu po śmierci Chrystusa. Piastując stanowisko dające tak kolosalną władzę, sprawował kontrolę nad wszystkim, także nad wyborem faraona. Ludowi znany był jako „Księżyc”, ponieważ wychodził na dwór jedynie po nocy.

Jako młody człowiek Gaius stracił w bójce jedno oko. Kilka lat później znalazł ukryty w jednej z wielkich piramid niebieski kamień, o którym wiadomo było, że niegdyś należał do Noego. Przed wiekami ten wielki patriarcha ze Starego Testamentu używał tego kamienia między innymi do kontrolowania fal podczas potopu. Gdy Gaius uświadomił sobie, jaką moc ma ten kamień, nie nosił go, jak wielu przed nim i po nim, na szyi, tylko w pustym oczodole i stąd wzięła się nazwa „Oko Księżyca”.

Za pośrednictwem Oka Gaius nauczył się aranżować rozmaite rzeczy. Spośród wielu mocy kamienia największe wrażenie wywierała zdolność do panowania nad obiektami nieożywionymi za pomocą umysłu. Na przykład nad manekinem Beethovena, pomyślał Peto. Ale to nie wszystko - wykorzystując Oko do czarnej magii, Gaius stworzył własną, zniekształconą wersję egipskiej *Księgi umarłych*. Bazując na podstawowych założeniach tekstu poświęconego rytuałom niezbędnym do bezpiecznego przejścia w życie po życiu, spisał *Księgę śmierci*, swój najpotężniejszy oręż. Jeżeli podejrzewał kogoś z doradców o zdradę, po prostu wpisywał jego nazwisko, wraz z datą, na którąś z kart księgi. A dalej już przeznaczenie pilnowało, by rzeczona osoba kończyła życie dokładnie wyznaczonego dnia. Ofiary umierały w różnoraki sposób. Jedni ginęli w wyniku morderstwa, inni na skutek ataku serca bądź umierali spokojnie we śnie. *Księga śmierci* zapewniała Gaiusowi niekwestionowaną pozycję prawdziwego władcy Egiptu, bez względu na osobę aktualnie urzędującego faraona (którego wybór i tak zresztą zależał od Gaiusa). Dla bezpieczeństwa powierzył ją więc zaufanemu słudze, który trzymał księgę w ukryciu.

Upadek Gaiusa odzwierciedlał los większości tyranów. Jak wielu ludzi o nieograniczonej władzy, wpadł w paranoję i stracił zaufanie do otoczenia, co odnotowano w książce od profesora Cromwella. Pokłócił się ze swoją córką Jessicą, gdy zorientowała się, a on to potwierdził, że nigdy nie zostanie władczynią Egiptu, bo mając Oko Księżyca przy

sobie przez cały czas, osiągnął nieśmiertelność. Skoro miał nigdy nie umrzeć, to nikt nie mógł zostać jego następcą, a zatem pragnienie Jessiki, by zasiąść na tronie Egiptu, nie mogło się ziścić. Dlatego też, rozwścieczona, uciekła z kraju i zniknęła gdzieś na kilka lat.

Pod jej nieobecność dwaj z pierwszych popleczników Gaiusa, Armand Xavier i Ishmael Taos, wrócili z poszukiwań świętego Graala. Utrzymywali, że napili się krwi Chrystusa, a więc oni także osiągnęli nieśmiertelność podobną tej, jaką Gaius uzyskał za pomocą Oka. Dla egipskiego władcy wieść ta była nadzwyczaj niepożądana, zwłaszcza że tamci zaczęli się domagać udziału w sprawowaniu władzy.

Żeby się ich pozbyć, Gaius zamierzał wpisać ich nazwiska do swojej księgi. Wszelako Xavier i Taos przewidzieli to i pewnej nocy, zanim zasnął, wśliznęli się do jego prywatnych komnat i podczas gdy jeden z nich go przytrzymywał, drugi usunął bezcenne Oko z oczodołu. Następnie wspólnymi siłami zapakowali go jak mumię i pochowali pod jego świątynią. A żeby doszczętnie go upokorzyć, do pustego oczodołu wsadzili mu tani zielony kamyk.

W końcu Gaius umarł z głodu w tymże grobowcu, w którym go zamknęli. Jednakże naczelnny mnich Egiptu od zawsze wiedział, że nadejdzie dzień, kiedy ktoś go przechytry, i zaopatrzył się w polisę ubezpieczeniową. Twórczo rozwijając jedną z licznych mocy Oka Księżyca, opracował klątwę, znaną później tym nielicznym, którzy z biegiem stuleci poznali tę historię, pod nazwą „klątwy mumii”. W razie gdyby został zamordowany, a Oko skradzione, pewne zaklęcie miało sprawić, że ożyje z chwilą, gdy jego zabójca - czy też zabójcy - umrze.

Peto wypił ostatni łyk kawy. Hmm, to się właśnie zdarzyło, zadumał się. Armand Xavier i Ishmael Taos zginęli z ręki Bourbon Kida zaraz po zaćmieniu Słońca. A przechowywana w muzeum mumia ożyła i uciekła. Kiepska sprawa, pomyślał mnich. Mumia będzie chciała odzyskać Oko Księżyca. Czyli że będzie ściagała mnie.

Z tego, co Peto dowiedział się w trakcie intensywnych badań nad hollywoodzkimi filmami podczas pobytu z dala od spokojnej wyspy Hubal na Pacyfiku, mumia była Tatusiem Żywych Trupów. Czyli kimś, z kim nie chciało się mieć do czynienia, a zwłaszcza nie chciało się być przez niego śledzonym.

Początkowo długie, zawile zdania i pokrętna konstrukcja fabuły *Mitologii Egiptu* groziły, że Peto zapadnie w słodki sen. A jednak w miarę lektury historia Oka Księżyca zaczęła go wciągać i całkiem się rozbudził. Czytał jeszcze przez kilka minut, zanim w końcu ułożył się do snu. Nie znalazł w księdze już niczego godnego uwagi i był rozczarowany, że nie dowiedział się, co się stało z Taosem i Xavierem po zmumifikowaniu Gaiusa.

Po tej lekturze Peto spał niespokojnie. Był zatroskany. Co się stało z Jessicą? Czy już

nie żyje? A jeśli tak, to czy połączy się teraz z ojcem, Ramzesem Gaiusem, skoro znowu był wolny? Mnich był pewien tylko jednego - że oboje będą poszukiwać Oka Księżyca.

Był pewien jeszcze jednej rzeczy. Jak już znajdzie Bourbon Kida i za pomocą Oka uleczy go ze zła, wyniesie się z tego miasta w cholerę.

Rozdział dwudziesty piąty

Sanchez miał gówniany dzień. I to nie po raz pierwszy. Już od trzech miesięcy prawie nie sypiał i stawał się bledszy od wampirów, których jakże często nie wpuszczał do swojego baru. Tapioca wciąż była jedynym lokalem w mieście, gdzie nie tolerowano krwiopijców.

W gruncie rzeczy Sanchez potrafił wywahać wampira lepiej niż ktokolwiek w Santa Mondega. A jednak w mieszkaniu na piętrze baru ukrywał najgroźniejszą ze wszystkich wampirzyc, Jessicę, Królową Wampirów. Tyle że nie miał pojęcia, że ona też należy do krwiopijców. Zielonego pojęcia, psiakrew! Po prostu uważał, że jest ładniutka i za wszelką cenę chciał, żeby wyszła z ostatniej śpiączki i okazała mu wreszcie wdzięczność. Poprzednim razem, po tym jak przez pięć lat zapewniał jej bezpieczną kryjówkę, w czym pomogli mu świętej pamięci brat Thomas i jego też nieżyjąca już żona Audrey, gdy wreszcie odzyskała przytomność, była dla niego wyjątkowo opryskliwa. A później związała się z osławionym łowcą nagród imieniem Jefe. No cóż, skoro Jefe już nie żył, Sanchez praktycznie nie miał żadnej konkurencji, jeśli chodzi o uczucia dziewczyny. I tym razem zamierzał wykorzystać swoją szansę.

Obecna śpiączka Jessiki trwała od czasu, gdy ten drań Bourbon Kid znowu poszatkował ją kulami. Pomagał mu Terminator... a raczej facet w kostiumie, który pojawił się przebrany za T-800. Sanchez obu im życzył śmierci i nie miał nic przeciwko temu, żeby ich nigdy więcej nie spotkać. Obecnie nie miał już takich kontaktów jak kiedyś, z ludźmi, którzy mogliby załatwić kogoś takiego jak Bourbon Kid czy Terminator. Największe nadzieje pokładał w Elvisie i Rodeo Reksie, ale obaj też zostali brutalnie zamordowani. I nikt w zasadzie nie wiedział, czyja to była robota.

Tak więc Sanchez przez blisko rok od czasu ostatniej masakry w jego barze prowadził spokojny żywot. Nie sypiał dobrze i nieświadomie ukrywał Królową Wampirów, gdy ta wracała do zdrowia, ale pomijając to, wszystko szło kapitalnie.

Aż do teraz.

Sprawy przybrały zły obrót. Gdy tylko tamci weszli do baru, już po ich wyglądzie poznał, że niosą ze sobą wszelkie możliwe kłopoty. W Tapiocie zjawili się członkowie klanu wampirów zwanego Brudne Świnie, a konkretnie trzech. Byli po cywilnemu. Jeden z nich, najstarszy stopniem kapitan Michael De La Cruz, był sztywno ubrany w sportowe czarne

spodnie, śnieżnobiałą koszulę i ostatni krzyk mody - luźną kurtkę z brązowej skóry. Miał nienaganną fryzurę, zaczesaną do tyłu, i tylko tu i tam modnie nastroszone włosy plus odrosty na karku. No, pięknie! - pomyślał Sanchez. Jeszcze jeden z tych nowoczesnych fiutów z trzema fryzurami naraz.

Ale De La Cruz to i tak była betka w porównaniu z drugim gościem, sprośnym draniem, którego barman znał jako detektywa Randy'ego Bensona. Ten był bez porównania gorszy. Miał na sobie odblaskową niebieską koszulę z krótkimi rękawami i odblaskowe żółte bermudy. No i przydałoby się, żeby De La Cruz pożyczył mu chociaż jedną ze swoich fryzur, bo ten najwyraźniej nie miał żadnej. Siwą czuprynę tego frajera można by określić jedynie jako uczesanie „na szalonego profesora”.

Trzecim z nich, którego Sanchez dotychczas nie widział, był detektyw Dick Hunter. Barman odniósł wrażenie, że ten osobnik o ciotowatym wyglądzie, w obcisłym białym T-shircie, przez który przebijały niestosownie sterczące sutki, to żalosna menda. Było tego aż nadto, żeby od razu nabrał do niego niechęci. Zresztą był obcy, a Sanchezowi nie trzeba było wiele więcej, żeby znienawidzić kutasa.

De La Cruz, w obstawie pozostałej dwójki, butnie podszedł do baru. Dobrze znał niechęć barmana do współpracy, dlatego też nie owijał w bawełnę.

- Sanchez, żaloszny sukinsynu, chcemy wejść na górę! - warknął. - A na drogę przynieś nam trzy whisky. Na koszt firmy.

Barman czyścił szklanekę, wycierając jej brzeg w swój brudny biały podkoszulek, i starał się okazać maksymalną obojętność, w czym zresztą był mistrzem.

- Nie wejdziecie tam bez nakazu - zapowiedział na swój wkurzający sposób.

De La Cruz odplacił mu pięknym za nadobne. Jego odpowiedź była tak samo zaprogramowana jak reakcja barmana.

- Nie pogrywaj ze mną, Sanchez. Jeżeli będę musiał tu wrócić z nakazem, to podetrę nim sobie dupę. A potem wysmaruję ci nim gębę.

- Nie po raz pierwszy wytarzają mnie w gównie w moim własnym barze - odparł Sanchez, uśmiechając się sarkastycznie.

Detektyw nachylił się lekko nad kontuarem, na tyle, by Sanchez poczuł jego smrodliwy oddech i zobaczył wyszczerzone kły.

- Rozerwę ci gardło własnymi zębami. Więc wpuszczaj nas na górę, ty spasiony, obwisły fiutku.

Sanchez westchnął i odstawił niedomytą szklanekę na półkę pod kontuarem. Miał gdzieś, czy sobie narobi wrogów wśród wampirów albo gliniarzy, ale z gliniarzami i

wampirami w jednej skórze, hm... to całkiem inna sprawa. Ci faceci potrafią poważnie upieprzyć mu życie. Gdyby chcieli, mogliby go nachodzić dzień w dzień i w zasadzie w jednej chwili wysadzić z interesu. Martwił się o Jessicę, potrafił jednak poznać, że przegrał. Po co wdawać się w walkę, której nie sposób wygrać?

- Przyniosę wam whisky - powiedział.

- Poczciwe z ciebie chłopisko. Można na tobie polegać, że pomożesz oficerom policji w wykonywaniu obowiązków, wiedziałem. - De La Cruz puścił oko, protekcyjnie poklepał Sancheza po policzku i usadowił się na stołku przy barze. Jego dwaj koledzy nadal stali po bokach, gdy barman sięgał po butelkę na końcu baru i nalewał trzy porcje do trzech najczyściejszych szklanek.

- Dla mnie podwójną... tłściochu! - warknął Benson. Wyczuł, że barman zmiękł, więc jego wrodzony instynkt do znęcania się nad słabszymi kazał mu zamówić podwójną porcję, chociaż nie miał ochoty pić. Jak De La Cruz, podkreślał też to, co oczywiste. Sanchez się roztył i nic nie mogło tego ukryć. Nawet niedawno zapuszczone gęste czarne bokobrody, które zakrywały mu pół twarzy, nie potrafiły zamaskować fałd tłuszczu na potrójnym podbródku.

Sanchez puścił obelgę mimo uszu i postawił na kontuarze przed policyjnymi żywymi trupami trzy szklanki whisky. Następnie brudną białą ścierką wytarł ladę obok szklanek. Słońce grzało od samego rana i w lokalu panował upał, dlatego kontuar stawał się śliski, gdy barman coś rozlał i płyn parował. Potężny wiatrak na suficie nad barem wyrabiał nadgodziny, żeby nieco ochłodzić knajpę, ale bez wielkich sukcesów.

- Powiecie mi, czego szukacie na górze? - rzucił Sanchez nonszalancko, czyszcząc ścierką ladę.

- Jasne - odparł De La Cruz.

Podniósł szklankę i stuknął się z innymi, którzy też sięgnęli po whisky. Zapadła dwusekundowa cisza, zanim barman odezwał się ponownie, powtarzając pytanie.

- No to co spodziewacie się znaleźć na piętrze?

- Ładną panienkę w śpiączce. Ale nie bój nic, Sanchez. Nie zgarniemy jej, bądź spokojny. Nadal jest twoja.

Trzej gliniarze wypili whisky jednym haustem. De La Cruz i Benson natychmiast zaczęli rzygać, zwracając płyn na podłogę. Hunter sprawiał wrażenie, jakby whisky mu smakowała, lecz widząc reakcję kolegów, przyłączył się do nich i też skrzywił się z niesmakiem.

- A to co, do kurwy nędzy? - wykrztusił De La Cruz, usiłując wypluć płyn z ust do

ostatniej kropelki.

- Moja najprzedniejsza whisky. - Sanchez wzruszył ramionami. - Ale przyznaję, że trzeba do niej przywyknąć.

- Bez jaj - wystękał Benson, który wciąż rzygał. - To smakuje jak szczyny.

- No, wielu klientów mówi mi to samo - przyznał barman z uśmiechem.

- Wcale się nie dziwię - zauważył Hunter, z niesmakiem gapiąc się na pustą szklankę. - Jak się nazywa to świństwo? Wiesz, żeby nie nadział się na to następnym razem.

- Samogon.

- Masz tego więcej?

De La Cruz i Benson obrzucili kolegę pytającym wzrokiem. Czy on mówił poważnie? Naprawdę chciał więcej tego świństwa? Hunter zauważył ich niedowierzanie i szybko zmienił front.

- Zdaje się, że powinienem to skonfiskować. Rozumiecie, czy aby nie jest groźne dla zdrowia i tak dalej. - A widząc, że pozostali nie są przekonani, odwrócił się do Sancheza. - Masz tego więcej na stanie?

Barman się rozpromienił.

- Jasne. Tego towaru mam pod dostatkiem. Wypijcie tę flaszkę do końca na koszt firmy. Macie. - Podał butelkę detektywowi, który wziął ją skwapliwie.

- No dobra, będzie tego - przerwał im De La Cruz. - Pokaż nam, gdzie jest dziewczyna, Sanchez.

- Znajdziecie, czego szukacie, tam. - Barman wskazał za siebie, na schody w pokoju przylegającym do baru.

Trzy policyjne wampiry okrążyły kontuar i przeszły do stóp gołych schodów w pokoju na zapleczu. Dwa z nich wciąż charkały, próbując pozbyć się z ust obrzydliwego smaku. Trzeci, Hunter, gołnął sobie z flaszki, którą dostał od Sancheza, mijając barmana w drodze na schody.

Sanchez nie poszedł za nimi na piętro. Im dalej od nich, tym lepiej. Poza tym przy stole w kącie siedziało czterech klientów, którzy za godzinkę albo i trzy mogli zażyczyć sobie jego słynnej obsługi.

Kiedy gliniarze dotarli na szczyt schodów, gdzie powitały ich solidne drewniane drzwi, De La Cruz wyciągnął z wewnętrznej kieszeni złoty kielich mszalny.

- Mam tylko, kurwa, nadzieję, że baba nadal jest pogrążona w śpiączce, bo jak nie, to może się zrobić paskudnie - powiedział, przekręcając klamkę w drzwiach.

- Ona sama pewnie jest już paskudna - zauważył Benson, a widząc zniesmaczone miny

pozostałych, wyjaśnił: - No bo wiecie, do tej pory pewnie ma już kosmate nogi. Może nawet zapuściła wąsy. W końcu to już prawie rok, no nie?

- Przymknij się, zboczeńcu - rzucił Hunter, szturchając go w plecy.

Pod wodzą De La Cruza, z Bensonem pośrodku i zamykającym pochód Hunterem, który wciąż pociągał z gwinta samogon Sancheza, weszli do pokoju u szczytu schodów. I - jakżeby inaczej - na środku pomieszczenia zobaczyli łóżko, a w nim pogrążoną w głębokim śnie Jessicę; dziewczyna spała jak zabita. Łóżko było pojedyncze i wąskie, z grubym brązowym materacem, a ona leżała tylko pod jednym białym prześcieradłem. Było tam dostatecznie ciepło, by w zupełności jej to wystarczało.

De La Cruz skradał się do łóżka, jakby parodiował kogoś, kto nie chce jej obudzić. Przyłożył palec do ust na znak, żeby pozostali byli cicho, uklęknął obok łóżka, delikatnie odsunął prześcieradło i ujął prawą rękę dziewczyny. Po czym, jak gdyby negocjując konieczność zachowania ciszy, wysunął z rękawa ulubiony piętnastocentymetrowy srebrny sztylet i przeciął żyłę na przedramieniu Jessiki, tuż powyżej nadgarstka. O dziwo, nie obudziła się. De La Cruz podstawił kielich pod nacięcie na jej ręce i próbował złapać do niego jak najwięcej krwi tryskającej z rany.

- Myślisz, że to poczuła? - zapytał cicho Benson.

- Co za różnica? - odparł De La Cruz szeptem, gorączkowo kręcąc kielichem, by złapać tyle bryzgającej krwi, ile się da. Część ochlapała mu palce, więc zlizał ją natychmiast. Jego dwaj koledzy tęsknie patrzyli na czekającą ich krwistą ucztę. - Zagoi się w try miga. Nawet się nie zorientuje, że tu byliśmy.

Gdy uznał, że krwi w kielichu wystarczy, wypił solidny łyk i podał naczynie Bensonowi. Potem wyciągnął z kieszeni rolkę białego bandażu i zaczął opatrywać rękę Jessiki. W trakcie tej czynności, podczas gdy Benson wypijał swoją porcję krwi z kielicha, De La Cruz poczuł nagły przyływ adrenaliny, wypełniającej całe ciało. Każda jego kość, każdy mięsień i komórka zaczęły żyć własnym życiem. Czuł mrowienie całego ciała. Niewiarygodną moc! Oto co znaczy czuć się jak Król Wampirów, jak ktoś czystej krwi, jak chodzący za dnia i bóg. Trzydzieści sekund później Benson i Hunter, wypiwszy swoje porcje krwi, poczuli się tak samo. Uczucie to było bez porównania silniejsze niż doznanie po wypiciu krwi Stephanie Rogers ostatniej nocy.

- O... mój... Boże! - wysapał De La Cruz, prężąc się i prostując. - Coś fantastycznego!

- Prawda? - przytaknął Hunter, zapijając krew Jessiki kolejnym łykiem samogonu z flaszki.

Benson nie zwracał na nich uwagi. Za bardzo napawał się tym uczuciem, żeby strześcić

język na darmo, dzieląc się wrażeniami z innymi. Po pewnym czasie, gdy próbowali się oswoić z tym drugim, o wiele silniejszym wzmocnieniem ciała i umysłu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, De La Cruz doszedł do siebie i otrząsnął się z euforycznego transu.

- Następny przystanek to Szpital Psychiatryczny Doktora Molanda - oświadczył, szczerząc zęby w uśmiechu. - Sprowokujemy tego świra, co źłopie bourbona. We trzech damy radę każdemu, a jak już napijemy się krwi tego sukinsyna, będziemy rządzić całym tym pieprzonym światem.

Hunter mrugał gorączkowo, napawając się nowym, przemożnym poczuciem wyższości. W końcu wyrwał się z transu samozadowolenia.

- Wiesz co, kapitanie? Mam ochotę balować dzień i noc. Od zaraz.

De La Cruz skinął głową.

- Jasne, że tak. Jak my wszyscy. Ale najpierw wybieramy się na polowanie. A jutro dopadniemy Bourbon Kida.

- Mam dziś chętkę na świeżą młodą krew - oświadczył Hunter z uśmiechem. - Chcę dorwać jakieś ładne laseczki, i to już. Chodźcie, zabieramy się. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam, w każdym razie niedługo.

- Jestem z tobą, stary - rzekł De La Cruz, przesuwając językiem po wargach w nadziei, że wokół ust zostały mu jeszcze resztki krwi Jessiki.

- Spadajmy stąd i chodźmy od razu do burdelu. Uczta z ostatniej nocy to będzie nic w porównaniu z tym, co nas czeka dzisiaj.

Hunter ruszył przodem, dopijając resztki z flaszki i licząc na to, że wycygnani od Sancheza jeszcze jedną na drogę. De La Cruz deptał mu po piętach. Ogarnął ich nowy, nieznany dotąd głód i żądza. Nie można się było im oprzeć. Benson odczuwał to samo.

- Zaraz do was dołączę! - zawołał za nimi. - Poprawię bandaż na jej ręce. Chyba jest trochę za luźny.

- Jak chcesz! - odrzyknął De La Cruz, znikając na schodach.

Benson się rozejrzał. Nikogo w zasięgu wzroku. To była idealna chwila. Został w pokoju sam na sam z nieprzytomną królową. Taka okazja nie trafia się co dzień. Z bijącym sercem rozpiął pasek żółtych bermudów. Zerznięcie Jessiki, nawet pogrążonej w śpiączce, to dopiero będzie coś! Spojrzał na jej uroczą bladą twarz. Te pełne usta, ta idealna skóra i piękne, długie czarne włosy. Nie mówiąc o piersiach, nogach i całej reszcie ukrytej pod cienkim białym prześcieradłem.

Dyszając ciężko, ściągnął do kostek żółte bermudy i brudne, niegdyś białe majtki i

sięgnął po prześcieradło. Odchylił je powoli, rozkoszując się tą chwilą. Jessica leżała naga. Patrząc na jedwabiste białe ciało, Benson nie był w stanie ukryć podniecenia. Ostrożnie wyciągnął rękę do jej prawej piersi, śliniąc się na myśl o pierwszym dotyku. Nagle Jessica otworzyła oczy!

- Nie wymachuj mi tu tym swoim kutasem, bo ci go urwę - syknęła. - Wypierdalaj, ale już!

Benson, zaskoczony, zatoczył się do tyłu. Udało mu się jeszcze raz rzucić okiem na nagie ciało Jessiki, po czym roztropnie dał nogę w kierunku wyjścia. Z kostkami spętanymi bermudami i majtkami, wyglądał jak pingwin, w panice czym prędzej telepiąc się ku schodom. Wykopyrtnął się i kiedy gorączkowo podciągnął wreszcie portki, dotarł do szczytu schodów i obejrzał się. Jessica znów miała zamknięte oczy. Może mu się tylko zdawało? Ale jeśli nawet, to ta kobieta była przecież Królową Wampirów. Zgwałcić ją, gdy była nieprzytomna, to co innego, ale dopuszczenie się tego po tym, jak widziała jego twarz i była całkiem rozbudzona, nie wchodziło w rachubę.

W każdym razie jeszcze nie teraz.

Rozdział dwudziesty szósty

Gdy Dante po raz drugi przyszedł do Lelka-Kufelka na spotkanie z Ciemnymi Szklami, z ulgą przekonał się, że Posłuszny i Fritz stoją przy barze. Miał na nosie ich godło - okulary przeciwsłoneczne, które dostał poprzedniej nocy - i przyszedł tylko w dżinsach i cienkim czarnym podkoszulku, licząc na to, że dadzą mu jedną z tych zajebistych czarnych skórzanych kurtek, wyróżniających ich jako członków tego konkretnego klanu.

Dziś wieczorem panował tam względny spokój, przynajmniej w porównaniu z ubiegłą nocą, ale i tak nie udało mu się dojść do baru, nikogo nie potrącając. Jednak tym razem to nie była jego wina. Nie wiadomo skąd pojawił się jeden z białych rastafarian i trącił go w ramię.

- Ej! Sorki, stary! - rzucił Dante odruchowo.

Rastafarianin był dość niskim facetem w luźnym czarnym kimonie do karate. Ciemne dredy zwisały mu wokół głowy na tej samej wysokości, ukrywając większą część twarzy.

- Po coś tu przyszedł? - zapytał niemal szeptem.

- Napić się z chłopakami - odparł Dante, przyglądając mu się ze zdziwieniem.

Co on sobie właściwie wyobraża? - pomyślał. W końcu jestem w pieprzonym barze, na miłość boską! Po kiego grzyba bym tu przyłaził, jeśli nie po to, żeby się napić?

Bojąc się, żeby nie przyłapano go na rozmowie z członkiem innego klanu, odwrócił się od rastafarianina i ruszył do baru, gdzie czekali na niego Posłuszny i Fritz. A jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że skądś zna głos tamtego gościa. No nic, nie ma się nad czym zastanawiać. Na razie miał na głowie większe zmartwienia. Na przykład jak znaleźć Peta, mnicha z wyspy Hubal. I pozostać przy życiu.

Przy końcu baru siedział w szykownym niebieskim garniturze Dino, właściciel Lelka-Kufelka, i popijał z kieliszka czerwone wino, całą robotę zostawiając dwóm młodym barmanom w czarnych spodniach i nieskazitelnie czystych białych T-shirtach. Jeden z nich stał za barem i polerował szklanki, a drugi wycierał kontuar z drugiej strony. Tu i tam rozlokowało się ze trzydziestu klientów, którzy rozprawiali cicho między sobą. Dzisiaj wszyscy byli ubrani mniej więcej normalnie. Nie było klaunów. Ani Maorysów. Ani mężczyzn przebranych za kobiety, na ile Dante mógł się zorientować.

- Siema, chłopaki, jak leci? - zapytał, podchodząc do Fritza i Posłusznego.

- Czego chciał Chip? - zapytał Posłuszny podejrzliwym tonem.

- Kto?

- Ten rastafarianin, z którym przed chwilą gadałeś.

- A, ten. Chciał mnie namówić, żebym wstąpił do jego klanu.

- Tak? - rzekł Posłuszny. - Mimo że nie nosisz dredów, jak oni wszyscy?

- No - potwierdził Dante ze zdziwioną miną. - Co za kretyn. - I czym prędzej zmienił temat. - To co, walniemy po browarku?

Pomimo niepokojących pytań o Chipa, obaj członkowie Ciemnych Szkieł sprawiali wrażenie, że cieszą się na jego widok, a zatem początek był obiecujący. Dante pamiętał jak przez mgłę, że ubiegłej nocy także poszło mu wcale nieźle. Wyglądało na to, że im przypasował, więc jeśli z powodu nadmiernej konsumpcji alkoholu ubiegłej nocy nie pomylił się w ocenie sytuacji, wszystko było w najlepszym porządku.

- Prawdę mówiąc, właśnie mieliśmy się wypuścić na miasto i podłapać jakieś młode mięsko - rzekł Posłuszny, odpowiadając w imieniu swoim i kumpla na propozycję wypicia piwa.

- Młode mięsko?

- No, chcieliśmy wpaść do klubu z panienkami i wyssać na kolację dwa kurwiszony. Wchodzisz w to?

Czegoś takiego Dante bynajmniej nie miał w planach. Ani mu się śniło. Móc się wmieszać między wampiry dzięki surowicy, którą wstrzyknięto mu do krwiobiegu, to jedno, ale jeżeli spodziewali się, że wyhoduje kły i przegryzie szyję jakiejś dziwce, żeby się napić jej krwi... no, to niechybnie czeka ich rozczarowanie. A jego niechybna śmierć.

- Eee... bo ja wiem, chłopaki? Cosik mnie skręca w bebechach. Wezmę se tu posiedzę i obalę kilka browarków. Ale dzięki za zaproszenie.

- BCDURA! - wrzasnął Fritz. - IZIES C NAMI. MAMY KOGOŚ, KTO PRAGNIE CIE POCNACZ!

- Tak? Kto taki?

- ZAM SEF! PRUSZNY, PSYWÓDCA CIEMNYH SKIEU, HCE CIE POCNACZ I OBGADACZ C TOBO INICJACJE DO KLANU!

W całym barze zapadła cisza, bo wykluczone, żeby ktoś mógł nie usłyszeć tego, co powiedział Fritz. Mniej więcej trzydziestu klientów czekało na odpowiedź Dantego, a że Psycholki miały akurat przerwę, ich uwagi nie rozpraszała nawet muzyka w tle.

- A, jasne. Nie ma sprawy - rzucił Dante. - Ale kolację se daruję.

- O tej porze nie jesteś jeszcze głodny? - Posłuszny był wyraźnie zdumiony.

- Nie, przed wyjściem wciąłem Chinę - wyjaśnił chłopak, masując brzuch.

- Aaa!

Posłuszny i Fritz jednocześnie pokiwali głowami. Obaj dostali w przeszłości skrętu kiszek po skonsumowaniu Chinek. Były smaczne, ale koszmarnie działały na system trawienny.

- No dobra, a gdzie reszta chłopaków? - spytał Dante, taktownie zmieniając temat.

- PIESZ IH DRAPAU! - ryknął Fritz. - ŻISZ MAMY C SZOBO CYCATE I KLEPE.

Wskazał dwie wampirzyce, zmierzające w ich stronę od toalet w kącie baru. Jedną była olśniewająca brunetka o olbrzymich piersiach, ściśniętych pod ciasnym, mikroskopijnym białym T-shirtem. Tak na oko to pewnie jest Cycatka, pomyślał Dante. Jej kumpelą była gruba i nieatrakcyjna blondyna o wielkim nosie i z jednym okiem większym od drugiego. A ta to Klepa, pomyślał chłopak. Ale truchtając w krótkich spódniczkach przez salę, obie przyciągały pełne podziwu spojrzenia.

- Hej, Fritz, czy to Dante? - zapytała Cycatka, kiedy dotarły do baru.

- TAK, TO JESZT TEN MUODY SZLOFIEK, COSZMY POCNALI GO CESUEJ NOCY! CABIERAMY GO DO NASEGO PSZYFUDCY. IŻIECIE?

- Jasne - odparła Cycatka, przyglądając się Dantemu, jak gdyby oceniała płat mięsa. - Hej, Dante, jestem Cycatka. Ludzie tak na mnie wołają, bo mam wielki dekolt. To na wypadek, jakbyś nie zauważył.

Chłopak w zasadzie nie dostrzegał niczego innego. Gapił się na jej piersi jak zahipnotyzowany.

- Niezłe bufory - wyrwało mu się na głos to, co chodziło po głowie.

- Słucham?

- Miło cię poznać. - Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń, w końcu spoglądając jej prosto w oczy.

Cycatka odpowiedziała uśmiechem. Przyzwyczała się, że ludzie zazwyczaj gadają tylko do jej balonów, była więc mile zaskoczona, że nareszcie poznała kogoś, kto spojrzał też na jej twarz.

- A to moja kumpela, Klepa - powiedziała, wskazując szkaradną towarzyszkę.

Dante podał rękę Klepie, która rozpromieniła się, absurdalnie prezentując w uśmiechu całe dziaśła.

- Mówią mi Klepa, bo wcieram we włosy kupę rzeczy, żeby mi nie opadały i wyglądały jak rogi - wyjaśniła, poklepując nastroszonego blond tapira, który sprawiał wrażenie, że trzyma się tylko dzięki werniksowi.

- Cha, cha! No jasne.

Dante wybuchnął śmiechem, lecz widząc zmieszaną minę Klepy, natychmiast zdał sobie sprawę, że nie powinien się z niej śmiać. Bo ona wcale nie żartowała.

- Co cię tak bawi? - zapytała.

- Świetnie, że cię poznałem. Masz wspaniałe włosy. - Obdarzył ją swoim najbardziej uwodzicielskim uśmiechem.

- O? Dzięki - mizdrzyła się do chłopaka, rozpromieniona.

Komplement przyniósł pożądany efekt, wymazując z jej pamięci niedawną gafę Dantego.

Kiedy tak się witali i pozdrawiali, podszedł do nich wujek Les, starszy z dwóch wykidajłów. Tego wieczoru miał na sobie niebieskie dżinsy i dżinsową kamizelkę bez rękawów, pod kolor, narzuconą na biały T-shirt. Dzięki temu prezentował naprężone mięśnie oraz kaloryfer na brzuchu, oblepiony cienkim podkoszulkiem. Stanowczo powinien się ogolić, ale jakoś nikt się nie śpieszył, żeby mu o tym przypomnieć.

- Jak nie macie zamiaru zamówić dziś czegoś do picia, to proszę opuścić lokal - odezwał się srogo.

- Właśnie wychodziliśmy - odparł Posłuszny. - Wybieramy się do Próżnego. Jakby się zjawili Cisza albo Déjà-Vu, możesz im powiedzieć, gdzie jesteśmy?

- Mogę.

- Dzięki. - Posłuszny odwrócił się do pozostałych. - Chodźcie. Spadajmy stąd, zanim nam tu całkiem zbrzydnie.

Wujek Les rzucił okiem na Klepę.

- Na to już chyba za późno, co? - zażartował.

Na szczęście Klepa była nieprawdopodobnie gruboskórna i tak pewna swej atrakcyjności, że ta złośliwa uwaga zupełnie do niej nie trafiła.

Cała grupa wyszła z Lelka-Kufelka i Fritz poprowadził ich cichą uliczką do Bagna - klubu ze striptizem, który należał do Próżnego. Dante i Posłuszny zostali z tyłu.

- Na mój gust ten bramkarz to fiut jak się patrzy, no nie? - zaryzykował chłopak.

- No, ale to kawał sakramenckiego bydlaka. Wierz mi, lepiej z nim nie zadzierać - przestrzegł go wampir.

- Tak?

- A żebyś wiedział, to lepszy kozak.

- Ale chyba nie taki jak Wade Garrett²?

² Wade Garrett - postać z filmu *Wykidajło* z Patrickiem Swayze, grana przez Sama Elliotta (przypis tłumacza).

- Wade Garrett? Co to za jeden, do kurwy nędzy?

Dante z niesmakiem pokręcił głową.

- Nieważne.

- Bo ja wiem, może powinni zatrudnić tego całego Garretta tutaj. Pan jeden wie, że przydałby się nam ktoś, kto by przegonił stąd te pieprzone wilkołaki.

- Nie lubisz wilkołaków?

Posłuszny był wyraźnie zaskoczony, że Dante w ogóle pyta go o coś takiego.

- A weź, kurde! A ty ich lubisz?

- Nie.

- No i dobrze. Te włochate, śmierdzące pojebańce powinny się trzymać swojej strony miasta. Tego nam tylko potrzeba, żeby tacy jak MC Pedro próbowali rapować w Lelku-Kufelku z Psycholkami. Kurwa, mówię ci, to dopiero był koszmar!

Dante wciąż trzymał się z Posłusznym z tyłu. Irytowało go, że każdy wampir z prawdziwego zdarzenia zdecydowanie powinien znać odpowiedzi na wszelkie pytania, jakie zadawał. Jak, u licha, miał się dowiedzieć czegoś o Oku Księżyca, o Pecie czy tego szajso o klanach i nie wyjść zarazem na durnia? Albo gorzej, za farbowanego lisa.

Trudno, widać nie da się zadawać pytań tak, żeby nie zrobić z siebie głupka. A ponieważ normalnie nigdy się nie przejmował tym, że wezmą go za palanta, walnął prosto z mostu:

- Powiedz no mi, Posłuszny, masz pojęcie, gdzie teraz może być Oko Księżyca?

- Że co?!

- Oko Księżyca. No wiesz, ten niebieski...

- Słyszałem, co powiedziałeś.

Posłuszny stanął jak wryty na środku ulicy, chwycił chłopaka pod łokieć i przytrzymał, aż pozostałe trzy wampiry znajdą się poza zasięgiem słuchu.

- Nie wyskocz czasem z takim gównem przy Próżnym. Właściwie to lepiej, żebyś przy nikim nie wyrwał się z taką gadką. Nawijaj tak dalej, a zginiesz szybciej niż od srebrnego krucyfiks. Tutaj o tym kamieniu się nie rozmawia. On tylko sprowadza nieszczęścia. Jak się będziesz o niego rozpytywał, ludzie jeszcze pomyślą, że albo go masz, albo wiesz coś o tym, gdzie się znajduje. A to kiepska sprawa.

- Kurde, stary, przepraszam. Nie wiedziałem.

- Nie bój nic. - Posłuszny znów ruszył w drogę. - Bylebyś nigdy nikogo o nic nie pytał,

chłopie. Nigdy. To ja cię przedstawiłem klanowi. Jak mi narobisz wstydu, wpakujesz mnie w gówno po same uszy. Jakby cię Próżny o coś pytał, zwyczajnie bądź uprzejmy i odpowiadaj krótko a treściwie. Sam nie zadawaj żadnych pytań. Masz być prosty, to on cię wprowadzi do klanu. Kapujesz?

- Kapuję. Potrafię być prosty. Na drugie imię mam Prostack.

Posłuszny znów się zatrzymał i zdjął ciemne okulary, ukazując głęboko osadzone ciemnobrązowe oczy.

- Dante, chłopie, coś ty dzisiaj taki nerwowy? Wczoraj byłeś spoko. A teraz jesteś jak ten worek z kotami, cały, kurwa, nastroszony i w ogóle do dupy. Co z tobą, człowieku?

- E tam, wiesz, jeszcze nie walnąłem kielicha, a chcę zrobić na Próżnym dobre wrażenie, jak już się spotkamy. Pewnie zwyczajne nerwy, i tyle. Starczy kilka szklaneczek tequili i mi przejdzie.

- Jasne. Pieprzyć to - zgodził się Posłuszny. - Wpadnijmy najpierw do Malowanej Damy i wypijmy kilka głębszych. Możesz mnie pytać o wszelkie możliwe głupoty, wyrzuć to z siebie. Przygotuję cię na to, czego masz nie mówić podczas spotkania z Próżnym, a przy okazji się uwalimy. Co ty na to?

- Jak na lato, stary. Ekstra! Malowana Dama... nigdy o niej nie słyszałem.

- To nielegalna melina. Mają tam wszystko, co chcieć. Alkohol, prochy, hazard, gołe laski i tatuaże.

- Tatuaże?

- No, za dnia mieści się tam salon tatuażu i stąd wzięła się ta nazwa, Malowana Dama. Nie zrobiłbyś sobie jakiegoś bajeranckiego tatuażu na ramieniu? Wiem, że Próżny ma już dla ciebie jedną z naszych kurtek, czeka na ciebie w Bagnie. Trochę nie wypada nosić takiej kurtały i nie móc zaszpanować atramentem na ramieniu.

- Zajebiście. Zawsze chciałem mieć tatuaż. - Dante wyobraził sobie zaskoczenie Kacy, kiedy zobaczy wytatuowane na jego ramieniu swoje imię. Będzie zachwycona. Może się nawet co nieco rozchmurzy.

Tymczasem to, co się wydarzyło, kiedy już dotarli do Malowanej Damy, wcale by Kacy nie ucieszyło. Dante i Posłuszny zabawili tam ciut za długo. Wypili stanowczo za dużo. Zawarli znajomość z dragami i obejrzeli pokaz striptizu.

A kiedy już mieli dość, w stanie zamroczenia alkoholowego Dante popełnił koszmarny błąd w ocenie sytuacji.

Rozdział dwudziesty siódmy

Sporządzony przez Stephanie Rogers raport na temat tego, gdzie może przebywać Bourbon Kid, zawierał wszelkie informacje, jakich potrzebowali De La Cruz, Benson i Hunter. Dokopała się głęboko i znalazła odpowiedź tam, gdzie inni zawiedli. Od blisko osiemnastu lat człowiek bez nazwiska był pensjonariuszem miejscowego szpitala psychiatrycznego. Przebywał tam nie w charakterze pacjenta, lecz jako lokator, a wprowadził się zaraz po Halloweenie przed osiemnastu laty.

Mimo że trzej detektywi nie obawiali się nikogo, nie widzieli potrzeby zgarniania Bourbon Kida samemu, skoro mogli zapłacić innym, żeby załatwili to za nich. Mięśniakom do wynajęcia. Konkretnie dwóm najsolidniejszym z płatnych osiłków w Santa Mondega - Igorowi zwanemu Kłem oraz MC Pedro. Nie byli silni, byli supersilni. I mieli nadprzyrodzoną moc. Byli wilkołakami wysłanymi przez wampirów do wykonania zadania, którym w zamian za ich usługi obiecano, że będą mogli się napić nieco krwi ze świętego kielicha. De La Cruz wprowadził ich w szczegóły, ale jak przystało na kanalię, nie wspomniał słowem, że człowiek, którego mieli uprowadzić ze szpitala psychiatrycznego, to - jeżeli ich informacje były wiarygodne - syn Ishmaela Taosa. Znany także jako Bourbon Kid.

Igor zatrzymał samochód kempingowy w samym rogu głównego parkingu przed Szpitalem Psychiatrycznym Doktora Molanda, jak najdalej od wejścia. Górną połowę furgonetki pomalowali farbą w spreju na niebiesko, ale dolna połówka była w odcieniu groszkowej zieleni, a to dlatego, że kilka tygodni wcześniej spaprali przemalowanie wozu, bo w trakcie roboty zabrakło im farby. Dochodziła północ, lecz mimo panujących ciemności dwubarwny efekt wyraźnie rzucał się w oczy.

Parking był kiepsko oświetlony, w dodatku znad oceanu wiał przenikliwy zimny wiatr, tak że nie należało się spodziewać wielu ludzi szwędających się przed szpitalem, nawiasem mówiąc, usytuowanym w samym środku kompletnego pustkowia. Miejsc parkingowych było tam nieco ponad czterdzieści, ale jedynie trzy były zajęte przez pojazdy stojące od frontu, na specjalnych stanowiskach zarezerwowanych wyłącznie dla personelu. Ta pora wydała im się równie dobra jak każda inna na uprowadzenie pacjenta.

Obaj naciągnęli na głowy kominiarki i na palcach podeszli do szklanych frontowych drzwi szpitala. Igor szedł pierwszy, chociaż jego olbrzymia, mierząca metr dziewięćdziesiąt

pięć postać nieszczególnie nadawała się do dyskretnych podchodów. MC Pedro, niższy o ponad ćwierć metra, ruszył za nim, zgięty w pół, i usiłował zasłaniać twarz przed ukrytymi kamerami, zasłaniając ją chudymi, owłosionymi rękami. Z nich dwóch to on był bystrzejszy, choć tylko jeśli chodzi o wspieranie samego siebie i instynkt samozachowawczy. Igor, dzięki swoim gabarytom, nie bał się niczego, nie przejmował się więc, czy zostanie zauważony i zidentyfikowany. Bardziej przebiegły Pedro chętnie więc puścił współnika przodem, zostawiając mu rozprawienie się z ewentualnymi kłopotami, jakie mogli napotkać.

Przebiegłość Pedra pozwoliła mu wspiąć się po szczeblach władzy pośród wilkołaków. Przyczepił się do prostodusznego Igora jak rzep do psiego ogona, wykorzystując olbrzyma jako nieoficjalnego osobistego ochroniarza. Nie dlatego, żeby sam nie dał rady się obronić, chodziło o to, że wolał wspinać się po szczeblach kariery, nie zwracając na siebie uwagi, i zabijać wrogów dopiero wtedy, kiedy zdobędzie najpierw ich zaufanie. Tymczasem Igor, jeśli już zamierzał poprawić swoją sytuację, musiał tylko skorzystać z własnych pięści. Obecnie w świecie żywych trupów sprawy miały się tak, że puszczając pięści w ruch, Igor nieświadomie pomagał Pedrowi w awansie.

Gdy tak się skradali, padał na nich blask księżyca. Na całe szczęście księżyc nie był jeszcze w pełni i dzięki temu nie groziło im, że w samym środku operacji znienacka staną się włochaci.

Główny budynek szpitala miał dwa piętra i z zewnątrz na całej wysokości pomalowany był na kojący, jasnoniebieski kolor, choć nie widzieli tego w kapryśnym świetle księżyca. Olbrzymie dwuskrzydłowe szklane drzwi wejściowe od frontu były zamknięte, jak zawsze o tak późnej porze, ale także za dnia. W tej okolicy hulały przenikliwe wiatry i ośrodek wystawiony był na kaprysy sił przyrody, dlatego drzwi były niemal zawsze zamknięte. Igor ocenił je, podchodząc. Wybicie ich wymagało nadludzkiej siły. No ale przecież był nadczołwiekiem.

By móc się wemknąć niepostrzeżenie, obaj ubrali się w czarne dżinsy i czarne swetry, pasujące do kominiarek. Wysilek, jaki włożyli w przebranie się za cienie, poszedł jednak na marne w chwili, gdy jedno skrzydło potężnych drzwi rozbiło się nagle w drobny mak po solidnym kopniaku wielkiego czarnego buta na prawej stopie Igora. Odłamki szkła nie zdążyły jeszcze spaść na ziemię, a już potężny wilkołak wmaszerował groźnie przez futrynę i ruszył do stanowiska recepcjonisty. Na nieuszkodzonym skrzydle Pedro zobaczył napis „Ciągnąć” i z miłym zdziwieniem przekonał się, że otworzyło się bez problemu. Omijając rozbite szkło na posadzce, wszedł za współnikiem do budynku.

W recepcji urzędował czterdziestoparoletni, znudzony jak mops były lekarz

nazwiskiem Davon Hart. Pracował na tym stanowisku już od ponad sześciu lat i nocami widywał wszelkie możliwe dziwactwa, dlatego też niespecjalnie się przejął tym wtargnięciem. Czytał właśnie książkę *Potężna chandra* Sama McLeoda i za bardzo wciągnęła go akcja, by miał się przejmować rozbitą szybą i dwoma zbirami, którzy podchodzili do jego biurka.

- Jesteśmy zamknięci, kapewu? - powiedział z westchnieniem, nie odrywając wzroku od książki. - Albo się wyniesiecie natychmiast, albo wezwę ochronę.

- Co ty powiesz? No to mam dla ciebie nowinę, ziomalu. Ochrona to my - warknął MC Pedro.

- Że co, proszę?

Devon wreszcie spojrzął na nich i zmarszczył czoło. To jasne, że te dwa pajace nie były z ochrony. Ochroniarze w zasadzie nie nosili kominiarek i nie nazywali go „ziomalem”. A jak się dobrze zastanowić, to przeważnie nie rozbijali też szklanych drzwi wejściowych do szpitala.

- Jo, białasie, słówko przestrogi. Uważaj, co mówisz, bo zaraz przefasonuję ci gębę - odpowiedział mniejszy z dwóch zbirów. Pedro zaczął nawijać tak, jak gdyby rapował. Dzięki temu czuł, że panuje nad sytuacją, bo święcie wierzył w skuteczność zastraszania innych. Poza tym ci, którzy twierdzili, że się nie boją, jego zdaniem i tak się denerwowali.

- O czym ty, kurwa, gadasz? - zapytał Devon, nie potrafiąc ukryć zdumienia.

Igor Kieł szybko wysunął rękę przed pierś Pedra, jakby sądził, że jego kumpel zamierza rzucić się na powściągliwego recepcjonistę. Gdyby któryś z nich postanowił zaatakować Devona, ten byłby martwy na długo przed przybyciem ochroniarzy. Poza nimi trzema w holu nie było nikogo, na podłodze stało jedynie kilka wielkich donic z terakoty z małymi drzewkami oraz w części dla oczekujących dwie skórzane kanapy przedzielone niskim drewnianym stolikiem, na którym leżało kilka sfatygowanych czasopism.

Igor rozejrzał się szybko, sprawdzając, czy nikt nie chowa się za kanapami albo roślinami, i przejął indagację.

- Szukamy pacjenta bez nazwiska. Mieszka tutaj. Gdzie go znajdziemy?

- Niestety, nie wolno mi udzielać takich informacji - odparł Devon. - Bardzo proszę, żebyście wyszli i wrócili jutro, w oficjalnych godzinach odwiedzin.

Pedro rzucił się na niego, lecz powstrzymała go stanowczo wielka, napakowana mięśniami łapa Igora.

- Tak? - warknął Pedro. - To raczej ja poproszę ciebie, żebyś wyszedł i wrócił jutro. I jak ci się to podoba, hę?

Devon spojrział na Igora z lekkim zdziwieniem.

- Czy pański znajomy jest pacjentem naszego szpitala? - spytał.

- Po prostu gadaj, gdzie go znajdziemy! - burknął groźnie Igor, wykrzywiając twarz w wilczym grymasie.

Devon westchnął ze znużeniem.

- No dobra, chodźcie - rzekł. - Ale sygnijcie groszem, żeby mi się to chociaż opłaciło.

Wyciągnął otwartą dłoń. Igor znał się na rzeczy, więc sięgnął do wewnętrznej kieszeni po zwitek banknotów. Wsunął Devonowi w łapę dwudziestkę, po czym, nie wiadomo skąd, drugą ręką wydobyl scyzoryk i wbił ostrze w banknot, przebijając także dłoń recepcjonisty. Ostrze weszło w rękę Devona jak w masło i utknęło w drewnianym blacie biurka pod spodem, przyszpilając dłoń tak, że tylko palce mogły się poruszać.

- Aaaaauuuuu! O w dupę!

- Nie każ mi pytać po raz drugi, chłopie - przestrzegł Pedro nadszarpniętego recepcjonistę.

- Ożeż kurwa w dupę jeba...! - Devon rozdziawił usta i szeroko otwartymi oczami spojrział na krew bryzgającą z jego dłoni. - Pokój czterdzieści trzy, drugie piętro! Kurwa mać!

- Czy mogę odzyskać scyzoryk? - zapytał Igor.

Devon przytaknął skwapliwie.

- Zabieraj go!

Igor wyświadczył mu tę grzeczność, wrywając ostrze z całej siły. A potem olbrzymi wilkołak wydarł z ręki recepcjonisty zakrwawiony banknot dwudziestodolarowy i wepchnął go do jednej z kieszeni swoich czarnych dzinsów.

- Dzięki.

Uwolniwszy Devona od klucza do pokoju numer czterdzieści trzy, Igor i Pedro pchnęli podwójne drzwi, weszli w długi, wąski korytarz i ruszyli na poszukiwanie schodów prowadzących na drugie piętro. W niecałe dwie minuty stanęli przed szarymi drzwiami z małym kwadratowym okienkiem na wysokości głowy, pod którym widniał numer 43. Igor zajrzał przez szybę i zobaczył mężczyznę śpiącego na pojedynczym łóżku.

- To nasz facet - powiedział. - Śpi, więc powinno pójść łatwo.

Pedro także zajrzał do pokoju, żeby przekonać się na własne oczy. Potem wsunął klucz w zamek i przekręcił. Klucz niewątpliwie pasował, a zatem niewątpliwie był to też gość, którego szukali. Pedro przekręcił gałkę i spojrział na Igora.

- Chcesz wejść pierwszy, czy ja mam to zrobić?

Rozdział dwudziesty ósmy

Próżny, przywódca klanu Ciemnych Szkieł, nie należał do wampirów, które lubią czekać, dlatego też, zanim Dante i Posłuszny dotarli do sali bilardowej, był już w mocno ponurym nastroju. Sala mieściła się na drugim piętrze klubu nocnego o jakże stosownej nazwie Bagno. Ta nora ściągała szumowiny, których nie wpuszczano nawet do Tapioki. Zapuszczony budynek, niegdyś pełniący rolę wielopiętrowego parkingu, po niechlujnych przeróbkach zamieniono w kompletnie pozbawiony klasy czteropiętrowy klub, przyciągający w tym samym stopniu gryzonie, co klientów z gotówką.

Fritz, Klepa i Cycatka przybyli około dziesiątej wieczorem, ale Dante i Posłuszny zjawili się dopiero dwie godziny później.

Obaj dotarli tam zalani w pestkę i rozkrzyczani. Ale to nie z tego powodu ich pojawienie się wzbudziło taką wrzawę. Weszli schodami na drugie piętro, do sali bilardowej, mijając po drodze licznych członków gangów motocyklistów, dziwki, handlarzy narkotyków, klaunów i fanów Depeche Mode, a wszyscy z nich obrzucali twardym spojrzeniem najpierw Posłusznego, a potem chłopaka. Każdy widział w nich coś, co mu się nie podobało. Po mordowni szybko rozeszły się wieści, że coś jest nie tak.

Próżny grał właśnie w bilard z Déjà-Vu i Fritzem, gdy ujrzał, jak dwaj pijacy wtaczają się przez drzwi na końcu korytarza.

- No, nareszcie są - burknął, trącając kijem białą bilę i wbijając trudną do trafienia czerwoną do kieszeni.

Już na pierwszy rzut oka widać było, dlaczego nazywają go Próżny. Ten przystojniak miał długie ciemne włosy i nienagannie przystrzyżoną kozią bródkę. I zdecydowanie wyczucie w kwestii stroju - na tę noc ubrał się w szykowny czarny garnitur i idealnie odprasowaną czarną koszulę. Jednak najbardziej charakterystyczną cechą, bijącą pozostałe na głowę, były jego oczy, błyskające trzema różnymi kolorami. Każda zmiana następowała w ułamku sekundy, ale zbyt długie wpatrywanie się w jego oczy zwyczajnie hipnotyzowało, co z pewnością pomagało mu przyciągać tyle kobiet, ilu mógł sprostać jednocześnie. Właśnie z powodu tej przypadłości założył klan Ciemnych Szkieł. Przekonał się bowiem, że lepiej pasuje do otoczenia, gdy nosi okulary przeciwsłoneczne, ponieważ mógł rozmawiać z innymi, nie strasząc ich, a wręcz hipnotyzując. Dlatego też godłem Ciemnych Szkieł stały się

bajeranckie okulary przeciwsłoneczne.

Przy skraju stołu bilardowego stali Fritz i Déjà-Vu, przyglądając się, jak Próźny składa się do uderzenia. Długi kontuar ciągnął się wzdłuż całej tylnej ściany, a stojący za nim barman mieszał koktajle dla Cycatki i Klepy. Dwie wampirzyce stawiały kolejkę za forszę, którą dostały od Cichego. Największego milczka wśród wampirów nie było jednak widać, bo ulotnił się do męskiej toalety na końcu korytarza.

Gdy Dante i Posłuszny wtoczyli się radośnie i ruszyli do stołu bilardowego, tłumek rozmaitych typków, których minęli na schodach, zebrał się za nimi i niemal deptał im po piętach, kiedy zmierzali w stronę Próźnego. Mijając Cycatkę i Klepę przy barze, Dante usłyszał, jak nadmuchana brunetka pisnęła coś w rodzaju: „O mój Boże! To niedobrze...”.

Kiedy zbliżyli się do stołu na niecałe dwa metry, Próźny rzucił kij bilardowy na podłogę.

- Gdzieście się, kurwa, podziewali? - zapytał ostro, patrząc na Posłusznego.

Angielski wampir wytrzeźwiał zadziwiająco szybko. Z miną szczeniaka, który narozrabiał, potulnie wbił wzrok w stopy szefa.

- Patrz na mnie, jak do ciebie mówię! - burknął Próźny.

Dante pozostawał w błogiej nieświadomości, że ton szefa klanu świadczy o jego poważnym niezadowoleniu.

- Hej, jestem Dante, a ty pewnie jesteś Próźny, co? - odezwał się, wyciągając rękę.

Przywódca wampirów przeniósł uwagę na potencjalnego nowego członka swojego klanu. Zmierzył Dantego od stóp do głów wzrokiem świadczącym o tym, że ani trochę nie jest zadowolony z tego, co widzi.

- Czy to przez ciebie?! - ryknął.

Od jego głosu zatrzęsała się podłoga, a chłopak wreszcie chwilowo wytrzeźwiał. Nagle zaświtało mu w głowie, dlaczego Próźny jest taki wściekły.

- A TO CO, KURFA MADŹ?! - zagrzmiał jak zwykle głos Fritza, który wraz z Déjà-Vu odszedł od stołu bilardowego i stanął za plecami Próźnego.

Zaledwie godzinę wcześniej Dante fatalnie pomylił się w ocenie sytuacji. Kiedy z Posłusznym zalali się w pestkę, obaj postanowili sprawić sobie tatuaż. Dante zdecydował się na słowo „Kacy” wypisane wokół wielkiego jaskrawoczerwonego serca na prawym bicepsie, ale nie było go widać spod rękawa czarnego podkoszulka. Natomiast tatuaż Posłusznego sprawił, że wszyscy teraz się na nich gapili.

Jakimś cudem chłopak nie oswoił się z faktem, że Posłuszny zawsze robi to, o co się go poprosi, choćby życzenie było nie wiadomo jak absurdalne. Nie znał też obowiązującej

wśród wampirów niepisanej zasady, że nie należy nadużywać gotowości Posłusznego do sprawiania przyjemności innym. A dzisiejszej nocy właśnie ją złamał. Nie wierząc ani przez chwilę, że Posłuszny się na to zgodzi, zamówił dla swojego nowego przyjaciela wampira tatuaż na czole. I to on przyciągał teraz przerażone spojrzenia wszystkich. Błyskawicznie trzeźwiejący Anglik stał obok chłopaka na środku sali bilardowej, z wytatuowanym na czole wielkimi zielonymi literami słowem „CIPA”.

Na chwilę zapadła okropna, przygnębiająca cisza. Jak na ironię, przerwał ją Cichy, który wyszedł z męskiej toalety, trzaskając za sobą drzwiami. Ale nawet ten huk rozproszył uwagę zebranych zaledwie na pół sekundy.

- Czy to był twój pomysł, kurwa twoja mać? - zapytał Próżny Dantego, dźgając go długim kościstym paluchem w pierś.

- Hej, myśmy... eee... no wiecie... chcieliśmy sobie sprawić tatuaże - wydukał chłopak.

Próżny znowu spojrzał na Posłusznego.

- Czy to ty chciałeś sobie zrobić ten tatuaż na twarzy? Bo coś mi się widzi, że to nie był twój wybór.

Posłuszny odetchnął głęboko.

- Dante mi to podsunął - wymamrotał.

W tym momencie na scenie pojawił się Cichy, ciekaw, o co całe to zamieszanie. Natychmiast zauważył nowy tatuaż Posłusznego. W pierwszej chwili zareagował zdumieniem. Potem wesołością. Zazwyczaj milczący wampir nie mógł się powstrzymać i zaczął chichotać, a kiedy pozostali obejrzel się, by sprawdzić, kogo ta sytuacja tak rozbawiła, wybuchnął donośnym, gromkim śmiechem, z którego nawet wilkołak byłby dumny.

Przez kilka sekund śmiał się samotnie, nieświadom zaskoczenia na twarzach pozostałych. W końcu zaskoczenie wywołane tym, że z jego ust wydobył się jakiś dźwięk, podziałało na innych i wkrótce niemal wszyscy śmiali się histerycznie i wytykali palcami nowy tatuaż Posłusznego. Nawet sam Anglik się roześmiał, na znak, że on także pojął żart.

Teraz już tylko Dante i Próżny się nie śmiali. Chłopak był na skraju ataku paniki, bo uświadomił sobie, że na dobrą sprawę już przy pierwszym spotkaniu zrobił sobie wroga z przywódcy wampirów. Z kolei Próżny nie widział w tym żarcie nic śmiesznego. Na szczęście z powodu skrajnej próżności zawsze za wszelką cenę chciał narzucać ton modzie, a obecny trend nakazywał śmiać się z kawału, jaki Dante wyciął Posłusznemu. Dlatego też przyłączył się do wesołości reszty towarzystwa, aczkolwiek bez entuzjazmu.

Dante miał ochotę wyściskać Cichego za to, że uratował mu tyłek. Jak się okazało, milczący wampir po prostu znał się na żartach. Prawdę mówiąc, dopiero co sam przygotował

niezły figiel w męskiej toalecie, figiel, który - jak wkrótce miało się okazać - nader spektakularnie nie wypalił, co spowodowało niewąski rozlew krwi.

Cichy uwielbiał dwie rzeczy - sprawiać psikusy i wdawać się w potężne barowe burdy. I już tylko chwila dzieliła go od pofolgowania swoim upodobaniom. W Bagnie sprawy przybrały poważnie, wręcz absurdalnie kiepski obrót. A nowy kumpel Cichego, Dante, miał po raz pierwszy zakosztować barowej bijatyki wampirów. Ulga, jaką odczuł, uniknąwszy kary za incydent z tatuażem, nie miała trwać długo.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Kacy nie była w stanie niczego przełknąć. Zamartwiała się na śmierć, myśląc o tym, co może spotkać Dantego. Robert Swann był naprawdę kochany i przekonał koleżankę, agentkę Valdez, że powinna puścić Kacy, by razem z nim zjadła kolację w hotelowej restauracji. Tak więc podczas gdy Dante popijał na mieście z hordą żywych trupów i liczył, że nie zostanie zdemaskowany, Kacy siedziała ze Swannem przy składającym się z trzech dań posiłku.

Hotelowa jadalnia była olbrzymia - imponująca sala, często wynajmowana na najbardziej ekskluzywne przyjęcia weselne i inne wydarzenia towarzyskie w Santa Mondega. Stało tam co najmniej pięćdziesiąt stołów różnej wielkości, z których przynajmniej połowa była zajęta w czasie, gdy Kacy i Swann wybrali się na intymną kolację we dwoje. Każdy stół nakryty był nieskazitelnie białym obrusem, a na tych, przy których siedzieli goście, paliły się sztywne różowe świece w eleganckich dwuramiennych kandelabrach. Z ukrytych głośników dyskretnie sączyła się lekka muzyka klasyczna, a kelnerzy czekali gotowi na każde skinienie, by spełnić wszelkie życzenia klientów, takie jak dorzucenie lodu do kubelka z winem na stole zajęty przez Kacy i Swanna. W Santa Mondega jeżeli prawdziwy dżentelmen chciał zrobić wrażenie na damie, wybierał właśnie ten lokal.

Jedzenie też było wyborne, ale Kacy zmuszała się do każdego kęsa. Pod elegancką, acz nieco przykrótką czarną sukienką, jaką miała na sobie, jej żołądek zwinął się w supeł, dlatego przełknięcie czegokolwiek suchego, na przykład pieczywa, które podano, zaledwie zasiedli do stołu, było zgoła niemożliwe. Z trudem udało jej się połknąć kilka krewetek z sałatki z owoców morza, tyle że jej podniebienie zaraz zbuntowało się przeciwko wszystkiemu, co miało posmak ryby. Jedynie wino gładko przechodziło jej przez gardło i Swann, jak gdyby wyczuwając napięcie dziewczyny, regularnie dolewał jej do kieliszka. Ale nie dość, że zachowywał się jak dżentelmen, to jeszcze po raz pierwszy wyglądał na takiego. Dyrektor hotelu za niewielką opłatą zaopatrzył go w elegancki szary garnitur i czerwony krawat. W rezultacie ten seryjny gwałciec, i ogólnie rzecz biorąc, menel mógł uchodzić za człowieka obytego i o dobrym guście. Zaczesał nawet włosy gładko do tyłu, stosując jakiś żel w spreju, który pożyczył od agentki Valdez.

Zanim podano główne danie, czyli kurczaka z makaronem, Kacy czuła się o niebo lepiej niż kiedykolwiek od czasu, gdy wraz z Dantem wróciła do Santa Mondega.

- Nie ma to jak kilka kieliszków na ukojenie nerwów. Od razu widzi się wszystko we właściwej perspektywie. - Swann uśmiechnął się, wyjmując drugą butelkę chardonnay ze srebrnego kubelka z lodem.

- Ja zwykle prawie nie piję - odparła Kacy z wymuszonym uśmiechem. - Ale to wino rzeczywiście przechodzi gładko. Dzięki, że namówiłeś partnerkę, żeby nas tu puściła. Tam w pokoju myślałam, że oszaleję. Z zasady nie mogę usiedzieć w miejscu, więc z braku czegoś lepszego do roboty od siedzenia na tyłku i oglądania chałowych filmów zaczynało mi odbijać. Swann zrewanżował się uśmiechem.

- Przynajmniej tyle mogłem dla ciebie zrobić. Masz teraz o czym myśleć, więc należy ci się okazja, żebyś się mogła zrelaksować, a nie zamartwiać się przez całą noc o Danny'ego.

- On ma na imię Dante.

- Nieważne. Spróbuj zapomnieć o nim na kilka godzin. Nic złego mu się nie stanie, to twardy chłopak. Nie chciałby, żebyś siedziała i się o niego niepokoila, prawda? Poza tym pewnie jest już zalany w pestkę, więc nic się nie stanie, jeżeli i ty sobie golniesz kilka kieliszków, co? W końcu dlaczego tylko on miałby się dobrze bawić?

Kacy patrzyła, jak napełnia jej kieliszek, i chociaż wiedziała, że jest trochę wstawiona - słyszała, że język nieco jej się płacze - to jednak alkohol rzeczywiście zmniejszył jej niepokój o Dantego. No i, rzecz jasna, Swann okazał się całkiem miłym facetem. Przynajmniej poświęcał jej uwagę, czego Dante od kilku dni właściwie nie robił.

- Masz rację - przyznała, podnosząc kieliszek wina i stukając się nim ze Swannem. - Uważam, że ja też mogę się ubzdryngolić. Dzięki temu, jak Dante wróci po nocy, po raz pierwszy od wieków będziemy nadawali na tych samych falach.

- Biedactwo - mruknął Swann z troską w głosie, odstawiając kieliszek. - Ostatnio nie bardzo się między wami układało, co?

Kacy upiła solidny łyk wina i zamyśliła się na chwilę. A co tam, w końcu nie miała nikogo innego, żeby się wygadać. Ta druga agentka, Valdez, przejawiała wyraźnie niezdrowe zainteresowanie Dantem, więc chwilowo Swann był najbliższą osobą, którą mogła uznać za godnego zaufania przyjaciela. Dlatego też w miarę jedzenia zalewała się coraz bardziej, opowiadając mu o swoich obawach związanych z Dantem i misją, której się podjął, a także o tym, jak strasznie denerwuje ją swoją brawurą i jak przez tę gorącą krew nieodmiennie pakuje się w kłopoty. To prawda, że kochała swojego chłopaka bardziej, niż była to sobie w stanie wyobrazić, ale on wciąż miał te irytujące nawyki, które musiała wybijać mu z głowy, żeby nie dał się zabić. To właśnie te jego drobne niedoskonałości sprawiały, że bycie z nim z jednej strony było wielkim wyzwaniem, a z drugiej wielką frajdą. A dziś wieczorem mogła przy

kolacji powierzyć wszystkie te swoje obawy i lęki agentowi specjalnemu Swannowi i wybornemu winu.

Z kolei Swann udawał zainteresowanie i nieustannie szczerze napełniał kieliszki, jak gdyby wino lało się z beczki. Im bardziej był wstawiony, tym mniej słuchał paplaniny Kacy, za to coraz częściej zapuszczał żurawia w jej wyeksponowany dekolt. Jeżeli się nie mylił, celowo pozwalała mu nasycić wzrok. Nabrał przekonania, że z biegiem czasu coraz częściej specjalnie pochylała się nad stołem.

Gdy wreszcie skończyli kolację i nadeszła pora powrotu do apartamentu, Swann osiągnął etap, gdy z trudem panował nad pożądaniem. Z Kacy flirtowało mu się fantastycznie, a kiedy skończyła deser - prowokacyjnie wyglądającą Bananową Niespodziankę - była pijana tak, jak nie zdarzało się jej od lat.

Wesolutki i absurdalnie napalony Swann łypał na nią pożądliwie nad stołem, pożerając wzrokiem każdy kawałek nieskazitelnej skóry, jaki wystawiła na jego widok. Od czasu gdy Pan E jakimś cudem załatwił mu zwolnienie z dożywotniej odsiadki w więzieniu za seryjne gwałty, nawet nie powąchał kawałka dupy. A oto teraz ta młoda ślicznotka jawnie z nim flirtowała, na dobrą sprawę wręcz się prosiła, żeby ją wykorzystał. Wiedział, że nie może jej zabrać do wspólnego apartamentu, bo wciąż była tam Valdez, a Dante mógł wrócić w każdej chwili. Był jednak pewien, że gdyby udało mu się załatwić w recepcji klucz do jakiegoś innego pokoju, Kacy nie miałaby nic przeciwko małemu bzykanku. Pewnie musiałyby ją namawiać, ale wiedział, że w głębi duszy sama tego pragnie. Był gotów iść o każdy zakład, że jak już się znajdą w pokoju sami, z miłą chęcią pozwoli mu się zerznąć. Na samą myśl o tym podniecił się, i to tak, że aby móc wstać od stołu bez prezentowania wielkiego wybrzuszenia spodni w kroku, przez kilka minut musiał myśleć o Barbrze Streisand.

Myślał tak sobie o niej już niemal dostatecznie długo, gdy naraz w najbardziej niestosownym momencie pojawiła się Roxanne Valdez. W czarnych legginsach i czarnym swetrze wyglądała zdecydowanie groźnie, gdy kroczyła przez salę jadalną. Valdez nie była w ciemną bita. Wiedziała, co kombinuje Swann, bo jej szef, Pan E, ostrzegł ją, żeby uważała na takie właśnie jego zachowanie. Jednym szybkim ruchem, idealnie wykonanym tak, by wyglądało to na wypadek, przewróciła stojący na stole kubełek z lodem i z uśmiechem patrzyła, jak lodowata woda i kawałki lodu zalewają podolek jej kolegi.

- JEEZUUU!

Swann zerwał się na równe nogi i gorączkowo zaczął masować krocze, odsuwając spodnie od ciała, żeby zmniejszyć szok termiczny po lodowatej wodzie. Siedząca po drugiej stronie stołu pijaniutka Kacy pokazała na niego palcem i wybuchnęła histerycznym

śmiechem. Tymczasem Valdez, wciąż panując nad sytuacją, odsunęła krzesło Kacy, by dziewczyna mogła się podnieść.

- Chodź, Kacy, czas wracać do pokoju - powiedziała, mierząc Swanna ostrym spojrzeniem, ale był zbyt zaabsorbowany wycieraniem przemoczonego i lodowatego krocza i nie zwrócił na to uwagi.

Podczas gdy agentka Valdez odprowadzała Kacy do apartamentu na drugim piętrze, Swann gotował się z wściekłości. Valdez to ostatnia suka. Wiedział to już kilka minut po tym, jak się poznali. Ale Kacy... hm, napił ją winem, postawił jej kolację i zachowywał się najlepiej jak umiał, a ona w zamian roześmiała się jak hiena, kiedy jego partnerka wywaliła na niego zawartość kubelka z lodem. Upajała się jego upokorzeniem. Przyjdzie czas, że jeszcze mu za to zapłaci, ta mała podpuszczalska dziwka.

Niech tylko dopadnie ją sam na sam!

Rozdział trzydziesty

Kiedy już śmiechy z powodu Posłusznego i jego nowego tatuażu ucichły, Próżny zaprosił Dantego na partyjkę bilardu. Chłopak, który tak nierozważnie wpędził się w kłopoty, zaczynał odzyskiwać pewność siebie i z ulgą przyjął okazję do gry. Bo też z kijem bilardowym radził sobie wcale nieźle, miał więc teraz pole do popisu. Znał kilka uderzeń trikowych, które mógł pokazać innym, gdyby sprawy potoczyły się po jego myśli.

Déjà-Vu rzucił monetę. Dante wybrał orła. Moneta wylądowała na blacie stołu reszką w dół.

- Wiedziałem. Znowu orzeł - zauważył Déjà-Vu.

Dante postanowił rozbić piramidkę. Niestety, na prawidłowym wybraniu orła jego szczęście przy stole bilardowym się skończyło. Jak się okazało, zdążył wykonać tylko pierwsze uderzenie. Bila walnęła w trójkąt kolorowych kul po drugiej stronie stołu i w tej samej chwili wybuchło kolejne zamieszanie. Z męskiej toalety wytoczył się klaun imieniem Jordan. W przesiąkniętym wodą kostiumie pajaca ani trochę nie wyglądał na zadowolonego.

W sali bilardowej było jeszcze trzech innych klaunów, którzy nie wyszli zaraz po tym, jak wesołość z powodu tatuażu Posłusznego ucichła. Okupowali inny stół i ćwiczyli uderzenia trikowe, pochłonięci bez reszty tym, co robią. Sytuacja uległa krańcowej zmianie, kiedy ujrzeli kumpla klauna w takim stanie. Natychmiast pojęli, że wszystko jest nie tak.

- A tobie co się, kurwa, stało?! - krzyknął największy z trzech klaunów, Reuben.

Trudno go było nie zauważyć, bo nie rozstawał się z olbrzymią zieloną, kędzierzawą peruką. Twarz miał pomalowaną na biało, przeciętą szerokim czerwonym uśmiechem i z samotną czarną łzą pod prawym okiem. Z tym wampirem, przywódcą klanu Klaunów, lepiej było nie zadzierać. Kostium pajaca sprytnie maskował jego silne, muskularne ciało, a pozornie dobrotliwa twarz klauna skrywała podły charakter. Jego dwaj towarzysze, Ronald i Donald, którzy podeszli i stanęli po jego bokach, nosili żółte peruki i białe kostiumy pajaców, przez co wyglądali niemal identycznie jak Jordan - klaun, który właśnie wyszedł z męskiej toalety. Pomijając fakt, że ubranie miał kompletnie przemoczone, w oczy biła jeszcze jedna cecha, natychmiast odróżniająca go od kumpli, RONALDA i DONALDA. Oni bowiem mieli wymalowane na twarzach olbrzymie czerwone uśmiechy, swój znak firmowy, Jordan zaś nie miał nic podobnego. A bez uśmiechu sprawiał wrażenie, jakby był wkurzony jak cholera.

- Jakiś pojebaniec stał mi uśmiech z twarzy! - huknął, wściekle wywijając palcem i wskazując wszystkich obecnych w barze. Pozostali tam już tylko Klauni i Ciemne Szkła, nie licząc barmana Hanka, ale on szykował się właśnie, żeby przycupnąć gdzieś i zejść im z oczu.

Oczy wszystkich zwróciły się na Cichego - ostatnią osobę, która wyszła z męskiej toalety. Milczący wampir wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Ty... ty w dupę jebany skurwysynu! - W napadzie szału Jordan rzucił się na Cichego.
- Zdrzemnąłem się, kurwa, tylko na chwilkę. Co z tobą, do kurwy nędzy? Jak by ci się podobało, gdybym to ja wywinał ci jakiś kurewski numer podczas snu?

Widok Jordana rzucającego się na Cichego, który stał u szczytu stołu bilardowego, podziałał na pozostałych. Niczym stado lwów osaczające ranną antylopę, Klauni i Ciemne Szkła rozproszyli się we wszystkie strony, szykując się do walki. Dante ucieszył się, widząc, że Szkła mają nad Klaunami przewagę liczebną w stosunku sześć do czterech, a nawet osiem do czterech, jeżeli liczyć Cycatkę i Klepę, siedzące na razie przy barze. Niestety, jego ulga nie trwała długo, ponieważ szybko okazało się, że Klauni są uzbrojeni.

Reuben wyszarpnął z rękawa kostiumu pajaca potężny sztylet o ponadpółmetrowym ostrzu, a jego dwaj ochroniarze o żółtych włosach zrobili to samo, wyciągając równie wielkie sztylety o rękojeściach z kości, właściwie tak długie, że niemal można by je uznać za miecze.

Jordan stanął do walki z Cichym, prezentując własny sztylet, który wyciągnął spod nogawki przemoczonego białego kostiumu pajaca. Stał spięty, gotowy na najgorsze, niecałe dwa metry od swojego wroga i czekał na znak do boju od Reubena.

Przed rozróbą wampiry zazwyczaj czekają na sygnał ze strony przywódcy, dlatego też Ciemne Szkła spoglądały na Próżnego, który stał z Dantem przy stole bilardowym. Fritz, Posłuszny i Déjà-Vu obeszlili stół, by stawić czoło uzbrojonym w noże przeciwnikom.

Próżny odezwał się spokojnie do przywódcy Klaunów.

- Nie ma potrzeby stroić sobie tu żartów, Reuben. Możemy to załatwić bez rozlewu krwi.

Szef Klaunów tylko prychnął szyderczo, a na jego twarzy rozlał się jaskrawoczerwony szeroki uśmiech.

- Czy ja wyglądam na kogoś, komu się zbiera na żarty? - spytał.

- No, szczerze mówiąc, i owszem - odparł Próżny, chwytając kij bilardowy, żeby mieć się czym bronić.

To tylko jeszcze bardziej rozjuszyło klauna.

- Twój koleś, Cichy, wywinał o jeden głupi numer za dużo. Tym razem posunął się za daleko. Oddajcie go nam, a będziecie mogli odejść spokojnie. Tak wygląda układ.

- PIERDOLE TFUJ UKUAD! - ryknął Fritz ze swojego miejsca za plecami Cichego. - JESZTESZMY SKUA, CZYMAMY SIE RACEM!

- Więc razem umrzecie.

To był sygnał, na który wszyscy czekali. Kłauuni ruszyli do ataku, wywijając nożami i dźgając we wszystko, co nie wyglądało śmiesznie. Ciemne Szkła złapały wszelką broń, jaka im wpadła w ręce, czyli głównie kije bilardowe, i przygotowały się do obrony.

Wszyscy z wyjątkiem Dantego.

Widząc, że doszło do walki, zrobił coś z gruntu sprzecznego ze swoją naturą i po prostu zamarł. Dotychczas nie musiał odpierać ataku spragnionych krwi, przebranych za klaunów wampirów i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Co jednak ważniejsze, przed oczami przemknął mu obraz Kacy. W duchu widział ją, jak płacze i błaga go, żeby uciekał przy pierwszych oznakach kłopotów. Nie znosił widoku płaczącej Kacy, nawet jeśli działo się to tylko w jego wyobraźni, lecz wiedział, że jeśli zostanie i dołączy do walki, to pewne jak dwa i dwa cztery, że już wkrótce będzie płakała, bo najprawdopodobniej zostanie zabity, a przynajmniej odetną mu jakąś kończynę. W głowie słyszał, jak jego dziewczyna krzyczy przez łzy: „Uciekaj, idioto! Zwiewaj!”.

Tak więc gdy bójka nabierała rozmachu, a każdy uchylał się przed różną bronią, którą wymachiwano bądź dźgano, Dante znalazł bezpieczne schronienie pod stołem bilardowym. Wkrótce z jednej strony zauważył lukę, gdzie najwyraźniej nie było nikogo z bronią w ręku, podpełznął tam więc na czworakach, wyturlał się spod stołu i podbiegł do baru. Gdy dopadł do kontuaru, bez zwłoki przeskoczył go szczupakiem. Po drugiej stronie przycupnęli skuleni barman Hank, Klepa i Cycatka. Dante zwałił się na podłogę obok nich.

- Cześć! - palnął, uśmiechając się nerwowo.

Cała trójka obrzuciła go spojrzeniem sugerującym, że dołączenie do nich uważają za przejaw tchórzostwa. Zanim jednak któreś z nich wyraziło swoją opinię na ten temat, ukazała się twarz klauna, który wyglądał zza kontuaru nad głową Dantego. Przerażający uśmiech pod żółtą peruką już sam w sobie nie wróżył nic dobrego, w dodatku postać wywijiała wielkim nożem, szykując się do przebicia skulonego ze strachu pod ladą chłopaka.

ŁUP!

Ostrze minęło głowę Dantego o kilka centymetrów i utkwilo w kontuarze. Klaun usiłował przedostać się nad ladą, by dobrać się do swojej ofiary. Dante, przerażony tym, co widzi nad sobą, z całych sił przycisnął się do ściany za barem, za wszelką cenę pragnąc uniknąć kolejnego ataku nożem.

Hankowi, Klepie i Cycatce udało się jakoś zejść wampirowi z drogi i popędzili za

barem do schodów, z dala od zagrożenia, żeby z bezpiecznej odległości obserwować rozwój wypadków.

Dante słyszał dobiegające z okolicy stołu bilardowego wszelkiego rodzaju łomoty i wrzaski, gdy wampiry, z którymi się zakolegował, walczyły z przerażającymi klaunami. Na razie jednak sam miał problem z Ronaldem, który przechylony nad kontuarem, łypał na niego, tocząc z ust krew - zapewne rezultat niedawnej styczności z czubkiem czyjegoś kija bilardowego.

Ronald szybko zdał sobie sprawę, że chłopak jest o kilka centymetrów za daleko, by mógł go dosięgnąć nożem ze swojego miejsca, wobec czego wskoczył na kontuar. Stał wyprostowany, tak że jego jaskrawożółte kędzierzawe włosy dotykały sufitu. Patrzył na skuloną postać wroga i śmiał się jak obłąkany, z wytrzeszczonymi oczami, z wyciągniętym do ataku nożem i - co ważniejsze - z wyszczerzonymi kłami. W pół sekundy zdołał przeistoczyć się w wampira.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał po prostu skoczyć na chłopaka i zaatakować go nożem, ale zawahał się na moment, a Dante dostrzegł w jego oczach lekkie zaskoczenie.

- Ty nawet nie jesteś wampirem! - syknął klaun.

Bóg jeden raczy wiedzieć, jak doszedł do tego wniosku. Być może naprowadziła go na to przerażona mina Dantego. Ale raczej sprawił to fakt, że chłopak w nic się nie przeistoczył. Kulił się tylko na podłodze, jak większość ludzi, którzy stanęli w obliczu przebranego za klauna wampira z czymś w rodzaju maczety w ręku.

Trudno powiedzieć, czy pośród szczęku ostrzy, trzasku kijów bilardowych i sporadycznych okrzyków bólu, wściekłości albo triumfu ktoś zdołał usłyszeć słowa wampira.

Nagle rozległ się głośny huk, po którym zapadła cisza.

Dante wciąż wlepił wzrok w przerażającą postać na ladzie baru, ale mina klauna zmieniła się gwałtownie. Teraz już krew sączyła się nie tylko z jego ust, ale kapła też z dziury na środku twarzy. Przez niecałą sekundę koszmarna istota kiwała się w tył i w przód, po czym zwała się z kontuaru na przycupniętego na podłodze chłopaka. Wraz z nim spadł długi nóż i o włos minął rękę Dantego, zanim uderzył w podłogę.

Potem rozległ się drugi głośny huk, jak gdyby odgłos rozbijanego szkła, a zaraz po nim świst wpadającego do środka wiatru.

Dante zepchnął z siebie martwego klauna i patrzył, jak ten powoli zamienia się na podłodze obok niego w dym i popiół. Nie był to miły widok, a towarzyszył mu straszliwy fetor. Chłopak czym prędzej zerwał się na nogi. Zatykając nos i starając się oddychać ustami,

wstał i wyrzwał ponad kontuarem.

W sali bilardowej była jedna wielka jatka. Na podłodze między stołami leżało dwóch innych martwych klaunów. Jednym z nich niewątpliwie był Jordan - zwłoki łatwo można było rozpoznać po przemoczonym kostiumie i braku uśmiechu na twarzy. Drugi zabity klaun także miał żółtą perukę, ale nigdzie nie było widać Reubena, przywódcy o zielonych włosach. Uciekł, rozbijając szybę i wyskakując przez okno na tyłach korytarza, po czym rozpląnął się w ciemnościach nocy. Z dziury w oknie, mającej kształt klauna, gdzie niedawno było szkło, wpadał lodowaty wiatr. Na oczach Dantego oba trupy klaunów zaczęły się tlić i dymić, po czym na krótko zajęły się ogniem i zamieniły w dwie garści tłustego popiołu.

Wszyscy członkowie klanu Ciemnych Szkieł stali wpatrzeni w Dantego, który wciąż tkwił za barem, osłupiały na widok masakry.

- To tyś zastrzelił tego faceta? - zapytał Próżny.

Dante pokręcił głową

- Nie ja. Myślałem, że to któryś z was.

Szklą spojrzęły po sobie. Żaden z nich nie miał broni palnej.

- Dziwne - rzekł Próżny podejrzliwie. - Ktoś strzelił temu klaunowi w łeb. Tylko, kurwa, kto?

Pozostali kolejno wzruszyli ramionami. Posłuszny ścisnął lewe przedramię pod łokciem, gdzie widocznie został skaleczony, a Déjà-Vu masował brodę, jak gdyby zarobił w szczękę. Fritz, Próżny i Cichy byli złani krwią dwóch martwych i rozpadających się klaunów. Nikt jednak nie przyznał się do posiadania pistoletu, a tym bardziej do odstrzelenia głowy wampira, którego szczątki leżały teraz za barem u stóp Dantego.

W końcu ciszę przerwała Cycatka, torująca sobie drogę do sali bilardowej; za nią szła Klepa.

- Chyba powinniśmy się stąd wynosić w cholere, zanim Reuben skrzyknie paru koleśków i wróci tu w większym towarzystwie - zaproponowała.

- Kurewsko dobry pomysł - przyznał Próżny. - On tu urządzi jakiś pieprzony cyrk. Chodźcie, ludziska, zwijamy się. Wracamy na noc do domu, a jutro spotkamy się w Lelku-Kufelku. - Spojrzał na Dantego. - Dobrześ się sprawił, kolego. Wpadnij znów jutro wieczorem do Lelka-Kufelka, pogadamy sobie.

Dante kiwnął głową i głęboko odetchnął z ulgą. Jakimś cudem udało mu się spędzić ze Szklami drugi wieczór i się nie zdemaskować. Dręczyło go tylko jedno - żył wyłącznie dlatego, że ktoś ocalił mu tyłek, strzelając w łeb klaunowi, który właśnie miał go zabić. I ten ktoś zrobił to zaraz po tym, jak rzeźzony klaun oświadczył, że Dante nie jest prawdziwym

wampirem. Wszyscy usłyszeli wystrzał, ale czy ktoś słyszał to, co powiedział klaun?

A przede wszystkim, dlaczego nikt nie przyznał się do oddania strzału?

Rozdział trzydziesty pierwszy

Igor zaparkował dwutonowy niebiesko-zielony samochód kempingowy dokładnie przed wejściem do komendy głównej policji. O tak późnej porze ulice były w większości wyludnione, a ponieważ ci, którzy szwendali się na dworze po nocy, byli przeważnie przestępcami, nie zachodziła obawa, że mogliby się pałętać akurat pod komendą. Szybko zlustrowawszy wzrokiem ulicę, Igor i jego towarzysz przeszli do podwójnych drzwi z tyłu furgonetki. Pedro otworzył je ostrożnie i z ulgą zobaczyli, że pacjent, którego zabrali ze Szpitala Psychiatrycznego Doktora Molanda, wciąż leży bez ruchu. Niewątpliwie dalej był nieprzytomny po ciosie w głowę, jaki zainkasował podczas snu w szpitalu. Wyglądał zupełnie niegroźnie. Miał na sobie granatowe spodnie od dresu i cienki niebieski pulower z czerwonymi rękawami, czyli to, w czym spał, kiedy go napadli.

Igor wyciągnął ciało za stopy i przerzucił je sobie przez ramię. Pedro zamknął i zabezpieczył drzwi furgonetki, gdy olbrzymi wilkołak wnosił więźnia po schodkach prowadzących do drzwi komendy i przez szklane drzwi do recepcji. Raper upewnił się, że drzwi są starannie zamknięte, i ruszył za kolegą, oglądając się na wszystkie strony, by sprawdzić, czy nikt ich nie zauważył.

W szpitalu skutecznie zaskoczyli pacjenta śpiącego w pokoju numer 43, a kiedy Igor brutalnie walnął go w tył głowy tak mocno, by zapadł w inny rodzaj snu, Pedro naciągnął mu na głowę szmaciany worek. Poszło im podejrzenie łatwo. De La Cruz ostrzegał ich, że ten facet może być wyjątkowo niebezpieczny. Na razie nie można było tego wykluczyć, ale ponieważ zaskoczyli go znienacka, dał się uprowadzić, nie stawiając najmniejszego oporu.

Jako że był środek nocy, w recepcji urzędował tylko jeden funkcjonariusz, niejaki Francis Bloem - rozważny rudowłosy facet pod trzydziestkę, traktujący przepisy jako rzecz świętą. Rozpoznał obu wilkołaków i ani trochę się nie speszył, widząc, że jeden z nich kogoś taszczy.

- To jest ta przesyłka ze szpitala? - zapytał, wskazując postać w kapturze.
- Całkiem możliwe - odparł Igor. - To jak, wpuścisz nas do środka?
- Nie traćcie zwłoki - powiedział policjant.

Kiedy Igor dźwigał ciało do wind po drugiej stronie sali, MC Pedro zatrzymał się przed funkcjonariuszem Bloemem i obrzucił go wrednym spojrzeniem. A potem, jak to on,

zaczął nawijać, głupio i bezsensownie.

- Co za zwłoki? Jakże zwłoki? Już ja cię przerobię na zwłoki, ziomalu, dotarło?

Bloem siedział z wyrazem zdziwienia na twarzy, nie bardzo wiedząc, jak zareagować, lecz zanim uświadomił sobie, że Pedro gada bez sensu, para wilkołaków weszła już do windy i zjechała do szatni w podziemiach komendy głównej. Pokręcił głową i zadzwonił do kapitana De La Cruza, używając przycisku szybkiego wybierania na centralce telefonicznej. Kapitan odebrał po pierwszym dzwonku.

- De La Cruz.

- Cześć, tu Francis z recepcji. Te dwa pieski, którym zleciłeś robotę, przytargały ci ciało. Właśnie jadą na dół.

- Dzięki. - Kapitan odłożył słuchawkę.

W szatni De La Cruz, Benson i Hunter w podnieceniu czekali na windę. Kiedy stanęła, drzwi otworzyły się z sykiem i na podłogę spadło ciało pacjenta numer 43. Igorowi najwyraźniej znudziło się dźwiganie nieprzytomnego, wobec czego cisnął go wprost pod nogi trzech policjantów czekających na niego na środku szatni. Jeniec z workiem na głowie wydał zduszony jęk, co świadczyło, że odzyskał przytomność.

Pedro i Igor, którzy ubrani całkowicie na czarno, wciąż wyglądali jak para niedobrych włamywaczy, wysiedli z windy i triumfalnie stanęli nad swoim więźniem. Bez kominiarek na głowach prezentowali szalone fryzury, będące zwykle rezultatem wyjątkowo źle przespanej nocy. Włosy Pedra przypominały coś, co można spotkać na figurkach z klocków lego, a było to szczególnie niefortunne, bo jego cera, nawet gdy był w najlepszej formie, miała nieprzyjemnie żółtawy odcień. Teraz zaś był daleki od szczytowej formy. Nieświadomy tego, że po zdjęciu kominiarki zasługiwał na złoty medal w konkursie na najbardziej idiotyczną fryzurę świata, stał podparty pod boki, z triumfalnym uśmiechem na twarzy. Jego przerośnięty towarzysz tkwił ze zwieszonymi rękami i bezmyślnie szczyrzył w uśmiechu zęby, a zwłaszcza wyjątkowo wielki górny kieł.

- No i jest - warknął Igor, wskazując zakapturzoną postać na podłodze. - To wasz facet. Mężczyzna bez imienia z pokoju czterdzieści trzy w szpitalu.

De La Cruz wystąpił do przodu i chwycił szmaciany worek, wciąż zawiązany na głowie jeńca.

- A więc to jest syn Ishmaela Taosa - powiedział, uśmiechając się z zadowoleniem. - Wreszcie się spotykamy. Myślałeś, że jak się ukryjesz w wariatkowie i będziesz udawał świra, to cię nie znajdziemy, co? No toś się pomylił, kolego. - Kopnął mężczyznę w kapturze w plecy, na co ten znów wydał zduszony jęk. - Benson, przynieś kielich. Skosztujmy krwi

tego gościa.

Ukryte wejście za prysznicami stało otworem, ujawniając tajemnice znajdującego się za nim pomieszczenia. Benson, ubrany jak zawsze nikczemnie, tym razem głównie na brązowo, trzasnął obcasami spiczastych czarnych butów i poszybował nad wielkim drewnianym stołem w pokoju. Dotarłszy do niego, z wdziękiem opadł na blat i wziął złoty kielich mszalny stojący obok księgi Somersa. Potem, jak gdyby szybowanie w powietrzu go znudziło, wrócił pieszo i podał naczynie kapitanowi. Trzeci policjant, gnidowaty Hunter, zajął miejsce u boku Bensaona, nie mogąc się doczekać tego, co zaraz nastąpi.

Nie wypuszczając kielicha z rąk, De La Cruz uklęknął, rozwiązał sznur na szyi jeńca i ściągnął mu worek z głowy. Tym samym odsłonił przerażoną twarz mężczyzny dobiegającego zapewne trzydziestki, choć pucołowata buzia i potargane ciemne włosy nadawały mu wygląd oseska. Oddychał spazmatycznie, jakby szok związany z porwaniem przyprawił go o atak paniki, a wybałuszone oczy zdradzały strach, jaki niewątpliwie nim zawładnął.

Jak gdyby tego nie było dość, De La Cruz wzmógł obawy jeńca, przeistaczając się w nocną bestię. Jego twarz pobladła i wychudła, zamieniając się w oblicze złaknionego krwi, bezlitosnego wampira, a palce przekształciły się w szpony z ostrymi jak brzytwa pazurami tam, gdzie jeszcze niedawno miał paznokcie. Z jego szczęk wysunęły się długie, spiczaste kły, wykrzywając mu usta w nieprzyzwoitej parodii uśmiechu. Stał tak przez chwilę - wytworny wampir w eleganckiej granatowej koszuli i odprasowanych dżinsach, gotów przystąpić do zabijania. Gdy oblizywał wargi, szykując się do zamordowania przerażonej ofiary, Pedro zrobił krok w przód.

- Hej, De La Cruz! - warknął. - Zawarliśmy układ.

- Jasne, że tak - syknął wampir. - I mam zamiar go dotrzymać. Dobrzeście się spisali. Tak jak ustaliliśmy, wy pierwsi posmakujecie jego krwi.

Tymczasem Hunter mierzył ostrym wzrokiem więźnia, który wkrótce miał stać się obiektem ich uczty. W przeciwieństwie do pozostałych, wpatrywał się w przerażoną twarz jeńca.

- Jesteście przekonani, że to na pewno właściwy facet? - zapytał. - Ten palant nie wygląda mi na twardziela.

Wystraszony jego słowami De La Cruz odwrócił się do Bensaona.

- A co ty sądzisz? - spytał.

- Niech no wezmę wrażenia artystów - odparł tamten.

Poszybował do księgi na stole za nimi, otworzył ją i wyciągnął zestaw szkiców na

szorstkim papierze, które tkwiły, złożone, między kartami. Były to impresje rysowników zebrane z biegiem lat przez Archiego Somersa, a wykonane na podstawie rysopisów podanych przez ludzi, którzy twierdzili, że widzieli Bourbon Kida, lecz mimo to przeżyli. Choć prawdę mówiąc, większość z nich opierała się na relacjach Sancheza Garcii, nie uważano ich więc za zbyt wiarygodne; w sądzie także nie dopuszczono by ich jako autentyczne dowody. Benson przyjrzał się rysunkom uważnie, co jakiś czas podnosząc wzrok i porównując je z przerażoną twarzą więźnia, który gapił się na niego z rozpaczliwą nadzieją, że niechlujny gliniarz go oczyści. Benson widział strach w jego oczach.

- Po mojemu to on - oznajmił ze znaczącym uśmiechem. - Żeby się upewnić, spróbujemy jego nieśmiertelnej krwi.

- Nie! Proszę! Błagam... nie! - skamlał przerażony młody człowiek, spoglądając w nienawistne oczy De La Cruza.

Ale było już za późno. Kapitan odwrócił się do Huntera i skinał głową. Ten z kolei sięgnął pod poły marynarki i wyciągnął maczetę z kościaną rękojeścią, której złowrogo ostra klinga mierzyła grubo ponad pół metra długości. Uniósł ją ponad głowę i opuścił na skrepowane nadgarstki więźnia. Na jego twarzy malowała się żądza krwi, gdy patrzył, jak ostrze zagłębia się w lewy nadgarstek pojmanego. Odcięta dłoń upadła na podłogę pośród bryzgającej krwi i wrzasków bólu ofiary.

De La Cruz podniósł uciętą kończynę i podstawił pod nią złoty kielich, próbując złapać każdą kroplę krwi i nie zwracając uwagi na wrzaski więźnia, niemal oszalałego ze strachu i bólu. Kiedy skończył, wstał i podał niemal pełny kielich Pedrowi, który chwycił go łapczywie i natychmiast pociągnął głęboki łyk. W miarę jak słodko-gorzka krew o posmaku miedzi spływała mu do gardła i docierała do żył, czuł wstępującą w niego siłę. Pochłonięty napawaniem się tą chwilą, nie zauważył, że Hunter i Benson zaczęli przeistaczać się w wampiry. Na widok krwi tryskającej z ramienia pacjenta numer 43 nie mogli doczekać się na swoją kolej.

I tak już ograniczone opanowanie Pedra całkiem go opuściło. Jego oczy rozbłyły, a przyśpieszenie, jakiego nabrał po wypiciu krwi z kielicha, sprawiło, że przeobraził się w wilkołaka w jednej chwili. Takie coś normalnie się nie zdarzało, chyba że podczas pełni księżyca, teraz jednak jego moc wydatnie wzrosła. Krew z kielicha wywierała rozmaity wpływ na tych, którzy jej skosztowali. Pedro odkrył, że w mgnieniu oka jest w stanie zamienić się w swą drugą, potężniejszą postać. Ryknął z głębi ducha i podał kielich swojemu olbrzymiemu towarzyszowi. Ten, idąc za jego przykładem, pociągnął głęboki haust, lecz tak się do tego rwał, że zmarnował nieco bezcennego płynu, który spłynął mu z kącika ust.

Wrzeszczący mężczyzna na podłodze zaczął szlochać jak dziecko. Bełkocząc niezrozumiale, błagał o litość, co jakiś czas wyjąc z bólu. De La Cruz spojrział na niego i uśmiechnął się z zadowoleniem, napawając się cierpieniami jeńca. Ten przeturlał się na prawy bok i zleął w pozycji embrionalnej, na przemian zawodząc i szlochając. Zarazem jednak niepostrzeżenie dla prześladowców kombinował, jak by tu uciec. Miał tylko jedną szansę, że wyjdzie z tego żywy. A także nieco szczęścia, bo cięcie, które pozbawiło go dłoni, przecięło również sznur krępujący nadgarstki. Sprawną ręką sięgnął do kieszeni spodni i powoli wyjął telefon komórkowy. Szczęśliwie udało mu się ukryć go przy sobie podczas pobytu w Szpitalu Psychiatrycznym Doktora Molanda. Była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadał - prezent otrzymany niedawno od najlepszego przyjaciela w nagrodę za dobre sprawowanie w szpitalu. Jedyne szanse przeżycia dawał mu teraz telefon do tego przyjaciela. Jedynej osoby na świecie, na którą mógł liczyć. Do brata. Starszego brata. Ten brat pokonał wampira, który tak pokiereszował ich matkę przed wielu laty. I od tej pory ten sam brat zasłynął jako budzący największy strach zabójca w Santa Mondega.

Jako Bourbon Kid.

De La Cruz zauważył telefon niemal natychmiast, a widząc, że ranny wybiera numer, kopniakiem wytrącił mu go z ręki.

- Nie masz po co dzwonić na policję, pieprzony półgłówku. My już tu jesteśmy - obrugał go.

Benson i Hunter zawyli ze śmiechu. To dopiero była wielka chwila! Za kogo ten kretyn się uważa? Próbował dzwonić po pomoc, frajer jeden!

Natomiast oba wilkołaki były zbyt upojone swoją nową siłą, by się przyłączyć do śmiechu. Niejasno zdawały sobie sprawę, że kielich znów napełniono i że przechodzi z rąk do rąk współpracujących z nimi wampirów, ale w stanie euforii postrzegały to jak przez sen. Kiedy ostatni z detektywów wypił swoją porcję krwi, złoty kielich przekazano z powrotem, aż trafił w ręce Michaela De La Cruza. I znów najstarszy rangą detektyw oraz przywódca wampirzego klanu Brudnych Świń brutalnie chwycił okaleczone ramię zrozpaczonego więźnia i podstawił brzeg kielicha pod płynącą z ręki krew. Z całej siły nacisnął ramię jeńca, by posoka szybciej napełniła puchar.

- Zaczekajcie, chłopaki. Zostało jeszcze mnóstwo krwi dla każdego - powiedział, szczerząc w odrażającym uśmiechu szerokie, teraz zabarwione na szkarłatno usta.

W ciągu następnych pięciu minut trzy wampiry i dwa wilkołaki rozerwały nieszczęsnego więźnia na strzępy, jak najdłużej utrzymując go przy życiu, żeby przedłużyć jego cierpienia. W końcu wyrwały mu serce, kładąc kres zamierającym krzykom i błaganiom

o litość. Kres, który jeniec przyjął z wdzięcznością.

Cała szatnia przypominała teraz krwawą jatkę. Wnętrznosci i krew zabitego walały się po całej podłodze i ścianach. Prześladowcy nie przejmowali się bajzłem, jakiego narobili, bo byli za bardzo na haju. Tak milutkie zabójstwo dodało im wigoru, a skoro chwilowo zaspokoili żądzę krwi, usiedli w piątkę na podłodze, zadowoleni, i co pewien czas spoglądali jeden na drugiego, wymieniając wyrazy uznania dla urody dokonanego mord. Było to cudowne uczucie. Trzem członkom Brudnych Świń przypomniało się to, co czuli po zabójstwie Stephanie Rogers, a także po wypiciu krwi Jessiki Xavier w pokoju na piętrze nad barem Tapioca. Pedrowi i Igorowi krew z kielicha dostarczyła nowych, upajających wrażeń. To było nawet lepsze niż orgazm w poświęcie księżycy w pełni.

A jednak z każdą sekundą trzy wampiry coraz jaśniej zdawały sobie sprawę, że uczucie to, acz potężne, wcale nie było lepsze od tego po zabójstwie Stephanie. Owszem, było miło, ale czy nie powinno być lepiej? Czyż krew potomka nieśmiertelnego nie powinna wzbudzić w nich jeszcze większego zachwyty?

Rozglądając się po szatni, Benson pierwszy zauważył biały blask padający z ekranu telefonu komórkowego, który De La Cruz wykopał z dłoni ich jeńca w trakcie masakry. Telefon leżał na podłodze w zasięgu jego lewej ręki, nachylił się więc i podniósł go.

- Wygląda na to, że nasz chłoptaş do kogoś dzwonił - oznajmił.

Nagle zwrócił uwagę, że zegar odmierzający czas połączenia na wyświetlaczu wciąż tyka. Na jego oczach przeskoczył z 04:53 na 04:54. Wzruszył ramionami, przyłożył komórkę do ucha i odezwał się do mikrofonu:

- Cześć, mówi detektyw Benson z policji Santa Mondega. Z kim mam przyjemność? - Uśmiechnął się z wyższością do zakrwawionych towarzyszy. Teraz był już nieśmiertelny, nie miało więc znaczenia, kto jest po drugiej stronie. Nikt nic nie mógł mu już zrobić.

Ten, kto był po drugiej stronie, oddychał ciężko, choć wyjątkowo powoli. W dźwięku tym było coś chrapliwego, a jego irytujący rezonans po kilku sekundach stopniowo stał się uśmiech z twarzy Bensaona.

- Kto tam? - powtórzył, tym razem ostrzej.

Pozostali patrzyli na niego, dostrzegając zmianę w jego minie i głosie. Żywe trupy mają wyostrzony szósty zmysł, który podpowiadał im teraz, że coś jest nie tak.

Kilka sekund później sapanie w słuchawce ustało, gdy człowiek po drugiej stronie się rozłączył. Wyświetlacz telefonu wskazywał, że czas połączenia wynosił pięć minut i dwadzieścia pięć sekund.

- Kto to był? - zapytał De La Cruz, nawet nie próbując ukryć troski w głosie.

Benson wszedł w opcje menu telefonu komórkowego.

- POŁĄCZENIA WYKONANE... STARSZY BRAT... CZAS PIĘĆ MINUT
DWADZIEŚCIA PIĘĆ SEKUND.

Rozdział trzydziesty drugi

Devon Hart miał przechlapany wieczór od chwili, gdy weszło dwóch ubranych na czarno mężczyzn w kominiarkach, rozbijając po drodze jedne z frontowych drzwi. Większy z nich przebił mu rękę i zmusił do przekazania informacji, o jakie im chodziło. Ale to nie była najgorsza rzecz tego wieczoru, o nie!

Od chwili, gdy był świadkiem, jak dwaj intruzi wynoszą na dwór nieprzytomnego pacjenta numer 43, wiedział, że będzie musiał rzucić pracę w szpitalu i wynieść się jak najdalej od Santa Mondega. Wszyscy wiedzieli, że z tym pacjentem nie ma żartów. Pozostali pensjonariusze byli albo mordercami, którzy powołali się na niepoczytalność, albo świrami przepowiadającymi koniec świata i robiącymi, co w ich mocy, żeby tak się stało. Jedynym sympatycznym pacjentem, jakiego mieli, był Casper, powszechnie znany jako „Czterdzieści Trzy”. Głupek ten, choć miły w obejściu i dobrze ułożony, cierpiał jednak na ciężką paranoję i umysłowo był na poziomie ośmiolatka. Niemal na pewno najmniej agresywny ze wszystkich pacjentów, a jednak nikt nigdy nie śmiał mu podskoczyć. Bez względu na to, jak szaleni czy nie zrównoważeni byli inni pacjenci, wszyscy wiedzieli jedno: nie wolno denerwować Caspra. Tylko spróbuj, a czeka cię nocna wizyta i paskudny wycisk ze strony jego brata, faceta, z którym nikt nie chciał zadzierać.

Brat Caspra nieczęsto odwiedzał go w szpitalu, zaglądał raz na sześć czy siedem tygodni. Zawsze pilnował, żeby pobyt brata był opłacony na kilka miesięcy z góry, i uparcie dopytywał się w recepcji, czy ktoś nie zdenerwował przypadkiem Caspra od czasu jego ostatniej wizyty. A że recepcjoniści za bardzo się go bali, żeby kłamać, śpiewali jak ta lala i wsypywali każdego, kto podprowadził Casprowi kredki, zrobił mu „pokrzywkę” albo chociażby zmienił kanał w telewizorze, kiedy ten oglądał *Ulicę Sezamkową*. Wszyscy sprawcy ponieśli karę za swoje czyny i więcej nikt się Casprowi nie naprzykrzał, tak że pobyt w szpitalu doktora Molanda upływał mu względnie przyjemnie. Ale to się właśnie skończyło, a zatem Devon Hart musiał zniknąć wraz z nim.

Hart siedział właśnie w kabinie numer trzy w męskiej toalecie na parterze, oburącz trzymając się za głowę, z opuszczonymi po kostki portkami. Żołądek odmawiał mu posłuszeństwa, odkąd zobaczył, jak Igor i Pedro ładują bezwładnego Caspra do samochodu kempingowego. Była trzecia w nocy. Do końca zmiany miał jeszcze trzy godziny, a potem już

tu nie wróci. Klamka zapadła. Pal licha, czy mu zapłacą, czy nie, nigdy już nie zamierzał pokazywać się w tych stronach.

Po trzydziestu minutach żałośnie bezskutecznych usiłowań, by zwalić kloca, uznał, że ma tego dość. Podciągnął spodnie, spuścił wodę i podszedł do rzędu umywalek, żeby umyć ręce.

Lustro nad białą plastikową umywalką potwierdziło jego najgorsze obawy. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. I tak też się czuł, nawet nie dlatego, że w grubo obandażowanej dłoni miał teraz dziurę. Prawdę mówiąc, martwił się, że zbyt łatwo oddał im Caspra. I nie chodziło o to, że bał się zemsty ze strony jego starszego brata. Teraz będzie musiał żyć ze świadomością, że pozwolił dwóm oczywistym oprychom napaść i uprowadzić całkiem niewinnego człowieka. To zaś miało mu ciążyć na sumieniu do końca życia.

Strojąc do siebie najprzeróżniejsze miny w długim lustrze nad umywalkami, usiłował nie myśleć o tym, jaki los spotkał Caspra. Para wodna na szkle zdawała się układać w słowo „winny” dokładnie na środku jego czoła. Bo też czuł się winny. Nie potrafił samemu sobie spojrzeć w oczy, aż w końcu na widok własnego żalosego odbicia w lustrze zrobiło mu się niedobrze. Jego usta wypełniła ślina, jak gdyby miał puścić pawia. Ogarnięty nagłą nienawiścią do samego siebie, napłuł na swoje odbicie, a płyn przesłonił większą część żalosej twarzy, która gapiała się na niego.

Devon nie musiał zbyt długo wpatrywać się w swoje odbicie, bo kiedy plwocina zaczęła spływać po lustrze, łazienka nagle pograżyła się w ciemnościach. To sprawiło, że w mgnieniu oka otrząsnął się z transu.

Awaria zasilania? O w mordę! - pomyślał. Ciekawe, co jeszcze popieprzy się tej nocy!

Kiedy z wyciągniętymi przed siebie rękami szedł chwiejnie w stronę, gdzie, jak sądził, są drzwi, nie ujrzał ani promyczka światła. Wyczuwając malowane drewno drzwi, przesunął rękami dookoła, aż jedną z nich dotknął gałki i przekręcił ją. Drzwi otworzyły się bez trudu, ale z rozczerowaniem przekonał się, że w korytarzu panują takie same ciemności.

Hart wiedział, że w szufladzie w kuchni dla personelu leży latarka, skręcił więc w korytarz w lewo i ruszył powoli, jedną ręką macając ścianę, a drugą wyciągając przed siebie, żeby się w nic nie wpakować. W ciemności i ciszy przeszedł korytarzem może z dziesięć metrów, gdy naraz poczuł, że przechodzą go ciarki. Przez dłuższą chwilę poznawał, jak to jest być ślepym, a także w pewnej mierze głuchym. Słyszał jedynie własne ciche kroki. Nagle usłyszał, że ktoś poruszył się za jego plecami. Przerażony, okręcił się na pięcie i krzyknął w ciemność:

- Halo?

Nikt nie odpowiedział.

- Halo! - zawołał ponownie, tym razem ciszej. - Jest tam kto?

Wciąż nic. Widocznie to tylko wyobraźnia. Odwrócił się i ruszył w kierunku kuchni, mocno przyciskając rękę do ściany, żeby się uspokoić.

Nagle znów usłyszał. Jakiś ruch za swoimi plecami. Stał jak wryty i zamarł w bezruchu. Nastawił uszu. Zdecydowanie ktoś się za nim czał. Słyszał czyjś oddech. Zaraz, naprawdę go słyszał czy nie? Oczywiście, że tak. Devon Hart wiedział, jak brzmi oddychanie. Sam wstrzymał dech na kilka sekund, by się upewnić, że to nie siebie samego słyszy.

- Halo - powtórzył raz jeszcze, tym razem nie oglądając się. - Słuchaj no, wiem, że tam jesteś. Słyszę cię.

Przeżony tym, w co się pakuje, znów się odwrócił i wlepił wzrok w ciemną otchłań korytarza prowadzącego z powrotem do recepcji.

Nagle pojawiło się światło, aczkolwiek nikłe. Dziesięć metrów przed sobą Devon Hart ujrzał błysk. Malutki płomycek, równy, wielkości paznokcia na małym palcu. Przez chwilę miał mętlik w głowie, zanim uświadomił sobie, co to jest. Papieros! Dziwne tylko, że najwyraźniej zapalił się sam.

- Halo! - zawołał znowu. Teraz strach naprawdę nim zawładnął, wyciskał mu powietrze z płuc. Ktoś tam był. Zdradził się paleniem papierosa, ale się nie odzywał. - Kto tam jest? - krzyknął jeszcze raz, wyężając wzrok w nadziei, że dostrzeże postać za maleńkim blaskiem czubka papierosa.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Hart po raz ostatni zobaczył, jak koniuszek papierosa rozżarza się, po czym ten, kto go trzymał, upuścił go na podłogę. Devon gapił się na niego, patrząc, jak pali się na podłodze, i spodziewając się, że właściciel go przypetuje. Ale papieros wciąż się tlił. Nagle znów rozległy się kroki. Nieproszony gość ruszył w jego stronę; z każdą chwilą stukot butów przybierał na sile, a kroki były coraz szybsze.

W końcu kroki ucichły. Devon Hart poczuł, że czyjaś ręka łapie go za gardło.

Rozdział trzydziesty trzeci

Sanchez miał powyżej uszu tej samej wiecznej kołomyi. Miesiąc w miesiąc ciągal go na komendę główną, żeby przeglądał policyjne zdjęcia przestępców podejrzewanych o to, że są Bourbon Kidem. Kiedyś zawsze robił to wypalony stary glina, Archie Somers, który zmuszał go do przechodzenia przez cały ten cyrk. Rezultat zawsze był taki sam - na monitorze komputera pojawiały się znajome twarze. Sanchez znał je wszystkie, ale żadna z nich nie była twarzą Bourbon Kida.

Tym razem wezwał go detektyw Hunter, jeden z trzech gliniarzy, którzy poprzedniego dnia odwiedzili Tapiocę. Z nietypową dla siebie uprzejmością Sanchez przyniósł mu butelkę najlepszego „samogonu”, mając w pamięci, jak smakował on detektywowi podczas pierwszej wizyty w jego barze. Hunter skwapliwie przyjął butelkę, a teraz co chwila z lubością popijał ciemnożółty płyn. Podnosił flaszkę do ust tak łapczywie, że aż wychlapał kilka kropli na swój sweter.

Sanchez sam nie wiedział, co irytuje go bardziej - ciąganie go, żeby znowu oglądał te same stare zdjęcia policyjne, czy fakt, że Hunter z takim upodobaniem raczył się świeżymi szczynami, zebranymi z samego rana.

- Słuchaj pan, to zawracanie dupy i strata mojego czasu - rzekł z westchnieniem.

Hunter nie zareagował na jego słowa i znów kliknął myszką, przywołując na ekran kolejną twarz.

Siedzieli w pokoju przesłuchań, a raczej, oględnie mówiąc, w ohydnej norze. Swego czasu był to gabinet Archiego Somersa, który na krótko dzielił z Milesem Jensenem, zanim obaj zginęli w niezwykłych okolicznościach w noc zaćmienia Słońca. Hunter siedział przy biurku przed oknem z zaciągniętymi żaluzjami, co miało wywrzeć należyte wrażenie na przesłuchiwanym. Odwrócił ekran komputera tak, żeby siedzący po drugiej stronie biurka Sanchez mógł się dobrze przyjrzeć przesuwającym się na ekranie zdjęciom. Już sam strój barmana jasno świadczył, że nie obchodzi go cała ta procedura. Ubrany był w brudny biały T-shirt z prostym napisem skierowanym niewątpliwie pod adresem Huntera - wypisanym wielkimi czarnymi literami „WAL SIĘ!”.

- To Marcus Gnida - oznajmił Sanchez, patrząc na ostatnie ze zdjęć na ekranie. - Człowieku, przecież on, kurwa, nie żyje. Jest sztywny gdzieś tak od roku. Chryste! Czy wy

nigdy nie aktualizujecie tych danych?

Hunter kliknął myszką i na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie.

- Nie żyje. Następne.

- Nie żyje.

I jeszcze jedno.

- Nie żyje - powtórzył znowu barman.

- Gówno prawda! - warknął Hunter. - Tego gościa mieliśmy tu w zeszłym tygodniu.

Sanchez wzruszył ramionami.

- Skoro pan tak twierdzi.

Na ekranie ukazało się następne zdjęcie.

- Nie żyje.

Hunter puścił myszkę i wydał wargi, przesywając barmana wściekłym wzrokiem.

- Gadasz tak, że każdy z nich nie żyje, tylko po to, żeby mnie wkurzyć?

- Ehe.

- Ty spasiony fiucie! Myślisz, że mam ochotę siedzieć tu z tobą i tracić czas?

- Słuchaj, kolego - odparł Sanchez, pochylając się nad biurkiem. - Tracisz czas nas obu. W waszej bazie danych nie ma ani jednego pieprzonego zdjęcia Bourbon Kida, pojmujesz? Nigdy nie było. I nigdy nie będzie. Ile razy podawałem waszym rysownikom jego rysopis do przetworzenia na komputerze?

- Widziałem je - burknął Hunter. - Jesteś kurewskim błaznem, dobrze wiesz.

Detektyw miał na myśli jeden z wyjątkowo irytujących nawyków Sancheza. Przynajmniej pięć razy barman podawał rysopisy grafikom policyjnym i skołował ich tak, że narysowali własne portrety zamiast Bourbon Kida. Był to kiepski dowcip, ale jedyny sposób, żeby odegrać się na tych sukinsynach za to, że na okrągło ciągną go na komendę.

Sanchez rozparł się na krześle i splótł ramiona na piersi.

- Skończyliśmy?

- Nie.

Hunter wrzucił na ekran kolejne zdjęcie. To akurat przykuło uwagę barmana, który pochylił się i rozplótł ręce.

- Mój Boże! - szepnął. - To on!

Hunter rozpromienił się.

- Bourbon Kid?

- Nie, chłopak, który dostarcza mi prasę. Skubany spóźnił się w tym tygodniu już trzy razy.

- W porządku. Sam się o to prosiłeś! - ryknął Hunter. - Zabiję cię, jak mi Bóg miły!

Już miał się rzucić nad biurkiem na Sancheza, gdy otworzyły się drzwi w ścianie za plecami najbardziej wkurzającego barmana w Santa Mondega i wszedł Michael De La Cruz, w świeżo wyprasowanej, zapiętej po szyję czerwonej koszuli i eleganckich luźnych czarnych spodniach.

- Macie coś? - zapytał.

- Żarty się ciebie trzymają? Ten facet to jakiś kurewski zgrywus. Gównu z niego wyciągniemy.

De La Cruz chwycił Sancheza za ramię i ścisnął mocno.

- Wiesz, że Bourbon Kid niedługo znowu zawita do twojego baru, jeżeli go nie dorwiemy? Tyle że tym razem może nie pozostawić cię przy życiu. A skoro jesteś jedyną żyjącą osobą, która wie, jak on wygląda, to formalnie rzecz biorąc, jesteś też jedynym, który może się uratować przed śmiercią z jego ręki, kiedy następnym razem do ciebie wpadnie.

Sanchez odwrócił się do kapitana.

- Czy to miała być ironia? - zapytał.

- Nie. To jest ironia.

- Słuchaj pan - rzekł barman, znudzony już tą rozmową. - Są dwie rzeczy, których nigdy więcej nie chciałbym oglądać. Jedna z nich to białka oczu tego gościa. Nie chcę ich widzieć nawet na jakimś pieprzonym zdjęciu.

- No to może zaczniesz wreszcie współpracować - podsunął De La Cruz. - Z korzyścią i dla nas, i dla ciebie. Zgoda?

- Jasne.

- A zatem... mówiłeś, że są dwie rzeczy, których nie chciałbyś nigdy więcej oglądać, zgadza się? Jaka jest ta druga?

- Jak się robi pierogi z mięsem.

De La Cruz szturchnął Sancheza w tył głowy.

- Bezużyteczny kutas.

- Mogę go zabić? - spytał Hunter.

- Kusząca myśl. Ale mamy większe problemy. Wydarzył się pewien incydent.

- Incydent?

- Ano. Znasz Szpital Psychiatryczny Doktora Molanda na skraju miasta? Ten, z którego Igor i Pedro porwali brata Bourbon Kida?

- No.

- To Bourbon Kid ma brata? - wtrącił się Sanchez. - Jaja se ze mnie robicie, czy co?

Co to za jeden?

- Nie twój interes - warknął Hunter.

Ale barman miał w zanadrzu więcej pytań.

- To ten, coście go pospołu z wilkołakami zabili wczoraj w nocy, po tym jak wypiliście jego krew ze świętego Graala?

Dwaj policjanci wlepili w niego wzrok.

- A ty skąd o tym wiesz, do kurwy nędzy? - zapytał Hunter.

- Nie wiem. Chodzą takie słuchy. Ale prawdę mówiąc, nawet ich jeszcze nie słyszałem. Zapomnijcie, co powiedziałem.

- Wiesz co? - rzucił Hunter. - Pewnego dnia ten twój długi jęzor wpakuje cię w kłopoty, z których się nie wykaraskasz.

- Ale przynajmniej mój język zna smak whisky.

- A to co, kurwa, miało znaczyć?

De La Cruz miał już dość ich sprzeczeki.

- Możecie się zamknąć na chwilkę? - wrzasnął. - Chcecie się dowiedzieć, co się stało w szpitalu, czy nie?

- Jasne. Przepraszam. Mów dalej - rzekł Hunter.

- W nocy szpital doszczętnie się spalił.

- Że co?!

- Spalił się doszczętnie. Straż pożarna znalazła w środku sto dwadzieścia pięć zwęglonych ciał.

- Ja pierdolę. - Hunter pokręcił głową. - Te szurnięte wilkołaki. To one podłożyły ogień?

- A gdzie tam. - De La Cruz lekceważąco pogroził mu palcem. - To nie oni. Kiedy odjeżdżali, wszystko było cacy. Pożar wybuchł nad ranem. Długo po ich odjeździe.

- A więc to był wypadek? Czy co?

- Skądże. Żaden wypadek.

- Ilu przeżyło?

- Nikt.

- Ani jeden człowiek?

- Ani jeden.

Sanchez tkwił wciśnięty między dwóch policjantów i słuchał uważnie. Plotka z pierwszej ręki... to dopiero rzadkość! A De La Cruz sprawiał wrażenie, jakby miał dużo więcej informacji do przekazania.

- Nie ocalała ani jedna osoba. Chcecie wiedzieć dlaczego?
- Wszystkie schodki przeciwpożarowe się zablokowały? - zaryzykował Hunter.
- E tam.

- Chcesz mi powiedzieć, że wszystkie te sto dwadzieścia pięć osób, które było w szpitalu w momencie wybuchu pożaru, spłonęło żywcem? Ani jednemu palantowi nie udało się wydostać?

De La Cruz pokręcił głową.

- Nie. Nikt nie spłonął żywcem. Zostali skremowani.
- He? Nie rozumiem.
- Kiedy wybuchł pożar, te sto dwadzieścia pięć ofiar już nie żyło.

Hunter cofnął się na krzesło i wyprostował.

- Co jest, kurwa? Jak to się stało?
- Sam się domyśl.

Przez kilka sekund łysiejący detektyw z Republiki Południowej Afryki marszczył czoło, aż wreszcie znalazł odpowiedź.

- Nieszczelna instalacja gazowa?
- Słyszałeś kiedyś, żeby ludzie zatruci gazem mieli wydłubane oczy? I odcięte głowy?

Przestrzelone kolana i poderżnięte gardła?

- Mógłbyś powtórzyć?
- Dobrze słyszałeś.

Hunterowi opadła szczęka.

- Twierdzisz, że ktoś najpierw zabił tych wszystkich ludzi, a dopiero potem podłożył ogień?

Sanchez odchrząknął, żeby zwrócić uwagę obu policjantów, po czym wskazał zdjęcie gazeciarza na monitorze komputera.

- No, w każdym razie to nie on - powiedział.

De La Cruz znów trzepnął go w tył głowy i odwrócił się do drugiego detektywa.

- Hunter, to na pewno był Bourbon Kid. To on ich załatwił.

- Zgoda, ale dlaczego? Nikt z ludzi w tym szpitalu nic mu nie zawinił. No, może tylko strażnicy, którzy wpuścili Igora i Pedra. To po prostu zabójstwo stu dwudziestu pięciu niewinnych osób bez żadnego motywu. Przecież to, kurwa, bez sensu!

De La Cruz wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Kto wie, dlaczego ten facet robi to, co robi?
- Ja - rzekł Sanchez.

- Co takiego? - rzucił De La Cruz.

- Ja wiem, dlaczego zabił tych wszystkich ludzi. I dlaczego zrobił to tak brutalnie i bez litości.

- Ten gość to jakiś pieprzony pajac - orzekł Hunter. - No dobra, Sanchez, opowiedz nam swój zabawny kawał i spadaj. Dlaczego tym razem Bourbon Kid zabił tych ludzi? No już... jaka jest puenta?

- Nie ma żadnej puenty - odparł barman poważnie. - To fakt. Chcecie wiedzieć, dlaczego zabił tylu niewinnych ludzi i przed śmiercią kazał im niewyobrażalnie cierpieć na wszelkie możliwe sposoby? Czy nie?

- Mów.

De La Cruz przejawiał większe zainteresowanie niż Hunter. I przynajmniej tym razem miał rację, bo chociaż raz Sanchez nie robił sobie jaj.

Barman wstał i z oparcia krzesła, na którym siedział, zdjął burą zamszową marynarkę. Zaczął ją wkładać, a tymczasem dwaj policjanci czekali na wyjaśnienie. Wsunął ręce w rękawy, ruszył do wyjścia i na odchodnym odpowiedział:

- Zabił tych ludzi, żeby dać coś do zrozumienia. A jego przekaz, drodzy panowie detektywi, jest taki: największy masowy morderca w historii nie potrzebuje motywu, żeby kogoś zabić. On to robi dla frajdy. Ale wy... no cóż, wy zabiliście jego brata, a zatem daliście mu motyw. Po mojemu chciał wam dać do zrozumienia, że będziecie cierpieli o wiele bardziej niż tych stu dwudziestu pięciu gości, którzy nigdy niczym go nie wkurzyli. - Zmierzając do drzwi, Sanchez precyzyjnie przeszedł obok kapitana. - Muszę skoczyć na miasto po zakupy - dorzucił z uśmiechem.

- Czekaj, psiarew! - krzyknął Hunter zza biurka. - Jak to się dzieje, że ciebie jakoś nigdy nie zabija, co? Spotkałeś się z nim dwa razy i za każdym razem przeżyłeś. Co jest grane? Trzymasz z nim sztamę, czy co?

Sanchez zatrzymał się i zadumał nad tym, co powiedział Hunter. Obaj policjanci czekali na jego wyjaśnienie.

- Wiecie co? - odparł po chwili zastanowienia. - Powód, dla którego wciąż żyję, jest prosty: ja nie przekraczam granicy, jeśli chodzi o tego faceta.

Hunter lekceważąco machnął ręką przed twarzą.

- Gówna prawda! Nie przekraczasz granicy? Ty nawet nie masz pojęcia, co to znaczy - zadrwił.

- Ja wiem, gdzie jest granica Bourbon Kida - oświadczył barman spokojnie.

- Tak? Niby gdzie?

- Obejrzyj się.

Rozdział trzydziesty czwarty

Elijah Simmonds nie należał bynajmniej do ulubionych pracowników Bertrama Cromwella, za to w pracy spisywał się nadzwyczajnie. O ile profesor skupiał się na ludziach, o tyle Simmondsa, dyrektora finansowego muzeum, zajmowały jedynie zyski i sposoby ich zwiększenia. Obaj siedzieli w gabinecie Cromwella i od ponad dwóch godzin przeglądali księgi rachunkowe muzeum. Simmonds jasno dał profesorowi do zrozumienia, że albo zdecydują się na cięcia kosztów, albo zyski doznają poważnego uszczerbku.

Cromwell usadowił się w swoim olbrzymim skórzanym fotelu i sprawdzał kolumny zysków i strat w księgach, a Simmonds, siedzący po drugiej stronie biurka, regularnie nachylał się, żeby wyjaśnić mu jakiś mało znaczący szczegół. Simmonds był przed trzydziestką, a choć tak młody, mierzył wysoko i już od jakiegoś czasu miał chrapkę na posadę Cromwella jako nadzorcy całego muzeum. Nie miał zamiłowania do sztuki i historycznych przedmiotów przechowywanych w muzeum, za to uwielbiał zarabiać pieniądze i był uzależniony od władzy.

Cromwell znakomicie zdawał sobie sprawę z ambicji dyrektora finansowego i nie dał się zwieść jego udawanemu entuzjazmowi dla muzealnych eksponatów. Doceniał jednak fakt, że z niezrozumiałych dla niego powodów młodszy pracownicy wyraźnie lubili Simmondsa. Może zasłużył sobie na to modną fryzurą i tandetnym, acz szpanerskim gustem w kwestii stroju? Prywatnie Cromwell uważał, że mężczyzna w garniturze noszący tlenione, związane w kucyk blond włosy wygląda cokolwiek obleśnie, ale w tej kwestii trzymał język za zębami. Wychodził z założenia, że sądenie innych po pozorach jest głupie i gdyby kierował się w życiu taką zasadą, nie poznałby wielu naprawdę cudownych ludzi, których spotkał przez te wszystkie lata.

- A zatem jest to szósty miesiąc z rzędu, kiedy zyski spadają? - zapytał, spoglądając ponad oprawką okularów na młodego człowieka, który oderwał się od ksiąg na biurku.

Simmonds miał na sobie szykowny niebieski garnitur oraz białą koszulę z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami. Nie nosił krawata, co Cromwellowi nie mieściło się w głowie. W dodatku rozmawiając z profesorem, co rusz drapał się po jajkach, a choć robił to regularnie, najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

- No, sześć miechów z rzędu - potwierdził Simmonds. - Od gwałtownego wzrostu

zainteresowania po kradzieży mumii sprawy z miesiąca na miesiąc mają się coraz gorzej.

Cromwell zdjął okulary i odłożył je na biurko. Od tego gapienia się na liczby rozboleły go oczy.

- Nie ma w tym chyba nic dziwnego? W końcu egipski grobowiec był naszym najcenniejszym eksponatem. Moim zdaniem musimy znaleźć na jego miejsce coś szczególnie niezwykłego. Sęk w tym, że autentyczna egipska mumia nie trafia się na każdym kroku.

- No, niby tak - przyznał Simmonds, wciąż gmerając w okolicach krocza. - Ale póki co, musimy zredukować koszty.

Profesor niespokojnie przesunął się w potężnym skórzanym fotelu. W kosztownym szarym garniturze od Johna Phillipisa, szytym na miarę w Londynie, mógł się wiercić do woli, bez obawy, że go pogniecie, czego tani ciuch Simmondsa z masowej konfekcji nigdy by nie wytrzymał.

- Zakładam, że masz już jakiś pomysł? - zapytał niepewnie.

- Tak jest, szefie - przytaknął Simmonds, prostując się i kładąc ręce na blacie biurka, by profesor mógł je widzieć, co ten przyjął z wyraźną ulgą. - Na początek moglibyśmy się pozbyć przynajmniej jednego pracownika.

- Naprawdę? Jesteś pewny? Bo kiedy ostatnio sprawdzałem, i tak już mieliśmy kłopot z personelem.

- To prawda, profesorze, święta prawda. Ale stać nas na to, żeby zwolnić jednego z podwykonawców.

- To my mamy podwykonawców? - Starszy pan roześmiał się łagodnie. - Jak to możliwe?

- Cóż, prawdę mówiąc, jest tylko jeden, proszę pana. Niestety, pańskie osiągnięcia w doborze pracowników są nieszczególne.

- Co proszę? - rzucił profesor, zbity z tropu.

- Ja się nie popisuję, nic z tych rzeczy - zapewnił Simmonds. - Ale wszyscy pracownicy zatrudnieni przeze mnie zachowują się bez zarzutu i pracują niezwykle ciężko. Natomiast przynajmy, że kilka ostatnich osób, które pan przyjął do pracy, głównie z dobroci serca, niespecjalnie tu pasuje. Pamięta pan Dantego Vittori?

- Tego, który rozbił ci na głowie bezcenną wazę?

- Tak, chodzi o niego. Był nieprzydatny.

- Ale całkiem sympatyczny.

- Bądźmy szczerzy, profesorze, przecież to był zwyczajny idiota! - zaprotestował Simmonds.

- Zgoda, przyznasz jednak, że nazwanie go idiotą w chwili, kiedy trzymał bezcenną wazę nad swoją głową, nie należy raczej do twoich szczytowych osiągnięć.

Simmonds znów oparł się w fotelu i zaczął gmerać przy kroczu, bo tani garnitur uciskał mu intymne części ciała.

- Szkoda, że nie pozwolił mi pan oskarżyć tego nieudacznika i wpakować go do więzienia. Może to by go wreszcie czegoś nauczyło. W każdym razie rozumie pan, o co mi chodzi. Proponuję, żebyśmy wylali pańskiego drugiego pracownika, przyjętego w ramach miłosierdzia.

- Jediną osobą zatrudnioną przeze mnie jest już tylko Beth Lansbury.

- Właśnie ją mam na myśli.

- A dlaczego chcesz ją zwolnić, na litość boską? To przeurocza młoda kobieta.

- Ale nie brata się z innymi. Obiady w kantynie jada samotnie. No i, rzecz jasna, ma za sobą przeszłość kryminalną.

- Dziękuję, Elijah, doskonale wiem o jej kryminalnej przeszłości. Ta dziewczyna miała naprawdę ciężkie dzieciństwo. Moim zdaniem ona zasługuje na święty spokój. Właśnie dlatego ją zatrudniłem. A jej ojciec, Panie świeć nad jego duszą, przed wielu, wielu laty był moim przyjacielem.

- Czy ojciec Dantego Vittori także był pańskim przyjacielem?

- Tak.

- No cóż.

- Co znaczy: „No cóż”?

- No cóż, to jeszcze nie powód, żeby przyjmować ludzi do pracy, prawda? Proszę mnie źle nie zrozumieć, profesorze, według mnie to bardzo szlachetne z pańskiej strony, że daje pan pracę dzieciom starych przyjaciół, ale nie wpływa to dobrze na interesy. Czy pan wie, że reszta personelu jej się boi? Nazywają ją „Szurniętą Beth”. Można to ubierać w różne słówka, w ciężkie dzieciństwo i tak dalej, co jednak nie zmienia faktu, że zabiła kogoś z zimną krwią, a ludzie się tego boją. Większość pracy odbywa się pod jej nieobecność. Bo kiedy jest tutaj, wszyscy stają się spięci. A ta okropna blizna na jej twarzy? Brrr! Na pewno zauważył pan, jak większość odwiedzających reaguje na jej widok. I widzi pan? Ona nawet odstrasza nam klientów z gotówką. Niech pan mi wierzy, wyrzucenie jej z listy płac i z tego budynku korzystnie wpłynie na interesy.

Cromwell podniósł z biurka połówkowe okulary w cienkiej oprawce i włożył je na nos. Przez chwilę masował zmarszczone czoło. W końcu zamknął księgę rachunkową przed sobą.

- No dobrze - powiedział i pchnął księgę po blacie w kierunku Simmondsa. - Przyślij mi tu Beth, jak już wrócisz na górę. Sam z nią porozmawiam.

Rozdział trzydziesty piąty

Igora wciąż przepelniała euforia z poprzedniej nocy, kiedy to opił się krwi pacjenta numer 43, znanego także jako Casper. I podczas gdy towarzyszący mu w krwawej uczcie Pedro postanowił spędzić popołudnie w towarzystwie dziwki, Igor uznał, że wyskoczy na miasto na kilka głębszych. Szukał także okazji, by móc prężyć swoje nowe nieśmiertelne mięśnie. Najpierw zawinął do Fawcett Inn w samym sercu miasta - ulubionej spelunki wilkołaków. Tak jak miejscowe wampiry opanowały Lelka-Kufelka, tak wilkołaki przejęły dla siebie Fawcett Inn.

Kiedy tam dotarł, z zewnątrz wydawało się, że w lokalu panuje względny spokój. Drzwi frontowe stały otwarte na oścież, niewątpliwie z powodu wilgotności powietrza. Bar nie był szczególnie duży; lekko wystylizowany na angielski pub, wyglądał jak kryty strzechą domek z rodzaju tych, jakie można zobaczyć w północnej Anglii.

W środku Igor z rozczarowaniem przekonał się, że w Fawcett Inn nie ma specjalnego ruchu. A ponieważ chciał się trochę popisać, liczył na nieco większą publiczność. Przy stołach po lewej stronie baru siedziało nie więcej niż piętnastu klientów. Jak to przeważnie bywa, za barem urzędował tylko jeden człowiek, siwobrody Murzyn imieniem Royle. W tym lokalu Royle pełnił podwójną rolę - barmana i odźwiernego. Był dostatecznie wielki i twardy, by dać sobie radę z każdym klientem, który przyszedłby tu szukać rozróby. Jeszcze niedawno dotyczyło to nawet Igora, teraz jednak samozwańczy szef wilkołaków gotów był poddać go próbie.

- Royle, dawaj mi tu flaszkę bimbrow. Na koszt firmy! - warknął tonem zapraszającym do konfrontacji. Liczył na to, że obrażony jego arogancją czarnuch wyzwie go na pojedynek, by sprawdzić, kto jest silniejszy. Tymczasem spotkało go smutne rozczarowanie. Royle nie wyświadczył mu tej grzeczności. Widocznie dowiedział się, że Igor jako żywy trup żyje na nowym, ulepszonym i wyższym poziomie.

Barman wyciągnął spod lady nienapoczętą butelkę swojego najlepszego bimbrow i postawił ją, wraz ze szklanką, na kontuarze przed Igorem.

- Gratuluję - oświadczył ze śmiertelną powagą. - Słyszałem, żeś razem z Pedrem zabił jakiegoś upośledzonego na umyśle szczeniaka i napiliście się jego krwi ze świętego Graala.

Igor nie był w nastroju do wysłuchiwania czyichś komentarzy. Przyszedł zabójczo

wystrojony w białą jedwabną koszulę, rozpiętą do połowy, spod której wystawały bujne, ostre czarne włosy na piersi. Na szyi miał złoty łańcuch z kłębem krokodyla. Wcześniej wybrał się na zakupy i nabył bajeranckie spodnie z czarnej skóry, w których teraz paradował radośnie, trochę jak Tom Jones (a przynajmniej taką miał nadzieję).

- Uważaj, jakim tonem się do mnie zwracasz! - prychnął do Royle'a, podnosząc flaszkę bimbrową i wyciągając korek. - Przez chwilę wyglądało mi na to, że mnie przedrzeźniasz, a jeżeli jest coś, czego więcej nie zniosę, to protekcjonalnych, zasranych uwag od ciebie czy kogokolwiek w tym przeklętym lokalu.

Mówiąc to, podniósł głos, żeby na pewno dotarł do wszystkich obecnych. A ponieważ muzyka nie grała, usłyszeli go wszyscy; mało tego, nawet przerwali rozmowy między sobą, żeby okazać mu należyty szacunek.

Igor rozejrział się, szukając klienta, który by się na niego gapił, a jednocześnie nalał sobie pełną szklanekę bimbrową i wychylił ją jednym haustem. Nikt jednak mu się nie przyglądał, wobec czego nalał sobie drugą kolejkę.

- Miasto ma nowego szeryfa! - zawołał, także i tym razem na tyle głośno, żeby na pewno wszyscy go usłyszeli. Wiedział, że chłoną każde jego słowo, ale jak na razie nikt nie ośmielił się spojrzeć mu w oczy. Każdy jak zafascynowany wpatrywał się w swoją szklanekę albo buty.

W końcu, zirytowany tym, że nikt nie pali się do starcia, okręcił potężne cielsko, by mieć wszystkich na widoku, i wykrzyczał resztę oświadczenia na temat nowego szeryfa.

- A jego imię to Igor Kieł. Nas, wilkołaków, nikt już nie będzie postrzegał jako obywateli drugiej kategorii. Wampirom też nie damy sobą pomiatać. Staniemy się im równi. - Przerwał, żeby znów łyknąć bimbrową, po czym mówił dalej: - Pierwsi trzej z was, którzy złożą mi przysięgę na wierność, tu i teraz, zostaną moimi przybocznymi. No już, chłopaki, to jedyna życiowa szansa, by zostać członkiem ekipy numer jeden wilkołaków w Santa Mondegga. Po was przyłączą się kobiety i bogacze. Chodźcie, zostańcie członkami klanu, który podbije świat. Klanu wilkołaków, który da radę wszystkim klanom wampirów do kupy wziętym. Do najgorszego klanu na całym świecie. - Zrobił krok w kierunku zajętych stolików i pogroził pięścią w powietrzu. - To jak, kto jest ze mną?

Zapadła cisza, gdy siedzące na sali wilkołaki z marginesu przetrawiały jego słowa. Mniej więcej piętnastu młodych samców przy różnych stolikach zerkało na siebie niespokojnie, czekając, aż któryś z nich się odezwie. W końcu jakiś odważny młody facet w niebieskiej dzinsowej kamizelce bez rękawów wstał od pobliskiego stołu i podszedł do Igora. Ten niechlujny młody wilkołak o gęstych, zmierzwionych kasztanowych włosach imieniem

Ronnie był, a jakże, najdzielniejszy z całej bandy. Miał zamiar szybko wdrapać się na sam szczyt, więc jeżeli wymagało to ryzyka i pokazania, że odwagą przewyższa innych, nie ma sprawy, zrobi to i już.

- Składam ci przysięgę na wierność, Igorze - oświadczył uroczyście. - Czego sobie życzysz ode mnie? - Najwyraźniej archaiczny styl wypowiedzi zaczął się przyjmować.

Igor obrzucił go wzrokiem od stóp do głów i z uznaniem kiwnął głową. Facet miał jaja.

- Czego sobie życzę od ciebie? To proste. Na początek przydałby się ktoś, z kim mógłbym się napić. Royle, dawaj mi tu jeszcze jedną flaszkę bimbru. Na koszt firmy.

Royle za plecami Igora obrzucił go wrednym spojrzeniem i wywrócił oczami, widząc, że dwóch innych młodych obdartusów wstaje od stolika, przy którym siedział Ronnie. Pośpiesznie podeszli i stanęli obok swojego kumpla. Ale że żaden z nich nie był aż tak dzielny, trzymali się ćwierć metra za nim. Cała trójka stała naprzeciwko Igora, który zarozumiale opierał się plecami o kontuar.

- Skocz nie po jedną flaszkę, ale po dwie! - ryknął wielgachny wilkołak, nawet nie fatygując się, by się obejrzeć na Royle'a.

- Sie robi - odburknął barman z sarkastycznym uśmiechem. - Chyba skoczę na zaplecze i przyniosę ci jeszcze parę flaszek.

Powłócząc nogami, wyszedł przez otwarte drzwi na tyłach baru.

Igor otaksował przeciągłym spojrzeniem swoich trzech nowych przybocznych. Wszyscy trzej byli wprawdzie nieco zbyt wątłej budowy, ale niewątpliwie szczycili się wilkołaczym dziedzictwem, bo każdy miał bujny zarost na twarzy, co u wilków jest powodem do dumy.

- Dobra, to jak się nazywacie? - zapytał ich.

Pierwszy, który wstał od stolika, czyli Ronnie, wciąż wysunięty nieco przed dwóch kumpli, cofnął się o krok i nadepnął na nogę jednego z ludzi za plecami.

- Wiesz co? - powiedział. - Rozmyśliłem się.

- No, ja też - powiedzieli dwaj pozostali jednocześnie. Oni także cofnęli się o krok. Wszyscy trzej pobledli i szeroko otwartymi oczami gapili się na bar za plecami Igora. Początkowo instykt nowego samozwańczego szefa wilkołaków podpowiedział mu, że są trochę zdenerwowani, a może nawet się go boją, bo myślą, że może któremuś z nich spuścić pokazowy łomot. Nagle jednak zadziałał jego szósty zmysł. Coś było nie tak.

- Co jest grane? - zapytał. Wydmuchał nos w palce i obejrzał je uważnie. - Usmarkałem się, czy co?

Trzy młode wilkołaki jak na komendę pokręciły głowami. Za plecami Igora zobaczyły coś, co dawało im podstawy do wycofania się. Właśnie znaleźli potwierdzenie plotek, że Igor zabił ociężałego umysłowo brata Bourbon Kida. A to dlatego, że ujrzeli za nim kogoś, kogo mieli nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć. Był to zakapturzony mężczyzna, który wstał ze stołka przy barze, z twarzą ukrytą w cieniu nakrycia głowy.

Ciemna postać wyciągnęła przed siebie ręce w rękawiczkach, rozstawione na pół metra i z zaciśniętymi pięściami.

A wokół tych dłoni w czarnych rękawiczkach lśnił srebrzyście stalowy drut, jakich używa się do cięcia sera.

Zanim szósty zmysł Igora zadziałał na dobre i odpowiedział mu, że jest w kłopotach, drut do cięcia sera śmignął mu nad głową i zacisnął się na gardle. W mgnieniu oka zakapturzony mężczyzna wciągnął wilkołaka za bar, a ten zniknął z widoku, krztusząc się i wierzgając nogami.

Klienci Fawcett Inn rozpierzchli się w niecałe pięć sekund. Nikt nie zamierzał tu czekać na dalszy rozwój wypadków. I tak już widzieli więcej, niżby chcieli.

Kid wrócił. I nawet się jeszcze nie napił.

Rozdział trzydziesty szósty

Kapitan De La Cruz siedział przy biurku w swoim gabinecie i stukał w klawiaturę komputera. Wyraźnie rozciągnął zapinany na guziczki kołnierzyk swojej czerwonej koszuli, szarpiąc go nieustannie przez ostatnią godzinę. Szarpał kołnierzyk zawsze, gdy coś go trapiło. A teraz właśnie czymś się martwił.

Żaluzje w oknie za jego plecami były zaciągnięte, odcinając resztki zachodzącego słońca. Przebijające przez szczeliny cienkie snopy jasnoniebieskiego światła wydobywały z mroku drobinki kurzu wirujące wokół twarzy kapitana, irytujące go niemal w tym samym stopniu co ekran komputera, na który łypał krzywym wzrokiem. Pełne frustracji spojrzenie świadczyło o tym, że De La Cruz nie posuwa się zbytnio w tym, co robi. Świadom tego Hunter zapukał nieśmiało w szklane drzwi gabinetu i czekał, aż przełożony da mu znak, żeby wszedł. De La Cruz machnął ręką, na co Hunter kopnął u dołu lepkie drzwi, które zawsze ciężko się otwierały, wszedł i przymknął je za sobą, po czym stanął obok krzesła przed biurkiem i położył ręce na oparciu.

De La Cruz spojrzał na niego.

- Dlaczego wszyscy muszą kopać w moje drzwi, co? - zapytał. - Nie można ich po prostu pchnąć mocniej? Czy to takie trudne, do kurwy nędzy?

Hunter uśmiechnął się ze skruchą i ze współczuciem.

- Zdaje się, że jesteś strasznie nakręcony. Powiem ci, że sam też tak się czuję.

Zdjął brązową tweedową marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła, po czym usiadł i szarpał kołnierzyk brązowego swetra. W ten sposób niechęć parodiował swojego zwierzchnika.

De La Cruz po raz ostatni stuknął w klawiaturę, oderwał się od ekranu komputera i skupił się wyłącznie na swoim partnerze.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Martwi mnie to, co się stało z tym niedorozwiniętym gościem - odparł Hunter, masując szczecinę na brodzie.

- A, to. - De La Cruz skrzywił się. - E, tym akurat się nie przejmuję. W każdym razie nie bardzo. Trochę się tym gryzę, ale nie tak jak tym, co stało się zaraz potem. Bardziej mnie martwi, że Benson przedstawił się temu facetowi przez telefon. Co on se, kurwa, wyobrażał?

- No, mnie też to wkurza. Myślisz, że po drugiej stronie był Kid?

- A masz jakieś wątpliwości? - rzekł De La Cruz, stukając kilka razy w klawisz spacji na klawiaturze i wybijając bezsensowny rytm.

- Tak, wiem. Bensonowi kompletnie odbiło poczucie ważności. Dyskrecja to raczej nie jest jego drugie imię, co? Czy twoim zdaniem powinniśmy coś z tym zrobić? - Z góry znał odpowiedź.

- Ano. Wygląda na to, że stał się dla nas, no... kulą u nogi. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że teraz Kid zacznie go ścigać. Więc na nas też może zapolować. Straciliśmy element zaskoczenia, Hunter, zabijając tego pieprzonego niedorozwoja, brata Kida. Jeśli nas jeszcze nie ściga, to zaraz zacznie, jak tylko dopadnie Bersona. Znaczą się... ożeż kurwa! - De La Cruz skutecznie się zaplątał we własne słowa, co objawiło się tym, że jeszcze mocniej walnął w klawisz spacji. - Benson sam z siebie podał swoje nazwisko. Nasze też wygada Kidowi, jak ten go trochę przycisnie. A to już, kurwa, nie żarty, chłopie.

Nastrój kapitana wyraźnie pogarszał się z każdą chwilą, gdy wypowiadał na głos to, o czym obaj myśleli, ale czego nie poruszali od czasu zabójstwa z ubiegłej nocy.

- Mam załatwić, żeby Benson zniknął? - zaproponował Hunter.

- Owszem, tak, ale jest jeden kłopot. Nigdzie nie mogę go złapać. Ten oślizły drań gdzieś spierdolił. Porachujemy się z nim w swoim czasie, ale uważam, że najpierw musimy dorwać Bourbon Kida, zanim on dopadnie Bersona i nasz ukochany kolega zacznie śpiewać jak ta lala.

- Myślisz, że Benson dałby radę Kidowi?

- Hunter, i ty byś dał radę Kidowi, i ja bym sobie z nim poradził, ale Benson jest nieobliczalny i groźny dla otoczenia. Jeżeli nasza nowa siła jest tak wielka, jak sądzimy, każdy z nas byłby w stanie wytrzeć podłogę tym żłopiącym bourbona sukinsynem. Ale nie ryzykujemy i nie napuszczamy na niego Bersona.

- Zgoda. Więc jaki masz plan?

- Rzuć okiem na to - powiedział De La Cruz, przekręcając nieco monitor, żeby Hunter mógł zobaczyć, co widać na ekranie.

- Co to jest? - zapytał tamten, patrząc na czarno-białe wideo na ekranie kapitana.

- Film z kamery przemysłowej.

- A co on przedstawia?

- Ubiegłoroczną masakrę w komendzie głównej w noc zaćmienia Słońca, kiedy to Bourbon Kid zabił wszystkich gliniarzy na służbie, a do tego tę ładniutką recepcjonistkę, Amy Webster.

Hunter przyjrzał się migotliwemu filmowi, zatrzymanemu na stop-klatce, z której niewiele wynikało.

- Co to przedstawia? - zapytał.

- To ten fragment, na którym zabija Archiego Somersa, pakując mu tę pieprzoną księgę do klatki piersiowej.

- Jakim cudem zdobyłeś ten materiał? - zaciekawił się Hunter. - Nie wiedziałem, że na komendzie mamy kamery przemysłowe.

- Znalazłem to na YouTube.

- Nie może być!

- Może, tępaku. Okazało się, że wydział spraw wewnętrznych jakiś czas temu potajemnie zainstalował tu ukryte kamery, żeby nas szpiegować.

- Przecież to chyba nielegalne?

- Ale zrobili to w *Zabójczej broni trzy* - skwitował De La Cruz, wzruszając ramionami.

- No to nic nie poradzimy - rzekł Hunter, krzywiąc się. Skoro mogą to robić na filmach, to pewnie mogą i tutaj.

De La Cruz znów wzruszył ramionami.

- Trafiałeś w sedno, Dick.

Stuknął w klawisz spacji i puścił film dalej. Hunter oglądał na ekranie ostatnie chwile życia Archiego Somersa, kiedy to detektyw najpierw zaatakował Bourbon Kida, a potem, po krótkiej szamotaninie i wymianie słów, zatoczył się do tyłu w kuli ognia i w końcu zamienił w popiół i dym. Gdy Somers zniknął, Kid (przez cały czas zwrócony tyłem do kamery) wyszedł z komendy głównej i film dobiegł końca.

- Ładnie - ocenił Hunter. - Coś nam to daje?

- Prawdę mówiąc, tak... chyba czegoś się dowiedzieliśmy - przyznał kapitan, nerwowo szarpiąc jednym palcem kołnierzyk koszuli. - Widzisz, Kid nie jest tym, za kogo go bierzemy.

- Hm, moim zdaniem jest masowym mordercą. Czy on jest masowym mordercą?

- No, tak, ale...

- Wobec tego jest dokładnie tym, za kogo go uważam.

De La Cruz udał, że się uśmiecha.

- Zabawny facet, co? Ale oto, w czym sęk. Oglądałem ten film ze sto razy i zawsze niepokoiła mnie jedna rzecz.

- Co konkretnie?

- Dlaczego Bourbon Kid zostawił *Księgę bez tytułu*? Czy dlatego, że mu na niej nie zależało, czy może z powodu tego... - Korzystając z myszki, przesunął nieco moment startu

filmu na ekranie, po czym znów wcisnął klawisz spacji i puścił film od tego fragmentu. - Popatrz na to.

Hunter baczniej wpatrzył się w ekran. Oglądał film, starając się wyłapać coś, czego wcześniej nie zauważył. Nic jednak nie przyszło mu do głowy, gdy po raz drugi patrzył zafascynowany, jak stary detektyw odchodzi w kuli ognia w czeluści piekieł. Gdy film dobiegał końca, Kid uniósł rękę do karku, opuścił ją i przyjrzał się swoim palcom. Sekundę czy dwie później z powrotem naciągnął kaptur na głowę i wyszedł.

- No cóż, jest na tyle cwany, że nie odwraca się twarzą do kamer - zauważył Hunter. - Ale od zawsze wiedzieliśmy, że jest nie w ciemną bity. Nigdzie nie mamy jego twarzy, na żadnym ujęciu. Facet jest za bystry, zawsze wie, gdzie są umieszczone kamery. Chociaż nawet my tego nie wiemy.

- Przegapiłeś kluczowy moment - oświadczył De La Cruz, jeszcze raz przesuując moment startu filmu. Tym razem cofnął go jeszcze bardziej, do szamotaniny Somersa z Kidem, tuż przed tym, jak Somers zaczął się tlić i dymić. Hunter gapił się na ekran przez kilka sekund, po czym załapał, co kapitan chciał mu pokazać.

De La Cruz pokiwał głową.

- Tak, dobrze kombinujesz. Nasz stary kumpel Somers ugryzł Kida w szyję. Policz teraz do dziesięciu, a Kid zacznie się zmieniać w krwiopijcę. On już nie może tknąć tej księgi, bo Somers go przemienił. Teraz jest pieprzonym wampirem, jak reszta z nas.

- Jasny gwint! - sapnął głośno Hunter; wyraz jego twarzy zdradzał kompletne zaskoczenie. - Nie do wiary! Jak mogliśmy tego wcześniej nie zauważyć?

De La Cruz siedział zatopiony w myślach i twardym wzrokiem gapił się na szklane drzwi gabinetu, nie całkiem domknięte.

- Wiesz co - mruknął w zadumie. - Moim zdaniem wcześniej nie było to takie ważne. W sumie to nieistotne, ale dało mi do myślenia. Widzisz, Kid ma teraz więcej, niż się spodziewała. A to dla nas wielka pomoc. Teraz już go znajdziemy. Jestem tego pewny.

- A to jakim cudem? - spytał Hunter. - W jaki sposób pomoże nam to znaleźć?

- Zastanów się. Kid ma teraz te same wampirze instynkty co my, zgadza się? To naturalne.

- Dobra, zgoda, wobec tego będzie spragniony ludzkiej krwi i może zginąć od czegoś takiego jak ta księga, dobrze mówię? - Hunter przerwał na chwilę. - Nic nie kapuję, tak? Do czego zmierzasz?

Drugi detektyw wciąż gapił się na szklane drzwi, ale nachylił się nieco nad biurkiem, żeby podkreślić wagę swoich słów.

- Postaraj się myśleć szerzej, przyjacielu. Jeżeli on ma wszystkie instynkty wampira, to przejdzie jedną niemiłą zmianę osobowości, o której nie wspomniałeś.

Skonsternowany Hunter pokręcił głową.

- To znaczy?

- Brak towarzystwa. Kid zawsze był samotnikiem, zgadza się? - Ja pierdolę! - Do Huntera nareszcie dotarło, co kapitan chciał mu powiedzieć. - Myślisz, że przyłączył się do jakiegoś klanu?

- Właśnie. - De La Cruz wrócił spojrzeniem do monitora i znów nacisnął klawisz spacji, żeby po raz kolejny zobaczyć, jak Somers gryzie Kida. - Nasz chłoptaş już od jakiegoś czasu żyje między nami. Rzecz jasna, nasuwa się pytanie, pod jakim imieniem się ukrywa. A co ważniejsze - dorzucił, grożąc koledze palcem - w którym klanie się schował?

- Dobry Boże! Jeżeli jeszcze się nie zorientował, że ty i ja mamy coś wspólnego z zabójstwem jego brata, to wkrótce na to wpadnie. Już i tak w klanach o tym gadają, nawet taki, kurwa, Sanchez o tym wie, albo się domyśla, a przecież to tylko pieprzony barman.

De La Cruz przytaknął z marsową miną.

- Tak, wiem. Ale mam plan - oświadczył, sięgając do jednej z szuflad po swojej stronie biurka. Wyciągnął telefon komórkowy, który zabrali Casprowi, kiedy już go zaszlachtowali. - Idź z tą komórką do Lelka-Kufelka. Wciśnij klawisz ponownego wybierania i zobacz, czyj telefon się odezwie. Wtedy przekonasz się, kim jest Bourbon Kid i do którego klanu należy. Po prostu zabij tego, czyj telefon zadzwoni.

- A jeśli niczyj telefon się nie odezwie?

De La Cruz oparł się na krzesło, zirytowany.

- Nie wiem. Nikogo nie zabijaj. Albo lepiej pozabijaj wszystkich.

Hunter zdawał sobie sprawę, że cierpliwość przełożonego jest na wyczerpaniu, ale nie spodobał mu się jego sarkazm.

- Wiesz co, kapitanie, z takim podejściem powinieneś zastanowić się nad karierą w Kościele.

- A żebyś wiedział. Moim zdaniem klechy cierpią na brak ludzi z wielkimi pomysłami. A teraz zabieraj ten telefon i wypierdalaj.

Rzucił komórkę Hunterowi, który złapał ją, wstał z krzesła i ruszył do wyjścia.

- Idziesz ze mną? - zapytał.

- Nie. Ale gdybym ci był potrzebny, dzwoń o każdej porze. A ja tymczasem spróbuję się dowiedzieć, co się, kurwa, stało z Bensonem.

Rozdział trzydziesty siódmy

Po wizycie na komendzie głównej policji Sanchez wybrał się za miasto, by spędzić popołudnie w centrum handlowym. Wyczerpany godzinami włóczenia się po sklepach z ciuchami i wpadania na plecy innych klientów galerii, którzy uparcie stawali nagle jak wryci bez żadnego widocznego powodu, pod wieczór zdołał w końcu złapać taksówkę i wrócić do Santa Mondega.

Sprawunki okazały się dość udane. Odkrywszy z rana, że Jessica wybudziła się z ostatniej śpiączki, wybrał dla niej całkiem porządne nowe ciuchy. Skoro świt obudził go jej kaszel i z radością stwierdził, że dziewczyna jest całkiem rozbudzona. Wciąż była zbyt słaba, żeby zwlec się z łóżka, i mówienie sprawiało jej trudności, ale przy swoich fenomenalnych zdolnościach odzyskiwania zdrowia raz-dwa powinna dojść do siebie.

Kupił jej mnóstwo ubrań, poczynając od spódniczek mini i wysokich szpilek, aż po dresy i hawajskie koszule. Zadał sobie nawet fatygę i zamówił dla niej biały T-shirt ze specjalnym nadrukiem: „POSTRZELIŁ MNIE BOURBON KID I CO Z TEGO MIAŁAM? TYLKO CHOLERNĄ ŚPIĄCZKĘ”.

A ponieważ nie znośił chodzić na zakupy, dla siebie też nakupował masę ubrań, żeby załatwić wszystko za jednym zamachem i do końca roku nie musieć już wyskakiwać za miasto. Wybierając stroje dla siebie, trzymał się klasyki. Trzy pary luźnych spodni i zestaw koszulek bez rękawów w różnych kolorach. Kupił też nieco ciemnej farby do włosów, przeznaczonej specjalnie dla mężczyzn. Od pewnego czasu powoli zaczynał siwieć (a także łysieć na czubku głowy). Przywrócenie niegdyś gęstych czarnych loków do dawnej świetności wydało mu się niezłym pomysłem, zwłaszcza teraz, kiedy Jessica wróciła między żywych.

Taksówka podrzuciła go na skraj miasta. Kierowca, irytujący i wyszczekany Francuz, odmówił wjazdu do centrum, bo robił pod siebie ze strachu. Twierdził wprawdzie, że zwyczajnie mu się śpieszy, ale Sanchez wiedział, że łąże w żywe oczy. Taksiarze spoza miasta słyszeli pogłoski o żywych trupach w Santa Mondega i nie mieli dość jaj, żeby przekroczyć linię wyznaczającą granice miasta.

Od taszczenia dwóch wypchanych ciuchami toreb Sanchez, który miał lekką nadwagę, był zlany potem, więc po piętnastu minutach marszu uznał, że musi odsapnąć. Biały T-shirt z

napisem „WAL SIĘ!”, z wielkimi plamami potu na plecach, piersi i pod pachami, kleił mu się do ciała. Tyłek w grubych czarnych spodniach miał tak spocony, że kiedy szedł, jego pośladki mlaskały. Włókł się noga za nogą zakurzonymi ulicami Santa Mondega, w palących promieniach zachodzącego słońca, czując, że ogarnia go niewiarygodne pragnienie.

Los zrządził, że mozolna wędrówka do domu zaprowadziła go pod Fawcett Inn. Spelunka ta nie należała do miłych przybytków, a w dodatku powszechnie wiadomo było, że zbierają się tam miejscowe wilkołaki, ale skoro nic nie zapowiadało pełni księżyca, Sanchez uznał, że nie zaszkodzi, jeśli wpadnie tam i szybko odświeży się szklaneczką bimbrowa.

Zaledwie zdecydował się zajrzeć do baru, wydarzyło się coś, co sprawiło, że zmienił zdanie. Podchodząc do lokalu, usłyszał niezmierny zgiełk, po czym przez frontowe drzwi krytego strzechą budynku wypadł tłum ludzi, rozpychających się łokciami, byleby tylko znaleźć się stamtąd jak najdalej.

Alarm bombowy? - pomyślał Sanchez.

E tam.

Może pożar?

Nie. Ani śladu dymu.

Wobec tego o co tu może chodzić?

Nagle przyszła mu na myśl inna możliwość.

Uaaa! To chyba niemożliwe?

Prawda?

Jeden z ostatnich uciekających klientów, tusty Meksykanin o ksywce Poncho, podbiegł do Sancheza z wybałuszonymi oczami. Wyglądał, jakby wybiegł właśnie z męskiego kibla, bo jedną ręką podciągał luźne brązowe spodnie, a drugą usiłował zapiąć pasek. Rozpiętą do połowy białą koszulę miał wyrzuconą na wierzch, a z tyłu jego portek zwisał i ciągnął się za nim biały papier toaletowy. Gdy zbliżył się do Sancheza, wykrzytał słowa, których barman obawiał się najbardziej na świecie.

- ON WRÓCIŁ, CZŁOWIEKU! TEN SUKINSYN BOURBON KID WRÓCIŁ!

Poncho mocno uderzył Sancheza w ramię i popędził dalej ulicą. Zderzenie to przypomniało barmanowi, jak bardzo jest zmęczony. Zatrzymał się i postawił torby z zakupami na ziemi. Kilka minut temu nogi zmieniły mu się w galarete ze zwykłego wyczerpania (oraz z braku kondycji). Teraz przypominały rozgotowany makaron, a więc to istny cud, że w ogóle jeszcze stał.

Wlepił wzrok we frontowe drzwi Fawcett Inn, ciekaw, czy ktoś jeszcze stamtąd wyjdzie. No i uważając, czy nie wyleci jakaś zbląkana kula. Do tej pory nie usłyszał ani

jednego wystrzału, co było dość niezwykle, jeżeli Kid rzeczywiście wrócił.

Sanchez już dwukrotnie przeżył spotkanie z najskuteczniejszym zabójcą w Santa Mondega. Teraz, z niewytłumaczalnego powodu, który pewnego dnia ani chybi doprowadzi go do tego, że wręczy psychiatrze czek *in blanco*, jego ciekawość wzięła górę. Chciał jeszcze raz spojrzeć na twarz, która tak często ukrywała się pod ciemnym kapturem. Zrobił więc krok w kierunku wejścia. Wielkie drewniane drzwi, otwarte do środka, trzęsły się lekko na wietrze. W barze było zbyt ciemno, żeby Sanchez mógł coś zobaczyć z ulicy. Uznał jednak, że może bezpiecznie podejść jeszcze bliżej, bo jak dotąd nadal nie słyszał strzałów ani krzyków. A w każdym razie nie słyszał ich z miejsca, gdzie stał. Wobec tego zrobił jeszcze jeden krok. I kolejny.

Nagle usłyszał coś za plecami.

Odwrócił się raptownie i ujrzał Poncho. Pękaty Meksykanin - osławiony miejscowy złodziej - wrócił i porwał torby z zakupami, które odstawił Sanchez. Podniósłszy je, zatrzymał się, wzruszył ramionami w geście przeprosin, po czym zwał ze sprawunkami barmana.

A to drań!

Sanchez odwrócił się od tej złodziejskiej mendy. Mimo wszystko doceniał jednak inicjatywę Poncho. Skoro trafiła mu się okazja zrobienia zakupów za darmo, to z niej skorzystał. A zresztą barman miał pilniejsze sprawy na głowie. Maksymalnie ostrożnie, chyłkiem zrobił jeszcze kilka kroków w stronę Fawcett Inn, aż zbliżył się do baru na trzy metry. I wtedy wreszcie coś się stało.

Nagły ruch sprawił, że serce mu zamarło, a żołądek się skurczył, jak gdyby ktoś wsadził mu ananasa w tyłek. Drzwi baru otworzyły się szerzej i pojawiła się czyjaś postać, rozpaczliwie pełznąca po ziemi. Był to Igor Kiel. Żeby wydostać się z knajpy, czołgał się po zakurzonych kamiennych płytach posadzki, jak gdyby stracił władzę w nogach i mógł się przemieszczać, polegając jedynie na tułowiu. Podniósł wzrok i spojrzał na Sancheza, z posiniaczoną i zapuchniętą twarzą i krwią sączącą się z głębokiej rany na szyi. Przez chwilę wyglądało na to, że zamierza błagać barmana o pomoc. Ale nie trwało to długo, bo jego ciało zaraz znowu wciągnięto do baru. Igor nieomal zerwał sobie paznokcie, rozpaczliwie usiłując wbić je w zakurzony żwir na ulicy i bezskutecznie starając się zachować kontakt z cywilizowanym światem.

I wtedy, przez ułamek sekundy, w polu widzenia Sancheza pojawiła się zakapturzona postać.

I zatrasnęła drzwi!

Dla barmana był to znak, żeby czym prędzej się ulotnić. Bez wahania popędził ulicą tak szybko, jak zmęczone nogi były w stanie go unieść. Następny bar w kierunku, w którym uciekał, znajdował się półtora kilometra dalej. Była to Tapioca, a Sanchez musiał dostać się tam i zamknąć lokal na cztery spusty, zanim pojawi się Kid.

Poza tym musiał ostrzec Jessicę.

Rozdział trzydziesty ósmy

Beth była potwornie zdenerwowana. Nie cierpiała korytarza prowadzącego do gabinetu Bertrama Cromwella. Przyprawiał ją o gęsią skórkę, a zwłaszcza liczne, wiszące po obu stronach mroczne obrazy. Mijając je, odnosiła wrażenie, że złowrogie postacie na portretach gapią się na nią. Kiedy dotarła do wysokich czarnych drzwi na końcu korytarza, wcale nie było lepiej. Na ich widok także przechodziły ją ciarki. Na wysokości talii, po prawej, miały pomalowaną na złoty kolor gałkę oraz małą srebrną tabliczkę przyśrubowaną na wysokości oczu, z napisem „CROMWELL” wrytym małymi złotymi literami.

Dziesięć lat pobytu w więzieniu nauczyło ją w równej mierze nienawiści, szacunku i strachu wobec władzy. Wezwanie do gabinetu osoby tak potężnej, obojętne, czy byłby to naczelnik więzienia, czy dyrektor muzeum, zawsze oznaczało dla niej kłopoty, dlatego była bardziej spięta niż zwykle. Żeby się uspokoić, policzyła do trzech i dopiero wtedy dwukrotnie zapukała do drzwi. Po chwili doleciały ją z drugiej strony słowa Cromwella: „Wejść”.

Przekreśliła gałkę w lewo i pchnęła. Drzwi nie otworzyły się.

Przekreśliła ją więc w prawo i znów pchnęła drzwi, ale i tym razem nie ustąpiły. Przypomniała sobie, że kilka miesięcy temu była w gabinecie profesora, ale nie pamiętała, w jaki sposób je otworzyła, a nawet czy zrobiła to własnoręcznie. Kilka razy spróbowała pokręcić gałkę w różne strony, a nawet pociągnąć drzwi, zamiast je popychać, ale im dłużej nie mogła ich otworzyć, tym bardziej się denerwowała. Mniej więcej po dwudziestu bolesnych sekundach poczuła się upokorzona. Profesor z pewnością weźmie ją za idiotkę, która nawet nie potrafi otworzyć drzwi. Z każdą sekundą miała coraz większą ochotę zawołać do niego i wyjaśnić mu swoje kłopotliwe położenie.

W końcu, gdy już miała się oblać zimnym potem, drzwi stanęły otworem, dzięki temu, że Bertram Cromwell pociągnął je z drugiej strony. Jak zawsze nienagannie ubrany, stanął w progu i uśmiechnął się do niej.

- Przepraszam, ale nie mogłam... Te drzwi... One nie... Znaczy się, kręciłam gałkę, ale...

- Nie przejmuj się - rzekł Cromwell uprzejmie. - Wiele osób ma kłopot z otwarciem tych drzwi.

Beth czuła, że powiedział to tylko po to, żeby poprawić jej nastrój.

Najprawdopodobniej nikt jeszcze nie musiał się zmagać z tymi koszmarnymi drzwiami. Zapewne była pierwsza. Nie dość, że wyszła na idiotkę, to cóż to za potworny początek spotkania z profesorem. Tym bardziej okropny, że zapewne zaraz wyleci z pracy. Odkąd wyszła z więzienia, wywalano ją z każdej kolejnej posady. Wszędzie, gdzie udało jej się zatrudnić, co najmniej jeden kolega (a bywało, że wszyscy) nieodmiennie skarżył się kierownictwu, że pracując z nią, nie czuje się komfortowo. W tej robocie udało jej się przetrzymać aż sześć miesięcy, zapewne tylko dlatego, że przed wielu laty Cromwell dobrze znał jej ojca. A w każdym razie tak słyszała.

Odkąd profesor był tak uprzejmy i ją zatrudnił, pracowała w muzeum jako sprzątaczką, ale przez cały ten okres z nikim nie udało jej się zaprzyjaźnić. Zawsze gdy poznała kogoś z personelu i zaczynało wyglądać na to, że coś się między nimi układa, ktoś inny informował jej nowego znajomego o barwnej przeszłości Beth i przyjaźń szybko się kończyła. Z biegiem lat przywykła do tego; szczerze mówiąc, właśnie dlatego niespecjalnie przejmowała się tak częstymi zmianami pracy. Zbyt długie trzymanie się jednej firmy nie należało do przyjemności, jeśli wiedziało się, że wszyscy cię nienawidzą.

Cromwell usadowił się w czarnym skórzanym fotelu za biurkiem, a Beth stała, podziwiając pełne książek półki na ścianach po lewej i prawej.

- Siadaj, proszę - rzekł profesor, wskazując jeden z dwóch foteli po jej stronie dziewiętnastowiecznego dębowego biurka.

Z uprzejmym uśmiechem usiadła na krześle po lewej.

- Przypuszczam, że mam ją panu oddać? - powiedziała, szarpiąc ramię granatowej sukienki. Był to jeden z trzech standardowych mundurków sprzątaczek, które dostała, rozpoczynając pracę w muzeum.

Uśmiechnął się do niej sympatycznie.

- Spisałaś się, utrzymując się w pracy przez sześć miesięcy, mam rację?

- Lepiej niż do tej pory - odparła. Czowała, że do prawego oka napływa jej łza. Jeśli nie liczyć faktu, że nikt w muzeum się do niej nie odzywał, była to jedna z lepszych posad i dziewczyna drżała na samą myśl o przygotowaniach do rozmów kwalifikacyjnych i szukaniu zatrudnienia gdzie indziej.

- No cóż, Beth. Doszły mnie słuchy, że nie układa ci się z resztą personelu. Zdaje się, że co dzień obiady jadasz samotnie?

- No, tak, ale... Chodzi o to, że... Ja nie mam żadnych przyjaciół. - Było to bolesne wyznanie i czowała, że łza w oku jest już dwa razy większa.

- Żadnych przyjaciół? Hmm. - Przez kilka sekund Cromwell bębnił palcami po

biurku. - Poprosiłaś o wolne do końca tygodnia, zgadza się?

- Eee... tak. Czy...? Ehm... a więc to koniec, tak? Po urlopie mam już nie wracać do muzeum?

Cromwell schylił się i podniósł coś z podłogi po prawej stronie fotela. Beth zerknęła w bok, chcąc zobaczyć, co to jest. Profesor postawił na biurku, dokładnie przed nią, jakiś przedmiot zawinięty w brązowy papier. Paczka była wielkości poduszki i na oko zawierała coś miękkiego.

- Jakie masz plany na urlop? - zainteresował się Cromwell.

Jego pytania sprawiły, że Beth poczuła się podenerwowana. Denerwowała się w obecności większości ludzi, ale szczególnie mając do czynienia z kimś o tak wielkiej władzy jak profesorowie.

- Słucham?

- Twój urlop. Wzięłaś trzy dni wolnego. Ciekaw jestem, jakie masz plany.

- Och, w sumie żadnych. Nic ciekawego. Pewnie rozejrzę się za nową pracą.

- Nie rób tego jeszcze - rzekł Cromwell z uśmiechem.

Beth nie potrafiła się zorientować, czy profesor chce powiedzieć, że jej nie zwalnia, czy tylko się z niej nabija. Nie chciała być bezczelna, uznała więc, że sobie z niej żartuje.

- Dobrze. Wobec tego kiedy kończę pracę tutaj?

- Kiedy sama zechcesz się zwolnić, Beth. No chyba że rozbijesz cenną antyczną wazę na głowie Simmondsa.

- Wybaczy pan, ale nie rozumiem.

- Nie zwalniam cię, Beth. Ciężko tu pracujesz. A pierwszego dnia po powrocie z urlopu zjesz obiad w kantynie razem ze mną.

Zaskoczona, palnęła z głupia frant pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

- Naprawdę? O której?

- W porze obiadu. Bo ja wiem... o dowolnej porze. Po prostu przyjdź po mnie, jak będziesz gotowa. Bóg mi świadkiem, już od tak dawna jadam obiady samotnie, że od czasu do czasu przyda mi się towarzystwo. Nie sądzę, żeby ktoś inny zechciał usiąść ze mną do obiadu, wobec tego w zamian za to, że cię nie zwolnię, chociaż doradzał mi to ten z kucykiem na głowie, od tej pory oczekuję, że raz w tygodniu będziesz mnie zapraszała na obiad. Ma się rozumieć, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Beth nerwowo skubała długie kasztanowe włosy. Profesor był takim dżentelmenem i - jak sądziła - swego czasu także pożeraczem serc niewieścich. I choć wiedziała, że zaproponował jej wspólne obiady z litości, gest ten był na tyle miły, że zbierająca się w jej

prawym oku łza spłynęła po policzku. Otarła ją dyskretnie, skrywając ten ruch kręceniem włosów. Pomyślała, że profesor raczej tego nie zauważył.

- Dziękuję, panie profesorze. Tak zrobię.

- Świetnie, ale wciąż nie powiedziałaś mi, jakie masz plany na ten trzydniowy urlop.

- Aha. Tak naprawdę to żadnych. - Beth wciąż niespokojnie bawiła się kilkoma długimi kosmykami włosów zwisającymi nad uchem.

Cromwell znów się do niej uśmiechnął i podsunął po biurku paczkę w brązowym papierze.

- Dzisiaj mija osiemnaście lat, prawda? - powiedział cicho.

Beth wbiła wzrok w podłogę.

- Tak. - Jej głos był ledwie szeptem.

- Halloween, osiemnaście lat temu. To musiała być potworna noc.

- Tak. Owszem, była okropna.

- A więc mam dla ciebie prezent - rzekł Cromwell, ruchem głowy wskazując paczkę. - Otwórz ją, proszę.

Beth sięgnęła po pakunek niepewnie, jak gdyby obawiała się, że profesor zgarnie go jej sprzed nosa. A kiedy miała już go w rękach, zaczęła rozpakowywać. Paczka z każdej strony oblepiona była grubą taśmą izolacyjną. Nie było to może opakowanie stosowne na podarunek dla dziewczyny, ale czy ktoś taki jak ona miał prawo narzekać?

Zerwawszy taśmę z pakunku, rozdarła papier i w środku ujrzała miękką, ale na oko ciepłą niebieską bluzę z kapturem, zapinaną z przodu na suwak. Wyjęła ją z opakowania i podniosła. Jednocześnie coś spadło z brzękiem na biurko.

- Och, przepraszam - wyjąkała, bojąc się, że zadrapała drewniany blat biurka.

- Nic się nie martw - rzucił profesor; był rozbawiony, ale czym prędzej chciał ją uspokoić. Uznał, że dziewczyna stanowczo jest zbyt płochliwa.

Beth uśmiechnęła się nieśmiało i podniosła niebieską bluzę z kapturem.

- Ślicznie dziękuję za prezent - powiedziała. Sprawiała wrażenie naprawdę uradowanej.

Na biurku przed nią leżał srebrny łańcuch z wielkim krucyfiksem, który wypadł z paczki. Krucyfiks także był ze srebra, a w środku miał niewielki niebieski kamień.

- Czy to także jest dla mnie? - zapytała.

- Tak. Chcę, żebyś włożyła tę bluzę i łańcuch, kiedy pójdziesz dziś wieczorem na molo.

- Co takiego? - Beth najwyraźniej miała mętlik w głowie i spiekła straszego raka.

- Przecież w każdy halloweenowy wieczór chodzisz na molo, prawda?

- Owszem, ale skąd pan...

- Powiedzmy, że lubię wiedzieć to i owo o ludziach, których zatrudniam. Wiesz, szczegóły z ich życia prywatnego. O ile dobrze rozumiem, każdą noc w Halloween spędzasz na molu, gdzie niemal zamarzasz na śmierć, a na to nie mogę pozwolić. Nawet nie chcę myśleć, że mogłabyś wrócić przeziębiona i zmarnować sobie trzy dni wolnego. A krucyfiks? Cóż, to na wypadek, gdyby w paradę weszły ci jakieś złe duchy. Pomoże ci je odpędzić. Ten niebieski kamień w środku to w rzeczywistości fiołka. Zawiera wodę święconą z Kaplicy Sykstyńskiej w Rzymie.

Beth zalała falą wdzięczności.

- Nie wiem, jak panu dziękować, profesorze. Brak mi słów. Te rzeczy są piękne.

- Nic nie mów, Beth. Cieszę się, że sprawiłem ci radość. Jedno mnie tylko ciekawi. Dlaczego w każdy Halloween chodzisz na molo? Tam jest bardzo niebezpiecznie. Czy to dlatego, że właśnie tam cię aresztowali osiemnaście lat temu?

- Powiedzmy - odparła Beth, zapinając łańcuch na szyi i poprawiając krucyfiks tak, żeby zwisał na samym środku. - Miałam się tam spotkać z pewnym chłopakiem o pierwszej w nocy... czy raczej nad ranem... kiedy mnie aresztowali. Myślałam, że się rozminęliśmy, bo się spóźniłam, ale wróżka, która mieszka przy molu, powiedziała mi, że on wróci. Dlatego co rok czekam tam na niego od północy do pierwszej. Wiem, że to brzmi głupio, ale odkąd wyszłam z więzienia, stało się to dla mnie czymś w rodzaju tradycji.

- Wróżka, powiadasz? Czy to była Mistyczna Dama?

- Tak. Annabel de Frugyn. Ktoś ją zamordował w zeszłym roku.

- Przypominam sobie, że o tym czytałem. Wiesz, ta kobieta była niewątpliwie cokolwiek ekscentryczna. Przepowiadała najróżniejsze przedziwne wydarzenia. Twierdziła, że lalki potrafią widzieć i że w Santa Mondega czwartego marca trzy lata temu nastąpi trzęsienie ziemi. Wywołała wtedy nielichą panikę, chociaż, rzecz jasna, z gruntu się myliła. Dziwna kobieta. I trochę oszustka. Stale przeglądała nekrologi i takie tam.

- Wiem, profesorze, ale ja lubię udawać, że w to wierzę. Pewnie uważa pan, że jestem głupia, i wiem, że wszyscy mówią na mnie „Szurnięta Beth”, ale muszę z tym jakoś żyć. Dla mnie spędzanie co rok Halloweenu na molu jest fajniejsze niż Gwiazdka. Może to brzmi idiotycznie, ale taka jest prawda. Mimo tych wszystkich okropieństw, jakie wydarzyły się owej nocy przed osiemnastu laty, i tak był to najszczęśliwszy wieczór mojego życia, więc jeśli ludzie myślą, że z tego powodu jestem „szurnięta”, to niech im będzie.

Cromwell wstał z fotela.

- Podziwiam twój charakter, moja droga - oświadczył wielkodusznie. - Weź sobie wolne do końca dnia. Otul się ciepło tą bluzą, wywieś krucyfiks na wierzch, żeby był na widoku, a ja pomodłę się, żeby twój młody człowiek wrócił po ciebie dziś wieczorem.

- Dziękuję - powiedziała Beth, wstając i podnosząc niebieską bluzę. - Dziękuję za wszystko i do zobaczenia za trzy dni.

- Mam nadzieję.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Po krótkim flircie z niebezpieczeństwem wywołanym powrotem Bourbon Kida Sanchez w rekordowo krótkim czasie wrócił pędem do Tapioki. Jak obłąkany wpadł przez frontowe drzwi, ociekając potem i nie mogąc złapać tchu. Lokal bynajmniej nie wyglądał tak, jak się tego spodziewał. Ku swemu przerażeniu stwierdził, że przy stole na samym środku sali siedzi klan sześciu wilkołaków w towarzystwie dziwki. Byli bez wyjątku niechlujni, nieogoleni i owłosieni o wiele bardziej niż przeciętni klienci. A przeciętny klient Tapioki był naprawdę porządnie włochaty. Ci jednak, zdaniem barmana, wyraźnie się wyróżniali. Jeśli nie liczyć dziwki, w całym barze tylko oni popijali, zapewne dlatego, że na ich widok wszyscy inni się zmyli.

Sanchez najpierw rozpoznał przywódcę klanu - MC Pedra, tego beznadziejnego gwiazdora rapu wśród wilków. Idiotę pierwszej klasy (prawdę powiedziawszy, jak większość wilkołaków), który trwał w cudownej nieświadomości tego, że muzyka i teksty, jakie zapodaje, są głównie warte. Tym razem Pedro ubrał się jak przystało na niedoszłego rapera - w za dużą żółtą koszulkę koszykarza drużyny Los Angeles Lakers z numerem 42. Dzwika siedziała mu na kolanach, co nie należało do zbyt atrakcyjnych widoków. W szkarłatnej sukience, która nie pozostawiała wiele dla wyobraźni, wyglądała zdecydowanie prymitywnie, a jej skołtunione kruczoczarne włosy świadczyły o tym, że już kilka razy obsłużyła klientów w męskiej toalecie na tyłach lokalu. Na widok tego nieudacznika, jego nieudacznym koleśiom i dziwki Sanchez zsiniał z wściekłości.

- Ej, chyba zapowiedziałem wam, żebyście mi się tu więcej nie pokazywali! - wrzasnął do nich z odwagą, o jaką sam siebie by nie podejrzewał.

- Hej, człowieku - odparł Pedro, wstając zza stołu; dziwka spadła mu z kolan i wylądowała na podłodze. Podeszedł do barmana arogancko zamaszystym krokiem, co wyglądało kompletnie idiotycznie, bo koszulka Lakersów zwisała mu za kolana czarnych bojówek, a nie była aż tak szeroka, żeby mógł sadzić tak wielkimi susami, jak usiłował. Zbliżywszy się do Sancheza na nieco ponad pół metra i chcąc się popisać przed koleśiami, a zarazem wystraszyć barmana, zaczął rapować, jak to on beznadziejnie. - Weź na luz wrzucić, ty pojebie. Księżyce cosik nam się grzebie, nie ma jeszcze go na niebie. Więc bądź, mój ziomalu, spoko, i wbij sobie w łeb głęboko: daj nam łyknać se po jednym albo będziesz, chłopie,

biednym. Jak po jednym se strzelimy, to się potem wynosimy!

Sanchez nie znosił rapu nawet w przyływach dobrego humoru, a w tak kiepskim i bezsensownym wydaniu przyprawiał go o mdłości. Czy ten MC Pedro słyszał jakiś inny rap niż w wydaniu MC Hammera i Vanilla Ice? Pewnie nie.

Kiedy po chwili ten zidiociały raper wilkołak poklepał go groźnie po ramieniu, Sanchez poczuł, że wzbiera w nim złość. Nie miał czasu ani cierpliwości na takie bzdury. W normalnych okolicznościach tak groźna postawa Pedra przyprawiłaby tchórzliwego barmana o poważny niepokój, tym razem jednak nie wywarła spodziewanego efektu. Sanchez miał teraz większy pasztet na głowie. Bourbon Kid zmierzał w tę stronę, więc jeśli ten najbardziej przerażający człowiek w Santa Mondega postanowi wpaść tu na jednego głębszego, to wszystkie te pedziowate wilkołaki pójną do piachu.

- Muszę skoczyć na chwilę na górę - powiedział, przepchnął się obok Pedra i ruszył do schodów za kontuarem, prowadzących do mieszkania na piętrze. - A wy macie się zmyć, zanim wrócę, menele jedne!

- Jasne. - Pedro uśmiechnął się. - Więc posłuchaj mnie, kolego. Lej kolejkę dla każdego, to już jest na strzeziennego.

Sanchez był przerażony, nawet nie tyle rapowaniem, ile na wieść, że wilkołaki zamierzają wypić jeszcze jedną kolejkę. Niestety, nie miał czasu się sprzeciwić. Musiał się dostać do Jessiki, zanim pojawi się Kid.

W ten najbardziej niemiły z wczesnych wieczorów za barem urzędowała stosunkowo nowa pracownica, Sally. Była atrakcyjną niedoszlą ślicznotką ze *Słonecznego patrolu*, może tylko miała ciut za dużo ciała jak na ratowniczkę. Zazwyczaj nosiła głęboko wycięte topy prezentujące obfity biust. Dzisiejszy wieczór nie należał do wyjątków - miała na sobie skąpy, obcisły czerwony top z głębokim dekoltem, a do tego mikroskopijne szorty z czarnej skóry. Podobnie ubrała się, idąc na spotkanie w sprawie pracy do Sancheza, i był to główny powód, dla którego ją zatrudnił. Nie miała doświadczenia jako barmanka i była raczej durnowata, ale miała to, o co chodziło klientom, którzy ją lubili. I to jak! Sanchez przystanął na chwilę za kontuarem obok Sally i szybko wyszeptał jej instrukcje do prawego ucha, jednocześnie gapiąc się na jej dekolt. Instrukcje te Sally знаła już aż nazbyt dobrze, ale wypełnianie ich nie sprawiało jej najmniejszej przyjemności. Upewniwszy się, że zrozumiała dokładnie, czego od niej wymaga, barman popędził schodami na górę, do pokoju, w którym leżała Jessica.

MC Pedro dumnym krokiem podszedł do baru i pochylił się nad drewnianym kontuarem, żeby maksymalnie naruszyć przestrzeń osobistą Sally. No i rzucić okiem na jej cycki, a przynajmniej na to, co wystawiała na widok.

- Siedem whisky! - warknął. - Na jednej nodze.

- Już się robi. - Sally uśmiechnęła się bez przekonania. Praca w Tapiocie wiązała się z dwiema rzeczami, których nie lubiła. Pierwszą z nich była konieczność obsługiwania niebezpiecznych drani, takich jak MC Pedro. Drugą zaś to, że zawsze musiała im podawać szczyzny zamiast tego, co zamawiali, bo upierał się przy tym Sanchez. Dlatego też wyjątkowo niechętnie i odetchnawszy nieziemsko głęboko, wyjęła spod lady specjalną butelkę i napełniła siedem szklanek.

Na ladzie leżała poplamiona miedziana taca. Sally postawiła na niej szklanki, jedną po drugiej, dygocząc nieco ze strachu na myśl, co się stanie, kiedy wilkołaki spróbują tego świństwa.

- Należy się dwadzieścia osiem dolarów. - Uśmiechnęła się do Pedra nerwowo.

- Won, suko! Ceny w tej budzie są popierdolone, dasz rabat albo będziesz miała usta pogryzione! - zapodał Pedro, jeszcze głośniej i z jeszcze większą złością niż zwykle. Mimo że tego wieczoru nic nie zapowiadało pełni księżyca, z wściekłości zaczął na wpół przeistaczać się w swoją wilkołaczą postać. Normalnie nie byłoby to możliwe, ale Pedro napił się krwi ze świętego Graala. Od tej pory potrafił zmieniać się, kiedy zechce, albo instynktownie. Na całe szczęście przemiana nie była całkowita. Na twarzy wyrosło mu tylko nieco więcej włosów niż zwykle, a ramiona zmarszczyły się, gdy bicepsy trochę mu urosły. Czując, że ogarnia go choćby lekka furia, nie był w stanie zapanować nad swoją nową siłą.

- Wie pan co? Ta kolejka będzie na koszt firmy - zaproponowała nerwowo Sally. - Tylko niech pan nic nie mówi Sanchezowi, zgoda?

Budząca się w Pedrze bestia z powrotem przysnęła nieco, a jego wygląd wrócił mniej więcej do normy. W tym momencie ktoś wszedł do baru od frontu i dołączył do Pedra przy ladzie. Wilkołak rozpoznał go w jednej chwili.

- Hej, człowieku, jak leci? - zapytał.

- W porzo - burknął przybysz opryskliwie. Ubrany był w długą ciemną szatę z opuszczonym na barki wielkim kapturem.

- Te, barmanka! - warknął Pedro. - Mojemu kumpłowi też daj szklaneczkę whisky. Na mój rachunek.

- Jasne. - Sally znów sięgnęła po butelkę ze szczyznami, ale nowy klient Tapioki powstrzymał ją szybko.

- Mnie nalej z tamtej flaszki - powiedział, wskazując butelkę bourbona za kontuarem, na której z dawien dawna osiadał kurz. - Z lodem.

- Co jest, ziomalu? Nie pasuje ci tutejsza whisky? - spytał Pedro podejrzliwie.

- To świństwo to szczynty.

- Może jak szczynty smakuje, ale w porzo się tankuje! - zapodał Pedro.

- To szczynty.

Sally, nalewająca za kontuarem bourbona na dwie kostki lodu, zwróciła uwagę na wyraźnie chrapliwy głos nowego przybysza. Nie widziała go wcześniej w Tapiocie, ale już czuła, że nie chce go więcej oglądać.

Pedro nie zrozumiał żartu swojego towarzysza i nie połapał się, co ten miał na myśli, podkreślając, że to szczynty, wziął więc tacę ze szklankami, zaniósł ją do stolika wilkołaków i postawił. Dziwka nie miała gdzie usiąść, bo Pedro zażyczył sobie krzesła tylko dla siebie, wobec tego stojąc, zaproponowała toast.

- Za Pedra, nowego szefa! - zawołała.

- Za Pedra! - zawtórowali jej pozostali jednym głosem. Rozległ się brzęk szkła, kiedy wszyscy stukali się szklankami w toaście na cześć przywódcy. Humor im dopisywał, a kolejka była za darmo. Czego więcej mógłby sobie życzyć wilkołak albo dziwka?

Jednakże ich radość wkrótce zburzył tupot nóg Sancheza, pędzącego po schodach. Gdy barman zbiegł na parter, chwycił Sally pod łokieć, właśnie kiedy stawiała szklankę na ladzie.

- Hej, widziałas tu gdzieś tę dziewczynę z piętra? - zapytał ostro, szarpiąc pracownicę za ramię.

- Nie, a bo co? Nie ma jej na górze? - zdziwiła się Sally.

- Nie, nie ma. Jezu, kobieto, ona zniknęła! Jak mogłaś jej nie zauważyć, do kurwy nędzy? Przecież musiała tędy przechodzić! Ożeż kurwa mać!

Sanchez nie był w stanie ukryć gniewu w głosie. Był wściekły na barmankę. Doskonale wiedziała, ile znaczy dla niego Jessica. Sanchez w zasadzie z nikim nie dzielił się tajemnicą kobiety na piętrze, niestety Sally zapuściła się kiedyś na górę i zobaczyła ją śpiącą, musiał więc zdradzić nieco informacji o kobiecie, w której potajemnie kochał się od tylu lat. Wydał jej także proste polecenie: nigdy nikogo tam nie wpuszczać i nie pozwolić Jessice wyjść bez jego wiedzy.

Zanim zdołał rozszarpać nieszczęsną pracownicę, usłyszał głos, na dźwięk którego ścisnęło go w żołądku, a krew mu zamarzła.

- Hej, barmanko. Napełnij szklankę.

Sanchez spojrział na siedzącego przy ladzie mężczyznę. I chociaż od dzieciństwa nie zesrał się w gacie, nieomal stracił panowanie nad zwieraczem na widok Bourbon Kida, który siedział w jego barze ze szklanką złocistego płynu przed sobą. W dupę jebana mać, tego mi tylko brakowało! - pomyślał z przerażeniem.

Zanim zdążył się odezwać, czy choćby wyciągnąć rękę i usunąć szklankę bourbona z lady, ktoś chlusnął mu w twarz pełną szklanką ciepłych szczyn. Wpadły mu do oczu, ust, nosa i uszu, a następnie spłynęły po jego ładnym białym T-shircie z napisem „WAL SIĘ!”.

Nie po raz pierwszy został oblany specjałem swojego wyrobu i zapewne nie po raz ostatni. W takich chwilach jak ta zazwyczaj dopadała go karma. Gdy minął pierwszy szok, przez chwilę ocierał oczy, próbując zmniejszyć pieczenie, od którego zaczął pochlipywać. Po drugiej stronie lady stał przed nim mocno wkurzony wilkołak, niedoszły raper, z wykrzywioną w grymasie wściekłości twarzą.

- Sanchez, ty skończona kanalio! - darł się Pedro. - Ta wredna suka nie po raz pierwszy wycięła nam ten numer ze szczynami!

Pięciu pozostałych wilkołaków i dziwka nadal siedzieli przy stole, gotując się z gniewu. Każdy z nich łyknął haust szczyn ze swojej szklanki i jakimś cudem każdemu udało się wypłuć nieco obrzydliwego płynu na tego, kto akurat siedział naprzeciwko. Wszyscy ocierali twarze dłońmi, spluwając i charcząc w nadziei, że pozbędą się ohydneho smaku.

Sally cofnęła się, schodząc z drogi rozjuszonemu wilkołakowi. Najwyraźniej uznała, że bezpieczniej będzie napełnić szklankę na ladzie bourbonem, niż stawić czoło wkurzonemu Pedrowi. Zaskoczony Sanchez przez chwilę nie wiedział, gdzie podziąć wzrok, i zapomniał języka w gębie. Nagle palnął pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- To jest Bourbon Kid! - wrzasnął, wskazując najnowszego klienta.

Pedro odwrócił się raptownie i spojrzał na Kida, który siedział przy barze, nadal jeszcze z kapturem zsuniętym z głowy.

- Nie pierdol mi za uszami, Sanchez. Znam tego gościa, nazywa się...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo Kid zerwał się ze stołka przy barze i chwycił gęste czarne włosy z tyłu głowy rapera. A potem walnął jego twarzą o kontuar.

CHRUP! - Dźwięk pękającego nosa Pedra odbił się echem w całym lokalu. Kid poderwał głowę swojej ofiary. Była zalana krwią, a nos nie znajdował się już na środku twarzy.

ARRGH! - Nowy odgłos. To Pedro instynktownie zmienił się w wilkołaka. I był gotów do walki.

ŁUP! - I znów twarz zderzyła się z kontuarem.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

To właśnie ten wilkołak z wielką lubością zaszlachtował Caspra, niewinnego chłopaka, którego brata nie było na miejscu, żeby go ocalić. Teraz miał za to zapłacić. Ta

nędzna kreatura nie zasługiwała na szybką śmierć. Siedem razy z rzędu twarz wilkołaka waliła w ladę i podrywała się z powrotem, za każdym razem prezentując się dwa razy gorzej niż poprzednio. Przy siódmym zderzeniu twarzy wilkołaka z kontuarem rozległ się donośny trzask, kiedy olbrzymie kły połamały się, wypadły z ust i poleciały za ladę.

Bourbon Kid po raz ostatni poderwał z kontuaru zmasakrowaną wilczą twarz Pedra i odciągnął go ze ćwierć metra od lady, ponownie wlokąc za gęste włosy. Wilkołak nie był w stanie utrzymać się na nogach, kompletnie oszołomiony dzikością i szybkością ataku, który go całkowicie zaskoczył. Podczas gdy wciąż usiłował dojść do siebie, napastnik zacisnął wolną rękę w pięść. A potem nagłym, niewyobrażalnie brutalnym ruchem zatopił zakończone ostrymi szponami palce w miękkiej szyi wilkołaka. Przebiły jego skórę i ciało z mrozącą krew w żyłach łatwością. Rozległ się niemiły chlupot. Kid pokręcił ręką, ścisnął wilkołaka za gardło i po kilku sekundach cofnął dłoń, zostawiając ziejącą zakrwawioną dziurę z przodu szyi Pedra. W garści trzymał teraz pulsującą zakrwawioną chrząstkę, która niegdyś była jabłkiem Adama rapera.

Przez kilka sekund trzymał krwawy ochłap przed wilkołakiem, by ten, umierając, miał go przed oczami, zanim wywrócił nimi powoli. Sprawdziwszy, że źrenice Pedra zapadły się w głąb czaszki, Kid puścił ciało konającego i patrzył, jak bezwładnie wali się na podłogę. Potem nonszalancko cisnął zakrwawioną grdykę za kontuar, gdzie trafiła Sancheza w twarz i spadła na ziemię.

Pozostała piątka wilkołaków i dziwka przy stoliku na środku sali podczas całego ataku siedzieli bez ruchu, sparaliżowani strachem. Wszyscy kurczowo trzymali się nadziei, że Pedro stanie do walki i zwycięży. Teraz jednak wystarczyło im jedno spojrzenie w oczy Bourbon Kida, kiedy odwracał się do nich powoli, by zrozumieć, jak się sprawy mają. Nikt z nich nie zamierzał dłużej tu siedzieć, szybko więc ocknęli się, odepchnęli krzesła i rzucili się pędem do wyjścia. Tylko dziwka nie ruszyła się z miejsca, licząc na to, że Kid zostawi ją w spokoju.

Wilki były zbyt wolne. Kid wyciągnął spod ciemnej szaty nóż z drewnianą rękojeścią i długim na ćwierć metra błyszczącym ostrzem, uniósł go na wysokość głowy i cisnął w uchylone drzwi. Ostrze bez trudu przebiło drewno, tak że jego czubek wyszedł z drugiej strony. Siła uderzenia była tak potężna, że drzwi obróciły się na zawiasach i zatrzasnęły, a czubek noża utkwiał z boku framugi, tym samym ryglując wyjście; wszyscy w knajpie zostali uwięzieni w środku. Wyciągnięcie tego noża będzie wymagało nie lada zachodu, pomyślał Sanchez, jak zawsze w chwilach największego zagrożenia skupiając się na duperełach.

Wilkołaki stanęły jak wryte. Odwracając się w kierunku baru, oniemiałe z przerażenia patrzyły, jak Kid nasuwa ciemny kaptur na głowę, a następnie wyciąga z fałdów szaty swój

znak firmowy - jeden z pistoletów maszynowych skorpion. Wycelował w pozbawioną życia krwawą miazgę na podłodze i wpakował srebrną kulę w twarz Pedra. Krew i strzępy ciała rozbryznięły się dookoła, ochlapując z pluskiem wszystkie ściany. Zabójca obejrzał się na swoich widzów i jeszcze raz przeszył ich wściekłym wzrokiem. Spod ciemnego kaptura widać było tylko białka oczu.

Przeżalone o swoje nie do końca żywe życie wilkołaki zaczęły się wycofywać. Ale ich prześladowca uniósł rękę, nakazując im pozostać na miejscu.

- Barman! - zazgrzytał charakterystycznym ochrypłym głosem, nie oglądając się na Sancheza.

- Tak?

- Dolej mi do pełna, a tymczasem ja przemebluję ci lokal.

Rozdział czterdziesty

Robert Swann chciał wypełnić misję i mieć ją z głowy, żeby jak najszybciej móc się dorwać do Kacy. Dwie rzeczy mogły doprowadzić tę sprawę do końca. Po pierwsze, gdyby Dante odnalazł i rozpoznał tego mnicha Peto. Wątpił jednak, by miało do tego dojść w najbliższym czasie, bo chłopak był kompletnym nieudacznikiem. Po drugie, rzecz mogłaby się zakończyć, gdyby wampiry odkryły, że Dante tylko podszywa się pod jednego z nich, i w rezultacie go zabiły. Swann był przekonany, że tej nocy dojdzie do jednego albo do drugiego. Wyciągając strzykawkę z ramienia Dantego po tradycyjnym wieczornym zastrzyku schładzającej krew surowicy, spojrział przeciągle na Kacy. Patrzyła na swojego skretyniałego chłopaka ciełym wzrokiem zakochanej nastolatki. Swann z utęsknieniem wyczekiwał dnia, kiedy jakaś kobieta spojrzy na niego w ten sposób. Zwłaszcza taka ekstralaska jak Kacy. Mając w pamięci, jak najwyraźniej nabrała do niego sympatii poprzedniej nocy, gdy był ubrany w garnitur, miał teraz na sobie swoje najszykowniejsze sportowe spodnie z szarej bawełny oraz czystą czarną koszulę.

- Miłego wieczoru, kolego! - rzucił do Dantego, wychodząc do łazienki z pustą strzykawką, żeby ją przemyć i wysterylizować.

Chłopak zignorował jego słowa i opuścił rękaw czarnej bluzy. Siedział na podwójnym łóżku w ich pokoju koło Kacy; obok kręciła się Roxanne Valdez. Agentka opowiedziała Dantemu ze szczegółami o tym, jak to poprzedniego wieczoru Kacy upiła się ze Swannem przy kolacji. Chłopak nie przyjął tego najlepiej, dlatego Kacy nie chciała go wkurzać bardziej i nie włożyła nic seksownego, żeby Swann nie wybałuszał na nią oczu. Wskoczyła więc tylko w dzinsy i białą bluzę. Dante pociągnął ją za rękaw, przysunął do siebie i pocałował w usta.

- Dziś w nocy wszystko się skończy, kotku, czuję to - powiedział z pewnością siebie. - Zaczynam się przyzwyczajać do tej surowicy, a jak już się zakumplowałem z tymi wampirami, mogę ich popytać o to i owo. Mam dobre przeczucia co do dzisiejszej nocy.

Kacy uklękła na łóżku i pocałowała go w czoło.

- Nie pójde spać, tylko będę na ciebie czekała. Bądź grzeczny.

- Kocham cię, Kace.

- Ja też cię kocham.

Valdez podeszła do pary na łóżku.

- Zbieraj się, Dante - powiedziała. - Nie odkładaj do jutra tego, co możesz zrobić dziś. Im prędzej wyjdiesz, tym szybciej znajdziesz tego mnicha. Ja też mam dobre przeczucia co do dzisiejszej nocy. Jest Halloween, więc wszyscy będą zalani w trupa i w dobrym humorze. Dlatego jest bardzo możliwe, że mnich nawiąże z tobą kontakt, jeśli się nawali jak wszyscy inni.

Dante jeszcze raz pocałował Kacy w usta i wstał z łóżka. Roxanne rzuciła mu czarną skórzaną kurtkę bez rękawów Ciemnych Szkieł, a on złapał ją po drodze do drzwi i wychodząc, zarzucił sobie na ramię. Przeszedł przez salon do holu. Dotarł do drzwi wyjściowych apartamentu, otworzył je i po raz ostatni spojrzął na Kacy. Nadal klęczała na łóżku i spoglądała na niego czule, wobec tego szybko i seksownie puścił do niej oko i wyszedł na korytarz.

W chwili gdy Dante zamykał za sobą drzwi, Swann wrócił z łazienki z wysterylizowaną strzykawką w ręku.

- Czyżby już sobie poszedł? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

Kacy przytaknęła ruchem głowy, nie wstając z łóżka; na myśl, że Dante znów ruszył w niebezpieczny świat wampirów, posmutniała. Ale byłaby o wiele smutniejsza, gdyby wiedziała, z czego Swann się tak cieszy. Zanim jak co wieczór zaaplikować Dantemu zastrzyk, zastąpił w strzykawce surowicę schładzającą krew zwykłą wodą.

Chciał usunąć chłopaka, żeby nie wchodził mu w paradę, a podanie zastrzyku z samej wody gwarantowało, że wampiry w końcu rozpoznają w nim przebierańca.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Detektyw Randy Benson wstąpił do Olé Au Lait na szybką dawkę kofeiny. Był w drodze na tajne spotkanie. Ważne spotkanie, ale miał je dopiero za godzinę, więc przyszedłby ciutkę za wcześnie. Wolał jednak nie czekać na komendzie, ponieważ odkrył coś, o czym lepiej żeby De La Cruz i Hunter nie wiedzieli. Poza tym doskonale zdawał sobie sprawę, że gmach komendy stwarza Bourbon Kidowi idealne warunki dla próby morderstwa, dlatego wypicie samotnie kawy w zawsze spokojnym otoczeniu Olé Au Lait było najlepszym wyjściem. A przynajmniej powinno być.

Flake była tak miła, że podała mu kawę z mlekiem oraz wybór pączków na srebrnej tacy. Pokazał palcem dwa z nich, a ładna młoda kelnerka położyła je na białym porcelanowym talerzyku obok kawy, na małym okrągłym stoliku, przy którym usiadł.

Kiedy wracała za ladę, Benson przez chwilę podziwiał jej jędrną dupcię, którą kręciła pod krótką czarną spódniczką. To istny cud, że nie upolował jej jeszcze żaden z miejscowych wampirów. Jeżeli tego wieczoru sprawy ułożą się po jego myśli, może wpadnie tu później i trochę ją skubnie. Tymczasem jednak musiał się zadowolić lepkiem czekoladowym kółkiem albo lukrowaną drożdżówką, które mu zostawiła.

Właśnie miał ugryźć pokrytego czekoladą pączka, gdy naraz jego wieczór przybrał nieoczekiwany zwrot. Siedzący przy kontuarze potężny mężczyzna w garniturze wstał i podszedł do stolika Bensaona. Facet miał wygoloną na łyso głowę i ciemne okulary, a garnitur, o barwie lśniącego srebra, wyglądał na kosztowny. W miarę jak zbliżał się do Bensaona, jego rozmiary coraz bardziej rzucały się w oczy. Każdy kolejny krok sprawiał, że wydawał się większy, aż w końcu, wysoki na blisko dwa metry i szeroki na dobry metr, stanął przed detektywem.

- Czym mogę służyć? - spytał policjant.

Przy stoliku Bensaona nie było więcej krzeseł, wobec tego facet, nie odwracając się, sięgnął lewą ręką i przysunął sobie krzesło od sąsiedniego stołu. Fakt, że zajmował je jakiś młody człowiek, zupełnie mu nie przeszkadzał. Długowłosy młodociany student, który siedział na tym krześle i gawędził miło ze swoją dziewczyną, zleciał na podłogę, gdy siedzenie wysunęło się spod niego.

- Co jest, kurwa?! - krzyknął, wystrasząc kilku innych klientów kawiarni. Był spięty,

gotów do konfrontacji, ale wystarczył jeden rzut oka na człowieka, który wyrwał spod niego krzesło, by roztropnie postanowił poszukać wolnego stołka gdzie indziej.

Benson jak gdyby nigdy nic obserwował, co robi potężny facet, i gdy olbrzym usiadł naprzeciwko niego, powiedział:

- Wiesz, niektórzy nie lubią czegoś takiego.

- Każdy z nas czegoś nie lubi - odparł tamten, niemal nie poruszając wargami, bezbarwnymi ustami.

- Co prawda, to prawda. Ja na przykład nie lubię, jak ktoś obcy przysiada się do mojego stolika, kiedy piję kawę. Przesiądź się gdzie indziej, dobra?

- Mnie się podoba tutaj.

Benson nie przejmował się potężną budową faceta. Nieważne, jaki był wielki. Teraz już należący do żywych trupów detektyw był zdolny pokonać niemal każdego. Pochylił się nad stolikiem i ugryzł kawałek pączka z czekoladą.

- Pączek... - Powiedział to tak, że można to było wziąć albo za stwierdzenie faktu, albo pytanie. Potężny facet uznał to za propozycję.

- Nie, dzięki. Wiesz, szkodzi na układ krążenia. Więc odłóż to świństwo. Ugryź je jeszcze raz, kiedy do ciebie mówię, a zrobię ci nową dziurę w dupie.

W jego tonie Benson wyczuł niezłomne postanowienie. Wprawdzie nie musiał się niczym szczególnie przejmować, ale jednak postanowił zachować pewną ostrożność, głównie z ciekawości. Odłożył więc pączek na porcelanowy talerzyk.

- No dobra, wielkoludzie. Coś ty za jeden, do kurwy nędzy?

Facet nachylił się nad stolikiem tak, że ich twarze dzieliło nie więcej niż piętnaście centymetrów.

- Jestem twoim przełożonym.

Na Bensonie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Wiesz co, ja podlegam bezpośrednio naczelnikowi policji w tym mieście. I zapewniam cię, że on też nie jest moim przełożonym. To tylko na pokaz. W Santa Mondega to ja jestem największą szycią, więc możesz się uważać za przełożonego, ale ja i tak stoję nad tobą. Dotarło?

Olbrzymi facet oparł się na krzesło i uśmiechnął. Uśmiechnął się z pewnością siebie. Benson nie przejął się tym, choć był zaskoczony. Co to za jeden, do jasnej ciasnej?

- Chcesz zająć miejsce Archiego Somersa czy Armanda Xaviera, pal licha, jak sam siebie nazywał, co? - powiedział facet.

- Dzięki, kolego, ja już zająłem miejsce Archiego Somersa. Nie potrzebna mi do tego

twoja pomoc.

- Wiesz, Somers i ja byliśmy kiedyś kumplami, w czasach, kiedy nazywał się jeszcze Armandem Xavierem.

- No i byczo.

- Ale potem mnie zdradził. Nie zgodziłem się, żeby poślubił moją córkę, dlatego mnie załatwił, razem ze swoim współnikiem w zbrodni, Ishmaelem Taosem. Paskudna sprawa. Zmumifikowali mnie i na dłuższy czas uwięzili w grobowcu. Mówimy tu o całych wiekach.

Benson poczuł skurcz żołądka.

- Że co, proszę?

- Dobrze słyszałeś. - Facet zdjął okulary przeciwsłoneczne, prezentując ostateczny, niepodważalny dowód. Tam, gdzie powinno być jego prawe oko, miał jasnozielony, przezroczysty kamień. - To ja jestem szefem. Jak chcesz, możesz mnie nazywać Panem Ciemności. Mogłoby ci też przyjść do głowy, żeby nazywać mnie mumią, ale stanowczo bym ci to odradzał. Niektórzy zwracają się do mnie Pan E, ale to imię szybko wychodzi z obiegu. A jeśli chcesz się pozbyć tej zadowolonej miny, jakbyś się nażarł kanapki z bekonem, możesz mnie nazywać Ramzes Gaius. Tak się zwracają do mnie przyjaciele. A ty, młody panie, masz szansę zostać moim przyjacielem.

- Gaius? Ale jak to się stało?

- Nieważne. Obserwowałem cię, Benson. Ty i twoi dwaj kumple, De La Cruz i Hunter, jesteście bandą skończonych idiotów, sztuka w sztukę. Skumać się z wilkołakami, żeby odwalili za was brudną robotę! Nie macie za grosz szacunku do siebie?

- No...

- Cicho. Teraz ja mówię.

- Przepraszam.

- Bo i masz za co. Ty i twoi kolesie weszliście mi w paradę. Zaczęliście szukać Bourbon Kida bez mojego błogosławieństwa.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że powinniśmy...

- Cicho.

Gaius mówił cicho, lecz stanowczo i Benson wyczuł, że dalsze wtrącanie się byłoby ze wszech miar nierozsądne.

- Opracowałem już plan, jak znaleźć Bourbon Kida, ale nie uwzględniłem zmuszania go do działania, tak jak to wy zrobiliście. Teraz musicie naprawić swój błąd. Mogłem załatwić go we śnie, ale ty i twoja ekipa mocno skomplikowaliście sprawę. Dlatego musicie mi się za to odpłacić.

Benson odczekał dostatecznie długo, by się upewnić, że teraz to on ma się odezwać.

- Słucham. Co mam dla pana zrobić?

- Potrzebuję od ciebie tylko nazwisko Bourbon Kida i świętego Graala.

- I to wszystko?

- To wszystko.

- A zatem sprawa jest prosta. Jego nazwisko mogę podać od razu.

- Naprawdę? - Gaius nie ukrywał zaskoczenia, że Benson ma do przekazania taką informację.

- Tak. On jest NN.

- Kim?

- NN. Z tego, co wykryła Stephanie Rogers, która pracowała nad tą sprawą, jego matka nigdy nie nadała mu imienia. Nie chciała, żeby w dzieciństwie prześladowały go różne złe moce, i dlatego nie zgłosiła faktu narodzin, żeby nie figurował w żadnych oficjalnych aktach.

- Ale w jaki sposób radził sobie, nie mając imienia?

- Kurde, chłopie, nie mam pojęcia. Może w domu też nazywali go NN? Skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?

Ramzes Gaius zastanawiał się przez chwilę.

- Fascynujące - oświadczył w końcu. - Dobra robota, Benson. Teraz muszę już tylko zrobić to, co jego ojciec i Xavier zrobili mnie.

- Czyli?

- Nie twoja sprawa.

- Jasne.

- Świetnie. Jak dotąd w naprawianiu swojego błędu radzisz sobie względnie dobrze. Wykonałeś już połowę roboty. Teraz musisz jeszcze załatwić mi świętego Graala. Nie próbuj mnie kiwać... wiem, że go macie. Kiedy mi go dostarczysz, mianuję cię moim Najwyższym Kapłanem.

- A co to konkretnie oznacza?

- Nie wiesz, co się wiąże ze służbą w charakterze mojego Najwyższego Kapłana?

- Raz w tygodniu będę mógł polerować panu oko?

Od strony baru podeszła druga postać, której Benson wcześniej nie zauważył. Dużo drobniejsza niż Gaius, za to jak zbudowana! Była to kobieta, której wszystkie wampiry płci męskiej pożądały jak nikogo innego. Jessica, anioł śmierci. Tradycyjnie ubrana była całkiem na czarno, w obcisłe czarne skórzane spodnie i cienką bluzkę z czarnego jedwabiu, rozpiętą mniej więcej do połowy.

Podeszła do stołu, stanęła po prawicy Gaiusa i nachyliła się tak, że jej twarz prawie stykała się z twarzą Bena, a biust niemal podierał mu brodę. A jakże piękna była ta twarz! Gładka jak aksamit, z olbrzymimi, pięknymi piwnymi oczami i lśniącymi ciemnymi włosami do ramion, tworzącymi idealną oprawę dla jej kremowej karnacji.

- To wszystko może należeć do ciebie, kotku - szepnęła głosem tak seksownym, jakiego Benson niewątpliwie jeszcze nie słyszał. - Zastanów się. Ty i ja, łożo z baldachimem, bita śmietana i kajdanki. I co ty na to, he? Wiem, że już wcześniej mnie pożył, ale teraz daję ci szansę, żebyś mnie miał, kiedy jestem przytomna.

Jasny gwint! Anioł śmierci był boginią, instynktownie pożądaną przez wszystkie wampiry, ale dostępną jedynie dla tych najbardziej potężnych. Benson poczuł, że jego spodnie stają się za ciasne. Moc miał w zasięgu ręki, nic tylko brać, a jedyne, co musiał zrobić, to skombinować świętego Graala. Dziecinnie proste.

- Więc jak, wchodzisz w to? - zapytała Jessica.

- Kurde, jasne, że tak - odparł z zapalem.

- No to na co czekasz?

Benson jednym haustem wychylił wciąż parującą kawę.

- Już się za to biorę - powiedział, wstając od stolika. Odwracając się, by przejść obok Jessiki, nieoczekiwanym wybrzuszeniem spodni w kroku zrzucił na podłogę porcelanowy talerzyk.

Dziewczyna spojrzała na niego z podziwem.

- Tylko nie każ mi czekać całą noc - zagruchała.

Benson, nieco wytrącony z równowagi, za to mocno podniecony, wybiegł z kawiarni. Wiedział, że chcąc zdobyć świętego Graala, może będzie musiał zmierzyć się z Bourbon Kidem. Niewątpliwie czekało go ciężkie zadanie, ale pewien drobiazg przemawiał na jego korzyść. Tajna broń, którą nie podzielił się z kolegami - De La Cruzem i Hunterem - ani z nowymi przyjaciółmi, Ramzesem Gausem i Jessicą. Musiał tylko po nią pójść. A wtedy władza, jakiej pragnął, i kobieta, której pożył, będą na wyciągnięcie ręki.

A kto wie, może nawet stanie się silniejszy niż sam Gaius?

Rozdział czterdziesty drugi

Dante dotarł do Lelka-Kufelka w mgnieniu oka. Gdy podchodził do lokalu, olbrzymi wykidajło, wujek Les, właśnie zamierzał zamknąć frontowe drzwi na noc.

- E, nowy! - zawołał wykidajło na widok chłopaka zmierzającego wyludnioną ulicą w kierunku baru. - Rusz tyłek, jak chcesz się dostać do środka. Dziś zamykamy drzwi wcześniej.

Dante zdjął okulary przeciwsłoneczne i uprzejmie puścił się truchtem, by pokazać bramkarzowi, że zgodnie z prośbą rusza tyłek.

- Co jest grane, wujku? Prywatna balanga, czy co?

- Nie. Naciągają kłopoty. Zdaje się, że Bourbon Kid wrócił do miasta. Jeżeli doniesienia są prawdziwe, szykuje tu kolejną masakrę.

Chłopak dotarł do wejścia i wszedł do środka. Wujek Les starannie zamknął za nim drzwi.

- Dzięki, człowieku. Czy to znaczy, że dzisiaj zamykacie wcześniej? - zapytał Dante z nadzieją.

- Albo będzie strajk okupacyjny. Dosłownie - odparł wykidajło.

Dante rozejrzał się i zobaczył, że dziś wieczór knajpa wręcz pęka w szwach. Roilo się od wampirów - widocznie wszyscy usłyszeli złe wieści o powrocie Kida i postanowili zgromadzić się w jednym miejscu. W kupie raźniej, pomyślał. No chyba że po prostu uwielbiali Halloween.

W kącie sali zauważył dwie znajome kurtki Szkieł, a w nich dwóch wampirów, Fritza i Posłusznego, co przyjął z ulgą, bo z nimi dwoma najłatwiej się dogadywał, po prostu dlatego, że byli najbardziej rozmowni, nawet jeśli jeden z nich był ciut za krzykliwy. Zmierzając w ich stronę, usłyszał kawałek grany przez Psycholki na scenie po lewej. Bębniły całkiem przyzwoitą własną wersję *Ofermy* Becka.

Przedzierając się przez tłum w kierunku nie całkiem nieżywych kolesiów, których szacunek zaskarbił sobie podczas ostatnich dwóch nocy, siłą rzeczy musiał zauważyć, że skupia na sobie uwagę klientów, którzy przyglądają mu się dziwnie. Podśpiewując refren piosenki Psycholek („weź mnie zabij, kotku, jestem zwykła oferma"), złożył te dziwne spojrzenia na karb faktu, że wampiry oniemiały z podziwu, widząc, jak odjazdowo wygląda w

nowej kurtce. Miło wiedzieć, że cię akceptują.

W końcu przedarł się przez tłum i dotarł do Fritza i Posłusznego, którzy stali zwróceniem do niego plecami. Pociągnął Fritza za rękaw.

- Hej, chłopaki, chce który następną kolejkę? - zapytał.

Fritz odwrócił się i uśmiechnął do niego. Posłuszny zrobił to samo, ale ich uśmiechy szybko zmieniły się w grymas niezadowolenia. Ciemne okulary skrywały wyraz zakłopotania w ich oczach.

- CO JESZT, KURFA? - wrzasnął Fritz refleksyjnie, mierząc Dantego twardym wzrokiem.

- A bo co? - odparł chłopak, zdezorientowany. - Mam wypisane na czole „cipa”, czy co? - Roześmiał się z własnego żartu, szturchnął Fritza wesoło i kiwnął głową Posłusznemu, który stał tuż za Niemcem. Żaden z wampirów się nie roześmiał. Posłuszny zrobił krok w przód, wyciągnął rękę, chwycił Dantego za twarz i ścisnął jego policzki. Sprawdzał mu temperaturę.

- Fritz, czy ty też myślisz to samo co ja? - zapytał kumpla. Jego głos był lodowaty.

- A JAK, KURFA! JA TESZ, KURFA, MYSZLE TOM SAMOM MYSZL!

Dante wyczuł wrogość Posłusznego, ale złożył ją na karb swojego kiepskiego żartu.

- Hej, stary, przepraszam. Tylko żartowałem, kapujesz?

Posłuszny puścił twarz chłopaka, ale natychmiast chwycił go za lewe ramię i przyciągnął do siebie. Brutalnie podciągnął rękaw czarnej bluzy i dokładnie obejrzał całe jego ramię. Wykręcił mu nieco rękę, tak że Dante się skrzywił, i dał znak Fritzowi, żeby sam się przyjrzał.

- Fritz, nasz chłopcaś coś sobie wstrzykuje. Popatrz na te ślady po igłach na jego żyłach.

Niemiec uważnie obejrzał ramię Dantego i zobaczył ślady po zastrzykach z surowicy, jakie aplikował chłopakowi Swann. Dante wyczuł, że siedzi w gównie po uszy i że przydałoby się coś szybko wymyślić.

- Kurde, człowieku. A co w tym złego? - wymamrotał. - To tylko hera.

- Powiedziałbym, że bierzesz to coś dosyć regularnie - parsknął szyderczo Posłuszny. - Wszystkie te ślady są całkiem świeże. Ja tam nie sądzę, żebyś walnął sobie w kanał aż tyle hery przez ostatnie parę dni. To musi być coś innego.

- A gdzie, to heroina - zaprotestował chłopak. - Pychotka, że palce lizać!

- Tak samo jak ta surowica, co to ją wstrzykują tajniakom, którzy próbują się wmieszać między wampiry - zadrwił Posłuszny, obnażając wyszczerzone kły. I on, i Fritz

wiedzieli, że zostali zrobieni w konia. Dante od samego początku był farbowanym lisem. Zwłaszcza Posłuszny wrzał z oburzenia z powodu tej zdrady. To przez Dantego miał teraz czoło ozdobione kuriozalnym zielonym tatuażem. Odkrycie, że jego nowy kompan nie jest jednym z nich, wyraźnie go wkurzyło.

W końcu Fritz obwieścił na głos oczywistą wieść, żeby Dante i wszyscy inni stłoczeni w Lelku-Kufelku wiedzieli, że gra skończona.

- KURFA, TO NIE SZADEN FAMPIR, TYLKO TAJNIAK! *SCHWEINHUND!* - ryknął Niemiec, jeszcze bardziej gniewnym głosem niż zwykle.

Posłuszny mocniej ścisnął ramię Dantego. Nie zamierzał zwolnić uchwytu i ryzykować, że mu ta tajna wtyka ucieknie.

- Może i nie jest jednym z nas - warknął. - Ale na kolację będzie jak znalazł.

Rozdział czterdziesty trzeci

Gdy Hunter dotarł do Lelka-Kufelka, przekonał się, że wielkie drewniane drzwi frontowe są zaryglowane od środka. Rzut oka przez jedno z wysokich, wąskich przyciemnianych okien wystarczył, by zobaczyć, że lokal roi się od klientów. Dziwne, pomyślał.

Oparł się o framugę jednego z okien i zastukał w szybę, żeby zwrócić uwagę któregoś z najbliższych balangowiczów po drugiej stronie. Jego wzrok padł najpierw na najbardziej przerażającego klauna w Santa Mondega, Reubena. Błady krwio pijca w zielonej peruce i z szerokim uśmiechem na twarzy stał na skraju grupy klaunów. Hunter nie wiedział, że właśnie obmyślali, jak by tu się zemścić na Szklach za nieporozumienie, do jakiego doszło w Bagnie poprzedniej nocy. Za klaunami wszyscy na sali najwyraźniej podziwiali Psycholki, śpiewające i tańczące hip-hop na scenie.

Reuben dosłyszał poprzez jazgot muzyki stukanie Huntera w szybę i natychmiast obejrzał się, by sprawdzić, co się dzieje. Zwrócił pomalowaną na biało twarz na Brudną Świnie za oknem i pozdrowił go skinieniem głowy i wielkim, malowanym czerwonym uśmiechem, który jakże dogodnie maskował kryjący się za nim wyraz pogardy. Hunter machnął ręką i ruchem głowy wskazał wejście, dając mu znak, żeby otworzył i wpuścił go do środka. W odpowiedzi klaun zmierzył go tylko wzrokiem i pokazał mu środkowy palec.

- Niech ja się dostanę do środka, a nie będzie ci do śmiechu, ty cyrkowy pajacu! - wrzasnął Hunter przez okno i zirytował się jeszcze bardziej, widząc, że klaun odwraca się do niego plecami. - Pieprzony drań!

W tym momencie przy wejściu do Lelka-Kufelka pojawił się inny ze stałych klientów. Wymknął się z cienia i bezszelestnie podszedł chyłkiem do Huntera. Miał na sobie obowiązkowy znak firmowy Szkieł - czarną kurtkę bez rękawów - ale bez koszuli pod spodem, a do tego podarte tu i tam dżinsy i wyglansowane wysokie czarne buty z ostrymi noskami. Spojrzał przez okulary przeciwsłoneczne na Brudną Świnie.

- Co jest, człowieku? - zapytał Cichy ochryplym głosem. - O co biega z tymi zamkniętymi drzwiami?

Hunter nie przypominał sobie, żeby Cichy kiedykolwiek odezwał się w jego obecności, i poczuł się nieomal zaszczycony, że zazwyczaj milczący wampir postanowił

skierować kilka swoich cennych słów akurat do niego. To jednak niedługo zajmowało jego myśli. Głównym zadaniem było dostanie się do Lelka-Kufelka.

- Nie wiem. Ale już ja to załatwię - odparł Hunter po chwili. Wsunął rękę pod brązową tweedową marynarkę i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął telefon komórkowy. Ten sam, który wcześniej dał mu De La Cruz. Ten, który niegdyś należał do Caspra. - Zadzwoń do Dina. On nas wpuści.

Cichy przyjrzał się komórce w ręku Huntera, gdy Brudna Świnia zaczął wybierać numer do Lelka-Kufelka.

- Ładny telefon - zauważył. - Skąd go masz?

- Odkąd to żeś się zrobił taki rozmowny, co? - warknął Hunter. Skończył wstukiwac cyferki, nacisnął klawisz połączenia i przyłożył telefon do ucha. Odebrano dopiero po kilku dzwonekach i rozległ się głos Dina.

- Lelek-Kufelek.

- Cześć, Dino. Tu Hunter. Wpuść nas, do kurwy nędzy!

- Dużo was tam jest?

- Tylko ja i Cichy.

- Zaczekajcie.

Dino rozłączył się, wobec czego Hunter schował komórkę do kieszeni i niecierpliwie czekał z Cichym przed wejściem. Milczący wampir zdjął ciemne okulary i obaj mierzyli się wzrokiem, czekając. Hunter nie lubił Cichego i nie chciał się wysilać na pogaduszki z kimś, kto sływał z braku manier i obycia. Niestety, Dino nie śpieszył się z otwarciem drzwi, a niezręczna cisza zaczęła irytować detektywa.

- A właściwie to co jest nie tak z twoim głosem? To dlatego tak niewiele gadasz, dobrze mówię? Bo od gadania cię boli czy coś w tym guście?

Cichy skinął głową.

- Tak, od gadania mnie boli.

- Ano. - Hunter pokiwał głową. - Chrząścisz tak, jakbyś połknął wiadro żwiru.

Cichy sięgnął pod kurtkę.

- Hej! Co ty robisz? - zapytał Hunter agresywnie. Był wyraźnie zły. Od długiego czekania na dworze zaczynał wpadać w paranoję. Coś takiego nie powinno mi się przydarzać, pomyślał, skoro jestem teraz potężniejszy od wszystkich innych wampirów.

Ale Cichy wyciągnął z wewnętrznej kieszeni paczkę papierosów i podsunął ją Hunterowi.

- Zapalisz? - spytał.

- Tak. Tak, dzięki. - Hunter wyciągnął rękę i poczęstował się. Wsunął papierosa do ust.
- Masz ogień?

Cichy kiwnął głową i wolną ręką znów sięgnął pod kurtkę. Tym razem wyjął zapalniczkę zippo. Wyciągnął ją do detektywa, otworzył i potarł kółko, żeby zapalić ogień. Hunter nachylił się do płomienia i zaciągnął się. Papieros rozżarzył się jak należy, na co Cichy schował zapalniczkę do kieszeni.

- A ty nie palisz? - spytał detektyw.

Cichy podsunął sobie paczkę papierosów do ust i wyciągnął jednego zębami. Potem schował paczkę pod kurtkę i zaciągnął się, a papieros zapalił się sam.

- Dobrze. - Hunter był pod wrażeniem. - Jak żeś to zrobił?

- Kumpel mnie nauczył.

Rozległ się głośny zgrzyt, gdy ktoś odsunął na bok rygle z drugiej strony, i drzwi uchyliły się powoli. Jericho, wykidajło z szyną na nodze, wystawił głowę na zewnątrz i ostrożnie przyjrzał się czekającym wampirom.

- Jest was tylko dwóch?

- Tak - rzekł Hunter, otwierając drzwi szerzej i przepychając się obok bramkarza. Cichy wszedł za nim, dziękując Jericho skinieniem głowy.

Zanim wykidajło na powrót zaryglował drzwi, Hunter utorował sobie drogę do baru. Zdawało się, że inne wampiry wyczuwają jego nową aurę i rozstępują się, by ułatwić mu przejście. Cichy deptał mu po piętach.

- Dino, daj mi browar! - krzyknął detektyw do właściciela baru, który pomagał pracownikom.

- Że co? - Poprzez łoskot kapeli Dino mało co słyszał. Psycholki odstawiały teraz przebój Kaiser Chiefs *Przewiduję rozruchy* i właśnie ryczały na całe gardło refren.

- KUFEL PIWA! - wrzasnął Hunter.

Dino pokręcił głową i przyłożył dłoń do ucha. Nalewał akurat kufel dla jednego z Dredów, stojącego nieco dalej przy barze. Rastafarianin obserwował barmana jak sęp, upewniając się, że nie oszuka go i naleje do pełna. W przeciwieństwie do Sancheza Dino nie lubił denerwować swoich klientów, ale rozpraszało go zbyt wiele rzeczy, by mógł dokładnie usłyszeć, co krzyczy detektyw.

- KUFEL PIWA, DO KURWY NĘDZY! - wydarł się Hunter jeszcze raz.

Ale Dino go nie słyszał. Trzeba było zabrać się do tego inaczej i szczęśliwym zrzędzeniem losu Hunter dostrzegł Fritza, który stał za nim. Niemiec był ze swoim kumplem Posłusznym i z nowym członkiem ich klanu, Dantem, który - co dla Huntera nie ulegało

wątpliwości - nawet nie był wampirem. Posłuszny mocno ścisnął chłopaka za ramię i jakby go przytrzymał. Dołączył do nich Cichy. Hunter odniósł wrażenie, że są czymś bardzo wzburzeni, ale nie interesowało go, co oni robią. Chciał tylko zwrócić uwagę Fritza.

- Hej, Fritz! Pomożesz mi? Weź zamów mi browar - wrzasnął do Niemca.

- SIE ROBI! - odkrzyknął Fritz. - DINO, DAJ MU FRESCIE TO PIWO, CO?!

O dziwo, nawet donośny krzyk Niemca nie poskutkowało. Dino w ogóle nie zważał na zamówienie. Trzeba było podejść do tego jeszcze inaczej. Hunter wyciągnął pistolet z kabury pod marynarką, wycelował w sufit i pociągnął za spust.

PIF!

Huk był ogłuszający, a zaraz po nim z sufitu posypały się małe kawałki białego gipsu i mnóstwo białego kurzu. Nad Hunterem wirowały kłęby niebieskiego dymu. W lokalu zapadła śmiertelna cisza. Psycholki przestały grać *Przewiduję rozruchy*. Słyszał tylko echo wystrzału, dzwoniące wszystkim w uszach.

- Hej, pojebańce, zróbcie sobie przerwę! - wrzasnął Hunter groźnie na zespół, który był równie wystraszony jak wszyscy inni.

Tego wieczoru występowali w szóstkę. Główna wokalistka, Mandina, miała na sobie krótką fioletową sukienkę, a reszta „niemal wyłącznie dziewczynskiej kapeli” - dwie gitarzystki, perkusistka, gruby facet grający na tubie i tancerka - byli odziani jedynie w taką samą kusą czarną bieliznę. Tworzyli wspaniały widok (no może z wyjątkiem grajka na tubie), dlatego większość publiczności wciąż podziwiała ich, nawet pomimo braku muzyki. Teraz, kiedy już nie jazgotali, a w barze zapadła kompletna cisza, Hunter mógł wreszcie złożyć zamówienie. Odwrócił się do baru.

- Dla mnie browar, Dino.

Właściciel baru sięgnął za ladę po kufel i zaczął nalewać piwo detektywowi. Na ramieniu marynarki od garnituru miał kawałek białego gipsu. Widział, że Hunter jest wyraźnie zły, a ponieważ Brudna Świnia już wcześniej wyciągnął pistolet i się nim posłużył, w swoim dobrze pojętym interesie nie powinien go irytować. Ostatecznie Hunter był dobrze ustawiony, chociaż wyglądał jak ostatni palant, co mogłoby świadczyć o czymś wręcz przeciwnym. Zazwyczaj starannie uczesane włosy detektywa sprawiały wrażenie, jakby dopiero co wyszły spod suszarki. W grubym brązowym swetrze pod tweedową marynarką wyglądał jak odrzucony kandydat do występu w *Bill Cosby Show*. Ale bezsprzecznie był groźny.

Skoro w knajpie zapanowała cisza i wszyscy przerwali rozmowy, Hunter uświadomił sobie, że oto nadarza mu się idealna okazja, żeby zadzwonić do „starszego brata”. Znow

wyjął z kieszeni telefon komórkowy i przejrzał menu w poszukiwaniu właściwego numeru. A gdy już go znalazł, po raz ostatni upomniał krzykiem wszystkich klientów baru:

- Słuchajcie no! Siedźcie wszyscy cicho przez najbliższą minutę. Mam pilny telefon do załatwienia. Więc stulcie pyski jeszcze na trochę, a ja zadzwonię do kogoś, kogo pewnie wszyscy znacie, rozumiemy się? - Rozejrzał się po słuchaczach, którzy w najlepszym wypadku udawali, że obchodzi ich to, co ma im do powiedzenia. - A żebyście wiedzieli. Mam numer telefonu do Bourbon Kida. I właśnie teraz zamierzam do niego zadzwonić, więc ani mru-mru. - Dla efektu przyłożył palec wskazujący do ust, a potem wcisnął kciukiem przycisk połączenia w komórce.

Z rozbawieniem przekonawszy się, że teraz już wszyscy obecni słuchają go z uwagą, przyłożył telefon do ucha i czekał na sygnał, który rozległ się po jakichś trzech sekundach. A pół sekundy później ciszę w barze przerwał dzwonek czyjegoś telefonu komórkowego.

Kogoś, kto stał niecały metr od Huntera.

Rozdział czterdziesty czwarty

Josh pracował w Bibliotece Miejskiej w Santa Moniega zaledwie od miesiąca, ale to było istne piekło. Kierowniczką biblioteki, Ulrika Price, była surową i wymagającą przełożoną i w jej obecności bardzo się denerwował. A kiedy Josh był zdenerwowany, zazwyczaj przestawał panować nad czynnościami fizjologicznymi. Przejawiało się to na wiele różnych sposobów, a to nagle z nosa wylatywał mu wielki gil, a to obficie opluwał kogoś, z kim właśnie rozmawiał, a w skrajnych wypadkach popuszczał w portki.

Ulrika od pierwszego dnia z wielkim upodobaniem wprawiała go w zakłopotanie i wykorzystywała wszelką władzę, jaką nad nim miała. Zastraszanie piętnastoletniego smarkacza, jakim był Josh, wyraźnie ją rajcowało, i to w sposób, jakiego normalnie brakowało w jej skądinąd smutnej i samotnej egzystencji.

Dziś akurat miała jeden z tych dni, kiedy była jeszcze bardziej spięta niż zwykle, czym doprowadziła Josha do tego, że omal nie złożył wymówienia. Miał zresztą jeszcze inną pracę, dlatego z trudem, bo z trudem, ale stać go było na utratę posady praktykanta w bibliotece. Jedyny obowiązek, jaki mu powierzono, polegał na odkładaniu zwracanych książek na miejsce, ale zdaniem panny Price nawet w tym był do niczego. Dzisiaj zrugala go już za to, że odłożył powieść Dana Browna do działu literatury faktu, a co gorsza, biografię Barbry Streisand umieścił pośród humoresek. Wyglądało na to, że niczego nie potrafi zrobić jak należy, przynajmniej zdaniem Ulriki. Oczywiście to jej wina, że żył w nieustannym napięciu, skoro kazała mu odstawiać książki w tej samej chwili, w której ona wprowadzała do komputera ich zwrot. Jeżeli czegoś serdecznie nie znosiła, to sterty zwróconych tytułów piętrzących się na jej biurku.

Czarne szkolne spodnie, z których Josh szybko wyrastał, wpijały mu się w tyłek, bo wyciskał z siebie siódme poty, wędrując do półek i z powrotem, a jego prosta biała koszula była już niemal przezroczysta. Odstawiwszy książkę zatytułowaną *Dieta dla karłów* na najwyższą półkę w dziale poświęconym kuchni, wrócił do recepcji, by sprawdzić, co też ta smutaska znowu mu szykuje.

Kiedy tam dotarł, rozmawiała właśnie przez telefon, wobec tego wiedząc, jak bardzo Ulrika ceni sobie prywatność, stanął i cierpliwie czekał, aż skończy rozmowę. Siedziała na wyściełanym plastikowym krześle za biurkiem recepcji, zwrócona twarzą do wejścia, żeby

mieć na oku wszystkich wchodzących i wychodzących. Stale pilnowała, by nikt nie wymknął się z książką bez odnotowania, że ją wypożycza.

Josh zdawał sobie sprawę, że nie powinien dać się przyłapać na podsłuchiwanie rozmów Ulriki Price. Czasami odbierała wielce podejrzanе telefony od wyjątkowo niesympatycznych osobników. Wiedział o tym, bo kiedy pewnego razu oddaliła się od recepcji, sam odebrał telefon, udając Ulrikę. Po drugiej stronie odezwał się jakiś mężczyzna o mocno nieprzyjemnym głosie, który podał mu cztery nazwiska oraz daty, po czym trzasnął słuchawką. Młodszy bibliotekarz nic sobie z tego nie robił, ale kiedy kilka dni później Ulrika dowiedziała się, co uczynił, wpadła w szewska pasję i przyszpiliła go do ściany, wbijając mu ramię w gardło. Od tej pory już nigdy nie ośmielił się pod nią podszywać.

Teraz zaś, pod koniec dnia, Ulrika Price z okularami na nosie pracownicie bazgrała coś w notesie pod blatem biurka, mamrocząc do słuchawki telefonu „uhm” i „aha”. Josh, nie wiedząc, czy zauważyła, że czeka po drugiej stronie biurka, odchrząknął na znak, że znajduje się w zasięgu słuchu. Dźwięk ten sprowokował ze strony panny Price wredne spojrzenie; otuliła się szczerzej szarym rozpinanym swetrem i odwróciła do niego plecami, żeby na pewno nie mógł zobaczyć, co tam gryzmoli. W końcu, po kolejnych dziesięciu sekundach potakiwania głową i „uhania”, odłożyła słuchawkę na masywny, staroświecki biały aparat telefoniczny i odwróciła się do podwładnego.

- Skończyłeś już? - burknęła zrzędliwie, marszcząc czoło tak, że grzywka jasnych włosów, ciasno zebranych w surowy kok, opadła jej na brwi. Jak na kobietę tuż po trzydziestce, nie trzymała się najlepiej.

- Tak, proszę pani. Właśnie odniosłem książkę o diecie dla karłów.

- Pamiętałeś, żeby odstawić ją na dolną półkę?

- Nie, aż tak to nie pamiętałem.

Twarz Ulriki wykrzywił paskudny grymas. Wstała z wyściełanego plastikowego krzesła.

- Brak mi słów - oświadczyła z westchnieniem. - Po prostu brak mi słów. Pójdę i sama ją przestawię.

Wstała zza biurka i wyszła z recepcji, podnosząc drewnianą klapę na zawiasach w ladzie od strony ściany. Podeszła do Josha.

- Przepraszam - mruknął, wzruszając ramionami, kiedy przepchnęła się obok niego i ruszyła do działu książek kucharskich na tyłach gigantycznej, wypełnionej regałami sali. Słyszając te przeprosiny, na chwilę przystanęła jak wryta, nie oglądając się. Widział, jak pulsują ohydne niebieskie żyły na łydkach pod jej niebieską, długą do kolan spódnicą. Po

chwili odwróciła się twarzą do niego.

- Nie przejmuj się. Z czasem się wyrobisz... być może. Zaczynj od odłożenia na półkę tego rocznika *Ulicy Sezamkowej*. A potem idź do domu. Niedobrze mi się robi na twój widok.

- Jaki znów rocznik *Ulicy Sezamkowej*?

- Jest tam gdzieś w recepcji za ladą. Naprawdę nietrudno go poznać. Jak Boga kocham! - Ulrika Price nie próbowała ukryć faktu, że Josh doprowadza ją do rozpacz.

- Dobra. No to załatwię to i spadam. Dzięki i dobranoc pani.

Ulrika nie odpowiedziała, tylko ruszyła dalej, do działu książek kucharskich, po drodze wypatrując jakichś młodych ludzi, których mogłaby obsztorcować albo oskarżyć o kradzież.

Josh pochylił się nad ladą, szukając rocznika *Ulicy Sezamkowej*. Jediną książką, jaka wpadła mu w oczy, był czarny tom pod blatem biurka, przy którym siedziała Ulrika, gdy rozmawiała przez telefon. Wyciągnął rękę i sięgnął po nią. Było to tomiszcze w twardej oprawie, tak ciężkie, że w niewygodnej pozycji, przechylony nad ladą i nie mając dobrego punktu oparcia, Josh musiał użyć całej siły, żeby je dźwignąć. A kiedy już miał je w rękę, rzucił okiem na tytuł. Brzmiał on: *Księga śmierci*.

Ja cię kręcę! - pomyślał w duchu. Ta *Ulica Sezamkowa* nieźle się zmieniła od czasu, jak byłem dzieckiem.

Nie chcąc jeszcze bardziej irytować Ulriki, postanowił samemu wymyślić, gdzie by tu odłożyć tę księgę. Jakoś nie pasowała mu do działu książek dla dzieci. To by było niestosowne. A więc gdzie?

Księgozbiór podręczny! Jeśli masz wątpliwości, zawsze odkładaj tytuł do księgozbioru podręcznego - ta zasada sprawdzała się świetnie w trakcie jego kariery bibliotecznego. Dlaczego teraz miałby ją zmieniać? Nie chcąc być w pobliżu, gdy Ulrika wróci z działu poświęconego kuchni, szybko pośpieszył do działu podręcznego. Wsunął księgę na jedną z półek, po czym prysnął z biblioteki, żeby zdążyć jeszcze coś zjeść przed pracą na nocnej zmianie.

Ulrika po powrocie stwierdziła z przerażeniem, że *Księga śmierci* zniknęła razem z Joshem. Poważna sprawa! Ta książka nie była przeznaczona do użytku publicznego. Ten specjalny tom zawsze trzymała pod kluczem w kasie pancernej i wyciągała tylko na wyraźne polecenie. Jej mistrz, wielki Ramzes Gaius, powierzył jej zaszczytny obowiązek pilnowania najbardziej potężnej księgi w historii ludzkości. A właśnie dzisiaj wypadł jeden z tych wieczorów, kiedy polecił Ulrice wyjąć księgę i zapisać na jej kartach kilka nazwisk.

Jeżeli nadal chciała być jego kochanką i zdobyć nieśmiertelność oraz nieprzemijającą

urodę, które obiecał jej w zamian za świadczone usługi, musiała odzyskać księgę, zanim wpadnie w niepowołane ręce. Poza tym obawiała się, że jeśli Gaius kiedykolwiek się dowie, jak nieostrożnie się z nią obchodziła, to jej doczesne życie zakończy się gwałtownie i boleśnie.

Rozdział czterdziesty piąty

Hunter odwrócił się. Niemal natychmiast po wybraniu numeru „starszego brata” usłyszał dzwonek komórki gdzieś w pobliżu. Wciąż trzymał telefon Caspra przy uchu. Prawie dokładnie na wprost niego stał jeden z członków klanu Szkieł, ściskając w rękę dzwoniący telefon komórkowy. To był ten łatwowierny gość, który zawsze robił to, o co się go prosiło, Posłuszny. Hunter szybko wyciągnął pistolet z kabury na piersi i wycelował w głowę Posłusznego, który uniósł palec na znak, żeby detektyw poczekał, aż odbierze telefon.

- Halo, kto mówi? - zapytał wielki wampir.

- To ja, ty głupku - odparł Hunter i przerwał połączenie.

Posłuszny też się rozłączył, wyraźnie zdezorientowany. Wszyscy w barze obserwowali ich, zachodząc w głowę, o co w tym chodzi.

- A oto, przyjaciele, jest Bourbon Kid - oznajmił Hunter gapiom, wskazując palcem Posłusznego.

Dante, stojący obok Posłusznego, wyraził na głos to, co uważali wszyscy obecni:

- Czyś ty na głowę upadł?

- Nie, mówię śmiertelnie poważnie. W telefonie, który mam w rękę, jest zapisany numer komórki Bourbon Kida. Przed chwilą go wybrałem, a ta durna popierdółka odebrała. To on jest Bourbon Kidem. Już od dłuższego czasu żył pośród nas i kombinował, jak załatwić nas wszystkich.

Fritz wystąpił do przodu, gotów fizycznie stawić czoło Hunterowi w obronie przyjaciela, gdyby zaszła taka potrzeba. Wampir zawsze powinien być gotowy do obrony członka swojego klanu, a żaden z nich nie mógłby sobie życzyć bardziej lojalnego przyjaciela niż Fritz.

- GUFNO PRAFDA! - warknął Hunterowi prosto w twarz, opryskując go śliną.

- *Sluchajcie*, ja nie jestem Bourbon Kid - odezwał się Posłuszny z godnym podziwu spokojem. - A ten telefon nie należy do mnie. Ktoś mi go dał na przechowanie.

Hunter odciągnął kurek pistoletu, celując w czoło Posłusznego, dokładnie w nieszczęsny tatuaż z napisem „CIPA”.

- Nie próbuj mnie, kurwa, wykiwać.

- Ja nie kłamię.

- TO PRAFDA! - Fritz znów stanął w obronie przyjaciela. - MAMA ZABRONIUA MU KUAMACZ, A ON CAFSE ROBI TO, CO MU SIE KASZE, WIEUC W CASZADZIE MUSI MUFICZ PRAFDE!

- Wobec tego czyj jest ten telefon, do kurwy nędzy? - zapytał Hunter, prostując rękę i przysuwając pistolet jeszcze bliżej twarzy Posłusznego.

- Nie wolno mi tego zdradzić. Właściciel zobowiązał mnie do zachowania tajemnicy.

- Daję ci trzy sekundy i albo mi powiesz, albo wpakuję ci kulkę w ten pieprzony łeb!

- Wiesz co - wtrącił się Dante. - Przypominasz mi tego gostka z *Ulicy Sezamkowej*...

- Stul pysk, piździelcu! - warknął Hunter, przesuując broń w stronę Dantego. Chłopak podniósł ręce i cofnął się o krok. Szybko przypomniał sobie, że Kacy nie byłaby zadowolona, gdyby posłużył się znowu swoją ulubioną obelgą z *Ulicy Sezamkowej*, i zdał sobie sprawę, że to nie jego życie jest w niebezpieczeństwie, tylko Posłusznego. Fakt, nie było potrzeby, żeby mieszał się w to bez sensu, zwłaszcza że tuż przed interwencją Huntera Posłuszny właśnie zamierzał go zabić. Poza tym Fritz i Cichy na pewno wstawią się za swoim kumplem.

- CASZEKAJ! - wrzasnął Fritz jak na zawołanie. - JESZELI COSZ ZROBIS POSUSNEMU, TO MAS JAK W BANKU, ŻE MY, SKUA, BĘDZIEMY CIE ŚCIGACZ, DOPÓKI CIE NIE DOPADNIEMY I NIE WYWSZEMY NA TOBIE SWEJ CEMSTY!

- Widzisz? - zapytał Hunter, wskazując na swoje stopy. Lewym butem lekko stukał w podłogę. - Tak się trzęsę ze strachu, że zaraz się zleję we własne buty. Możecie mnie ścigać do usranej śmierci, mam to w dupie. Mógłbym was zabić z rękami zawiązanymi na plecach. A skoro już o tym mowa...

Wyciągnął spod marynarki kajdanki i rzucił je Cichemu, który z zimną krwią złapał je lewą ręką.

- Ty, wyszczekany! Skuj swojego kumpla.

Cichy przez chwilę mierzył Huntera twardym wzrokiem, po czym wykonał polecenie i skuł Posłusznemu ręce, tyle że z przodu, a nie z tyłu, żeby dać przyjacielowi chociaż trochę swobody. Detektyw opuścił kurek pistoletu, schował go do kabury i złapał Posłusznego, po czym odwrócił go i popchnął w kierunku wyjścia z Lelka-Kufelka.

Dla Fritza najwyższą cnotą była lojalność. Widząc, że Hunter nie trzyma już pistoletu, Niemiec przeszedł do działania. Skoczył w przód i zamachnął się na detektywa. Jego prawa pięść śmignęła w powietrzu z prędkością błyskawicy, celując w szczękę wroga. Ale Hunter od pewnego czasu był ulepiony z twardszej gliny i dostrzegł nadciągający cios, zanim jeszcze został wyprowadzony. Z dziecięcą łatwością zszedł mu z drogi. Jego odwet nastąpił

momentalnie. Na ułamek sekundy puścił Posłusznego, po czym skontrował atak Fritza ciosem w brzuch, tak silnym, że Niemiec poleciał z dziesięć metrów dalej, prawie dwa metry nad podłogą. Tłum wampirów rozstąpił się, jakby przeleciała między nimi kula ognia, dzięki czemu Fritz mógł podróżować w powietrzu bez przeszkód. Lecił tak prędko, że mógłby wylądować po drugiej stronie ulicy, gdyby nie grzmotnął o przeciwległą ścianę baru, obok wyjścia. Siła zderzenia odrzuciła go gwałtownie do tyłu i wylądował twarzą na stole, przy którym siedzieli trzej członkowie klanu Punkówek. Błat pękł na pół, a Fritz przeleciał przez niego i padł na podłogę, gdzie ochlapały go rozlane drinki Punkówek.

Cichy nie czekał na zaproszenie. Skoczył w przód i przytrzymał Huntera od tyłu w niedźwiedzim uścisku. Mięśnie jego ramion napięły się, gdy z całej siły zaciskał uchwyt na piersi Brudnej Świni. Ale bez skutku. Ostatnio Hunter dysponował znacznie większą siłą i wyrwał mu się bez trudu. Uwolniwszy się z uścisku Cichego, odwrócił się i uśmiechnął do niego szyderczo, a następnie chwycił go za gardło i cisnął w tę samą stronę co Fritza. Cichy obrał tę samą trajektorię lotu, grzmotnął w ścianę i zwałił się na podłogę, lądując na Fritzu, który właśnie próbował stanąć na nogi.

Dante czuł się wyraźnie nieswojo, bo pod nieobecność Próżnego czy Déjà-Vu wszyscy pewnie będą oczekiwali od niego, że wykona następny ruch. Na całe jego szczęście pojawił się za nim Chip, ubrany jak zwykle w czarne kimono do karate. Chwycił prawą rękę Dantego, którą ten zamierzał się właśnie na Huntera, i szepnął mu do ucha:

- Nie teraz. Bądź mądry.

Tym razem Dante rozpoznał ten głos. Odwrócił się i przebił się wzrokiem przez dredy i malowany woal, zakrywające większą część twarzy Chipa. Było dokładnie tak, jak myślał. Lubił tego faceta i ufał mu - jako tako - wobec tego tamten miał prawo mu mówić, co ma robić, a czego nie. Przynajmniej ten jeden raz.

W tej sytuacji Dante opuścił na wpół zaciśniętą pięść i cofnął się. Mimo że ustąpił i nie wsparł członków swojego klanu, raczej nikt nie powinien go za to obrugać. Hunter udowodnił, że prawdziwy z niego twardziel. W tym momencie każdy wampir w Lelku-Kufelku głęboko przejmował się faktem, że tak nieprzyjemny, brutalny osobnik do tego stopnia zwiększył swoją moc. Wszystko wskazywało na to, że sprawy w Santa Mondega przybiorą niemiły obrót, i to nie tylko tej nocy. Hunter oraz to, co sobą zapowiadał, mogło się okazać problemem na dłuższą metę.

Wszyscy patrzyli w milczeniu, jak Hunter szturcha Posłusznego w plecy i przesuwa się za nim do wyjścia, po drodze mierząc wrogim wzrokiem każdego, kto wyglądał, jak gdyby miał chętkę do bitki. Gdy doszli do frontowego wyjścia z Lelka-Kufelka, Jericho odsunął

rygle i wypuścił ich na dwór, po czym znów zaryglował drzwi. Pośród tłumu w barze rozległo się głębokie, zbiorowe westchnienie ulgi.

Już wkrótce w lokalu rozbrzmiał gwar rozmów. Wszyscy zaczęli rozprawiać o wydarzeniach, których dopiero co byli świadkami, i dyskutować, czy Posłuszny to rzeczywiście Bourbon Kid, czy nie. Przebąkiwali też, że to niedobrze, iż taki wredny kutas jak Hunter zyskał tak niewiarygodną siłę i bez wysiłku cisnął dwoma takimi twardzielami jak Fritz i Cichy dziesięć metrów przez bar.

Pośród ogólnej ulgi, że incydent już się zakończył, Dante stracił Chipa z widoku. Szukał go w tłumie, wciąż mając w pamięci, że z niewiadomego powodu schładzająca krew surowica tej nocy jakoś nie zadziałała. Mając to na uwadze, musiał zejść z oczu Fritzowi i Cichemu, a w gruncie rzeczy każdemu wampirowi z wyszczerzonymi kłami. Musiał się wynosić. I to czym prędzej.

Nie minęły dwie minuty, a w knajpie znowu zapadła grobowa cisza. Na dworze wybuchł nieziemski rwetes. Z ulicy dolatywały krzyki i wyglądało na to, że wybuchła kolejna bijatyka. Kilka osób podbiegło do przyciemnianych okien i wyjrzało na zewnątrz. Szykowała się jakaś większa draka, ale nikt nie mógł się zorientować, o co w tym biega. Na ulicy było za ciemno, a w barze za jasno, żeby dojrzeć wyraźnie, co tam się dzieje. Jedno tylko było oczywiste - że cokolwiek tam się odbywa, coraz bardziej nabiera tempa.

Nagle rozległ się nieziemski łomot.

Coś, a może ktoś, walnęło z zewnątrz w olbrzymie, zaryglowane drewniane drzwi, tak że zatrzęsły się gwałtownie. Ludzie przy oknach odskoczyli do tyłu. Zresztą nawet ci stojący dalej także się cofnęli.

ŁUP! - drzwi przyjęły następny tęgi cios i znów się zatrzęsły. Wszyscy cofnęli się o kolejne piętnaście centymetrów, byle dalej od wejścia. Drzwiom, tym solidnym, grubym dębowym drzwiom groziło, że lada chwila wylecą z trzeszczących zawiasów. Lepiej było nie stać im na drodze. Ani nawet w pobliżu.

Psycholki, które nigdy nie mogły się oprzeć, by nie zagrać jakiejś melodii, gdy szykowała się rozróżba, spróbowały dla poprawy nastroju zmienić piosenkę i przerzuciły się na stary, klasyczny kawałek Animalsów *Musimy spadać z tego lokalu*.

ŁUP! - drzwi zatrzęszczały głośno, a masywne metalowe zawiasy zaczęły się wyginać pod naporem powtarzającego się łomotu. Coś waliło we wrota z siłą tarana obsługiwanego przez tuzin krzepkich mężczyzn. Cokolwiek znajdowało się tam, na zewnątrz, próbowało się dostać do środka.

Teraz już wszyscy uciekli jak najdalej od wejścia. Dosłownie podpierali plecami

ściany. W każdej sekundzie drzwi mogły wylecieć z zawiasów i wpaść do baru.

TRZASK! - ta sekunda właśnie nadeszła.

Drzwi z olbrzymią prędkością wypadły z zawiasów i, cały czas w pozycji pionowej, przeleciały przez salę, wraz z przylepionym do nich Hunterem. Coś uderzyło go z taką siłą, że grzmotnął w drzwi, wyrwał je z zawiasów, a potem przeleciał przez bar, z plecami przyciśniętymi do dębiny. Lot drzwi zakończył się w chwili, gdy dolną połową uderzyły w kontuar, przeleciały nad ladą jak wystrzelone z katapulty i przewróciły się, a Hunter poleciał za bar, na ścianę z półkami pełnymi butelek i szklanek. Detektyw runął na podłogę, a regał z potłuczonym szkłem spadł na niego z łoskotem przywodzącym na myśl zderzenie pociągu ekspresowego z ciężarówką szklarza. Najbliżej stał Dino, który miał dość szczęścia albo rozsądku, żeby zejść z drogi i skulić się w najdalszym kącie baru.

Przez chwilę wszyscy klienci stali i z rozdziawionymi ustami gapili się na bar, patrząc, jak zaszokowany i oszłomiony Hunter powoli zbiera się na nogi za kontuarem, zasypywany szkłem, drobnymi kawałkami rozmaitego gruzu i mokry od rozlanego alkoholu. Teraz już nie wyglądał na takiego twardziela. Nagle jednocześnie, niczym kibice na meczu tenisa, wszyscy odwrócili głowy i spojrzeli na potężną dziurę, gdzie niedawno były frontowe drzwi do Lelka-Kufelka. Stała w nich jakaś postać.

Podejrzana postać, na oko wyraźnie niezadowolona i gotowa do dalszej walki.

Dantemu opadła szczeka, tak jak pozostałym. A nawet o wiele bardziej. W zeszłym roku, podczas zaćmienia Słońca, widział, jak ten facet wykosił wszystkich w pełnym ludzi barze. Wszystko wskazywało na to, że teraz historia może się powtórzyć. Dante znał to uczucie aż za dobrze.

Déjà-Vu!

Stojący w progu członek klanu Ciemnych Szkieł ubrany był w długą ciemną szatę z opuszczonym na ramiona kapturem. Gdy skupił już na sobie uwagę wszystkich obecnych, nasunął kaptur na głowę, żeby niedwuznacznie potwierdzić swoją tożsamość. Ot, na wypadek, gdyby ktoś miał wątpliwości.

Pomyłka nie wchodziła w rachubę. To był Bourbon Kid. Podczas ubiegłorocznego zaćmienia Słońca Dante nie zdołał mu się dokładnie przyjrzeć, teraz jednak, w kapturze skrywającym większą część twarzy, nie sposób było go nie rozpoznać. No i był gotów do walki.

Niemniej jednak Hunterowi wciąż się roilo, że ma jakąś szansę. Tym bardziej że nie mógł sobie pozwolić na utratę twarzy przed wampirami, którymi w przyszłości zamierzał rządzić. Otrzeptał się i wyprostował, uśmiechając się szyderczo do każdego, kto śmiał

nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Nagle przystąpił do działania. Jednym płynnym ruchem przeskoczył przez kontuar i rzucił się na Kida, który tymczasem wyszedł na środek sali.

- Menelu pieprzony! JUŻ NIE ŻYJESZ! - wrzasnął Hunter, skacząc na zakapturzonego wroga z niespotykaną szybkością i siłą, nawet jak na wampira. Zamachnął się, ale nie trafił. Kid zrobił unik i w odpowiedzi zrewanżował się ciosem równie szybkim, tyle że bez porównania bardziej precyzyjnym. Może i Hunter był równie szybki i silny jak Bourbon Kid, ale jeśli chodzi o umiejętności i wolę walki, był jedynie amatorem w profesjonalnym starciu.

Pięść Kida z odrażającym chrzęstem trafiła w żebra przeciwnika, który na chwilę zgiął się w pół. Ale odporność Huntera na ból była tak niezwykle wysoka, że doszedł do siebie z godną podziwu szybkością. Wyprostował się i znowu zamachnął sierpowym na Kida. Także i teraz spudłował. Po raz kolejny Kid pokazał i jemu, i całej widowni, jak wyprowadzić skuteczny cios. Tym razem wycelował wyżej, acz równie błyskawicznie i precyzyjnie.

CHRUP! - złamany nos.

Nie zważając na ból, Hunter odruchowo znów się zamachnął. I znowu nie trafił.

CHRUP! - kolejny cios w klatkę piersiową. Hunter miał teraz co najmniej trzy złamane żebra, które wbijały mu się w żołądek i płuca, pozbawiając go dopływu tlenu i powodując obfity krwotok wewnętrzny.

Znów się zamachnął, ale już stracił większość szybkości i siły. Kid po raz kolejny bez trudu zrobił unik, po czym groźnie zbliżył się do gasnącego przeciwnika. Bez względu na jego zamiary, wszyscy obecni rozumieli, że ta walka została już przerwana, gdyby toczyła się w obecności sędziego. Niestety, tak się pechowo złożyło, że Hunter nie miał pod ręką arbitra ani kogoś, kto mógłby rzucić ręcznik na ring.

Zabójca w kapturze chwycił ranną ofiarę za gardło i ścisnął mocno. Następnie, jedną ręką, uniósł Huntera w powietrze i skoczył w stronę prawie zdemolowanego baru, trzymając przerażonego detektywa wampira przed sobą. Kiedy zbliżyli się tam z ogromną prędkością, Kid wskoczył na kontuar i wciągnął za sobą pobitego gliniarza. Uniósł głowę swojego jeńca i pchnął ją w kierunku olbrzymich metalowych łopat wiatraka, obracających się pod sufitem z drugiej strony lady. Hunter rzucił okiem w górę, w pełni świadomy, dokąd zmierza jego czaszka. Ale już się wyprztykał. Nic nie mógł zrobić, żeby temu zapobiec.

Kid znalazł dobre oparcie na blacie baru, uniósł swoją ofiarę i wpakował głowę Huntera pod wirujące szybko łopatki wiatraka. Wszyscy klienci gapili się, jakby byli świadkami wypadku drogowego, i chociaż każdy chętnie oderwałby przerażony wzrok, to jednak niezdrowa ciekawość wzięła górę.

Przez jakieś dziesięć sekund Kid powoli dźwigał głowę Huntera pod ostre jak brzytwa łopatkę obracającego się wiatraka. Konsekwencje obserwował całkowicie beznamiętnie.

Na początek rzednące, jasne loki Brudnej Świni zostały ścięte i rozwiane po całej sali niczym kłęby dymu. W ślad za włosami poszła skóra głowy, naruszona przez pierwsze ostrze i zerwana przez następne. Dalej przysła kolej na czubek czaszki, a w końcu na mózg. Ostrza wiatraka błyskawicznie posiekały głowę Huntera na cienkie krwawe plasterki. Krew, mózg i fragmenty oczu zbryzgały cały bar.

Kiedy już głowa została posiekana niemal po szyję, Kid zwolnił uchwyt i ciało Huntera zaczęło obracać się wraz z wiatrakiem, luźno uцепione jednej z łopatek. Wreszcie, zatoczywszy pełny obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, oderwało się od wiatraka, spadło na kontuar i pod wpływem impetu prześliznęło się po wypolerowanej, złanej krwią powierzchni, roztrzaskując szklanki i flaszki.

Bywalcy Lelka-Kufelka zbyt późno zdali sobie sprawę, że morderczy szal Kida dopiero się rozpoczął. Tym razem nadszedł czas, by pozbyć się wszystkich żywych trupów. Bez wyjątku i bez litości. Kid wyciągnął spod długiej szaty dwa skorpiony i wskoczył na tułów Huntera, sunący powoli po blacie baru. Celując w tłum gapiów, jechał na zwłokach niczym na desce surfingowej - ślizgał się po kontuarze i siał grad kul we wszystkich kierunkach. A każdy pocisk trafiał w cel! Wampiry stadnie rzuciły się do wywalonych drzwi.

Żadnemu nie udało się do nich dotrzeć. Kid posyłał każdą kulę, mając w pamięci Caspra. Zakapturzony strzelec walił z pistoletów maszynowych, powodowany zjadłą nienawiścią do żywych trupów. Na jego twarzy pod kapturem malowała się żądza wybicia wszystkich wampirów co do nogi. Każdy z nich wycierpi za uczynki im podobnych.

Kiedy Kid dotarł do końca lady, zszedł z odrażającego trupa Huntera, który zsunął się z kontuaru i spadł z hukiem na stół w rogu, rozbijając kilka pustych kufli po piwie o ścianę. Potem ruszył z powrotem po ladzie, zimno i niespiesznie wybierając kolejne ofiary. Z pistoletów maszynowych w obu dłoniach strzelał do każdego, kto ośmielił się podjąć próbę ucieczki. Zanim dotarł do połowy kontuaru, wypstrykał się z całej amunicji w skorpionach. Rzucił je więc na podłogę i sekundę później wyciągnął z kabur ukrytych pod szatą dwa mniejsze pistolety samopowtarzalne. Gdy otworzył ogień z tej mniejszej broni, zeskoczył z baru na środek sali, celując w plecy pierzchających licznie klientów, z których większość była wampirami. Rzecz jasna, istniała możliwość, że wśród nich znaleźli się także niewinni cywile, ale strzelec nieszczególnie się tym przejmował.

Kiedy skończył swój ostatni szal zabijania, podłoga baru usłana była dymiącymi trupami, zamieniającymi się powoli w popiół; tu i tam leżały zwłoki kogoś, kto nie był

wampirem³. Pomijając Bourbon Kida, w sali zostali tylko zaszokowani i na wpół głusi Dante, właściciel baru Dino oraz Chip z klanu Dredów.

Dante zajęty był szukaniem dziur w swoim ciele - z ulgą przekonał się, że jakimś cudem wszystkie kule go ominęły. Z kolei Chip dwukrotnie został postrzelony przez czarne kimono w klatkę piersiową i nieco krwawił, ale, o dziwo, wyglądał, jakby nic mu się nie stało. Luźne czarne spodnie od karate także miał ochlapane krwią, nie tylko swoją.

Kid, teraz z opuszczonym kapturem i wsparty na łokciach, ukrył gdzieś przy sobie dwa pistolety, po czym schylił się po skorpiony, które także zniknęły pod jego szatą. Przeszedł nad kilkoma rozbitymi kuflami i rozkładającymi się ciałami do Chipa. Zatrzymał się pół metra przed nim i przez dłuższą chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Biały rastafarianin w stroju do karate sprawiał wrażenie, jakby nic a nic nie obawiał się stojącego przed nim człowieka. W końcu, właśnie gdy Kid miał się odezwać, Chip błyskawicznie wydobył pistolet, wetknięty z tyłu spodni. Jednym płynnym ruchem wycelował w głowę Kida i wypalił. Kula śmignęła obok lewego ucha zabójcy.

Za plecami Kida ukradkiem podniósł się klaun Reuben. W ręku dzierżył maczetę. Od ponad minuty leżał na podłodze, udając trupa w nadziei, że przeżyje, dopóki człowiekowi w kapturze nie skończy się amunicja. Udało mu się to skutecznie, potem jednak popełnił błąd, zakładając, że największe zagrożenie już minęło. Gdy atakował Kida od tyłu, Chip wystrzelił jeden raz i wpakował mu kulę prosto w twarz. W sam środek. W mgnieniu oka klaun znów znalazł się na podłodze, tyle że tym razem nie musiał już odstawiać trupa.

Bourbon Kid nie fatygował się i nie sprawdzał, do kogo strzelił Chip. Wyciągnął spod peleryny miękką paczkę papierosów, przysunął ją do ust i zębami wyjął jednego papierosa.

- Nie podziękujesz mi za to? - spytał Chip, ruchem głowy wskazując dymiące ciało klauna w zielonej peruce na podłodze za plecami Kida.

- Miałem go na oku.

- Gówno prawda! - warknął Chip. - Właśnie miał cię przeciąć na pół!

- Sądzisz, że nie zauważyłem tych stóp?

Chip spojrzał w dół i zobaczył parę brązowych butów na stopach Reubena. Każdy z nich miał blisko metr długości i nedorzecznie sterczały w górę na kształt wielkiej litery „V”. Żeby dosięgnąć Kida maczetą, klaun musiał stanąć tak blisko, że noski jego butów wystawały ładne kilka centymetrów przed czarne buty Kida.

³ Osobliwą cechą fizjologii wampirów jest to, że ich zwłoki nie zawsze rozkładają się w ten sam sposób. Po masakrze w Lelku-Kufelku niektóre szczątki dymiły i płonęły przez krótką chwilę, po czym zamieniały się w

- A, rozumiem - odparł Chip z zakłopotaniem.

Kid obejrzał go sobie od stóp do głów.

- Właśnie cię skojarzyłem - rzekł, kiwając głową. - To ty jesteś tym mnichem.

- Na imię mam Peto - odparł były hubalanin z dredami na głowie.

- Jak już tu skończę, będę chciał pożyczyć ten niebieski kamień, który nosisz na szyi.

Teraz to Peto pokiwał głową.

- Wiem.

Patrzył, jak Kid popisuje się sztuczką z zasysaniem papierosa, który zapalił się sam. Peto sam chętnie by się tego nauczył, zanim jednak zacznie wymieniać się z tym gościem patentami na palenie i innymi duperelami, musiał dowiedzieć się paru rzeczy. Na przykład dlaczego zabija niewinnych ludzi? I czy czuje wyrzuty sumienia z powodu tego, co robi? Może w zamian za naukę, jak zapalać papierosa bez ognia, Kid pójdzie po rozum do głowy i pozwoli, żeby Peto udzielił mu lekcji z moralności i etyki. Mnich miał nadzieję, że duszę tego człowieka da się jeszcze uratować. Ostatecznie był nie tylko masowym mordercą, lecz także synem Ishmaela Taosa, a więc musiał mieć w sobie coś dobrego, no nie? Peto wiedział, że Taos chciałby, żeby jego syn odróżniał dobro od zła, odczuwał wyrzuty sumienia i wyrażał skruchę za swoje grzechy. Musiał spróbować nauczyć jego syna tych rzeczy, był to winien byłemu mentorowi. Bezcenne Oko Księżyca nadawało się do tego zadania jak znalazł. Jego uzdrowicielska moc wyleczy Bourbon Kida z wszystkich złych myśli. Najpierw jednak Peto musiał się dowiedzieć, na ile złe są te myśli i czy pod tym przyprawiającym o gęsią skórkę czarnym kapturem kryje się skrucha.

- Powiem panu jedno - zaczął mnich, grożąc Kidowi palcem i próbując nawiązać z nim kontakt wzrokowy. - Nie powinien pan być zabijać Ishmaela Taosa.

- I co z tego?

Peto natychmiast zirytował się, że tamtego najwyraźniej wcale nie obchodzi, że zamordował największego z mnichów, jacy żyli na tej ziemi. Ostatnimi czasy dowiedział się o Kidzie dostatecznie dużo, by przyjąć do wiadomości kierujące nim powody i uznać, że warto wejść z nim w spółkę, skoro żywi nienawiść do żywych trupów, ale naprawdę nie mógł się pogodzić z kompletnym brakiem sumienia tego człowieka.

- Po prostu nie powinien pan być go zabijać. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

- Zgoda. Coś jeszcze?

- Nie.

popiół; inne rozplywały się, wydzielając potworny smród, po czym roztopione, spływały szczelinami między deskami podłogi; a jeszcze inne po prostu leżały, tak jak upadły, by rozłożyć się w sposób naturalny.

- Świetnie. Napijmy się. - Kid odwrócił się do Dina, który wysunął właśnie głowę z kryjówki za barem i otrzępywał ciemne włosy z resztek odłamków szkła. - Hej, ty. Podaj mi trzy bourbony. Tylko lej do pełna.

- Sie robi - odparł właściciel Lelka-Kufelka z westchnieniem, kuśtykając do bajzła za kontuarem w poszukiwaniu niezbitych butelek i szklanek. Bar był w ruinie, a niemal wszyscy z jego stałych klientów nie żyli. On jednak jakimś cudem ocalał. Uznał to za dobry znak.

Kid znów odwrócił się do Dantego i Peta.

- Zamówić wam coś?

- Dla mnie browar, Dino! - zawołał Dante do barmana.

- Ja też wezmę piwo - rzekł Peto. - I wlej mi do niego porcję bourbona.

W niedawnej serii groźnych dla życia wypadków, które były na głowę wszystko, czego dotychczas był świadkiem, Dante odgrywał jedynie rolę oszołomionego gapia, a to już o czymś świadczyło. Patrząc na otaczającą go jatkę, odetchnął głęboko. Potrzebował dłuższej chwili, żeby przetrwać wydarzenia z ostatnich kilku minut. Niewątpliwie trzeba było odpowiedzieć sobie na kilka pytań. Po pierwsze, ten facet w kapturze dopiero co zabił lekko licząc setkę ludzi, z których część była podobno przyjaciółmi Dantego. No, powiedzmy. Fritz, Cichy i cała kupa innych żywych trupów właśnie zginęli z ręki Kida. A poza tym była jeszcze jedna rzecz. Kim właściwie jest ten gość, do kurwy nędzy?

- To jak mam cię teraz nazywać? Déjà-Vu, Bourbon Kid czy jak? - zapytał Dante.

- Mam to gdzieś. Nazywaj mnie, jak sobie chcesz.

- Nie ma sprawy, Dave. Swoją drogą, dzięki, żeś mnie nie zabił.

Kid wydmuchał z głębi płuc chmurę dymu, podniósł z podłogi stołek i usadowił się przy barze.

- Coś mi się kojarzy, że ci mówiłem, że mam u ciebie dług, kiedy pomogłeś mi w zeszłym roku podczas zaćmienia Słońca. To ty byłeś w kostiumie Terminatora, zgadza się?

- No. Dzięki, człowieku. To chyba jesteśmy teraz kwita, no nie?

- Nie całkiem. Poprzedniej nocy odstrzeliłem łeb jakiemuś klaunowi, żeby cię uratować. Teraz to ty mi jesteś coś winny. - Urwał i ostrym wzrokiem popatrzył kolejno na Dantego i Peta. Jego następne słowa zaskoczyły ich obu. - Chcę, żebyście mi pomogli z jeszcze jedną gównianą sprawą. Trzeba załatwić dwóch szefów wampirów, to prawdziwe skurwiele. Wchodźcie w to?

Ogólnie rzecz biorąc, Bourbon Kid nie miał zwyczaju zwracać się do innych o pomoc, ale hubalanin z Okiem Księżycy i facet, który mu pomógł zabić Jessicę, Królową Wampirów, mogli być przydatnymi sprzymierzeńcami. A skoro obecnie sam był wampirem, nie mógł się

posłużyć starą metodą z przyczepioną do piersi *Księgą bez tytułu* do zabicia szefa krwiopijców, kimkolwiek on był.

- Ja wchodzę. - Dante wzruszył ramionami. Był gotów do bitki, jak zawsze. A poza tym nie był pewien, co się stanie, jeżeli odmówi Kidowi.

- Czy to ma coś wspólnego z Ramzesem Gaiusem? - zapytał cicho Peto.

Kid zmarszczył czoło.

- A co on ma, kurwa, do tego? Nie żyje od wieków.

- Nie żył - sprostował Peto. - Ale go zmumifikowano i z tego, co słyszałem, powrócił do żywych, jak zabiłeś Ishmaela Taosa i Armanda Xaviera, co zdjęło rzuconą na niego klątwę.

- Pojebało cię, rasta? Weź, nie pal tyle zioła.

- Ja nie żartuję.

- A ja mam to gdzieś.

- Błąd. Po tym mieście lata gdzieś żywa mumia.

- A pierdol się z nią.

- To nie było miłe - zauważył Peto obronnym tonem.

- A czy ja ci wyglądam na miłego gościa?

Pytanie należało do retorycznych i nie wymagało odpowiedzi. Bourbon Kid był zlany krwią i ubrany niczym Ponury Żniwiarz, więc nie, nie wyglądał na miłego faceta.

- Słuchaj, ja ci tylko mówiłem, żebyś wiedział - zaprotestował Peto. - Jeżeli nie obchodzi cię Gaius, nie ma sprawy. Ale owszem... możesz na mnie liczyć, pomogę ci zabić te wampiry, tylko że potem na serio proponuję wynosić się z miasta w pizdu, zanim ta mumia się zjawi.

- Dzięki - rzucił Kid charakterystycznie ochryplym głosem. - A teraz dla relaksu strzelmy sobie parę głębszych. Aha, panie zakonnik, wrzuc pan coś do szafy grającej, dobra? Zdaje się, że skosiłem kapekę.

Dymiące zwłoki członków zespołu na scenie zmieniały się w pył i proch, pośród podziurawionych kulami instrumentów. Peto przyjął ich koniec ze smutkiem, bo podobało mu się, że zwykle grają piosenki stosowne do okazji. Żałując śmierci zespołu, podszedł do starej szafy grającej marki Wurlitzer, stojącej w kącie po lewej stronie sceny. O dziwo, maszyna wcale nie ucierpiała podczas strzelaniny. Był to niezły przechodzony rupieć, pamiętający lepsze czasy; nie używano go od co najmniej pół roku, odkąd zjawiły się Psycholki i powiedziały, że chcą co wieczór występować za darmo. Dino wyłączył wtedy aparaturę w połowie piosenki i nigdy więcej nie zamierzał jej używać.

Peto stanął obok szafy grającej i odwrócił się do pozostałych. Potem szturchnął ją łokciem niczym Fonz z sitcomu *Happy Days*, co widział w telewizji. Maszyna zaskoczyła i zanim zdążył się przysiąść do Dantego i Kida przy barze, Thin Lizzy śpiewali już refren *Chłopaki wrócili do miasta*.

Rozdział czterdziesty szósty

De La Cruz, co zrozumiałe, był w stanie skrajnej paniki. Nie tylko dlatego, że nadal nie miał pojęcia, gdzie, u licha, podziewa się Benson. Jego kolegi nie widziano od wczesnego rana, kiedy opuścił komendę, nikomu nie wspominając ani słowem, dokąd się wybiera. Na to nakładały się docierające do niego historie o Fawcett Inn, Tapioce i Lelku-Kufelku. Wszystkie te knajpy zaszczycił niezapowiedzianą wizytą Bourbon Kid. I w każdej z nich doszło do masakry. Niewątpliwie następnym przystankiem maniaka w kapturze będzie komenda główna policji.

De La Cruza korciło jak lichy, żeby dać nogę, tyle że zostałby zdany na własne siły i do końca dnia swoich oglądałby się za siebie, czekając na wizytę Ponurego Żniwiarza. Będzie musiał ściągnąć tylu funkcjonariuszy, ilu się da, i okopać się tutaj, w tym budynku. Sęk w tym, że robiło się późno, a tak się składało, że jedyni gliniarze, którzy lubili pracę na nocnej zmianie, byli wampirami. Należał do nich także rudowłosy recepcjonista Francis Bloem, który wychodził z siebie, by znaleźć wolnych kolegów należących do żywych trupów i namówić ich, żeby stawili się i pomogli bronić De La Cruza (oraz Bersona, gdyby się wkrótce pojawił).

Tak się złożyło, że Bloem dostawał hople, siedząc za biurkiem w recepcji. Znalezienie wolnych funkcjonariuszy okazało się w zasadzie niemożliwe. Większość z tych, których próbował złapać, nie odbierała komórek ani nie zgłaszała się na częstotliwościach policyjnych. Powody takiego stanu rzeczy nie były całkiem jasne, zdecydowanie jednak istniała możliwość, że wielu z nich nie odpowiadało dlatego, że nie żyli. Bloem wiercił się niespokojnie na krześle, przerzucając kartki osobistego czarnego notesika z adresami w nadziei, że znajdzie jakieś inne numery kontaktowe do kolegów z pracy, gdy naraz De La Cruz wpadł do niego jak burza. Widać było, że detektyw jest wystraszony jak jasny gwint. Z powodu mokrych plam potu czerwona koszula kleiła mu się do ciała i wyglądał, jak gdyby wziął prysznic w ubraniu.

- Znalazłeś już kogoś? - zapytał gorączkowo, nie potrafiąc ukryć przerażenia w głosie.
- Na telefon odpowiedziało tylko dwóch, kapitanie, Goose i Kenny. Już tutaj jadą - odparł Bloem.

De La Cruz rozdziawił usta. Tylko dwóch funkcjonariuszy było pod ręką? I to sztuka

w sztukę same obiboki. Jego rozczarowanie było aż nadto oczywiste.

- Goose i Kenny? - jęknął.

- Tak jest.

- No to mamy przejebane.

- Cały czas próbuję złapać jeszcze innych, kapitanie, ale nikt jakoś nie odbiera. Po mojemu orientują się, co się szykuje, i nie chcą mieć z tym nic wspólnego. No chyba że już nie żyją.

De La Cruz z marsową miną sięgnął po arkusz papieru kancelaryjnego leżący na biurku Bloema. Zawierał wypisaną ręcznie listę nazwisk funkcjonariuszy - przy wszystkich postawiono krzyżyk, z wyjątkiem Goose'a i Kenny'ego, których oznaczono ptaszkami. A jeżeli Benson także postanowił się wycofać? Albo został zamordowany? Jeśli spływające raporty były zgodne z prawdą, to Hunter dopiero co dostał straszliwy łomot z bezlitosnych rąk Bourbon Kida. To tyle, jeśli chodzi o nieśmiertelność. Wbrew temu, w co uwierzyli, wypicie krwi ze złotego kielicha najwyraźniej nie zrobiło większej różnicy. Jeżeli dostałeś się w ręce Kida, to i tak miałeś przesrane. Niedobrze. Bardzo niedobrze. A niech cię szlag, Benson! - pomyślał kapitan. Lepiej, żebyś mnie nie wystawił. Nie teraz.

Dokładnie w tej samej chwili Randy Benson czekał w recepcji miejscowej kliniki, zaledwie trzy kilometry dalej. Na jego prośbę klinikę powtórnie otwarto wieczorem. Zamknięto ją jak zwykle o siedemnastej, potem jednak głównych członków personelu ściągnięto z powrotem, a to za sprawą Bensona. Nie byli zachwyceni z tego powodu, ale sytuacja awaryjna w policji uzasadniała ich współpracę, wręcz jej wymagała.

Benson trzymał książkę i czytał na głos jej fragmenty kobiecie urzędującej w recepcji. Pielęgniarka ta, Jolene Bird, zapisywała liczby, które jej podawał. Denerwowała się nieco w obecności wyższego oficera miejscowej policji i za wszelką cenę starała się to ukryć. Wolną ręką niemal bez przerwy bawiła się kręconymi lokami jasnych włosów, a gdy tego nie robiła, poprawiała na nosie niebieskie okulary w oprawce o kształcie skrzydeł. Cokolwiek, byleby zająć czymś ręce. Pracowała w klinice od dobrych dwudziestu lat i potrafiła rozpoznać, kiedy policja przychodzi w naprawdę poważnej sprawie. Zazwyczaj wiązało się to z jakimś morderstwem. Tym razem wszystko świadczyło o tym, że to właśnie taka wizyta. Już sama świadomość, że jej ewentualny błąd może narazić na szwank śledztwo w sprawie morderstwa, sprawiała, że była mocno podenerwowana.

- Ma pan nakaz przeszukania, proszę pana? - spytała Bensona, uciekając wzrokiem, gdy tylko napotkała jego spojrzenie.

- Jasne. - Benson uśmiechnął się, chcąc, żeby się wyluzowała. Z kieszeni na piersi koszuli wyciągnął żółtą kartkę i podał ją nad biurkiem.

- Świetnie, dzięki. - Jolene zrewanżowała się nerwowym uśmiechem, z wdzięcznością odbierając nakaz.

Przez dłuższą chwilę ze wszystkich sił starała się skupić na jego głównych punktach, by sprawdzić, czy niczego nie brakuje, po czym złożyła kartkę na pół i schowała do wielkiej kieszeni długiego białego kitla.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - powiedziała. - Jeśli zechce pan pójść ze mną, zaprowadzę pana na miejsce i zaraz to panu znajdę. - Otworzyła stojącą za nią metalową szafkę, zaglądała do niej przez kilka sekund, wybrała jakiś klucz, schowała go do kieszeni, a potem zamknęła szafkę i wstała.

Benson ruszył za pielęgniarką Bird przez dwuskrzydłowe drzwi i kilka korytarzy, cały czas trzymając się metr z tyłu, by móc podziwiać jej zgrabny tyłeczek. Gdyby w sytuacji awaryjnej musiał sam znaleźć drogę powrotną, byłby w nie lada kłopotcie. Nie zwracał uwagi, dokąd prowadzi go pielęgniarka, bo nie spuszczał wzroku z rozkołysanych pośladków pod białym kitem kobiety. W końcu sprowadziła go długimi schodami do podziemi, ale kiedy dotarli do zamkniętego na klucz skarbca, pilnowanego przez dwóch barczystych ochroniarzy w niebieskich mundurach, wciąż jeszcze nie miał pewności, czy Jolene nosi bieliznę, czy nie.

Olbrzymie szare wrota do skarbca przed nimi zaopatrzone były w tabliczkę z napisem „KOMORA KRIOKONSERWACYJNA”.

- Czy możecie nas wpuścić? - spytała pielęgniarka Bird.

- Żaden problem, Jolene - odparł jeden z ochroniarzy.

Odwrócił się i wstukał sześciocyfrowy kod na klawiaturze na ścianie. Wtedy Jolene podeszła i wstukała swój własny kod. Następnie spojrzała w skaner siatkówki oka, umieszczony nad klawiaturą na wysokości głowy. W urządzeniu błysnęło białe światło. Oprogramowanie skanera rozpoznało badaną siatkówkę, drzwi skarbca zasyczały i już po chwili automatycznie zaczęły się uchylać na zewnątrz. Otwierały się powoli, lecz zaledwie po kilku centymetrach stanęły. Były to grube stalowe wrota i moc mechanizmu otwierającego pozwalała uchylić je tylko co nieco. Na oścież otworzył je dopiero ręcznie jeden z dwóch ochroniarzy i przytrzymał, przepuszczając parę odwiedzających do środka. Jolene Bird weszła pierwsza, a za nią Benson.

- Fuj, zimno tu - zauważył detektyw. Prawdę mówiąc, wcale nie odczuwał zimna, ale jasnobiałe ściany nasuwały wrażenie, że w tym pomieszczeniu powinno być zimno. Temperaturę krwi miał dość niską, żeby nie przejmować się chłodem, ale skoro ubrany był w

koszulę z krótkim rękawem, taka uwaga wydawała mu się jak najbardziej na miejscu.

- Tak - przyznała pielęgniarka Bird z uśmiechem. - Tutaj, na dole, raczej nie instalujemy ogrzewania. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła żółtą kartkę.

Komorę kriokonserwacyjną zajmowały oddzielone przejściami długie rzędy ponumerowanych skrzynek depozytowych, biegnących od podłogi aż po sufit. Po lewej stronie drzwi od wejścia stała drabina o sześciu stopniach, na wypadek gdyby ktoś potrzebował sięgnąć na samą górę. Przez całą długość pomieszczenia biegło około trzydziestu regałów, a każdy był dostatecznie długi i wysoki, by pomieścić w przybliżeniu tysiąc małych metalowych skrzynek.

I znów pielęgniarka poszła przodem, a Benson za nią. Minęli z dziesięć rzędów regałów, aż w końcu zatrzymali się przy oznaczonym numerem kodowym 9N86, wypisanym czarnymi literami od frontu. Jolene sprawdziła coś na kartce, którą miała w ręku, upewniła się, że jest we właściwej strefie, po czym skręciła i przeszła między regałami ze dwadzieścia metrów. Zatrzymała się przy skrzynce z numerem 8447 usytuowanej na wysokości szyi po lewej stronie przejścia.

Z bocznej kieszeni fartucha wyciągnęła klucz, który zabrała z recepcji. Mimo że z zimna zdrętwiały jej palce, włożyła go bez przeszkód do zamka skrzynki, umieszczonego tuż pod numerem. Gdy uznała, że wsunęła klucz do samego końca, przekręciła go lekko w prawo i z ulgą usłyszała cichy szcęk.

- Szczerze mówiąc, wątpię, żeby nam się kiedyś przydała - powiedziała, otwierając małe drzwiczki i wyciągając z nich skrzynkę. - To nader rzadka grupa krwi. Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy.

Sięgnęła do skrzynki, wyjęła plastikową torebkę zawierającą pół litra zamrożonej krwi i podała ją Bensonowi. Spojrzał na torebkę i jeszcze raz uśmiechnął się do pielęgniarki.

- No cóż, Archibald Somers także był niezwykły, prawda? - odparł.

Rozdział czterdziesty siódmy

Peto zaciągnął się papierosem, przyglądając się jatce wokół nich. W Lelku-Kufelku panował spektakularny krwawy bajzel. Kończyny i inne części ciała, oddzielone od reszty potężnymi kulami dum-dum Kida, walały się po całej podłodze i tkwiły między stołami i krzesłami. Do tej pory z większości rozkładających się szczątków wampirów został tylko pył i proch. Z tak wielu kawałków ciała na podłodze unosił się dym i para wodna, że knajpa zaczęła przypominać moczary pod dachem. Dumając nad tym, co tu zaszło, Peto wypuścił dym z płuc i znowu skupił się na człowieku siedzącym obok niego przy barze - na Bourbon Kidzie.

- Muszę wiedzieć jedno. Czy to ty zabiłeś Kyle'a, czy zrobił to kto inny? - zapytał.

Kid siedział po lewicy Peta, ale mimo że między nimi był Dante, nie ulegało wątpliwości, do kogo zwraca się mnich. Na ladzie stały trzy szklanki bourbona - dwie puste i jedna na wpół pełna. Obok były dwa kufle piwa, prawie nienapoczęte.

- Kyle? A on to, kurwa, kto?

- Był moim najlepszym przyjacielem. Zginął w Tapiocie podczas ostatniego zaćmienia Słońca.

- Moim zdaniem Kyle'a zastrzelił Gene Simmons albo Freddie Krueger - wtrącił się Dante. - Gliniarze zwalili wszystko na naszego kumpla, pewnie dlatego, że tak im było wygodniej.

- No - przytaknął Kid, wruszając ramionami i zaciągając się papierosem. - Przypisali mi setki morderstw, z którymi nie mam nic wspólnego. Jeżeli wierzysz we wszystko, co słyszysz, to znaczy, że zabiłem wszystkich, od Liberty Valance'a po Przyjemniaczka Eddiego⁴.

- Kogo? - zapytał Peto.

- Nieważne.

Dante postanowił poruszyć pewien temat, niby drobiazg, ale trochę go to nurtowało.

- Ale teraz zabiłeś facetów z klanu Szkieł, no nie?

- Tak.

- A to nie byli twoi przyjaciele?

- Ja nie mam przyjaciół.
- Ciekawe dlaczego? - wtrącił swoje trzy grosze Peto.
- Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie z własnego wyboru.
- Jasne.

- Słuchaj, tępaku, wystarczy, że się do kogoś zbliżę, a od razu ścigają go wampiry, wilkołaki i cała ta hałastrą. Musiałem się odsunąć od wszystkich, na których mi zależy. Wygląda jednak na to, że nie odsunąłem się dostatecznie, bo mój młodszy brat nie żyje. Zabili go, żeby się dostać do mnie. Uważajcie się za szczęśliwców, że żadnego z was nie traktuję jak przyjaciela, bo inaczej nie przeżylibyście tygodnia.

- Twój brat nie żyje? - walnął Dante prosto z mostu.

- No. Zabił go ten pierdziel Hunter i czterech jego kolesie. Zanim dokończę swoje dzieło, jeszcze dwaj z nich muszą się naciernieć. Więc jeśli pytasz, czy przyjaźniłem się z którymś z tych wampirów, to moja odpowiedź brzmi: nie. Nienawidziłem tych piździelców, co do jednego. Czekalem tu na tego pojebańca, aż pojawi się z Okiem Księżyca, żeby móc dzięki niemu pozbyć się wampirzej krwi, która skaziła moje żyły. Może potem będę mógł prowadzić normalne życie. A wtedy... i dopiero wtedy... zastanowię się nad dobrem przyjaciół.

- Wobec tego nie lubisz nawet pozostałych członków Ciemnych Szkieł? - naciskał Dante, zupełnie niepotrzebnie.

Kid spojrzał na niego, speszony. Mimo to postanowił odpowiedzieć na pytanie, chociaż dopiero gdy wydmuchał chmurę dymu we wścibską twarz młodego człowieka.

- Ci faceci sprzątnęliby cię w okamgnieniu, gdyby zauważyli, że tylko udajesz jednego z nich. A swoją drogą, jak ci się udało ich wykołować? Człowieku, ja od razu cię namierzyłem. Pasowałeś tam jak widły do dupy.

- Przyjmuję surowicę. Dostałem ją od jakiegoś faceta z tajnych służb. Obniża temperaturę krwi, co pomaga mi uchodzić za wampira. Ale dzisiaj wieczorem coś chyba nie zadziałała. - Wzdrygnął się, przypominając sobie, co Posłuszny mówił o kolacji dla siebie i dla Fritza.

- Pracujesz dla tajnych służb?
- Tylko dopóki trzymają moją dziewczynę jako zakładniczkę.
- Chcesz, żeby ich zabił? - zapytał Kid obojętnie.
- Nie mam nic przeciwko - rzekł chłopak i czym prędzej dorzucił: - Byle nie ją.

⁴ Przyjemniaczek Eddie - postać z filmu *Wściekle psy* Quentina Tarantino (przypis tłumacza).

- Sie wie. Mam jeszcze dwa wampiry do zabicia, a potem zajmę się tamtymi. A co z tobą, mniszku? Jak tobie udało się przeniknąć do nich tak skutecznie? Nawet ja dałem się nabrać.

- Co ty powiesz? - rzekł Peto, drapiąc się po niemal już zagojonej ranie od kuli na piersi, tuż pod lewym obojczykiem. - Nauczyłem się co nieco, jak korzystać z Oka Księżyca. Wiesz, ten kamień to potęga. On ma nie tylko moc uzdrawiania.

- Miło mi to słyszeć - odparł Kid, gasząc peta na kontuarze i wydmuchując ostatnią porcję dymu przez nos. - Jak już załatwimy dziś w nocy co trzeba, pożyczę ten kamień i wyleczę się z kilku dolegliwości. A przede wszystkim z tego, co powoduje, że na chybił trafił i zawsze w nieodpowiednim czasie zmieniam się w pieprzonego wampira.

- Trzymanie tego pod kontrolą to pewnie kupa roboty? - zaciekawiał się Dante.

- Wiesz, w połączeniu z drobnym problemem alkoholowym oraz kwestią gniewu moje życie nie jest usłane różami.

Kid wychylił ostatni łyk bourbona i cisnął szklanke przez ramię, tak że roztrzaskała się na podłodze za jego plecami. Potem wsadził do ust następnego papierosa. Słyszcząc rozbijające się na podłodze szkło, Dino wyszedł z zaplecza i znów stanął za barem.

- Czy to naprawdę konieczne? - zapytał.

- Jaki jest twój ulubiony kolor? - odparł pytaniem Kid, sięgając pod pelerynę.

- Niebieski. A bo co?

PIF!

Kid wyciągnął ciężki niklowany rewolwer, wycelował w Dina i odstrzelił właścicielowi baru łeb. Krew zbryzgała Dantego i Peta, którzy cofnęli się z przerażeniem. Zwłoki utrzymały się w pozycji stojącej o sekundę czy dwie dłużej, niż pozwalały na to prawa fizyki, głównie dlatego, że Dino miał olbrzymie stopy i stał wyprężony jak struna. Ale po chwili gapienia się pustym wzrokiem przed siebie na salę i z wielką dziurą na środku czoła kolana ugięły się pod nim i runął do tyłu, strącając z półek szklanki, które ustawił zaledwie kilka minut wcześniej.

- Chryste! - wrzasnął Peto piskliwie. - Co masz do niebieskiego koloru?

- Nic. Chciałem tylko odwrócić jego uwagę, kiedy będę wyciągał broń. - Kid zaciągnął się papierosem. - A jaki jest twój ulubiony kolor?

Peto milczał przez chwilę.

- Mogę ci odpowiedzieć później?

- Nie ma sprawy. - Kid schował rewolwer z powrotem. - Coś mi się widzi, że czas stąd spadać. Wy dwaj wyglądacie, jakby przydała wam się wyprawa do Dominos.

- Bomba - ucieszył się Dante, wstając ze stołka. - Wtrzyiłbym pizzę, nie powiem. - Masakra i rozróby zawsze pobudzały jego apetyt (podobnie jak seks).

- Nie mówię o pieprzonej sieci pizzerii. To sklep z kostiumami. Zmiana ubrań.

Miał rację. Obaj jego towarzysze byli złani krwią. Wprawdzie nie ze swojej winy, tylko przez niego, ale o tym nie trzeba było chyba mówić na głos.

Kid pierwszy ruszył do wyjścia z knajpy, a Dante i Peto za nim. Zatrzymał się tylko na chwilę, by znów wyciągnąć rewolwer. Tym razem wycelował w szafę grającą i wywalił w niej olbrzymią dziurę na samym środku. Uszkodził ją na tyle, by stary Wurlitzer przestał odtwarzać starą piosenkę The Clash *Walczyłem z prawem*.

Na dworze podszedł do eleganckiego czarnego wozu sportowego, zaparkowanego przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Latarnie były wygaszone, a nocne niebo tak czarne, że w pierwszej chwili trudno było orzec, co to za model samochodu, i tylko wybrzuszenie maski sugerowało, że silnik jest więcej niż potężny. Jedyne światło padało z księżyca w pełni, ten jednak częściowo przesłaniała ciemnoszara chmura deszczowa. W końcu, gdy Kid otworzył drzwiczki od strony kierowcy, Dante rozpoznał model.

- Czy to interceptor V8? - zapytał.

- A jak. Niezły bajer, co?

- Fakt, kurdebalans. Wiesz, kiedyś miałem deloreana. Chryste! - przeleciało Dantemu przez głowę. Ja się bratam z Kidem... I kto by pomyślał?

- No toś miał szczęście.

- Ale się wpakowałem na drzewo. Skasowałem go totalnie.

- Podczas macanki?

- Tak, kurde. Skąd wiedziałeś?

- Strzeliłem na ślepo. A teraz zamknij się i wsiadaj.

- Ja z przodu! - zawołał Dante dzięki czemu zdobył miejsce obok kierowcy, a Peto musiał się gnieść na tylnym siedzeniu. Od czasu wyjazdu z wyspy Hubal mnich niejednego już się nauczył, ale niektóre obyczaje wciąż go zaskakiwały. Czasami był przekonany, że ludzie wymyślają nowe zwyczaje, takie jak wołanie „ja z przodu”, gdy tylko im to odpowiadało, bo chcieli go wykorzystać. Nieco oburzony, przycupnął w ciasnocie z tyłu wozu, sadowiąc się pomiędzy dwoma przednimi siedzeniami, by maksymalnie wykorzystać dostępną przestrzeń na nogi.

Gdy samochód z rykiem silnika odjechał wyludnioną ulicą w kierunku Domino's, usłyszał dolatujące z tyłu stukanie. Brzmiało tak, jak gdyby dobiegało z bagażnika. Po chwili rozległ się zduszony głos.

- Wiesz kogoś w kufrze? - zapytał Peto Kida.

- No.

- A można spytać kogo?

- Nie.

Rozdział czterdziesty ósmy

Funkcjonariusz Bloem przejmował się kompletnym brakiem wolnych policjantów nie mniej niż kapitan De La Cruz, z ulgą więc zobaczył dwóch facetów w standardowych niebieskich mundurach, którzy podeszli do szklanych drzwi frontowych komendy. Na dworze wiał silny wiatr i w rezultacie obaj wyglądali na trochę złachanych. Nie miało sensu kazać biedakom tam czekać, wobec czego wybiegł zza biurka recepcji i wcisnął przycisk na ścianie, żeby ich wpuścić do środka. Bliższy z dwóch funkcjonariuszy pchnięciem otworzył szklane drzwi, a Bloem szybko przytrzymał je z drugiej strony.

- Domyślam się, że jesteście Goose i Kenny? - zapytał.

- Zgadza się. Ja jestem Goose, a to jest Kenny - odparł pierwszy policjant, młody chłopak o potarganych przez wiatr ciemnych włosach. Wszedł przez otwarte drzwi i z pętli u pasa wyciągnął pałkę policyjną. - Gdzie się wszyscy podziali?

- Benson dał nogę, a De La Cruz ukrył się w podziemiach. Ale ucieszy się, że już jesteście. Pierwotna idea była chyba taka, że każdy z was będzie robił za osobistego ochroniarza każdego z nich, ale skoro De La Cruz został teraz sam, obaj możecie pilnować jego dupska. Jeśli Benson wróci, to przydzielimy jednego z was do niego.

- Świetnie - rzekł Goose. - To mamy od razu iść do podziemi, tak?

- Nie traćcie czasu.

Dwaj gliniarze minęli Bloema i weszli do recepcji. Kiedy Bloem po raz drugi upewniał się, że szklane drzwi są starannie zamknięte na klucz, Goose odwrócił się i brutalnie zamachnął się pałką policyjną.

TRACH!

Pałka grzmotnęła recepcjonistę w tył czaszki.

- Au! Kurwa mać! Po kiego grzyba żeś to zrobił? - spytał Bloem, trzymając się za głowę, na której formował się już wielki guz. Goose uniósł rękę i z całej siły znów walnął go pałką, tym razem trafiając w bark i częściowo w szyję. - Au! Daj se siana, co? - Bloem grzebał przy pasie, by wydobyć pistolet.

Drugi funkcjonariusz, Kenny, wystąpił do przodu i kantem dłoni trzasnął Bloema w kark, pozbawiając go przytomności.

- Dzięki - rzekł Dante, który udawał Goose'a. - Nie rozumiem, dlaczego to go nie

zwalilo z nóg - dodał z goryczą, spoglądając na pałkę policyjną. Dostał ją w komplecie z tanimi imitacjami mundurów policyjnych, które kupili w Domino's.

- No cóż - odparł jego kolega Kenny (którego rolę odgrywał Peto). - Byłoby lepiej, gdybyś go tym walnął, a nie pogłaskał.

- Przecież go, kurwa, walnąłem.

- Wcale nie. Po prostu się spietrałeś.

- A właśnie, że nie.

- A właśnie, że tak.

- A właśnie, że nie.

Od szklanych drzwi dobiegło pukanie. Na zewnątrz stał Bourbon Kid w kapturze i z niecierpliwością obserwował rozgrywającą się w środku sprzeczkę. Ich dyskusja do niczego nie prowadziła i nie miało sensu ciągnąć jej dalej, skoro tylko jeszcze bardziej pogarszała nastrój zabójcy. Wcześniej parkował samochód i zaopatrywał się w amunicję, więc pewnie był rozczarowany, że ominęła go część akcji. Peto podjął więc mądrą decyzję, by nie kazać mu czekać dłużej niż to konieczne. Szybko przeszedł nad nieprzytomnym Francisem Bloemem i nacisnął guzik na ścianie, wpuszczając swojego nowego współnika w zbrodni.

Ten pchnął drzwi i wszedł do budynku. Niewiele się tu zmieniło od ostatniego razu, gdy wpadł i wymordował wszystkich policjantów na służbie. A także Archiego Somersa.

- Zdaje się, że facet jest sam - powiedział Peto, wskazując ciało na podłodze. Kid spojrzał na nieprzytomnego rudowłosego stróża prawa i wyciągnął obrzyn o dwóch lufach (swoją ulubioną broń). - Hej, zaczekaj - rzucił Peto, chwytając Kida za rękę. - On jest nieprzytomny. Nie ma potrzeby go zabijać. Jezu, przecież nie wszyscy muszą zginąć, no nie? Czasami, jeżeli gość w niczym ci nie zagraża, można go puścić wolno. A może on ma rodzinę? Żonę, dzieci, może hoduje zółwie, wiesz, cały ten kram. Odetchnij głęboko i chodźmy poszukać tego De La Cruza. Z tego, co mówił ten facet na podłodze, schował się gdzieś w podziemiach. Widzisz? Zdobyłem potrzebne nam informacje, co było o tyle łatwe, że najpierw go zapytałem, a nie zabiłem.

- Skończyłeś? - spytał Kid, spoglądając na dłoń Peta, którą trzymał go za ramię.

Peto roztropnie cofnął rękę.

- Tak. Słuchaj, ten drugi facet, Benson, dał nogę, więc na razie musimy się rozprawić tylko z De La Cruzem. Więc wrzuć luz, zgoda?

- Zgoda. - W głosie zachrząścił czysty żwir.

Mnich odwrócił się i poszedł w kierunku recepcji. Dante ruszył za nim, a Kid zamykał pochód. Masowy morderca w kapturze wciąż jednak nie był zdecydowany w kwestii

zabójstwa funkcjonariusza Francisa Bloema, został więc kilka kroków za tamtymi i odwrócił się.

PIF!

Kid wpakował kulkę w głowę wyciągniętego na podłozie policjanta.

Peto natychmiast okręcił się na pięcie.

- Jeeezu! Skończ z tym, kurwa, dobrze? Czyś ty w ogóle słuchał, co mówiłem?

Powiedziałem, wrzuc luz!

- A nie jestem na luzie?

- Nie, kurwa, nie jesteś!

- Słuchaj no, broń wypaliła sama - rzekł Kid lodowatym tonem. - Całe szczęście, że nie celowałem w ciebie. Ta spluwa kieruje się własnym rozumem.

Peto zaniemówił na chwilę, przyglądając się zalanym krwią zwłokom na podłozie i zakapturzonej postaci z obrzynem, stojącej między nimi.

- Dobra robota - powiedział.

Zdawało się, że Kid mruknął coś jeszcze, co podejrzenie brzmiało jak „nie cierpię tych pieprzonych żółwi”. Peto roztropnie puścił to mimo uszu.

Nagle rozbłysła centralka na nieobsadzonym biurku Bloema w recepcji i rozdzwonił się telefon. Najszybciej zareagował Dante i podszedł do aparatu. Podniósł słuchawkę z zagraconego biurka i wcisnął przycisk odbioru na centralce.

- Halo? Zgadza się... przyjąłem. Eee, wydział policji... mówi...

- Coś ty za jeden, kurwa? - zapytał głos po drugiej stronie.

- Eee, funkcjonariusz Goose. A ty, kurwa, kto?

- De La Cruz. Gdzie Bloem? Zajęły?

Dante obejrzał się na krwawe szczątki pod drzwiami.

- Odszedł, kapitanie. Na mój gust stracił głowę.

- Ha! Typowe! - Słysząc było, jak po drugiej stronie De La Cruz cmoka z niezadowolaniem. - Jest z tobą ten drugi? Jak mu tam, Kenny tak?

- Tak jest. Kapitanie, potrzebujemy tu pana na górze.

- Po co?

- Rozkaz Bendera, kapitanie.

- Czyj?

Peto zorientował się w pomyłce Dantego i bezgłośnie powiedział mu „Benson”, kładąc nacisk na końcówce „son”.

- Bersona, kapitanie. Zorganizował bezpieczny lokal, do którego mamy pana zabrać.

Ale proszę się pośpieszyć. Bourbon Kid jest już w drodze.

- Ożeż kurwa! Dobra, idę na górę.

Dante zdjął słuchawki i wskazał rząd wind po drugiej stronie korytarza. Kid ruszył w ich kierunku.

Wkrótce lampka nad środkową windą zasygnalizowała, że kabina ruszyła z podziemi na parter.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Sanchez nie był z tych, co to chodzą po bibliotekach. Do biblioteki miejskiej w Santa Mondega wypuszczał się ze trzy razy w roku, zazwyczaj po to, żeby wypożyczyć kilka książek, które następnie dawał znajomym na urodziny. A ponieważ wiedział, że i tak większość jego znajomków nie potrafi czytać, zazwyczaj udawało mu się ukraść im potem te książki niepostrzeżenie i zwrócić do biblioteki w ciągu tygodnia, najdalej dwóch.

Jedną z wielu rzeczy, jakie nie podobały mu się w bibliotece, była kobieta urzędująca za biurkiem recepcji, kierowniczką Ulrika Price - wredna, mściwa bździągwa z głęboko zakorzenioną nienawiścią do mężczyzn, wynikającą z jakichś, najwyraźniej nieprzyjemnych, doświadczeń seksualnych przeżytych w okresie dorastania.

Ze swego miejsca za biurkiem przy wejściu Ulrika z uwagą obserwowała wchodzącego Sancheza, który czuł, jak jej oczy świdrują mu tył głowy, kiedy zmierzał do działu z literaturą faktu. O tak późnej porze w bibliotece nie było wielkiego ruchu, zwłaszcza w Halloween, tak więc wysokie po sufit regały ciągnące się rzędami po olbrzymiej sali barman miał do swojej wyłącznej dyspozycji.

Powód, dla którego udał się do biblioteki - jeśli miał być całkiem szczerzy - wynikał z czystego instynktu. Skoro Jessica zniknęła, za to Bourbon Kid powrócił, postanowił zabawić się w detektywa. Miejskowa policja nie interesowała się tym, a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, były to same leniwe skurczybyki, a po drugie - skorumpowane do cna, dlatego gdyby w bibliotece znajdowało się coś wartego znalezienia, pewnie wykombinowaliby powód, żeby tego nie zauważyć.

Sanchez szukał książki bez tytułu napisanej przez anonimowego autora. Czynił to powodowany niejasnym przecuciem. Po ostatniej masakrze urządzonej przez Bourbon Kida podczas ubiegłorocznego Festiwalu Księżycowego artykuły w prasie sugerowały, że morderstwa te są w jakiś sposób związane z książką bez tytułu napisaną przez anonimowego autora. Każdy, kto wypożyczył ją z biblioteki miejskiej w Santa Mondega, został zabity, włącznie z detektywami prowadzącymi tę sprawę. I chociaż Sanchez w żadnym razie nie zaliczał się do odważnych, to jednak zainwestował w Jessicę mnóstwo czasu, opiekując się nią przez lata, więc jeśli ta książka (czy raczej jej nowy egzemplarz) jakimś trafem znów wróciła na półki, to mogła zawierać wskazówki, co u licha miał Bourbon Kid przeciwko tym,

którzy przeczytali to draństwo. A co ważniejsze, mogła ujawnić, co właściwie miał do Jessiki, a nawet zawierać informacje wskazujące na jej tożsamość. Tymczasem Sanchez znalazł inną książkę napisaną przez tego samego autora.

Natknął się na nią przez przypadek. Zajrzawszy w dziale podręcznym pod literę „A” jak Anonim, zaskakująco szybko znalazł tom zatytułowany *Księga śmierci*. Autora nie podano.

Zdjął książkę z półki, zamierzając rzucić okiem na streszczenie z tyłu okładki, by się przekonać, o czym to jest. Tomisko było tak grube, że ciążyło mu w dłoniach, i odnosił wrażenie, że jest bardzo stare. W dodatku tak kruche, jakby w każdej chwili miało rozpaść mu się w rękach.

Streszczenie, jak należało się spodziewać, ani trochę nie było tak pasjonujące, jak zapowiadał tytuł. Przylepiona z tyłu okładki, ręcznie zapisana wyblakłym atramentem kartka informowała tylko, że książka ta zawiera przypadkowe nazwiska nieżyjących już ludzi oraz daty ich śmierci. To pewnie rejestr z jakiejś kostnicy, pomyślał Sanchez.

Przerzucił kilka pierwszych stron i trafił na grupę ręcznie wypisanych, głupio brzmiących nazwisk; pierwsze dwa brzmiały Ra i Ozyrys. Już samo to powinno wystarczyć, żeby czym prędzej odstawił książkę na półkę, skoro jednak telepał się przez pół miasta, postanowił rozproszyć wątpliwości. Przeglądał więc dalej, w nadziei, że znajdzie nazwisko kogoś, kogo zna. Ostatnie kartki też były zapisane ręcznie, ale przynajmniej każda zawierała na górze datę.

Już miał odstawić książkę na półkę, gdy naraz przyszło mu do głowy, że warto by sprawdzić, na ile aktualny jest ten wykaz. Zajrzał na sam koniec, ale po drodze zauważył wiele pustych stron, cofnął się więc, aż na górze jednej z kartek zobaczył bieżącą datę, trzydziesty pierwszy października. Ku swemu zdziwieniu przekonał się, że są tam zapisane zgony z tego dnia.

- Ja cię kręcę, to się nazywa tempo! - szepnął nieco zbyt głośno jak na zwyczajne obowiązujące w bibliotece.

Zdając sobie sprawę, że ściąga na siebie uwagę, przeszedł ukradkiem nieco dalej i ukrył się w spokojniejszym kącie biblioteki, za regałem z tytułami, które rzadko interesowały klientów. Znów otworzył księgę i przyjrzał się nazwiskom wpisanym pod bieżącą datą.

Na liście znalazł Igora i Pedra, a także kilka innych wilkołaków, które widział w Tapioce, kiedy pojawił się tam Bourbon Kid. Pieprzone wilkołaki! Ostatnie menele! Bez nich miasto tylko zyska, dumął sobie. A jednak księga robiła wrażenie. Te wilkołaki umarły zaledwie kilka godzin wcześniej. Jakim cudem ktoś zaktualizował to tak szybko?!

Przeglądając spis nazwisk, Sanchez poczuł nagle, że przechodzą go zimne dreszcze.

- Bardzo to, kurwa, dziwne! - powiedział, o wiele za głośno. Od razu uświadomił sobie, że niepotrzebnie zwraca na siebie uwagę, więc rozejrzał się. Przez szpary między regałami dojrzał Ulrikę Price, która siedziała za swoim biurkiem i spoglądała w jego stronę. Najwyraźniej usłyszała, że złamał święty nakaz milczenia. Kiedy ich oczy spotkały się na chwilę, spojrzała na niego zezem przez okulary. A potem wstała z krzesła. Ożeż kurwa! Ta zwariowana suka idzie tu do mnie!

Sanchez nie mógł opanować uczucia nagłej paranoi, jakie nim zawładnęło. Ta mściwa stara panna była główną podejrzaną podczas przesłuchań w związku z zabójstwami wszystkich tych, którzy czytali *Księgę bez tytułu*. Podejrzewano, choć nigdy tego nie udowodniono, że dostarczała zabójcy nazwiska wszystkich jej czytelników.

Sytuacja wymagała szybkiego myślenia. Sanchez nie miał czasu na odstawienie *Księgi śmierci* tam, gdzie ją znalazł, w taki sposób, by Ulrika go nie zobaczyła, a tym bardziej nie mógł wypożyczyć książki i zostawić na rewersie swoje nazwisko. Przed zamknięciem tomu po raz ostatni rzucił okiem na otwartą stronę. Nie ma mowy, żeby wzrok splątał mu figła. Lista nazwisk umarłych ciągnęła się do pierwszego listopada, czyli do jutra. A zawierała ludzi, którzy wciąż jeszcze żyli.

Zanim zdążył przetrwać krótką listę nazwisk umieszczonych pod jutrzejszą datą, usłyszał, jak Ulrika Price sady w stronę przejścia, gdzie się schował. Spieszyła się jak jasny gwint. O w dupę! Zamknął księgę, gorączkowo zastanawiając się, gdzie by ją ukryć. Pod koszulą? Nie, to zbyt oczywiste. Nie miał jednak czasu na szukanie lepszego rozwiązania, wobec tego szybko wsadził ją sobie z tyłu pod spodnie. Ależ się dobrze złożyło, że włożyłem dres, pomyślał, bo rozmiary księgi uniemożliwiały schowanie jej w normalnych portkach. A tak to gdyby ktoś stanął za nim, zobaczyłby, że barman ma wielgachny zadek w kształcie książki. W przeciwieństwie do po prostu wielgachnego zadka, co było u niego stanem normalnym.

Wiedząc, że kierowniczką biblioteki lada chwila wynurzy się zza regałów, Sanchez na oślep złapał z półki po lewej najbliższą grubą książkę w twardej oprawie i niezdarnie ruszył w stronę, z której spodziewał się nadejścia panny Price.

A jakże, zaledwie kilka sekund później jej twarz wyjrzała zza ostatniego regału. Przyglądając mu się przez okulary, wydawała się poirytowana jak zawsze.

- Sanchez, co ty tu robisz? - warknęła. - Onanizujesz się?

- Nie - zachnął się barman z niesmakiem. - Jak pani w ogóle śmie sugerować coś podobnego?

- Hmm. No dobrze - powiedziała, chociaż w jej głosie wyczuwało się podejrzliwość.
- Zamykamy za piętnaście minut, więc mógłbyś się z łaski swojej pośpieszyć i wybrać jakąś książkę?

- Już wybrałem - odparł z uśmiechem, podnosząc tom, który dopiero co porwał z półki.

- No to świetnie. Chodź. Weź rewers i zjeżdżaj stąd. Nie chcę cię tu widzieć. Jest Halloween i zamierzam wrócić do domu, zanim pijani chuligani wyjdą na ulice.

- Jasna sprawa.

Sanchez odetchnął z ulgą i ruszył za Ulriką Price do recepcji. Z księgą wepchniętą pod spodnie od dresu poruszał się dość nienaturalnie, sprawiając wrażenie, jakby właśnie zesrał się w gacie.

Wypuścił bibliotekarkę daleko przodem, żeby zmniejszyć prawdopodobieństwo, że zauważy jego dziwaczny chód. A ona weszła do recepcji, jak zwykle unosząc klapę w ładzie w samym rogu, i usiadła na swoim miejscu przy komputerze. Sanchez stał po drugiej stronie biurka i uśmiechał się do niej szeroko, gratulując sobie, że tak sprytnie schował wielgachną księgę pod portkami. Sęk w tym, że będzie musiał wycofywać się tyłem, żeby panna Price nie zwróciła uwagi na jego zadek w kształcie książki.

Położył tomiszcze na ładzie i czekał, aż Ulrika Price wprowadzi je do komputera. Nie zadał sobie trudu i nie sprawdził, co właściwie wypożycza, kiedy więc ujrzał tytuł na okładce i przekonał się, że bibliotekarka też go zobaczyła, zawstydził się.

Jak uprawiać seks analny. Poradnik dla gejów.

Szlag by trafił! Ja to mam pecha, pomyślał.

Nabzdyczona bibliotekarka wprowadziła tytuł do komputera pod nazwiskiem Sancheza i ostrożnie pchnęła go po ładzie w jego stronę. Z irytacją stwierdził, że czuje, jak twarz pali go z zażenowania. Nic jednak nie mógł na to poradzić, wobec tego z czerwoną twarzą wziął książkę i uśmiechając się jak idiota, powoli zaczął się wycofywać do wyjścia, przez cały czas utrzymując kontakt wzrokowy z panną Price.

Na całe szczęście była tak zbulwersowana jego wyborem i tak zakłopotana faktem, że trzymając taką książkę, szczerzy do niej zęby niczym obłąkany pawian, że nie zainteresowała się nawet, dlaczego wycofuje się tyłem. Bo gdyby się nad tym zastanowiła, mogłaby wpaść na to, że pod spodniami na zadku ukrył wielką książkę w twardej oprawie.

Teraz Sanchez musiał tylko wrócić do domu i sprawdzić naoczne dowody. W *Księdze śmierci* zobaczył bowiem znajome nazwiska. Czy to możliwe, by ta księga przepowiadała, że ludzie ci zginą pierwszego listopada?

Jutro.

Rozdział pięćdziesiąty

Ciemna postać Bourbon Kida stała bez ruchu, z opuszczonym niedbale na wysokość pasa obrzynem. Kid celował w drzwi windy, czekając, aż się rozsuną i zobaczy twarz Michaela De La Cruza. Dante obserwował go niespokojnie ze swego miejsca za biurkiem Bloema w recepcji, gotów schować się pod nie, gdyby doszło do strzelaniny. W końcu rozległ się cichy dzwonek i zgodnie z oczekiwaniami drzwi rozsunęły się automatycznie. Palec Kida na spuście drgnął, lecz kiedy drzwi się otworzyły, natychmiast okazało się, że nie ma do czego strzelać. Kabina windy była pusta. Gdzie się podział De La Cruz? Miał przecież wjechać windą na górę, a następnie zarobić ciężki postrzał w pierś. Coś poszło niezgodnie z planem.

Gdy Kid z marsową miną gapił się na swoje odbicie w lustrze z tyłu pustej windy, Dante i Peto uznali, że mogą bezpiecznie dołączyć do współnika, i stanęli po jego bokach.

- Gdzie on się, kurwa, podział? - zapytał Dante, gapiąc się w głąb kabiny i sprawdzając, czy zaginiony detektyw nie ukrył się gdzieś w kącie.

- W podziemiach - odparł Kid, wsiadając do windy.

Dante i Peto wzruszyli ramionami i wsiadli za nim, znów stając po jego bokach. Widok Bourbon Kida, stojącego z gotową do strzału strzelbą w towarzystwie ochraniających go dwóch mundurowych, nie był obrazkiem, jakim miejscowy wydział policji chciałby się chwalić, lecz to właśnie zobaczyłby ewentualny przechodzień.

Gdy drzwi kabiny się zamknęły, Kid nacisnął przycisk z literą „P”, sprowadzając windę do podziemi. A potem we trzech w milczeniu czekali, aż kabina ruszy w dół. Kid był uzbrojony po zęby. Miał przy sobie cały różnorodny arsenał, wybornie wręcz ukryty w kaburach, kieszeniach i pochwach pod peleryną. Dante i Peto mieli tylko pałki policyjne. Ale zważywszy na osiągnięcia Kida w likwidowaniu wrogów, to chyba lepiej, że on dysponował całą bronią palną. Mógł wprawdzie strzelać jedynie z dwóch naraz, ale i tak osiągnąłby więcej, zachowując zapasowe spluwy dla siebie, niż użyczając je swoim towarzyszom.

Wszyscy trzej gapili się przed siebie na drzwi windy, gotowi zareagować na cokolwiek, co mogło ich czekać po drugiej stronie, kiedy już zjadą do podziemi.

PIF!

W ciasnocie windy huk wystrzału był ogłuszający. Dante wyobrażał sobie, że tak

właśnie brzmi wybuchająca bomba. W ślad za hukiem natychmiast dobiegł z góry przeraźliwy wrzask i stukot. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się stopa w brązowym bucie i kopnęła Dantego w twarz.

Kid wypalił z obrzyna w górę i teraz znów ładował broń. Ładunek grubego śrutu wywalił olbrzymią dziurę we włazie konserwacyjnym w suficie windy. Przeleciało przez nią ponad trzydzieści gramów ciężkiego ołowiu i wbiło się w stopę De La Cruza, który kucał po cichu nad nimi. Gdy właz rozleciał się na kawałki, kłapa opadła na zawiasach i wysunęła się dolna połowa ciała kapitana. Jedna z jego stóp zwisała przed twarzą Dantego, ale druga wierzgała wściekle. Brakowało jej wszystkich palców, a także buta, który ją wcześniej zakrywał. Został z niej tylko krwawy kikut, bryzgający czerwoną mazią po całej windzie i po twarzy Kida.

Nieszczęsny De La Cruz zaklinował się we włazie tyłkiem. Jego tułów wciąż wystawał ponad sufit windy, gdy desperacko usiłował wciągnąć na górę resztę ciała. Kapitan darł się i klął jak szewc, niepewnie trzymając się grubego kabla przymocowanego do sufitu. Nagle dotarli na sam dół i kabina się zatrzymała.

Otworzyły się drzwi i Dante wraz z Petem wyskoczyli do szatni. Tajemne przejście w ścianie było uchylone, ale w środku nie było nic ciekawego do oglądania, poza dziwnym pokojem na tyłach pryszniców, w którym znajdował się stół, a na nim złoty kielich mszalny. Poza tym szatnia była pusta, skupili się więc znowu na tym, co działo się w windzie. Kid usiłował ściągnąć De La Cruza przez właz za spodnie. Detektyw jednak trzymał się kabla nad windą ze wszystkich sił, kurczowo oplatając go długimi wampirzymi palcami. Szybko przeistaczał się w nocną bestię, ale czy aby nie było już za późno?

W pewnym, cokolwiek niegodnym, momencie Kidowi udało się ściągnąć kapitanowi spodnie i majtki po kostki. Jednakże wampir nie opadł razem z nimi. Jediną nadzieję pokładał w tym, że zdoła wyrwać się z uścisku Kida i wspiąć się albo wyskoczyć na górę.

Mając świadomość, że musi wykorzystać każdą nadarzającą się szansę, Kid wymierzył w cel, jaki się przed nim objawił. Nie przejmując się konsekwencjami, wycelował obrzyn w szparę w tyłku De La Cruza. Zawahał się na chwilę, najwyżej przez pół sekundy, po czym najdalej jak mógł wcisnął lufę broni między pośladki nieszczęsnego wampira. Wrzaski ustały raptownie, a zamiast nich na twarzy De La Cruza niewątpliwie pojawił się paniczny strach.

PIF!

Tym razem huk nie był tak głośny jak poprzednio. No ale w końcu Kid miał teraz na końcu lufy wielki tłumik w kształcie dupska.

PLASK!

Całą winę ochlapała krew, jelita, gówno, kawałki kukurydzy, organy wewnętrzne, odłamki kości, cały ten krwawy szajs. Spora część przeleciała nad Kidem do szatni i chlusnęła na zagapionych Dantego i Peta. Szczątki De La Cruza prześliznęły się przez właz i z pluskiem spadły na podłogę, a Kid wyciągnął obrzyn, strząsając mazistą breję, która zsuwała się po lufie ku jego dłoni. Smród zwał z nóg, a widok tej rozchłapanej dookoła mazi był jeszcze gorszy. Strzelec w kapturze jak zwykle nic a nic się tym nie przejmował. Strzepnąwszy kawałek kukurydzy z lewego ramienia, obojętnie wyszedł z windy i podsunął lufę obrzyna Petowi pod nos. Mnich cofnął się ze wstrętem.

- Spierdalaj! Nie mam ochoty tego wąchać!

Kid minął swoich towarzyszy. Utkwił wzrok w drewnianym stole w sekretnym pokoju za prysznicami. Normalnie pomieszczenie to było ukryte za ścianą, ale teraz ruchomy fragment był odsunięty i nic nie przeszkadzało mu podejść do stołu.

- Czterech z głowy. Został jeszcze jeden - powiedział ni to do siebie, ni do pozostałych. - A potem fajrant i zwijamy się do domu.

- Święta prawda! - rzekł Dante, strząsając z ramienia niewielką ilość brązowej mazi na gęste dredy z tyłu głowy Peta. Mnich cmoknął z odrazą i szybko się otrząpał.

- Ale z tym ostatnim będzie najtrudniej - rzekł Kid, nie oglądając się, by sprawdzić, czy Dante i Peto go słuchają. - Pierwsi dwaj to były tylko gówniane drobne menele. Teraz załatwiliśmy jego dwóch przybocznych. Pozostał tylko nasz nowy szef wampirów. Nowy Pan Ciemności. Nie wiem, na ile twardy jest ten facet, i właśnie dlatego być może przyda mi się wasza pomoc. Gdzieś w tej komendzie jest książka, która może zabić naczelnego krwiopijcę. Ta księga nie ma tytułu, a zrobiona jest z krzyża, na którym ukrzyżowano Jezusa Chrystusa. Ona zabije każdego żywego trupa, załatwi go na cacy. Kłopot w tym, że ja nie mogę jej tknąć, bo na razie w moich żyłach płynie jeszcze krew wampira. - Wreszcie się odwrócił. - Czy moglibyście skoczyć na górę i przetrzepać wszystkie gabinety, aż ją znajdziecie?

- Jasne - odparli Dante i Peto jednym głosem.

Po czym Dante dorzucił:

- A co ty będziesz robił?

- Zaczekam tu na tego wrednego skubańca, szefunia Bensona. A wy bierzcie dupy w troki, bo jak on tu wróci przed wami i będę musiał załatwić go sam, to może skopię mu tyłek przez kilka minut, ale potem może się zrobić nieprzyjemnie. Jeżeli naprawdę jest nowym naczelnym krwiopijcą, to bez tej księgi, która potrafi go zabić, będzie ożywał za każdym razem, jak go zastrzelę.

- Czyli że co? - zapytał Dante.

- Czyli że zapierdalaj na górę i zacznij szukać tej pieprzonej księgi, durna pało.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Po wyjściu Bensona Jessica i jej ojciec Ramzes Gaius pozostali w Olé Au Lait, żeby omówić plan na resztę wieczoru. Żadne z nich nie zamówiło nic do jedzenia czy do picia, ale ani Flake, ani szef kuchni Rick nie zamierzali ich denerwować.

Zaledwie Benson odszedł z mocnym postanowieniem, że wypełni misję i nie wróci bez świętego Graala, Jessica wyraziła na głos swoje uczucia wobec niego.

- Coś ci powiem, ojcie - burknęła do siedzącego po drugiej stronie stołu Gaiusa. - Za chują nie ma mowy, żebym dopuściła do siebie tę lubieżną gnidę. Ja wiem, ustaliliśmy, że to ty wybierzesz mi partnera życiowego, ale jeżeli uważasz, że pozwolę się dotknąć jego oślizłym łapskom, to lepiej się nad tym zastanów.

Ojciec pozwolił sobie na uśmiech. Gdyby nie nosił okularów przeciwsłonecznych, zobaczyłaby, jak w jego zdrowym oku błyska wyraz uznania.

- Nie rozczarowałaś mnie, moja droga - powiedział. - Masz charakter, jak zawsze. Nic dziwnego, że udało ci się przetrwać tak długo. Ale bądź spokojna. Randy Benson to nie jedyny kandydat, jakiego wybrałem ci na partnera na dalszą drogę życiową, i szczerze mówiąc, jest na końcu mojej listy. Przypomina mi twojego ostatniego męża, Armanda... nikczemnego, zdradzieckiego, niegodnego zaufania robaka. Czuję, że zginie z ręki Bourbon Kida, zanim znów dorwie się do świętego Graala. - Przerwał w zadumie i podjął: - Wiesz, wszystko to obróciło się na naszą korzyść. Zabijając brata Kida, ci trzej idioci z Brudnych Świń odwrócili jego uwagę, dając nam przewagę nad nim.

- Co masz na myśli?

- Zastanów się, moja droga. On najwyraźniej nie wie, że wróciłaś między żywych. A mnie by nie poznał, gdybyśmy się spotkali. Jest zbyt zaabsorbowany ściganiem Bensona i jego koleśków, żeby zajmować się nami. Jeżeli, jak podejrzewam, zabije Bensona, to jeden z pozostałych kandydatów, których wybrałem na twojego nowego partnera, zabije go dla nas w chwili, kiedy najmniej będzie się tego spodziewał.

- Wobec tego kim są pozostali kandydaci? - zainteresowała się gorąco Jessica.

- Na drugim miejscu jest Robert Swann, facet, któremu zleciłem pilnowanie tych dwóch zidiociałych dzieciaków, Dantego i Kacy. A wybrałem go, ponieważ jest bezpośrednim potomkiem jednego z moich starych przyjaciół. Rzecz jasna, on nie ma o tym

pojęcia, ale w jego żyłach płynie królewska krew. Dodaj do tego swoją krew wampirzą, a stworzycie wspaniałą parę.

Jessica wzbiła w ojca twardy wzrok, zastanawiając się, czy się z niej nie nabija. Podchwycił jej pogardliwe spojrzenie.

- Co jest? - zapytał, nieco skonsternowany.

- Jaja sobie ze mnie robisz?

- Słuchaj, to wspaniały okaz mężczyzny i bezlitosny zabójca - zaprotestował Gaius.

Jessica pokręciła głową.

- Nie wierzę własnym uszom. Mój ojciec jest debilem.

- Że co, proszę?

Córka Gaiusa wstała i wygłosiła oświadczenie skierowane do całej klienteli i personelu kawiarni.

- Słuchajcie no, chcę, żebyście wszyscy wiedzieli, że ten oto człowiek, Ramzes Gaius, to debil. Dziękuję za uwagę.

Uśmiechnęła się do ojca, który warknął ze złością:

- Siadaj, do kurwy nędzy!

- Sam sobie siadaj.

- Przecież siedzę.

Jessica pokręciła głową.

- Czy ty w ogóle wiesz, co znaczy „siadaj”? Bo najwyraźniej nie masz pojęcia, co to jest seryjny gwałciciel!

- Słucham?

- Tyś chyba całkiem ocipiał. Na miłość boską, Benson i Swann to seryjni gwałciciele!

Jaki ojciec próbuje wyswatać własną córkę z gwałcicielem?

- Taki, który ma dla niej wspaniały prezent ślubny.

- A konkretnie?

- Zwłoki wszystkich twoich wrogów. Dzisiaj, zanim noc duchów dobiegnie końca, Bourbon Kid będzie martwy, tak samo jak ten idiota Dante, który pomógł mi zastrzelić cię rok temu, oraz ostatni z mnichów hubalan. W zamian za to mam prawo wybrać ci nowego męża.

- No cóż, wybac, że nie skaczę z radości. A nie mogłeś przynieść mi kwiatów?

- Nie bądź taka przemądrzała.

- Nic na to nie poradzę.

Jessica stała podparta pod boki, odstawiając przed ojcem rozpuszczonego bachora, co

zaczęło go wkurzać.

- Jessico Xavier, siadaj i bądź grzeczna! - rozkazał. - Nie po to spędziłem ostatnie dziewięć miesięcy na szukaniu ciebie, żeby cię związać z kimś, kogo nie znosisz. Więc SIADAJ WRESZCIE!

Choć raz w życiu Królowa Wampirów zrobiła, co jej kazano, i usiadła przy stole naprzeciwko ojca Skoro przedstawienie najwyraźniej dobiegło końca, amatorzy kawy przy sąsiednich stolikach wrócili do swoich przyciszonych rozmów.

- Ja nie żartuję - powiedziała dużo ciszej, właściwie syknęła. - I jeden, i drugi są gwałcicielami.

- Daj spokój - odparł Gaius, broniąc swojego wyboru. - Obaj mają wady, przyznaję, ale pomijając kwestię gwałtów, zgodzisz się ze mną, że to dobrzy kandydaci?

- Nie, kurwa, nie zgodzę się. Przystałam na to skojarzone przez ciebie małżeństwo tylko dlatego, że mój ostatni mąż cię zdradził. No bo uwięzienie cię pod postacią mumii na setki lat to lekka przesada, nie da się ukryć. Ale jeżeli nie potraktujesz mnie poważnie, będę musiała przemyśleć swoje stanowisko. Skoro upierasz się, żeby mnie wydać za któregoś z tych przestępców seksualnych, to zapewniam cię, że zanim noc poślubna dobiegnie końca, będę już wdową.

Gaius westchnął.

- Ależ ty stroisz fochy. Na szczęście jest jeszcze trzeci kandydat, i to wcale nie gwałciciel.

- Na początek to już coś.

- Prawdę mówiąc - ciągnął ojciec - macie ze sobą coś wspólnego. - Przerwał dla większego efektu. - Łączy was nienawiść do Bourbon Kida.

Jessica, wbrew sobie zaintrygowana, uniosła brew.

- No dalej, powiedz mi coś więcej. Ale jeżeli chodzi ci o barmana Sancheza, to z miejsca wychodzę.

- A ten w czym znowu ci nie odpowiada? Przecież cię lubi, nie?

- Nabijasz się ze mnie, tak? Nie chodzi o Sancheza? Powiedz mi, że to nie Sanchez.

- Nie. To nie Sanchez, moja droga. Ktoś zdecydowanie bardziej w twoim guście. Powszechnie szanowany osobnik. A poza tym olbrzymi, muskularny facet. Pokazać ci jego zdjęcie?

- Jasne.

Gaius wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki od garnituru kolorowe zdjęcie w dużym formacie i podał je nad stołem Jessice. Wyrwała mu je z ręki i oglądała przez chwilę.

Jej mina odzwierciedlała targające nią uczucia.

- Tak, ten mi się podoba - oświadczyła z uśmiechem.

- To dobrze, bo podejrzewam, że właśnie on dziś w nocy zabije dla ciebie Bourbon Kida - odparł Gaius.

- Skąd ta pewność, że Bourbon Kid zginie dzisiejszej nocy?

- Już się tym zająłem, moja droga. Kid oraz jego wspólnik, Dante Vittori, umrą dziś w nocy, razem z tym mnichem z Hubal.

- Cały czas to powtarzasz, ale skąd masz pewność?

- Stąd, moja droga, że kiedy tobie ostatnie miesiące upływały na odsypianiu, ja tymczasem podróżowałem. Przeniosłem w nowe miejsce moją starą książkę, *Księgę śmierci*. Teraz ich nazwiska zostały do niej wpisane. Umrą dziś w nocy. Pytanie tylko, w jaki sposób zginą, no i kto ich zabije.

Jessice opadła szczęka. Wyglądała, jakby z podniecenia chciała uściskać ojca.

- Czy mogę sama zabić jednego z nich? - zapytała.

Gaius powoli pokręcił głową i uśmiechnął się. Jego córka była prawdziwie wredną suką i kochał ją za to.

- Coś ci powiem. Zapoluj na mnicha. Jeżeli zabijesz go, zanim kto inny go dopadnie, to odzyskaj dla mnie moje Oko Księżyca. Zrób to, a pozwolę, żebyś sama wybrała sobie partnera. Co ty na to?

- Jasne, ojcze, umowa stoi.

- To dobrze. - Gaius wsunął palec pod okulary i postukał się w zielone szmaragdowe oko. - Im szybciej pozbędę się tego ohydneho zielonego oka i odzyskam prawdziwe Oko, tym szybciej pozbędziemy się światła słonecznego raz na zawsze. A wtedy żywe trupy zapanują nad światem. A ja znowu będę wszechmogący.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Randy Benson dotarł na komendę główną w pełni przygotowany na rząd trupów prowadzący do podziemi. Tymczasem znalazł tylko jedne zwłoki. Jediną ofiarą, na jaką się natknął, był Francis Bloem (z brakującą większą częścią głowy). Żaden problem, i tak go nie lubił.

Krwawy ślad nie kończył się jednak na Bloemie. Rozsiane tu i tam plamy krwi prowadziły do wind po drugiej stronie. Benson ruszył za nimi ostrożnie, wyczulony na ewentualną zasadzkę. Czekala na niego środkowa winda, z otwartymi drzwiami. Zobaczył, że wewnątrz kabiny jest zlane krwią, a także ujrzał coś, co niewątpliwie wyglądało na gównno. I śmierdziało gównem. Bo faktycznie było to gównno. I to całkiem świeże.

Benson nie widział potrzeby, by wchodzić do cuchnącej windy. Jak mam się dostać na dół do Graala? - zastanawiał się. Bourbon Kid jest nie w ciemną bity. Mógł zastawić na mnie pułapkę. A ma rachunki do wyrównania. Wie, że tu jestem. Zejście jego śladem do podziemi byłoby szczytem naiwności. Jedyne, co mi pozostaje, to czekać.

Wysoko rozwinięty instynkt przetrwania dobrze służył Bensonowi przez lata. Z wszystkich nalotów na handlarzy narkotyków i ze strzelanin zawsze wychodził bez szwanku, dzięki temu, że zwykle trzymał się z tyłu i przeważnie chował się w jakiejś kryjówce. Z każdą chwilą nabierał pewności - Bourbon Kid wie, że on przyszedł tu po złoty kielich. Ale Kid życzy mu śmierci i prawdopodobnie nie może się doczekać, kiedy go zabije, wobec tego jeżeli on odczeka dostatecznie długo, wróg sam do niego przyjdzie.

Miał rację. Mniej więcej po dziesięciu sekundach drzwi windy się zamknęły. Wkrótce Benson zobaczył na wskaźniku, że kabina zjechała do podziemi. Z dołu dobiegł jakiś hałas, po czym maszyna windy znów poszła w ruch i kabina z powrotem wjechała na parter, gdzie czekał detektyw. Przepelniający go strach i oczekiwanie sprawiły, że wysunął jak najdalej wampirze kły, a jego skóra stwardniała, gdy pulsujące żyły nastawiły się na krwawą jatkę. Stał więc gotowy, z wycelowanym w drzwi pistoletem samopowtarzalnym.

Winda zatrzymała się i drzwi się rozsunięły. A w środku, na wprost policjanta, stała zakapturzona postać, której się spodziewał. Kaptur jak zwykle zakrywał większą część twarzy, postać stała na samym środku kabiny, mając za plecami ochlapane krwią lustro. Winda i tak już była cała zbrzydzana krwią, ale to nie miało znaczenia - Benson był gotów.

Przyklęknął na wypadek, gdyby Kid chciał do niego strzelić. Wszystko szło dokładnie tak, jak się spodziewał. Boże, ależ jestem dobry, pomyślał. Trzymając pistolet w wyprostowanej na całą długość ręce, szybko wypalił dwukrotnie, a potem jeszcze dwa razy, w głąb windy.

Cztery precyzyjne strzały trafiły w pierś, dokładnie w sam środek. Trysnęła krew, tak daleko, że częściowo wylądowała u stóp Bena. Policjant z makabryczną, złośliwą satysfakcją patrzył, jak jego zakapturzony wróg pada bezwładnie na podłogę, opierając się plecami o lustro z tyłu kabiny. Było jasne, że pod kapturem usilnie próbuje złapać dech.

Benson poczuł, że z podniecenia przestał panować nad oddechem. Czuł się tak, jakby przebiegł kilometr z prędkością sprintera. Serce mu waliło, adrenalina buzowała. Czyżby dokonał tego, czego tylu innych próbowało bezskutecznie? Czyżby naprawdę śmiertelnie postrzelił najbardziej poszukiwanego przestępcę w Santa Moniega?

Upojony sukcesem skorumpowany gliniarz i szef wampirów w jednej osobie ruszył ostrożnie w kierunku otwartych drzwi windy. Na podłodze leżało bez ruchu zakrwawione ciało człowieka w kapturze. Tylko jego pierś falowała. Unosiła się i opadała nieregularnie, bo wciąż jeszcze oddychał. A nawet się krztusił. Benson wszedł do kabiny i spojrzał na umierającego, celując z pistoletu w twarz wyzierającą spod kaptura.

- W sumie myślałem, że będziesz godniejszym przeciwnikiem - oświadczył. Jego wróg, ten Bourbon Kid, o którym tak wiele słyszał, okazał się jednak śmiertelny. - Wiesz, to wszystko poszło za łatwo. Ten twój wrzeszczący, ociężały umysłowo braciszek stawiał większy opór niż ty. Ty nie jesteś Bourbon Kid, tylko Mleczny Kid.

Przez sekundkę Benson zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział.

To stanowczo za łatwe. Coś jest nie tak. Ale teraz nie czas się zastanawiać, co jest grane. Trzeba tylko strzelić facetowi w twarz i mieć to z głowy.

ŁUP!

Coś wylądowało Bensonowi na głowie. Coś ciężkiego. Spadło z góry. Coś gorącego! Naczelnny wampir usłyszał syk, a potem to, co mu zleciało na głowę, zsunęło się i runęło na podłogę. Była to książka.

Ta książka! Ta bez tytułu.

Ktoś zrzucił ją na niego przez otwarty właz konserwacyjny na górze i w rezultacie jego włosy zaczęły się topić. Benson wyciągnął rękę i poklepał głowę, żeby ugasić płomień ogarniające siwe włosy. Nagle, gdy spojrzał w górę, by zobaczyć, skąd wzięła się książka, zarobił kopniaka w twarz czarnym skórzanym butem. A w ślad za tym ktoś odziany w mundur policyjny zeskoczył przez właz na podłogę kabiny.

Benson był kompletnie zaskoczony. Kim jest ten facet, u licha? Zanim zdążył

zareagować, a tym bardziej znaleźć odpowiedź na swoje pytanie, policjant kopnął go precyzyjnie w krocze, tak że detektyw z bólu zwinął się wpół. Naraz zorientował się, że drzwi windy zasunęły się i że znów jadą na dół. A jego głowa wciąż się paliła. Miał wrażenie, jakby wepchnięto mu czaszkę pod rozgrzaną prasownicę, spod której nie mógł się uwolnić. Pociuszający był tylko fakt, że płomienie chyba zniknęły.

Zakapturzona postać na podłodze wciąż oddychała, tyle że już się nie krztusiła. Bensaona o wiele bardziej martwiła wojownicza postawa mundurowego, stojącego przed nim w ciasnocie windy. Funkcjonariusz - młody człowiek po dwudziestce, o gęstych ciemnych włosach - miał na sobie typowy niebieski mundur policyjny, ochlapany krwią i gównem. I sprawiał wrażenie, jak gdyby gotował się do rozbiegu przed strzałem na bramkę. W rzeczywistości jednak szykował się, by znów kopnąć Bensaona w jaja prawym butem. Zanim detektyw zdążył zareagować, kolejny potężny kopniak posłał go na ścianę windy. Tym razem stracił równowagę i jedyne, co powstrzymało go przed klapnięciem tyłkiem na podłogę, była *Księga bez tytułu*, na której posadził dupsko.

- KURWA MAĆ! AU!

Tytek Bensaona zajął się ogniem, a detektyw zerwał się na nogi, klepiąc się z tyłu po spodniach, żeby ugasić płomienie. Ale napastnik jeszcze z nim nie skończył. O, nie! Znów przyjął postawę jak do rozbiegu i zanim Benson zdołał wziąć się w garść, dostał następnego silnego kopniaka w krocze. Tym razem ból był nie do wytrzymania, Benson miał wrażenie, że jajka przeniosły mu się gdzieś na wschodnie wybrzeże brzucha. Śmiertelnie osłabiony przez księgę, czując, że lada chwila zwymiotuje, i zupełnie pozbawiony tchu, cierpiący straszliwie wampir i detektyw w jednej osobie padł na twarz do stóp napastnika.

- Kurwa mać! Odpierdolże się, jak pragnę zdrowia! - wycharczał w odruchu wymiotnym, rozpaczliwie usiłując powstrzymać zawartość żołądka, która podchodziła mu do gardła.

I wtedy nadeszła chwila, której obawiał się najbardziej. Winda stanęła, drzwi się rozsunęły i na zewnątrz pojawił się kolejny człowiek. Ubrany był w ciemne bojówki i białą koszulkę. Benson widział, że to kawał wrednego sukinsyna. Facet cierpliwie czekał w szatni na pojawienie się detektywa, a teraz bez zwłoki wyciągnął rękę i wywlókl wampira z kabiny, ciągnąc go za resztki niegdyś tłustych, a teraz spalonych siwych włosów. Cisnął Bensaona na podłogę szatni niczym tuszę ubitego zwierzaka w rzeźni, tak że ten przeleciał poślizgiem po gładkich płytach z szarego winylu. Sceneria przypominała niedawną sytuację, kiedy to gliniarz i jego uchachani kolesie ciskali przerażonym młodym człowiekiem imieniem Casper po tych samych płytach posadzki, szykując się do rzezi.

Benson walnął twarzą w ścianę półtora metra dalej.

TRZASK!

Zderzeniu z betonową ścianą towarzyszył odrażający dźwięk. Gliniarz poczuł drzenie dźwięku i z przerażeniem patrzył, jak dwa przednie zęby z bluzgiem krwi wypadają mu z ust i fruną za głowę. Auuuu! To bolało. Ale nie tak, jak kiedy dentysta zadaje ci ból. Chyba że ów dentysta odmówił ci środka znieczulającego, podpalił włosy i tyłek i kilkakrotnie skopał ci krocze, zanim przystąpił do usuwania zębów.

Benson zebrał siły, by przetoczyć się na bok, i zdołał podnieść wzrok na swojego prześladowcę. Muskularny mężczyzna w koszulce, który wywlókł go z windy i z taką siłą przeciągnął po podłodze, był kimś, kogo szef wampirów obawiał się najbardziej. Z bezgraniczną pogardą spojrział na Bensaona i przemówił powoli i stanowczo.

- Kiedy byliśmy dziećmi, ludzie powiadali, że jesteśmy z bratem tak podobni do siebie, jakbyśmy mieli tego samego ojca - zagaił. - Oczywiście jeśli ktoś się do nas odezwał, od razu miał jasność, który jest który. Można by powiedzieć, że mój brat był prosty. Ufny niewinny głuptak, który zrobiłby wszystko dla wszystkich, byleby go polubili. Z tego powodu wielu ludzi go wykorzystywało, więc jako dzieciak poświęcałem mnóstwo czasu na opiekę nad nim, kiedy jakiś drań go zdenerwował.

Mężczyzna przerwał i zatopiony w myślach, spojrział na tajny pokój.

- Przez całe życie musiałem wysłuchiwać płaczu brata, kiedy ktoś się nad nim znęcał - podjął w końcu. - Słyszałem jego płacz, nawet gdy byłem tysiące kilometrów dalej, tak silne łączyły nas więzy. Ale to, co ty mu zrobiłeś, ty chory pojebie, dudni mi w uszach w każdej sekundzie. Słyszałem, jak błagał o zmiłowanie, jak krzyczał, żebym się zjawił i go uratował. Słyszałem, jak jęczał z bólu i jak błagał ciebie i twoich roześmianych koleśków, żebyście darowali mu życie. I będę to słyszał do końca moich dni. Zagłuszyć to mogą jedynie wrzaski jego zabójców. Jesteś ostatnim z nich. I dlatego twoje wrzaski potrważą nieco dłużej niż tamtych!

Człowiekiem stojącym nad Bensonem w poplamionej krwią koszulce, muskularnym, opalonym i wyciszonym, był Bourbon Kid. Było to aż nadto oczywiste.

Benson przełknął sporą porcję krwi, wraz z wymiocinami, które zebrały mu się w ustach. Nie chciał spojrzeć temu człowiekowi w oczy. Zaczynał poznawać smak bólu i strachu, jaki zadali bratu tego faceta. Nie bardzo wiedział, na co by tu patrzeć, ale gdy oczy zasły mu gorzkimi łzami, dostrzegł jakiś ruch w windzie. Człowiek w kapturze, w którego wpakował cztery kulki i którego mylnie wziął za Kida, powstał i ściągnął kaptur.

- Chip? - wyszeptał zaskoczony Benson; strumyczek krwi ściekł mu po policzku.

Rozpoznał najnowszego członka klanu Dredów, którego niedawno spotkał, odwiedzając Lelka-Kufelka. Rzut oka na funkcjonariusza, który był w windzie z Chipem, tego, co parę razy skopał mu jajka, niewiele mu powiedział, bo nigdy nie spotkał Dantego i nie znał jego twarzy. Na razie jednak przejmował się głównie twarzą człowieka spoglądającego na niego z góry. Tę rozpoznał od razu. Znał ją aż za dobrze.

- Déjà-Vu?!

- Miałeś kiedyś wrażenie, że już tutaj byłeś? - zapytał Kid. - Tyle że ostatnim razem to nie ty odebrałeś telefon.

Benson przełknął następną porcję wymiocin, która podeszła mu do gardła.

- O Boże! To nie był mój pomysł, przysięgam! Ja próbowałem być miłosierny.

Bourbon Kid pochylił się nad przerażonym wrogiem.

- Kiedy brat zadzwonił do mnie po raz ostatni, słyszałem, jak torturowaliście go przez pięć minut i dwadzieścia pięć sekund, zanim w końcu umarł.

Po prawicy Kida Benson dostrzegł dredy na głowie Peta, który się poruszył. Mnich wciąż miał na sobie długą ciemną pelerynę i właśnie ją rozchylał, jak gdyby chciał ją zrzucić. Natychmiast stały się jasne dwie rzeczy. Cztery rany po kulach na jego piersi goiły się pięknie, a to za sprawą niebieskiego kamienia, który nosił na szyi. Po drugie zaś - co Bensaona martwiło o wiele bardziej - w podszewce szaty tkwiło mnóstwo ostrych narzędzi wszelkich rozmiarów i kształtów.

Mnich podszedł do Kida, który na chwilę oderwał wzrok od żalospnego obrazu nędzy i rozpaczki, jaki przedstawiał sobą Randy Benson. Pod peleryną miał broń, którą zachował specjalnie na tę okazję - bagnet typu M-3, z drewnianą rękojeścią. Kid wyciągnął go z wąskiej kieszeni, w której idealnie się mieścił, i znów odwrócił się do ofiary. Bagnet miał być pierwszym z wielu narzędzi, których użyje do torturowania i ostatecznie zabicia Randy'ego Bensaona.

Nie okazując po sobie ani śladu emocji, Bourbon Kid schylił się i podniósł detektywa za siwe włosy.

- Twój skretyniały kumpel, Igor, sypał jak ta lala i opowiedział mi ze szczegółami, co zrobiliście. Zdaje się, że zaczęliście od odcięcia nadgarstka.

- Ja tego nie zrobiłem! To Hunter!

- Gównu mnie to obchodzi.

- To prawda, przysięgam. Błagałem tamtych, żeby go zostawili w spokoju. Widziałem przecież, że tak nie można.

- Przyznaj się do tego, co zrobiłeś.

- Nic nie zrobiłem, przysięgam.

Benson za wszelką cenę starał mu się przypodobać. Bez skutku. W ten sposób zapewnił sobie tylko, że zejdzie z tego świata odarty z godności i szacunku do siebie samego.

- A więc jesteś niewinny?

- Tak, tak! Jestem niewinny, przysięgam.

Kid rzucił okiem na ostrze bagnetu i przyjrzał się swojemu odbiciu.

- Jesteś niewinny, he? Wiesz co? Mój brat też był niewinny. A człowieka zupełnie niewinnego można torturować przez pięć minut i dwadzieścia pięć sekund na wiele rozmaitych sposobów. Wypróbujmy je po kolei, razem. A kiedy dojdziemy do tego, przy którym mój brat zmarł, wrzaśnij i daj mi znać.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

W trakcie torturowania, a wreszcie egzekucji Randy'ego Bensona Dante wielokrotnie musiał odwracać wzrok. Bez dwóch zdań było to, oględnie mówiąc, okrutne, makabryczne i zgoła niemiłe zadanie.

I on, i Peto mieli nadzieję, że nie będą w to zamieszani, ale gdy Kid odciął bagnetem jedną dłoń detektywa na wysokości nadgarstka, ich pomoc stała się konieczna. Zgodnie z instrukcjami Bourbon Kida przytrzymali Bensona płasko na plecach, podczas gdy Kid dokonywał swojej zemsty. Na początek skorzystał z małego nożyka do odcięcia wrzeszczącemu wampirowi powiek, niewątpliwie po to, żeby ten musiał obserwować wszystko to, co będą z nim wyrabiać. Natychmiast siknęła krew i Dante się odwrócił. Nożyk posłużył następnie do odcięcia Bensonowi warg. Co pewien czas chłopak oglądał się, gdy zmieniało się natężenie wrzasków detektywa, ale i tak pewnie stracił z połowę tego, co się działo. Było jasne, że wampirowi odcięto brodawki piersiowe, ale najgorszą rzeczą, jaką Dante zobaczył na własne oczy, było usunięcie wampirowi paznokci z pozostałej dłoni - Kid wbił pod nie ostrze noża i po prostu je wyrwał. Przyszła kolej na pępek. Teraz już było oczywiste, że uwaga Kida kieruje się poniżej talii detektywa. Koszmarne wrzaski bólu ofiary spowodowały, że od tej pory i Dante, i Peto na dobre odwrócili wzrok.

Dante wiedział wprawdzie, że Benson to niegodziwiec, wampir i tak dalej, ale bez względu na to, co uczynił bratu Bourbon Kida, z pewnością nie zasłużył na tak odrażającą, makabryczną karę. A może jednak? Dante lubił Bourbon Kida, na tyle, na ile można lubić kogoś, kto jest w stanie zabić cię w każdej chwili bez najmniejszego powodu i kto zapewne wymordował mnóstwo ludzi, którzy na to nie zasłużyli. Ludzi mających rodziny. Coraz bardziej pragnął wynieść się stamtąd w cholerę i wyrwać Kacy z rąk ludzi z tajnych służb. Nie mógł znieść myśli, że przez cały ten czas jego dziewczyna przebywa sam na sam ze Swannem i Valdez. Zwłaszcza ze Swannem. Co ta menda może z nią wyrabiać, podczas gdy Dante odwała za niego brudną robotę? To, że poprzedniego wieczoru zaprosił ją na kolację i upił, mogło być zaledwie pierwszą częścią szemranego planu, żeby ją uwieść. Ale już niedługo, myślał chłopak z nadzieją, już niedługo przybędzie z kawalerią na odsiecz i odbije Kacy.

Nie całkiem żywy żywot detektywa Randy'ego Bensona dobiegł wreszcie kresu po

upływie pięciu minut i dwudziestu pięciu sekund piekła w czystej postaci, tak jak obiecał mu Kid. Ostatnie trzydzieści sekund nie wymagało użycia żadnych narzędzi oprócz pięści, którymi Kid systematycznie rozkwasił twarz ofiary na miazgę. Ostatni akt nastąpił, kiedy zgodnie z instrukcjami Kida Peto wbił *Księgę bez tytułu* w pierś znękanego wampira. A potem patrzyli, jak jego szczątki obracają się w płomień, dym i proch. Wrzaski Bensona zastąpiły westchnienia ulgi, gdy detektyw wydał ostatnie tchnienie na tym świecie.

Skoro wyglądało na to, że ich misja dobiegła końca, Dante i Peto jak najszybciej chcieli się stamtąd wynieść. No bo czy to ma sens, żeby poszukiwani zabójcy policjantów szwendali się po komendzie głównej policji?

Peto wyciągnął zaklejoną plastikową torebkę krwi z wewnętrznej kieszeni marynarki Bensona, którą odrzucono na bok razem z resztą jego odzienia podczas przeciągającej się egzekucji z ręki Kida.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał wyraźnie zmęczonego oprawcę, który zdjął białą koszulkę i wycierał nią teraz rozmaite noże i inne przyrządy zakrwawione w trakcie eksterminacji Randy'ego Bensona.

- A co to jest? - zainteresował się Kid.

- Na oko to zwyczajna torba krwi. Taka jak do transfuzji i takich tam.

- Pieprzyć to. Zostaw ją tutaj.

- Tak? A jeżeli to coś ważnego?

- Dobra. Jak chcesz, to weź se ją do domu i wsadź do lodówki.

Peto zrozumiał aluzję i rzucił torebkę krwi na podłogę. Upadła z cichym stukiem, odbiła się raz i ześliznęła po płytach posadzki, aż zniknęła pod jedną z długich drewnianych ław biegnących wzdłuż ściany za rzędem szafek.

- I co dalej? - zapytał mnich.

Nie zwracając na niego uwagi, Kid przeszedł do tajnego pokoju na tyłach. Na środku antycznego drewnianego stołu błyszczał złoty kielich mszalny. Kid podniósł go i rzucił do Peta, który złapał go jedną ręką.

- I co niby mam z tym zrobić? - zapytał mnich z dredami.

- Zabierz go i *Księgę bez tytułu* gdzieś, gdzie nikt się do nich nie dostanie. Zakop je. A może spierdalaj z nimi z powrotem na Hubal, czemu nie? To tam powinno się przechowywać Oko Księżyca, świętego Graala i cały ten szajs. Tam jest ich miejsce i twoje też tam jest.

Peto najeżył się. Nie lubił, gdy ktoś, ktokolwiek, odzywał się do niego w ten sposób. Naharował się, żeby się wtopić w krajobraz Santa Mondega, i nie podobała mu się sugestia, że tutaj nie pasuje.

- Uważasz, że powinienem wrócić na Hubal, he?

- Ano.

- Na Hubal, tę samą wyspę, która obecnie jest niezamieszкана, odkąd - tu przeszył Kida ostrym wzrokiem - rok temu zjawił się tam ktoś, kto wymordował wszystkich mnichów?

- No, na tę właśnie wyspę.

- Dzięki, ale sam, kurwa, będę decydował, dokąd pójdę. Nie potrzebuję twojej zaszraney, gównie wartej opinii. A zresztą kiedy tu doszliśmy, lało jak z cebra. Nie mogę chodzić z tą cholerną księgą pod pachą na ulewnym deszczu.

- To wsadź ją do którejś z tych szafek i wróć po nią jutro, jak przestanie padać.

Peto odetchnął głęboko.

- Jakim cudem udało ci się podbić Hubal? Czy ty się czasem zastanawiasz nad czymś głębiej? Ta księga jest niezwykle cenna. Może zabić najgroźniejszego z wampirów, do kurwy nędzy!

- Tak, ale właśnie zabiliśmy nowego szefa wampirów. Ta księga do niczego nam już nie posłuży. Prawdę mówiąc, nie jestem nawet pewien, czy potrzebowaliśmy jej do zabicia tego gościa. Jak go nią walnąłeś, i tak już w zasadzie nie żył.

- Mimo to...

Zmęczony sprzeczką Dante podniósł *Księgę bez tytułu* ze zwęglonych szczątków Randy'ego Bena. Przeszedł do szafek przy bocznej ścianie i schował ją do tej z numerem 65 w górnym rzędzie. Pozostali dwaj patrzyli na niego, nieco rozczerowani, że ich kłótnia dobiegła końca.

- W porządku. Możemy spadać? - zapytał chłopak.

- Ja mogę - odparł Bourbon Kid, wruszając ramionami.

- Zaczekajcie, jeszcze jedno - rzucił Peto, wskazując rozebranego do pasa zabójcę. - Nadal chcesz pożyczyć ten niebieski kamień, który mam na szyi, dopóki księżyc po raz drugi w tym miesiącu jest w pełni, czy nie?

- Tak. Jasne. Chcę. Załatwimy to na zewnątrz - rzekł Kid. Wziął pelerynę, przerzucił ją sobie przez ramię i wcisnął zakrwawioną koszulkę do jednej z kieszeni szaty. A potem minął Dantego i ruszył do windy.

Chłopak odchrząknął. Nadszedł czas, żeby przypomnieć tamtym o niezwykle istotnej dla niego sprawie.

- Hm... czyście aby nie zapomnieli, że teraz mamy uratować moją dziewczynę?

Kid westchnął.

- Oczywiście. Tylko niech najpierw skorzystam z tego kamienia i pozbędę się

wampirzych żądy, bo w tej chwili mam wielką chętkę ugryźć tego fiuta. - Ruchem głowy wskazał Peta. - Idziesz, mniszku?

Peto wzruszył ramionami.

- No. Ale żeby było jasne: ja tylko pożyczam ci ten kamień. I zabieram go od razu, jak już z nim skończysz.

We trzech weszli do zbrukanej windy i wjechali na parter. Dante śpieszył się teraz do Kacy jak nigdy. Potrzebowała go, musiał więc wrócić do kobiety, którą kochał.

I która w obecnym stanie rzeczy była zapewne jedyną zdrową na umyśle osobą, jaką znał.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Sanchez, nawet jak na niego, był wkurwiony nie na żarty. W związku z powrotem Bourbon Kida i wyprawą do biblioteki na drugim końcu miasta i tak cały dzień miał do dupy. W dodatku teraz, kiedy już wrócił do Tapioki, ogarnął cały lokal, zmył krew ze ścian i odesłał Sally do domu, wtarabaniło mu się czterech sakramenckich klientów.

Pękaty barman nie był w nastroju do obsługiwania gości, ale wolał pozbyć się Sally, w obawie, że zjawi się policja. Lepiej żeby nie składała żadnych zeznań, bo mogłaby jedynie napytać mu kłopotów. Rzecz jasna, żaden gliniarz nie zjawił się po zeznania ani nawet żeby zebrać odciski palców. Ale najbardziej wkurzało Sancheza to, że chciał wreszcie mieć święty spokój, by w spokoju obejrzeć *Księgę śmierci*. A przede wszystkim rzucić okiem na nazwiska wpisane pod jutrzejszą datą.

Tymczasem znowu tkwił w (o)czyszczonej już knajpie, z czterema klientami siedzącymi na stołkach przy kontuarze. Wyglądali na wrednych i twardych skurwieli. Nie byli to normalni twardziele, jakich spotykało się w tych stronach na każdym kroku. Widząc ich, barman od razu wyczuł, że są z wojska. Cechowała ich typowa buta i roztaczali aurę, która wystraszyłaby większość innych klientów, gdyby takowi się trafili. Ich obecność sprawiła, że Sanchez na wszelki wypadek nie wyjmował *Księgi śmierci* z ukrycia pod barem.

Odkąd weszli, zachowywali się dziwnie. Jeden z nich ruszył wprost do baru, a pozostali trzej ociągali się, przepatrując kąty sali i najwyraźniej sprawdzając, czy gdzieś w mroku nie czai się potencjalne zagrożenie.

W jednym z nich Sanchez rozpoznał byłego mieszkańca Santa Mondega, mimo że opuścił on miasto jako dużo młodszy człowiek. Na imię miał Bull i był szefem ekipy. Barman wiedział, że ekipa ta to Kompania Cieni, zespół wielokrotnie odznaczanych medalami żołnierzy specjalizujących się w tajnych akcjach za linią wroga. Wszelako gdy mieli ciężko zapracowane wolne, wynajmowali się w charakterze mięśniaków czy ochroniarzy, jeżeli zapłata była odpowiednio wysoka. Wszyscy czterej byli wobec siebie niezłomnie lojalni i głównie z powodu tej lojalności znaleźli się teraz w Santa Mondega. Mieli do wykonania zadanie specjalne.

Robotę za darmo.

Misję, której celem była zemsta. Zemsta, na którą Bull czekał od lat.

I właśnie tej nocy przysłała na nią pora.

Cała czwórka ubrana była w takie same żołnierskie bluzy, czarne spodnie, brązowe pasy, obcisłe czarne T-shirty, okulary przeciwsłoneczne o wyjątkowo ciemnych szklach i czarne wojskowe buty szturmowe. Żaden nie nosił nakrycia głowy. Odróżniali się tylko stylistyką tego, co widać było powyżej ich karków. Bull miał kruczoczarne włosy przystrzyżone na płaskiego wojskowego jeża. Usiadł w rogu lady, żując grube kubańskie cygaro.

Po jego prawej ręce tkwił zdecydowanie ekscentryczny Silvinho. Miał głowę ogoloną do gołej skóry, pomijając biegnący od czoła po kark jaskraworóżowy, wysoki na dziesięć centymetrów czub, a pod lewym okiem wytatuowaną wyraźną łzę. W prawej dziurce od nosa nosił cienkie złote kółko.

Obok niego siedział Brzytwa, z krótko przystrzyżoną fryzurą. Skośna blizna przecinała jego twarz znad prawego oka przez nos po lewy kącik ust. Była to pozostałość sprzed wielu lat, po walce na śmierć i życie z terrorystą dzierżącym miecz samurajski.

Ostatni z nich, siedzący najdalej od Bulla, a najbliżej Sancheza, który stał za barem, miał na imię Tex. Dwumetrowego wzrostu i o stosownie szerokich barach, olbrzym ten nosił przetłuszczone, długie do ramion czarne włosy i kozią bródkę. Ale mimo że był największy z całej czwórki, i tak nie dostrzegano się między nimi wielkiej różnicy. Najniższy, Silvinho, mierzył metr osiemdziesiąt osiem, chociaż gdyby doliczyć czub na głowie, byłoby to metr dziewięćdziesiąt osiem.

Przed każdym z czterech żołnierzy stał kufel piwa. Gdy Bull upił łyk, pozostali poszli w jego ślady. Najwyraźniej to on narzucał tempo, bo we wszystkich kuflach poziom piwa był taki sam. Jako pierwszy dopijał browar, dopiero potem reszta robiła to samo. Teraz każdy z nich męczył się z drugim cygarem tego dnia. I znów, najpierw zapalił Bull, a potem pozostali.

Ku irytacji barmana, od ponad pół godziny żaden z nich się nie odezwał. Bull złożył zamówienie, a potem siedzieli w milczeniu, gapiąc się tępo przed siebie. Normalnie w tej sytuacji Sanchez miałby pełne gacie, ale po wcześniejszych wydarzeniach, kiedy to przeżył trzecią masakrę dokonaną przez Bourbon Kida, był ponad to, żeby się skalać publicznie.

Z powodu paskudnej pogody oraz tego, że akurat był Halloween, nikt nie szlajał się po ulicach na dworze ani nie wtykał głowy za drzwi, by sprawdzić, czy w Tapiocce jeszcze obsługują klientów. A raczej było tak, dopóki nie weszła samotna kobieta. Chód i figura wskazywały na osobę nieco po dwudziestce, ale zmęczenie na jej twarzy świadczyło, że może być o ładne kilka lat starsza. Długie kasztanowe włosy chyba miała suche, chociaż poza tym była przemoczona do suchej nitki. Granatowa spódnica zakrywała nogi po kostki, ale nie

uchroniła ich przed zmoknięciem. Sanchez zwrócił uwagę, że granatowa bluza w tym samym odcieniu co spódnica miała z tyłu kaptur - widocznie zakryła nim włosy przed deszczem, ale miała dość rozsądku, żeby go ściągnąć przed wejściem.

Mimo że barman nie lubił tej kobiety o barwnej przeszłości i twarzy zniekształconej tak, że trudno było z nią rozmawiać i się nie gapić, postanowił przyjąć ją w taki sposób, żeby poczuła się miło (na ile w ogóle potrafił sprawić, żeby ktokolwiek czuł się miło), a to tylko dlatego, że irytował go brak rozmów.

- Co podać? - zapytał.

- Poproszę sok pomarańczowy, Sanchez - odparła.

- Przykro mi. Właśnie wyszedł.

- Wobec tego ananasowy.

- Ten też dopiero co się skończył.

- Aha. A masz jeszcze coś bezalkoholowego?

- Skończyło się.

- Wodę?

- Jasne. Tylko że jest trochę żółtawa.

- W takim razie rezygnuję, dzięki. - Przynęła sobie stołek do Texa. - Mogę tu posiedzieć, dopóki deszcz nie przejdzie?

Czterech żołnierzy nie zwróciło na nią uwagi, ale Sanchez się uśmiechnął.

- Jasne, bylebyś przestrzegała zasad dotyczących palenia.

- W porządku. - Uśmiechnęła się uprzejmie. - Ja nie palę.

- Wobec tego żegnam. Tapioca jest tylko dla palaczy. Kto nie pali, nie ma tu wstępu.

Kobieta spojrzała z ukosa na czterech mężczyzn siedzących po jej lewej ręce. Każdy z nich gapił się przed siebie i kopał grube brązowe cygaro.

- Poważnie? - spytała.

- Niestety tak - rzekł Sanchez.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Albo zapalisz, albo musisz wyjść.

Tex odwrócił się do kobiety i wydmuchał jej w twarz wielką chmurę dymu. Potem zlustrował ją wzrokiem od stóp do głów, spojrzał jej prosto w oczy i odezwał się z przeciągłym akcentem południowca:

- Zrozumiałaś aluzję, paniusiu?

Kobieta zeszła ze stołka i naciągnęła kaptur na głowę. Spojrzała na Sancheza z rozczarowaniem i wyszła na deszcz.

Barman zwiertzył szansę na poprawienie nastroju klientów.

- Dziwna ta babka - odezwał się w nadziei, że któryś z nich jakoś zareaguje. Wszyscy potraktowali go jak powietrze, mimo to brnął dalej: - Nazywają ją „Szurniętą Beth”.

Siedzący z drugiej strony baru Bull obejrzał się i przygwoździł barmana wzrokiem. Miało to oznaczać, żeby Sanchez się zamknął, ale gruboskórny barman serwujący podejrzone trunki błędnie odebrał to jako przejaw zainteresowania i ciągnął swoją opowieść.

- Odbiło jej, jak miała kilkanaście lat, bo matka nie pozwoliła jej spotkać się z jakimś chłopakiem. No więc w Halloween zabiła matkę z zimną krwią. Poderżnęła jej gardło od ucha do ucha.

Silvinho, gość z nastroszonym różowym czubem siedzący obok Bulla, spojrzał na Sancheza, jak gdyby zaciekała go ta historia.

- Odkąd dokąd? - zapytał.

- Od ucha do ucha - odparł barman i przeciągnął palcem pod gardłem, pokazując, jak to było.

- Odkąd dokąd?

- Od ucha do... ej, zejdź ze mnie!

Widząc, że różowy czub lekko się chwieje, Sanchez uświadomił sobie, że facet się z niego nabija i podśmiechuje w duchu. Mimo to atmosfera faktycznie zelżała. Czterej mężczyźni wyrwali się z transu i teraz wymieniali uśmiešky i porozumiewawcze spojrzenia.

- Barman, kończ pan, kurwa, tę swoją opowieść! - zawołał Bull z końca baru.

Skoro historia dotyczyła krwawej rzezi, żaden z nich nie mógł pohamować ciekawości.

- No cóż, zabiła matkę, podrzynając jej gardło od ucha do ucha.

- Odkąd dokąd? - wtrącili się wszyscy czterej jednocześnie.

- Ha - kurwa - ha! No więc matka nie pozwoliła jej się spotkać wieczorem z tym chłopakiem na końcu mola. A tej odbiło, bo obiecała chłopakowi, że będzie tam o konkretnej godzinie, i z wściekłości zabiła matkę. Potem durna suka poleciała na molo i okazało się, że chłopaka tam nie ma. W ogóle się, skurwiel, nie pojawił. No to ją aresztowali i odsiedziała dziesięć lat w pierdlu za morderstwo. Odkąd wyszła, co rok przychodzi tu w Halloween i stoi na skraju mola do końca godziny duchów, licząc, że chłopak powróci. Dlatego wszyscy mówią na nią „Szurniętą Beth”. Po mojemu szczeniak pewnie się skapował, że ona ma kuku na muniu, i wyniósł się w pizdu. Chociaż z drugiej strony jest nawet niebrzydka.

- Ja bym ją przeleciał - oświadczył Tex.

- Ale ta blizna jest trochę odpychająca, no nie? - zauważył Brzytwa.

Po chwili zastanowienia trzech pozostali członkowie Kompanii Cieni przytaknęli,

kiwając głowami.

- Pamiętam, że czytałem o tym w gazetach - rzekł Bull, jak gdyby mówił sam do siebie. - Dziś mija osiemnaście lat. Tej samej nocy zamordowano mojego ojca.

Sanchez poczuł, że nastrój zmienił się krańcowo. O w dupę! Co miał zrobić, żeby nie wróciła ta straszna, niezręczna cisza? Przydałaby się jakaś cwana nawijka.

- Poderżnęła jej gardło od ucha do ucha - zażartował, znowu udając palcem, że podcina sobie gardło.

Nie miał wyczucia czasu. Wszyscy czterej pokręcili głowami, okazując zniesmaczenie kiepskim żartem. Nagle, jak zaprogramowani, znowu zaczęli gapić się tępo przed siebie.

Tym razem krępująca cisza nie trwała długo. Nie minęła minuta, a zadzwonił telefon komórkowy Bulla. Niespodziewany dźwięk sprawił, że Sanchez aż podskoczył. Żołnierze nie zwracali jednak na niego uwagi, a Bull szybko wyciągnął komórkę z kieszeni spodni i odebrał po drugim dzwonku.

- Tak, tu Bull... Rozumiem... Dzięki.

Przerwał połączenie, schował telefon do kieszeni i wstał ze stołka.

- Czas na nas, chłopaki. Mamy go.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Dante, Peto i Bourbon Kid zdołali opuścić komendę główną policji bez konieczności zabijania kogokolwiek. Miło, pomyślał Dante. Najwyraźniej po mieście rozeszło się, że Kid wrócił i zabija dla frajdy oraz - dla odmiany - także z powodów osobistych. Najbardziej poszukiwany człowiek w Santa Mondega znów miał na sobie ciemną szatę. Kaptur, odrzucony na ramiona, choć raz odsłaniał jego zakrwawioną twarz i włosy. Dante i Peto nie prezentowali się wiele lepiej w zafajdanych gównem i zakrwawionych mundurach policyjnych.

Czarny interceptor V8 stał tam, gdzie Kid go zaparkował, jakieś pięćdziesiąt metrów od komendy. Ciemne ulice były wyludnione, po części dlatego, że nikt nie miał ochoty wychodzić na dwór i narażać się, że zostanie zastrzelony bez powodu, ale też dlatego, że coraz bardziej padało. Kilka koszy wiszących nad kwaciarnią po drugiej stronie ulicy naprzeciwko komendy kiwało się gwałtownie na wietrze. Większość roślin i ziemi z koszy śmigła teraz ulicą wraz z typowymi śmieciami, jak stare gazety czy papierki po żarciu, wymiatana przez wicherę po mokrej nawierzchni i chodnikach w kierunku centrum miasta. Od czasu do czasu zza pędzących po niebie deszczowych chmur wyglądał księżyc w pełni. Ale nawet wtedy deszcz bębnił nieprzerwanie i równie silnie.

Wszyscy trzej zbliżali się do samochodu w ponurych nastrojach, zadumani nad makabrycznym seansem przemocy, jaki niedawno się odbył. Peto pierwszy zburzył ten nastrój.

- Hej, Déjà-Vu, czy jak tam się, kurwa, nazywasz. Może byś skorzystał wreszcie z tego kamienia? - zawołał, przekrzykując wiatr. - Księżyc wyszedł, więc najlepiej zrób to teraz, zanim zajdzie za chmury na całą noc. - Wysunął ten pomysł w chwili, gdy Kid miał właśnie otworzyć drzwiczki od strony kierowcy.

Ten zawahał się, a jego ręka drgnęła, by pociągnąć za klamkę i szarpnąć drzwi. Po sekundzie odprężył się i cofnął dłoń.

- Tak, jasne. Pieprzyć to. Teraz będzie jak znalazł.

- Świetnie. Ale posłuchaj: dam ci kamień, jeżeli tym razem to ja będę jechał na przednim siedzeniu twojego wozu.

- Stoi.

Dante już chciał się wpackować na siedzenie obok kierowcy, lecz słysząc, że będzie musiał jechać z tyłu, spojrzął na Peta, który wciąż stał na chodniku.

- A tobie co, masz znowu osiem lat? - zapytał z niesmakiem.

- Hej, tam z tyłu jest strasznie ciasno. Ledwie starczyłoby miejsca dla psa.

Dante pokręcił głową.

- Ty pieprzona cioto.

- Ano - przytaknął Peto z uśmiechem. - Jestem pieprzoną ciotą, która będzie siedziała z przodu!

Bourbon Kid zmierzył mnicha wzrokiem od stóp do głów.

- Jesteś pedziem?

- Nie.

- To dlaczego powiedziałaś, że tak?

Peto zezłościł się. Praca z dwoma kretynami poważnie zaczynała go irytować.

- Chcesz dostać Oko Księżyca czy nie? - warknął.

Kid wzruszył ramionami.

- Pewnie. Dawaj.

Peto uniósł srebrny łańcuch z szyi, prezentując niebieski kamień, który wcześniej był ukryty pod niebieską koszulą posterunkowego. Gdy tylko kamień znalazł się na świeżym powietrzu, zaczął się jarzyć od wewnątrz intensywniejszym odcieniem błękitu, jak gdyby w środku ktoś rozniecił płomień. Bourbon Kid podszedł do Peta i wyciągnął rękę. Były mnich zawahał się nieznacznie i przekazał mu niebieski kamień na srebrnym łańcuchu.

- Wiesz, co masz z nim robić?

Kid spojrzął na niego z lekkim zdziwieniem.

- Że jak? Myślisz, kurwa, że co, nie potrafię włożyć naszyjnika na szyję?

- Nie - powiedział mnich z westchnieniem. - Słuchaj. Stań o tu, na samym środku ulicy, i podnieś kamień tak, żeby był na jednej linii z księżycem. Jeśli chcesz usunąć wszelkie ślady krwi wampira z żył, musisz wycelować go w drugi księżyc w pełni przypadający w danym miesiącu.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytał Kid podejrzliwie, sugerując, że nie ufa mnichowi.

- Z nauk starszych. Sam tego oczywiście nie próbowałem, ale setki lat temu niejaki Ramzes Gaius... ta mumia, o której ci opowiadałem... odkrył rozmaite rzeczy, które potrafi ten kamień. Wiele z nich zależy od fazy księżyca. Ale ostrzegam, że to jednocześnie zlikwiduje twój problem z piciem i z tymi wszystkimi pieprzonymi myślami, jakie cię

nachodzą. Staniesz się mniej więcej normalnym facetem.

Kid długo wpatrywał się w kamień twardym wzrokiem.

- Normalnym facetem, powiadasz?

Peto, żałując, że wcześniej zirytował się na tego dziwnego i niebezpiecznego gościa, położył mu rękę na ramieniu.

- Hej, jestem z ciebie dumny. Wiesz, to dla ciebie wielka sprawa.

Kid przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Ty naprawdę jesteś ciotą, przyznaj się.

Na te słowa Dante zachichotał jak dziecko i chociaż stał o metr za tamtymi, parsknął dostatecznie głośno, by Peto go usłyszał.

- Żalodne dupki - burknął mnich.

Bourbon Kid uniósł naszyjnik nad głowę, włożył go na szyję i wyszedł na środek ulicy. Wiatr wciąż hulał, a deszcz z ciężkich chmur nad nimi lał jeszcze bardziej. Kid stanął bez ruchu, z wyciągniętymi rękami, niczym ukrzyżowany, i spojrzał na księżyc. Dante i Peto ze strachem patrzyli, jak niebieski kamień jarzy się jeszcze jaśniej. Aż naraz, jak gdyby czerpał energię z promieni księżycy w pełni, rozżarzył się niemal do białości.

Kid spowity był teraz w jasnoniebieskie i białe promienie, tak intensywne, że zarówno Dante, jak Peto musieli odwrócić wzrok. Przez mniej więcej dziesięć sekund ich towarzysz stał na środku ulicy, dygocząc i z całych sił próbując utrzymać się na nogach, podczas gdy moc kamienia zżerała go, wysysając wszelkie zło i nieczystości z jego krwiobiegu i całego jestestwa. To powracała dusza JD, niewinnego nastolatka, który podczas Halloween przed osiemnastu laty był świadkiem strasznego zła.

Przez niebo nad nimi przetoczył się cichy grzmot. Poprzedzająca go krótka błyskawica przeszła właściwie niezauważona pośród jasnego blasku otaczającego Bourbon Kida. Kilka sekund po błysku pioruna blask wewnątrz niebieskiego kamienia przygasł. Jedyne maleńkie migoczące światełko w środku, niczym gasnący węgielek, zdradzało moc, jaką ten kamień właśnie obudził. Kid stał i mrugał, zaskoczony czy wręcz zaszokowany tym, co wyrządził samemu sobie.

- Nic ci nie jest? - zawołał Dante.

Przez dłuższą chwilę Bourbon Kid nie odpowiadał. Wydawał się krańcowo oszołomiony, aż wreszcie przybrał minę, jak gdyby właśnie wychylił szklanekę skwaśniałego mleka.

- Człowieku, czuję się jak zbity pies - odparł niepewnie.

- Masz wrażenie, że jesteś wyleczony? - spytał Peto.

Kid wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Tylko jestem jakiś taki słaby. Żądze wampirów mi przeszły, ale zdaje się, że razem z nimi zniknęły wszelkie inne popędy, jakie miałem. Czy wy też tak się czujecie przez cały czas?

- Witaj w prawdziwym świecie. - Peto uśmiechnął się. - Na tym polega bycie normalnym facetem.

Kid zdjął naszyjnik i rzucił go mnichowi.

- Masz, weź go sobie. No to chyba wracam do domu.

- Hej - wtrącił się Dante. - Nie zapominaj, że mamy odbić moją dziewczynę. Trzymają ją tajne służby, pamiętasz?

- Mam to gdzieś - odparł Kid, wracając do drzwi samochodu od strony kierowcy. - Skończyłem z zabijaniem. Wybacz, stary. Nie chcę się w to mieszać. Zaczynam nowe życie. Teraz nie mam melodii do zabijania. Dasz sobie radę.

- ŻE CO? - Dante nie wierzył własnym uszom. Wyładował więc frustrację na Pecie. - To przez ciebie, skretyniały palancie! - wściekł się na mnicha. - Nie mogłeś z tym poczekać, aż odzyskamy Kacy, co? Musiałeś mu dać ten jebany kamień akurat teraz? Pieprzony idioto! I co teraz zrobimy? Przerobiłeś go na kurewskiego mięczaka właśnie teraz, kiedy musimy uwolnić moją dziewczynę z łap tajnych służb. Chryste, ależ z ciebie niedojda!

- Przymknij się, co? Damy sobie radę. Pomogę ci odbić twoją dziewczynę.

- Oby, kurwa twoja mać!

W trakcie tyrady Dantego żaden z nich nie zwracał uwagi na Bourbon Kida. On tymczasem usiadł za kierownicą samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Dopiero niski grzmot odpalanego silnika przykuł ich uwagę.

- No, to w tej sytuacji ja siadam z przodu - oświadczył Dante, ruszając do drzwi wozu. Niestety, zanim zdążył złapać za klamkę, Bourbon Kid zwolnił hamulec ręczny, wduślił pedał gazu i odjechał błyskawicznie.

Peto i Dante gonili interceptora ulicą przez dwadzieścia metrów, w kierunku centrum miasta; tymczasem deszcz i wichura wciąż się wzmagaly. Szkoda było ich zachodu. Samochód się nie zatrzymał. Bourbon Kid zniknął.

- Pięknie, kurwa, pięknie - jęknął Dante. - To się nazywa dobra robota, psiakrew! - I sarkastycznie zaczął bić brawo mnichowi.

Peto spojrzał na niego ze skruchą.

- Hej, daj spokój. Przejdźmy się. To nie potrwa długo. Obiecuję, że ci to wynagrodzę. Wciąż mamy Oko Księżyca, moje śmiercionośne pięści i twoją pałkę policyjną. Teraz już

pójdzie gładko jak po maśle. Po kiego grzyba nam on i ten jego gruchot?

Chłopak westchnął z rozpaczą.

- Czy może nas spotkać jeszcze coś gorszego? - wyraził na głos swoje myśli.

Jak gdyby w odpowiedzi na jego pytanie pojawiła się następna błyskawica, a w ślad za nią zaskakująco głośny grzmot pioruna. To, co jeszcze przed chwilą wyglądało na silny deszcz, było niczym w porównaniu z potężną ulewą, jaka rozszalała się po grzmocie. Deszcz zacinał tak, że czegoś podobnego w życiu nie widzieli. Dante po raz ostatni obrzucił Peta gniewnym spojrzeniem i potruchtał środkiem ulicy w kierunku hotelu Santa Mondega International. Peto ruszył za nim. Obaj byli przemoczeni do suchej nitki, a dredy Peta zaczęły wyglądać jak fryzura Sideshow Boba z *Simpsonsów*. Krew i łajno na ich ubraniach, twarzach i we włosach, rozmyte przez deszcz, spływały po nich do rynsztoka.

- Hej, Dante, nie bój nic! - zawołał Peto. - Za niecałą godzinę będzie po wszystkim.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Kacy siedziała na wygodnej kremowej kanapie przed telewizorem w apartamencie, obok agentki Roxanne Valdez. Robert Swann wyszedł do łazienki i urzędował tam już dobry kwadrans. Przez cały wieczór narzekał na bóle żołądka i wyglądało na to, że w końcu go pokonały. Jego koleżanka po fachu dyskretnie podgłośniła telewizor, żeby zagłuszyć dobiegające z łazienki grzmiące odgłosy.

Oglądały film z George'em Clooneyem *Tajne przez poufne*. Valdez wyraźnie się podobał, ale Kacy nie mogła się skupić na akcji. Cały czas miała nadzieję, że będzie to ostatnia noc w tym hotelu. Jeżeli Dantemu uda się wrócić w jednym kawałku i z informacjami, na których zależało agentom specjalnym, to może pozwolą im wrócić do domu. A jeśli nie? Wcale nie była tego taka pewna. Nie lubiła Valdez i ani trochę jej nie ufała, natomiast Swann na jej widok wlepił w nią gały i szczyrzył zęby, co przyprawiało ją o gęsią skórkę.

Film leciał już mniej więcej od godziny, gdy zadzwonił telefon Valdez. Agentka odebrała czym prędzej, dzwonek nie wybrzmiał nawet przez pół sekundy, więc Kacy nie potrafiła zidentyfikować melodii.

Miała nadzieję, że to dzwoni Dante. Okazało się, że to nie on, ale ktokolwiek dzwonił, najwyraźniej miał do przekazania nader ważne informacje, bo Valdez wstała i przeszła do mniejszej z dwóch sypialni, żeby Kacy na pewno nie mogła usłyszeć jej słów. Ale że dziewczyna była wścibska, chwyciła pilota i wyciszyła George'a Clooneya w pół zdania. Potem nadstawiła uszu, za wszelką cenę usiłując podsłuchać, co mówi Valdez.

- Déjà-Vu?... Poważnie?... Tak, znam go... Mogę ci załatwić jego adres za pięć minut... Wiem, że mieszka gdzieś na South Side... Jasne, zostaw to mnie.

Dla Kacy nie miało to najmniejszego sensu, ale starała się zapamiętać wszystko, na wypadek gdyby Dantemu mogło się to przydać po powrocie. W końcu usłyszała, jak Valdez mówi coś, co warto było podsłuchać.

- A co z tą parą?... Dzięki... A z dziewczyną?... Jasne. Przekażę mu.

Słyszając, że agentka wraca, Kacy z powrotem włączyła dźwięk w telewizorze. Na szczęście na ekranie nie działo się nic specjalnie głośnego, dlatego powrót do odsłuchu przebiegł względnie łagodnie. Zresztą Valdez najwyraźniej nic nie zauważyła po powrocie.

- Przegapiłam coś? - zapytała.

- Nie. Prawie nic się nie działo.

- Skoro tak, to wyjdę na chwilę. Opowiesz mi, jak się skończyło, dobrze?

- Jasne.

Roxanne Valdez włożyła obcisłą kurtkę z brązowej skóry, którą przyniosła z sypialni, i ruszyła do drzwi. Jeszcze zanim je otworzyła, wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i zaczęła wciskać klawisze. Potem, nie oglądając się na dziewczynę, wyszła na korytarz.

Kacy czuła się nieswojo, ogarniała ją paranoja. Przekonana, że szykuje się coś złego, spojrzała na telefon hotelowy w pokoju, myśląc gorączkowo. Mogłaby zadzwonić do Dantego, powiedzieć mu, że już po wszystkim, i poprosić, żeby gdzieś się z nią spotkał. Skoro Swann siedział w łazience, a Valdez wyszła Bóg raczy wiedzieć po co, miała okazję do ucieczki. Po raz pierwszy, odkąd ją tutaj sprowadzono, poważnie rozważała tę możliwość, bo to miało głęboki sens. Jeżeli, jak podejrzewała, Valdez dowiedziała się przez telefon, że misja jest zakończona, to nie miało znaczenia, czy Dante i Kacy uciekną w ostatniej chwili. Bo jeśli nie zwieją, to najprawdopodobniej zostaną zlikwidowani tak, jak to się dzieje w kiepskich filmach. Skoro bowiem misja dobiegła końca, nie było już z nich żadnego pożytku.

Podeszła na palcach do aparatu telefonicznego na małym stoliku obok łazienki i ostrożnie podniosła słuchawkę. Przyłożyła ją do ucha, ale nie usłyszała sygnału i dopiero gdy nacisnęła kilka klawiszy, oświeciło ją, że linia jest wyłączona. Psiakrew!

Zalała ją fala gorąca, wywołana przez paranoiczne myśli. Nagle z mniejszej sypialni dobiegł ją cichy dzwonek - to komórka Swanna sygnalizowała nadejście wiadomości tekstowej. Pewnie agent zostawił ją w pokoju, zanim udał się na najdłuższą szlaczek świata. Znowu na palcach, tyle że tym razem szybciej, weszła do sypialni. Komórka Swanna leżała na toaletce w rogu.

Podkraśla się do niej z sercem łomoczącym z przejęcia i strachu. Odetchnąwszy głęboko, wzięła telefon roztrzęsionymi rękami - ogarnął ją lęk, że Swann może ją zaskoczyć. Na wyświetlaczu ujrzała komunikat, że właśnie nadeszła wiadomość tekstowa od Valdez.

Pewnie warto to przeczytać, pomyślała.

Faktycznie, było warto.

Kacy otworzyła wiadomość i odczytała tekst: „Misja wykonana. Panna jest twoja. Jak z nią skończysz, pozbądź się ciała”.

Omal nie zwymiotowała. Potrzebowała Dantego, potrzebowała go straszliwie, co zawsze podpowiadał jej instynkt, kiedy znalazła się w opałach. Gdyby z nią był, na pewno coś by zaradził. Dlatego im szybciej wróci do hotelu, tym lepiej. Nie miało znaczenia, na ile

twardy jest agent Swann - Dante pokonałby gołymi rękami nawet czołg, gdyby ten chciał wyrządzić Kacy krzywdę.

Gorączkowo przeglądała menu telefonu, wiedząc, że Swann na pewno zapisał w nim numer Dantego. Znalazła go szybko i wcisnęła klawisz „połącz”. Głęboki oddech uspokoił ją na chwilę i przyłożyła telefon do ucha. „Nie zawieź mnie, kochany. Odbierz, proszę” - słowa te przelatywały jej przez głowę na okrągło, raz za razem, jak zdarta płyta.

Po trzecim dzwonku usłyszała głośno i wyraźnie głos Dantego.

- Czego chcesz, głupia cipo?

- Kochanie, to ja! - pisnęła Kacy.

- O w mordę! Sorki, Kace. Myślałem, że to Swann.

- Jest w łazience. Dzwonię z jego telefonu.

- Dobra. Spoko, mała, już po ciebie jadę! Ciągnę ze sobą pomoc. Musimy się stąd ulotnić cali i zdrowi. Słyszysz?

Słyszac głos Dantego, dziewczyna tak się uradowała, że zalała się łzami, w przyplwyie uczucia pozbywając się wszelkich lęków.

- Kotku, tak się boję. Słyszałam, jak Valdez mówiła, że już po wszystkim. Myślę, że chcą nas zabić. Ona gdzieś wyszła, ale wysłała Swannowi wiadomość, żeby pozbył się mojego... - Przerazenie wzięło w końcu górę i głos jej się załamał. Opowiadanie chłopakowi, co się tu stało, przywróciło ją do rzeczywistości. Tego było dla niej zbyt wiele. Zniosła się niepoahowanym szlochem.

Jej kochanek po drugiej stronie linii domyślił się, że Kacy jest w kiepskim stanie i trzeba nią pokierować. Wiedział, że w chwili paniki dziewczyna ma trudności z podejmowaniem decyzji, przyjął więc stanowczy ton w nadziei, że Kacy się skupi na bieżącej sytuacji.

- Kace, słuchaj mnie uważnie. Spieprzaj stamtąd w pizdu i leć do recepcji, gdzieś między ludzi. Będę za dwie minuty, maleńka. Do rychłego!

Głos Dantego zdradzał, że chłopak biegnie, bo słowa przerywało ciężkie sapanie i mówił raz ciszej, raz głośniej.

- Kocham cię - wydukała Kacy przez łzy.

- Ja też cię kocham. A teraz bierz dupcię w troki i spadaj stamtąd.

Dante rozłączył się i na linii zapadła cisza. Kacy usłyszała dobiegający z łazienki odgłos spłuczki klozetowej. Dźwięk ten sprawił, że natychmiast przestała płakać, ale wpadła w jeszcze większą panikę. Czy da radę wydostać się z sypialni i uciec przez drzwi na korytarz, zanim Swann wyjdzie z łazienki? A co z jego telefonem? Czy powinna go odłożyć

na miejsce?

Ta chwila wahania duzo ją kosztowała. Swann nie miał zwyczaju myć rąk po skorzystaniu z toalety i dziewczyna usłyszała trzask zamka w drzwiach łazienki, gdy agent zbierał się do wyjścia. Przypomniała sobie wtedy słowa Dantego: „Spieprzaj stamtąd w pizdu!”. On zawsze wiedział, jak postąpić w sytuacji kryzysowej. Rób, jak kazał ci Dante, pomyślała. Jeszcze raz odetchnęła głęboko przez nos i puściła się biegiem do drzwi wyjściowych.

Niestety, nie miała wyczucia czasu. Swann wyszedł z łazienki, zobaczył, że dziewczyna pędzi do wyjścia, odruchowo wyciągnął rękę i złapał ją za lewe ramię.

- A tobie, kurwa, dokąd tak spieszno? - zapytał, nieco zdezorientowany.

- Mmm. - Kacy zapomniała języka w gębie.

- Gdzie Roxanne?

- Mmm.

- A co ty wyrabiasz z moim telefonem?

Na twarzy Swanna pojawił się nagle wyraz troski. Czuł, że coś tu jest nie tak. Sięgnął do prawej ręki dziewczyny i wyrwał jej komórkę z dłoni. Mina Kacy ją zdradziła - Swann zobaczył w jej oczach, że jest przerażona.

Nie wypuszczając jej ramienia z mocnego uścisku, przejrzał menu telefonu. Szybko odnalazł wiadomość od Valdez. Kiedy ją czytał, Kacy zobaczyła, że oczy mu rozbłysły, a szczęka opadła. A potem na jego twarzy powoli rozlał się szeroki, paskudny uśmiech.

- Proszę, proszę! - rzucił, szczerząc do niej zęby. - Mam nadzieję, że ogoliłaś nogi...

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Ojciec Papshmir patrzył ze swojej prywatnej kwatery w małym budynku przylegającym do kościoła, jak przed główne wejście do świątyni podjeżdża i zatrzymuje się czarny interceptor V8. Kierowca zgasił silnik i przez dłuższą chwilę wpatrywał się twardym wzrokiem w kierownicę, zatopiony w myślach. Deszcz wciąż zacinał, a szyby wozu były nieco zaparowane, tak że trudno było rozpoznać jego twarz. Odkąd rozeszła się wieść, że w mieście pojawił się masowy zabójca i w morderczym szale zabija wszystko, co się rusza, na ulicach Santa Mondega panował spokój, a w związku z szalejącą burzą ludzi było jeszcze mniej. Kim więc był ten człowiek? I w jakim celu tu przyjechał?

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i na deszcz wysiadła zakapturzona postać. Latarnie były zgaszone, w żadnym z pobliskich budynków także się nie paliło. Z lotu ptaka wyglądałoby to tak, jak gdyby w mieście zarządzono zaciemnienie. Nie o to jednak chodziło. Do tradycji Santa Mondega należało, że podczas drugiej pełni księżyca w danym miesiącu używanie świateł było zakazane, wystarczała tylko księżycowa poświata. A poza tym, rzecz jasna, wciąż trwała godzina duchów, więc ci, którzy nie leżeli bezpiecznie w łóżkach, sami prosili się o kłopot, jawnie reklamując się żywym trupom i podając się jak na tacy wampirom i wilkołakom w charakterze pożywienia. To zaś nie było zbyt mądre. Zwłaszcza w Halloween.

Mroczna postać w kapturze zatrasnęła drzwiczki samochodu i weszła po frontowych schodach kościoła, schylając głowę przed zacinającym deszczem. Człowiek ten od wielu, wielu lat nie postawił nogi w kościele. Dziś jednak była ważna noc. Przyszedł czas na spowiedź.

Drzwi kościoła ustąpiły pod lekkim naciskiem. W środku nie było cieplej niż na dworze, za to przynajmniej sucho i przyjemnie. Kid ruszył środkową nawą, mijając szeregi ław, aż dotarł do ołtarza. Pamiętał sprzed lat, jak poruszać się po kościele, bo niegdyś często odprowadzał młodszego brata do szkoły niedzielnej. Skręcił w lewo, jak gdyby jego noga stanęła tutaj ostatnio zaledwie wczoraj, i mijając wielki filar, skierował się do konfesjonału. Dotarłszy tam, wszedł do kabiny dla spowiadających się, żeby poczekać na tego z duchownych, który akurat ma dyżur.

Nie czekał nawet minuty, gdy naraz usłyszał, że otwierają się drzwi budki po stronie

ksiedza. Następnie ktoś odsunął zasłonkę na kracie dzielącej konfesjonał na dwie części. Było o wiele za ciemno, by Kid mógł rozpoznać rysy świętobliwego człowieka, za to usłyszał zza kratki jego cichy głos, nieomal szept.

- Witam cię, synu. Chętnie wysłucham teraz twojej spowiedzi.

- Dziękuję, ojcie - padła odpowiedź. W głosie pobrzmiwał chrząst żwiru. - Od czego mam zacząć?

- Kiedy ostatnio się spowiadałeś?

- A bo ja, kurwa, wiem? Będzie ze dwadzieścia lat.

- Dwadzieścia? - Ksiądz roześmiał się łagodnie i uprzejmie. - A zatem byłeś zajęty?

- Tak, ojcie. Zabijałem.

- Słucham?

- Morderstwa, ojcie. Masakry. Zabiłem wielu mężczyzn. Bardzo, bardzo wielu.

- Oj, tak, cóż, to godne pożałowania. Czy...

- I kobiet.

- Kobiety też?

- I dzieci. Wampiry, wilkołaki, dzieciaki, zwierzęta. Zabijałem pewnie wszelkie istoty stworzone przez Boga. I wszystko to bez żadnych wyrzutów sumienia. Od bardzo wielu lat. A teraz przyszedłem się wyświadczyć.

Zapadła cisza, w trakcie której zdawało się, że ksiądz wstrzymuje oddech. W końcu odetchnął tak wolno i spokojnie, jak to było możliwe, i przemówił:

- Czy to ma być żart?

- Nie, ojcie. Popełniłem wszystkie grzechy, jakie można sobie wyobrazić, a nawet takie, o jakich ci się nie śniło.

- Rozumiem. Jak sądzisz, co cię popchnęło do popełniania tych niegodziwych czynów?

- Zaczęło się od tego, że zabiłem matkę.

- Własną matkę?

- Tak. Strzeliłem do niej kilka razy po tym, jak wypłem butelkę bourbona.

Znowu zapadła cisza, słychać było jedynie nieustające bębnienie deszczu o dach i szyby w oknach kościoła.

- Bourbona? Czy wspomniałeś o bourbonie?

- Tak, ojcie. - Chropawa cisza. - To ja byłem tym facetem.

Po stronie księdza na sekundę zapadła wręcz śmiertelna cisza, a potem rozległ się donośny chlupot i głośne pierdnięcie.

- Wybacz mi, proszę - wymamrotał klecha nerwowo zza kratki. - Akurat jestem przeziębiony. Przepraszam.

- Wybaczam ci, ojcze - odparł spokojnie chropowaty głos. - Ale czy ty jesteś w stanie mi wybaczyć? Czy Bóg wybaczy mi te okropne rzeczy, których się dopuściłem?

- Czy czujesz skruchę za te morderstwa, które popełniasz?

- Popełniałem, ojcze. Popełniałem. Skończyłem z zabijaniem. Mam zamiar prowadzić życie tak wolne od grzechu, jak to możliwe, ale muszę wiedzieć, czy Bóg wybaczy mi za te wszystkie zniszczone dusze, za całe zło, jakie wyrządziłem.

Przerwał im odgłos otwieranych drzwi na tyłach kościoła, który skłonił obu mężczyzn do pośpiechu. Obaj chcieli jak najszybciej zakończyć tę spowiedź. Przybycie kogoś trzeciego dało wystarczający pretekst do przyśpieszenia sprawy.

- Tak, mój synu, wracaj w noc. Pan ci wybaczy.

- Jesteś pewny? Czy teraz powinienem się czuć jakoś inaczej?

- Poczujesz się inaczej z rana, synu. Jeśli jutro się obudzisz, to będziesz wiedział, że Pan ci wybaczył.

- Dziękuję ci, ojcze.

- Idź z Bogiem, moje dziecko.

Podmuch wiatru wdarł się do kościoła, gdy ojciec Papshmir ruszył do konfesjonału. Zauważył, że postać w kapturze, którą widział na zewnątrz, wychodzi tym samym frontowym wejściem, przez które weszła ledwie kilka minut wcześniej. Papshmir westchnął głęboko, z irytacją. Czy po to fatygował się i ubierał w kościelne szaty, żeby ten człowiek nie zaczekał na spowiedź? A może się jednak wyspowiadał?

Papshmir dostrzegł wystające spod zasłony w konfesjonale po stronie księdza białe trampki. Trampki, które znał aż za dobrze.

- Wychodź, Josh! - polecił znużonym głosem.

Zasłonę odsunięto na bok i wyjrzała, na niego blada, przerażona twarz piętnastoletniego chłopca. Dzieciak dygotał ze strachu, zdołał jednak wstać i wyjść z budki. Z przerażenia nie był w stanie wydusić słowa. Opanował jakoś swój strach, gdy okazało się, że siedzi obok najbardziej płodnego masowego mordercy w Santa Mondega, ale teraz był w oplakanyam stanie. Sprawiał wrażenie, jak gdyby przeżył ciężki szok, dlatego widok stojącego przed nim łysiejącego księdza w ciemnej sutannie i z białą koloratką zapewne podziałał na niego uspokajająco.

- Czy znowu wysłuchiwałeś spowiedzi? - zapytał Papshmir, nie potrafiąc ukryć złości

w głosie. - Ile razy rozmawialiśmy na ten temat? Ministranci nie mają prawa odpuszczać ludziom grzechów. Spowiedź tego człowieka nie ma żadnego znaczenia, skoro to ty jej słuchałeś.

- Wybacz, ojciec. - Chłopak wyglądał żałośnie, dygocząc w szkolnej koszulce i spodniach.

- To ty powinieneś się wyspowiadać. Wiesz, że podszywanie się pod duchownego jest grzechem.

- To był Bourbon Kid. - Słowa te padły niczym seria z karabinu maszynowego.

- Co takiego?

- Ten człowiek. To był Bourbon Kid. Przyznał się do wszystkich swoich zabójstw i w ogóle, ojciec.

- Na miłość boską! Wysłuchałeś spowiedzi Bourbon Kida? Ty głupia cipo! - Ksiądz wznosił oczy do nieba. - Wybacz mi, Panie - szepnął i znów zwrócił się do Josha. - Co ja ci mówiłem, e? Widzisz, co się dzieje? Wysłuchałeś właśnie spowiedzi kogoś, kto nie ma duszy. Mam tylko nadzieję, że nie obiecałeś mu odpuszczenia grzechów. W jego wypadku odkupienie nie wchodzi w rachubę.

- No...

- Udzieliłeś mu rozgrzeszenia? Ty dumny fiucie! Wybacz mi, Panie. A zatem ten człowiek... nie, ten potwór... chodzi teraz po ulicach, wierząc, że Bóg wybaczył mu te wszystkie morderstwa, które popełnił? No to powiem ci tyle, że jeżeli tak mu się zdaje, to jest w grubym błędzie.

- Powiedziałem mu, że jeżeli jutro rano się obudzi, to znaczy, że Bóg mu wybaczył, więc formalnie rzecz biorąc, wszystko jest teraz w ręku Boga, mam rację?

Ksiądz spojrział w przerażone oczy nastolatka i uspokoił się nieco.

- Pewnie tak - odparł, kręcąc głową. Nagle pociągnął nosem. - A cóż to za straszliwy smród?

- Zesrałem się w gacie, ojciec.

- W moim konfesjonale?!

- Tak, ojciec.

- A żeby cię obsrało!

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Robert Swann był człowiekiem obdarzonym niezwykłą siłą. A także znakomicie wyszkolonym w obezwładnianiu szamoczących się jeńców. Natomiast Kacy w kategorii szamoczących się jeńców była słabeuszem. Nie musiał się więc wysilać, żeby zaciągnąć ją do sypialni, w której spędził kilka ostatnich nocy. Wyjątkowo brutalnie, niczym szmacianą lalkę cisnął ją na bliższe z dwóch pojedynczych łóżek. Wylądowała na wznak na pomarańczowym tapczanie, uderzając lekko głową o białą poduszkę u wezłowia. Prawa strona łóżka przylegała do ściany, a zatem jedyną możliwość ucieczki stwarzało jej przeturlanie się w lewo, w szeroką zaledwie na półtora metra przestrzeń między łózkami. A tam, pod ścianą, stała mała toaletka z lustrem. Jednakże zanim dziewczyna zdążyła podjąć ryzyko i się sturlać, Swann rzucił się na nią, przygniatając ją ciężkim, muskularnym ciałem. Pozbawił ją tchu tak, że nawet nie była w stanie krzyknąć. Widząc, jak coraz bardziej zbliża do niej lubieżną twarz z wywalonym językiem i wylupiastymi oczami, odwróciła głowę w bok. Dzięki temu pozbawiła go wprawdzie okazji do pocałunku w usta, ale w zamian za to oblizał jej policzek mokrym, obślinionym jęzorem.

Jego dłonie pracowały szybko - jedną chwycił ją za lewą pierś, a drugą przesunął w dół, do jej krocza. Kacy poczuła mdłości, ale jakoś zdołała je opanować, wiedząc, że jeśli zacznie rzygać, to nie będzie w stanie się bronić. W zasadzie jedyną częścią jej ciała, której nie przygniatało cielsko dyszącego Roberta Swanna, była lewa ręka. Wyciągnęła ją w kierunku toaletki, usiłując znaleźć i złapać coś, co mogłaby użyć w charakterze broni. Trafiała na nocną lampkę. Nie był to może wymarzony oręż, ale jedyny, jakim dysponowała. Chwyciła lampę za podstawkę i wyrznęła nią w głowę Swanna, przyciśniętą do jej policzka. Lampa rąbnęła go w ucho i spadł z niej lichy pomarańczowy abażur. Ale napastnik prawie nie zwrócił uwagi na uderzenie. Swann usiadł, mocno ściskając Kacy w talii kolanami i nie pozwalając jej się oswobodzić. Rozbiegane oczy agenta niecierpliwie czekały na widok nagiego ciała dziewczyny, bez zwłoki chwycił więc i ściągnął jej przez głowę szarą bluzę. Tym samym uniósł jej ramiona, a Kacy wypuściła lampę, która upadła na podłogę. Rozległ się trzask pękającej żarówki.

Podczas gdy Kacy próbowała oswobodzić ręce i głowę z bluzy, by móc podjąć walkę, Swann szybko skorzystał z okazji i rozpiął pasek i suwak spodni. Jego szybkość była godna

podziwu, ale dziewczyna nie mogła tego zauważyć. Twarz wciąż miała uwięzioną pod bluzą, gdy on ściągał spodnie i majtki po kolana. Miał już erekcję i żeby zrobić z niej użytek, musiał tylko zerwać z Kacy dzinsy i bieliznę. Chwytał cienki pasek z czarnej skóry przy jej dzinsach i zaczął go rozpinąć gorączkowo. Do tego stopnia wyszedł z wprawy, że jego niezdarne ruchy przypominały zabiegi napalonego małolata i kiedy go wreszcie rozpiął i chciał się zabrać do rozporka jej spodni, Kacy uwolniła lewą rękę z rękawa bluzy. Rzuciła się na Swanna, który nie zareagował dostatecznie szybko. Był tak porażony widokiem gładkiej skóry jej brzucha i tak podniecony myślami o tym, jak wygląda reszta ciała dziewczyny, że nie zauważył, że Kacy lewą ręką maca na oślep po podłodze. Udało jej się złapać metalową końcówkę zbitej żarówki i zadała klęczącemu nad nią agentowi cios w taki sposób, w jaki bokser wyprowadza podbródkowy. Tyle że nie celowała w brodę Swanna. Mierzyła w jego krocze.

- AAAAAAARGH! - wrzasnął na całe gardło, gdy wyszczerbiona krawędź żarówki wbiła mu się w tyłek i częściowo w mosznę. Opuścił obie ręce i złapał się za przyrodzenie, mając nadzieję, że nie doznał trwałego uszczerbku. Kacy puściła żarówkę i usiłowała się oswobodzić. Nawet nie marzyła, że okaże się to tak łatwe, bo obolały Swann stracił równowagę, poleciał w bok i spadł z łóżka na podłogę, wrzeszcząc i trzymając się za tyłek i jajka jednocześnie. Kacy ubrała się szybko, w mgnieniu oka wciągając bluzę, zapięła pasek dzinsów i zeskoczyła z łóżka.

Już miała wybiec z sypialni, gdy naraz dostrzegła, że Swann ma pistolet w kaburze pod lewym ramieniem. Plugawa kanalia była zwrócona do niej tyłem, na czworakach i z wysoko wypiętą włochatą dupą, wobec tego Kacy skorzystała z sytuacji, skoczyła do przodu, nachyliła się i chwyciła za broń. Wyrwała ją z kabury i wycelowała w tył głowy napastnika.

- Nie waż się, kurwa, ruszyć! - wydarła się na niego.

Swann nie zwrócił na to uwagi, zajęty obmacywaniem jajek i jękoleniem z bólu.

Co robić? Kacy pomyślała o gangsterskich filmach i serialach telewizyjnych, które oglądała. Walnij go w łeb kolbą pistoletu, powiedziała sobie. Złapała więc broń za lufę i jak powiedziała, tak zrobiła.

ŁUP! Prosto w łeb Swanna. Seryjny gwałciciel wrzasnął z bólu, oderwał jedną rękę od krocza i chwycił się za tył głowy, tam gdzie uderzyła go Kacy. A potem obejrzał się na nią.

- Ty cipo! - syknął.

Kacy miała tego powyżej uszu. Cios w głowę nie zrobił na nim większego wrażenia, co najwyżej tylko go bardziej rozjuszył.

A w cholerę z nim! Czas się wynosić.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Gdy Dante i Peto dotarli w końcu do hotelu Santa Mondega International, byli przemoczeni do suchej nitki. No i w zakrwawionych mundurach policyjnych wyglądali cokolwiek niechlujnie. Nie mogli się doczekać, kiedy znajdą się w środku. Chłopak pierwszy pokonał kamienne schody prowadzące do dziewięciopiętrowego budynku, dygocząc gwałtownie na zimnym deszczu. Peto wszedł za nim, wyżymając z nadmiaru wody ciężkie dredy.

Minęli szklane drzwi frontowe i znaleźli się w holu. Z niemałą ulgą poczuli, że nareszcie owiewa ich ciepłe powietrze. Hol, jak zawsze, był czysty, suchy i cywilizowany. Na widok dwóch obdartusów przebranych za policjantów, z których ściekająca woda kapiała na kosztowny czerwony egipski chodnik na środku podłogi, dziewczyna w recepcji cmoknęła z niesmakiem. I choć bardzo młoda, nieomal nastolatka, patrząc, jak Dante i Peto otrząsają się niczym psy, które wytarzały się w błocie, bez śladu rozbawienia przybrała surową minę. Inna sprawa, że żaden z nich tego nie zauważył. Napawali się poczuciem ulgi, że wreszcie uciekli przed burzą.

Ogólnie uspokajająca atmosfera holu wyraźnie podniosła ich na duchu. Dyskretne oświetlenie, ciepły czerwony chodnik rozłożony na beżowym dywanie i rozstawione dokoła brązowe skórzane kanapy zdecydowanie poprawiały samopoczucie. W tle pobrzmiwała jakaś łagodna muzyka. Peto poznał, że to Andrea Bocelli śpiewa piosenkę *Con Te Partiro*. Przebywając z dala od wyspy Hubal, wyraźnie polubił muzykę klasyczną i operę, Bocelli zaś był jego ulubionym tenorem, nawet gdy śpiewał operowy pop, taki jak ten przebój Sartoriego.

Dante w ogóle nie zwrócił uwagi na muzykę. Chciał tylko jak najszybciej dostać się do Kacy.

- Powinna być na drugim piętrze - rzucił do Peta nagłym tonem. - Ja pójdę schodami, a ty złap windę. Dzięki temu nie rozminiemy się z nią, gdyby akurat wybierała się na dół.

- Sie wie.

Dante popędził wyłożonymi beżowym dywanem schodami po prawej stronie od windy, a Peto nacisnął guzik sprowadzający kabinę. Patrzył, jak jego przyjaciel znika za pierwszym zakrętem schodów, po czym przez dobre piętnaście sekund czekał, aż winda

zjedzie wreszcie na parter. Ale chętnie czekałby dłużej, tak bardzo podobała mu się muzyka. Bocelli śpiewał w duecie z kobietą o tak cudnym, anielskim wręcz głosie, że mnich nigdy nie słyszał nic równie pięknego.

Spojrzał na swoją przemoczoną policyjną koszulę i pociągnął ją, żeby nie kleiła się do ciała. A kiedy wypolerowane stalowe drzwi się otworzyły, zrobił krok w przód. I podniósł wzrok!

Wejście do kabiny blokował mu ciemny cień. Zaszokowany patrzył, jak z windy wysiada odziana całkowicie na czarno postać i zamierza się na niego błyszczącym, srebrnym i zaostrzonym z obu stron mieczem. Peto miał wyśmienity refleks, ale nie był przygotowany na tak niespodziewany atak. Kobietą w czerni, która wyskoczyła na niego z windy, była Jessica. Z niewiarygodną szybkością i precyzją wbiła miecz wprost w pierś Peta, tak że ostrze przebiło mu serce i wyszło z drugiej strony mokrej niebieskiej koszuli. Następnie, dzięki swojej wyjątkowej sile, uniosła nadzianego na klingę przemoczonego mnicha nad podłogę. Z makabrycznym uśmiechem na ustach, patrząc mu głęboko w zaskoczone oczy, błyskawicznie kopnęła go butem w brzuch i wyciągnęła miecz. Jeszcze niedawno lśniąca stal pokrywała krew.

Peto osunął się na podłogę na kolana, oszołomiony i zaskoczony; krew wypełniająca jego płuca podchodziła mu do gardła i wyciekała przez usta. Wyrzeszczał oczy, wstrząśnięty tym, co mu się właśnie przydarzyło. Miał na szyi Oko Księżyca, więc ta w zasadzie śmiertelna rana powinna się zagoić, ale to musiało potrwać. A czas nie działał na jego korzyść. Powrót do zdrowia po takim ciosie to nie robótka na trzydzieści sekund.

Jedynie obezwładniający szok powstrzymywał go przed tym, żeby nie krzyczeć z bólu. Spojrzał w pożądlive oczy Jessiki, która nachyliła się nad nim. Widziała jego krew ściekającą z klingi miecza i nie mogąc opanować pragnienia, uniosła ostrze do ust i przesunęła po nim językiem, zlizując tyle krwi, ile zdołała za jednym zamachem. Na chwilę ugasiło to jej pragnienie, ale jak przystało na prawdziwą profesjonalistkę, zaraz znów skoncentrowała się na klęczącym przed nią rannym mnichu.

- A więc to ty. Ostatni mnich z Hubal.

Uśmiechnęła się. Był to triumfalny uśmiech samozadowolenia, uśmiech, który nie mógł ukryć jej prawdziwie podłego charakteru i nienawiści do żywych. - Czas się pożegnać.

Nagle, niczym pałkarz w bejsbolu szykujący się do odbicia piłki, oburącz podniosła zakrwawiony miecz wysoko ponad głowę i niemal tym samym płynnym ruchem opuściła go w dół, celując w kark Peta. Punkt zdobyty.

Poprawka nie była potrzebna, głowa Peta gładko oddzieliła się od tułowia. Spadła

ponad metr dalej, ku przerażeniu dziewczyny w recepcji, która obserwowała to w milczeniu, oniemiała i z otwartymi ustami. Zdekapitowane ciało mnicha osunęło się, a naszyjnik z Okiem Księżyca spadł na podłogę i wylądował u stóp Jessiki. Na to właśnie czekała. Nareszcie go miała - ten bezcenny niebieski kamień, którego pragnęła od tak dawna, leżał teraz na podłodze u jej stóp. Nie zważając na to, co dzieje się dookoła, schyliła się, wzięła go i uniosła na wysokość twarzy. Jej oczy rozbłysły niczym fajerwerki w najczarniejszą noc.

- Nareszcie - syknęła.

Ale to jeszcze nie był koniec. Gdy wreszcie przestała się gapić na Oko Księżyca, zauważyła, że z kieszeni spodni martwego mnicha wystaje złoty kielich.

Podwójna kumulacja!

Stojąc za barem w teraz już pustej Tapiocce, Sanchez odszukał w końcu tę stronę *Księgi śmierci*, o którą mu chodziło. Wybijały się na niej nazwiska trzech ludzi. Wszyscy trzej mieli umrzeć pierwszego listopada. Rzut oka na zegarek potwierdził, że halloweenowa północ minęła. Pierwszy dzień listopada właśnie się rozpoczął.

A oto te trzy nazwiska:

Peto Solomon

Dante Vittori

NN

Rozdział sześćdziesiąty

Hotel Zawód Miłosny na South Side nie należał do szczególnie sympatycznych przybytków w Santa Mondega. Upodobały go sobie na swoją siedzibę wszelkiego rodzaju menele i zakapiory. Gliniarze trzymali się od niego z daleka... ba, po prawdzie to nawet wampiry starały się go omijać. A do jednego z mieszkań nawet pozostali lokatorzy woleli nie zaglądać.

Mieszkanie na końcu korytarza na pierwszym piętrze zawsze przyprawiało o gęsią skórę. Kowadło nigdy nie zbliżał się do tych drzwi na mniej niż półtora metra, chociaż od prawie czterech lat zajmował sąsiedni pokój. Kiedy minęło się mieszkanie numer 23, robiło się wyraźnie chłodniej. Mieszkanie numer 24 odcięte było od świata solidnymi i złowrogimi czarnymi drzwiami. Światło w korytarzu kończyło się ponad metr przed nimi, co miało podkreślać niesamowitą atmosferę tego miejsca. Gdy się podchodziło do tych drzwi, nawet po ciemku, widziało się wirujący w powietrzu kurz, którego drobiny widocznie nie chciały osiadać na ziemi, lecz stale unosiły się w powietrzu, jak gdyby dopiero co zostały poderwane. Zresztą nawet gdyby pewnego dnia zechciały osiąść na podłodze, żadna pokojówka czy sprzątaczką przy zdrowych zmysłach nie zbliżyłaby się z odkurzaczem do numeru 24.

Bez niego też nie.

No i dobrze.

Mieszkający tam człowiek często znikał na całe tygodnie czy miesiące. Nikt nigdy nie widział jego twarzy i nie miał ochoty jej zobaczyć. Zawsze nosił kaptur na głowie, bez względu na to, czy było gorąco, czy zimno, padał deszcz czy świeciło słońce; zawsze. Każdy w tym budynku wiedział, kim on jest. Ale nikt z nich nie wymawiał jego imienia. Nigdy. Bo i po co? O tym człowieku się nie rozmawiało. To był on, ten, który zabijał. Zabijał, żeby przeżyć. Zabijał dla frajdy. Zabijał z nudów. A prawdopodobnie zabijał też czas.

Na początku roku mieszkanie to stało puste przez ponad sześć miesięcy, i było to radosne pół roku. Nikt nie wiedział, gdzie podział się jego lokator, i nikt nie chciał tego wiedzieć. Po prostu pragnęli, żeby nie wrócił. A jednak pojawił się z powrotem.

Trzy miesiące temu zjawił się bez zapowiedzi. Od tej pory Kowadło nie spał po nocach. Świadomość, że za ścianą mieszka masowy morderca, była biletem do miasta zwanego Bezsenna. Jak można spać, wiedząc, że seryjny zabójca znajduje się na długość

trumny od ciebie? W rezultacie Kowadło miał pod oczami wory tak wielkie, że mógł w nich chomikować orzechy na zimę.

A jednak nie tylko świadomość, że za ścianą znów mieszka psychopata, nie pozwalała mu zasnąć w nocy. Dochodziły do tego wrzaski. Boże, co to były za wrzaski! Ten mężczyzna noc w noc kogoś torturował. Co noc ten sam stłumiony wrzask. Nie przypominało to dźwięków wydawanych przez człowieka, ale nie były także zwierzęce. Niedawno ktoś zasugerował Kowadłu, że brzmi to jak Wookie z *Gwiezdnych wojen*, choć raczej odnosił wrażenie, że jest to ktoś bez języka, kto stara się wrzeszczeć ze wszystkich sił. To by tłumaczyło, dlaczego nigdy nie wykrzykiwał żadnych słów. Jedynie wył.

Co noc trwało to całymi godzinami. Ale dlaczego ten ktoś czy coś tak się darł? Jakim zabiegiem był poddawany? I dlaczego?

Odpowiedź znajdowała się za tymi drzwiami. Tymi strasznymi, potwornymi drzwiami. Nikt jakoś nie pojawiał się w korytarzu w tych rzadkich chwilach, kiedy były otwarte. Bo gdy człowiek w kapturze przebywał w budynku, wszyscy zamykali się w swoich mieszkaniach.

Aż do dzisiaj.

Tak się składa, że Kowadło był jednym z dzielniejszych lokatorów. Stał z drugiej strony korytarza, u szczytu schodów, gotów, jakby co do czego, spierdzielać w pizdu. Gdyby zdarzyło się cokolwiek. O ile wiedział, człowiek w kapturze wyszedł na cały dzień. Może wybrał się na zakupy, po coś do żarcia? Czy ludzie w kapturach kupują żarcie? Jasne, że tak, jakżeby inaczej? Wcześniej jakoś nie przyszło to Kowadłu na myśl, ale nie był to właściwy czas i miejsce, żeby się tym przejmować.

Przed budzącymi grozę drzwiami mieszkania numer 24 stało czterech uzbrojonych po zęby, odzianych na czarno mężczyzn. Ich ciała chroniły ciemne kamizelki kuloodporne, pasujące do ubrań. Cała czwórka celowała w drzwi z broni maszynowej. To nie byli pierwsi lepsi faceci. Zielone berety? Kowadło zastanowił się nad tym przez chwilę. Nie, nie nosili zielonych beretów, więc pewnie to nie oni. Ci goście na pewno nazywają się Kompanią Cieni albo jakoś równie odjazdowo. A szefem tej kompanii był zapewne facet z tyłu, ostrzyżony na płasko, na wojskową modłę.

Zważywszy na to, że Kowadło był półgłówkiem, jego ocena sytuacji była zaskakująco trafna. Istotnie, była to Kompania Cieni. Przewodził jej Bull, a pozostałą trójkę stanowili jego bracia krwi, Tex, Silvinho i Brzytwa. W tej budzącej postrach grupie wybijał się jeden z nich, a to z powodu wielkiego różowego czuba na skądinąd wygolonej na łyso głowie.

Nie ulegało wątpliwości, że Bull jest przywódcą całej czwórki, a jako taki jedno musiał robić lepiej niż pozostali. Przewodzić. Więc im przewodził. Kowadło patrzył, jak trzej

żołnierze z przodu rozstąpili się na boki jednocześnie, choć nawet nie padł taki rozkaz. Wtedy Bull rzucił się naprzód i olbrzymim czarnym butem na prawej nodze bez problemu wykopał drzwi z zawiasów. Te z trzaskiem poleciały na drewniane deski podłogi w pokoju, z którego natychmiast buchnął obrzydliwy, zjełczały i odrażający fetor, rozprzestrzeniając się po całym piętrze. Kowadło miał ochotę się zrzygać. Żołnierze przed nim nie przejęli się odorem - skuleni w pozycji szturmowej, gotowi byli zasypać kulami wszystko, co wykonałoby zaczepny ruch. W mieszkaniu zaś coś się ruszało. Jedyne coś, co można było dostrzec przez dziurę, gdzie niedawno były drzwi z numerem 24.

Kowadło oderwał wzrok, nim minęła sekunda. Bez dwóch zdań był to najbardziej makabryczny widok, jaki mu się zdarzyło oglądać. Z sufitu, głową w dół, zwisało ciało. Ciało człowieka, tyle że prawie całkiem odarte ze skóry. Opuszczone ręce niemal dotykały podłogi. Kowadło jeszcze nie wiedział, że tą nieszczęsną istotą jest wampir imieniem Kione. Od osiemnastu lat utrzymywany był przy życiu i co noc poddawany bezlitosnym torturom.

Kowadło odwrócił głowę, usiłując nie puścić pawia. Patrz gdzie indziej, patrz na cokolwiek, szepnął sam do siebie. Nagle skupił wzrok na schodach i zrobił jedyną rzecz, której się zawsze obawiał. Jedyńą rzecz, której - jak sobie poprzysiągł - miał nigdy nie zrobić.

Spojrzał głęboko w oczy człowieka w kapturze, który wchodził po schodach w jego stronę.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Kacy drżała jak liść na wietrze. Już samo trzymanie broni palnej zawsze ją denerwowało, a na myśl, że miałyby z niej wystrzelić, była tym bardziej przerażona. Gdzie, u licha, jest Dante? Na pewno blisko. Nie może być daleko, pomyślała. I miała rację. Jeśli pakowali się w tarapaty, zawsze najlepiej radzili sobie pospołu. Każde z osobna miało swoje słabe strony, ale jego odwaga i niezłomna nieustępliwość w połączeniu z jej rozsądkiem tworzyły kombinację potrafiącą usunąć wszelkie przeszkody, jakie napotykali, będąc razem. We dwoje stanowili wspaniały zespół.

Zostawiła zakrwawionego Swanna z opuszczonymi do kostek portkami w drugiej sypialni apartamentu. Teraz, kiedy skradała się korytarzem na drugim piętrze, znów ogarnęła ją paranoja i straszliwe poczucie niepokoju. Wkurzało ją, że jest skazana na własne siły. Sama musiała podejmować decyzje, z nikim ich nie konsultując, ale skoro decyzje te sprowadzały się do wprowadzenia prostego wyboru, czy skrócić w prawo, czy w lewo, za to pociągały za sobą poważne konsekwencje na miarę życia bądź śmierci, to wołałyby je scedować na kogoś innego. Ktoś mógł wyskoczyć przez drzwi któregoś z apartamentów albo pojawić się przed nią za rogiem, a nawet, nie daj Boże, zająć ją od tyłu. Pod wpływem rozpacz i strachu z gruntu nielogicznie postanowiła nie korzystać z windy, bo robiła pod siebie już na samą myśl, że za otwierającymi się drzwiami mogłaby stanąć twarzą w twarz z jakimś wampirem albo skorumpowanym gliniarzem. Najlepszym wyjściem było skorzystanie ze schodów prowadzących w dół do holu. Zachowuj się swobodnie, jak gdyby nic się nie stało, powtarzała sobie.

Nagle, pomiędzy jedną sekundą a drugą, cały jej świat znów się ustabilizował. Po drugiej stronie korytarza pojawił się Dante. Widać było, że dopiero co wbiegł po schodach, bo nie mógł złapać tchu i był przemoczony do suchej nitki. Mało tego, z nieznanego dziewczynie powodów miał na sobie mundur policjanta i przemoczoną na deszczu niebieską koszulę, która wyglądała, jakby była cała poplamiona krwią. To akurat niespecjalnie ją martwiło. Świadczyło jedynie o tym, że niewątpliwie jak zwykle wpakował się w swoje legendarne i absurdalne tarapaty, z których jakimś cudem zawsze wychodził bez szwanku.

Jej twarz rozświetlił szeroki uśmiech, nad którym nie potrafiła zapanować. Już sam widok szczerzącego do niej zęby Dantego w jednej chwili rozproszył wszelkie obawy.

Zapewne nie był największym twardzielem na świecie, a już z pewnością nie najmądrzejszym, ale był to przecież jej facet. Zawsze przybywający na odsiecz w sytuacjach kryzysowych. Żeby obronić Kacy, kobietę, którą kochał, gotów był zrobić wszystko, co trzeba, choćby musiał się popisać nie wiadomo jaką odwagą bądź głupotą. Był to jeden z wielu powodów, dla których go kochała.

- Boże, na twój widok serce mi rośnie! - zawołała do niego z drugiej strony korytarza. Był dobre trzydzieści metrów od niej, ale mogła pokonać tę odległość raptem w kilka sekund.

Opuściła pistolet i trzymając go u boku, ruszyła do swojego chłopaka. Czuła się nieco słabsza niż jeszcze kilka sekund temu, po prostu dlatego, że spłynęła z niej adrenalina wywołana przerażającym atakiem Swanna. Wszystko będzie dobrze. Dante ruszył ku niej truchtem, z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Chodź, spadajmy stąd w pizdu! - wrzasnęła.

Kacy wsadziła pistolet z tyłu za dzinsy i rozpostarła ramiona.

- Chodź, kotku, weź mnie! - zawołała rozpromieniona.

Dante puścił się biegiem, gotów do przesadnego uścisku, jakie widuje się podczas scen na plaży w tandetnych filmach.

I nagle DUP! Gdy mijał boczny korytarz, wyskoczyła stamtąd postać odziana w kombinezon ze skóry lamparta i trzasnęła nim w przeciwległą ścianę. Była to Roxanne Valdez, całkiem przestawiona na tryb krwiopijcy. Osłupiała Kacy obserwowała rozwój wypadków niczym na zwolnionym filmie. Patrzyła, jak radość na twarzy jej ukochanego przechodzi w zaskoczenie, a wreszcie w paniczny strach. Valdez runęła na niego z prędkością pociągu ekspresowego. Chłopak walnął głową w ścianę korytarza tak silnie, że chyba tylko cudem nie stracił natychmiast przytomności. Agentka wampirzyca dysponowała niewątpliwie niewiarygodną siłą, a zważywszy na to, że wzięła Dantego z zaskoczenia, jego próby stawiania oporu były bezowocne.

Zaszokowana Kacy z bezgranicznym zdumieniem patrzyła, jak Valdez szeroko otwiera usta, pokazując kły, które zatopiła głęboko w szyi Dantego. Rozległ się donośny chrzęst i dziewczyna ujrzała, jak z rany na karku jej kochanka tryska świeża krew. Był przyciśnięty do ściany w taki sposób, że nie mógł ani zebrać sił, ani uwolnić rąk, by odeprzeć atak. Co gorsza, kiedy Valdez odchyliła głowę, żeby jego krew spłynęła jej do gardła, chłopak wyglądał na zupełnie niezdolnego do walki. Krew powoli odpłynęła mu z twarzy, kolana ugięły się pod nim i gapił się z drugiej strony korytarza na swoją dziewczynę tak, jakby chciał ją przeprosić.

W końcu Kacy odzyskała głos.

- DANTE! - wrzasnęła. Miała wrażenie, że obserwowała te wydarzenia przez całą wieczność, zanim jej usta zdołały wydusić z siebie ten nieuchronny krzyk rozpaczy.

Wołanie przykuło uwagę oszalałej na punkcie krwi Valdez, która puściła swoją ofiarę i zwróciła paskudne spojrzenie na Kacy. Dante, sponiewierany i zakrwawiony, osunął się na podłogę, zostawiając na ścianie szeroki krwawy ślad, i padł na dywan niczym porzucona szmaciana lalka.

Valdez zrobiła krok w kierunku Kacy, łypiąc na to, co pewnie uznawała za deser wampira. Strużka krwi Dantego spływała jej z ust na kombinezon z lamarciej skóry. Kacy zamarła i przez sekundę obie kobiety mierzyły się wzrokiem. Wampirzyca pierwsza wykonała ruch i rzuciła się na niewinną dziewczynę, która wytrzeszczała na nią oczy.

Widząc to, Kacy wreszcie się opamiętała. Instynktownie wyrwała pistolet zza paska dzinsów. Roztrzęsionymi rękami usiłując porządnie chwycić broń, wymierzyła w nacierającą wampirzycę. Po czym z powodów, których sama nie rozumiała, zamknęła oczy, odwróciła głowę i wypaliła na oślep.

PIF!

Echo wystrzału po kilku sekundach zastąpiła ogłuszająca cisza. Kacy, krzywiąc się jak ktoś, kto spodziewa się dostać tortem w twarz, otworzyła najpierw jedno, a potem drugie oko. Niecały metr przed nią leżały na dywanie krwawe, dymiące zwłoki, szczątki agentki specjalnej Roxanne Valdez.

Dante wciąż leżał jak kłoda pod ścianą piętnaście metrów dalej. Patrzył na dziewczynę szczenięcym wzrokiem, lecz jego głowa na podłodze skąpana była w kałuży krwi. Kałuża rozrastała się i powoli wsiąkała w dywan. Z ust chłopaka sączyła się krew, ale powodem, dla którego kałuża się rozprzestrzeniała, była pulsująca, olbrzymia rana na jego szyi.

Ciało Kacy było wprawdzie odrętwiałe, ale jej umysł pracował szybko jak nigdy. Upuściła pistolet Swanna na podłogę obok tłących się teraz szczątków Valdez i podbiegła do Dantego tak szybko, jak na to pozwalały jej nogi, które chwilowo zmieniły się w galarete. Uklękła i zakryła dłonią dziurę na szyi chłopaka, próbując zatamować krwotok. Drugą ręką uniosła jego głowę i odwróciła do siebie.

- Maleńka, nie opuszczaj mnie - wykrztusił. Słowa te wywołały potok łez dziewczyny, nieuchronny od chwili, kiedy upadł na podłogę. Przez następne dwie minuty klęczała obok niego, tuląc jego głowę i błagając go, żeby z nią został. Żeby nie zostawiał jej samej na świecie pełnym nienawiści, mściwości i zła. Ale Dante nie mógł odpowiedzieć. Zanim do niego dotarła, zdążył już stracić głos. Mógł tylko patrzeć na nią bezradnie, z nadzieją, że Kacy wyczyta w jego oczach, jak bardzo jest mu przykro, że na koniec tak nawalił. Przewrócił się

na ostatnim płotku, chociaż wcześniej przez trzy noce udawało mu się działać pod przykrywką na sabacie wampirów.

Kacy szlochała, patrząc, jak oczy zapadają mu się w głąb czaszki na znak, że jego walka o życie dobiegła końca, lecz wciąż głaskała go po włosach i ocierała mu twarz z krwi. Jeżeli był w drodze na tamten świat, to chciała, żeby wyglądał jak najlepiej i sprawił dobre wrażenie. Mimo że czuła się opuszczona, doprowadzając go do porządku, zaczęła wspominać wszystkie zabawne chwile, które przeżyli razem. Wróciła pamięcią do rozmaitych głupot, jakie wyrabiał, odkąd się poznali. Na przykład jak zajechał do niej furgonetką wyładowaną płytami DVD z *Kapitanem Hookiem* i cieszył się, jakby wygrał główny los na loterii. Albo jak wprowadził ją w zakłopotanie, nazywając profesora Cromwella ciulem jebanym. Jak ukradł żółtego cadillaca, żeby zrobić na niej wrażenie, chociaż połowa miasta próbowała ich dopaść i zabić. Jak w samym środku strzelaniny w Tapiocie podczas zeszłorocznego zaćmienia Słońca zaciągnął ją w bezpieczne miejsce, przebrany za Terminatora. A przede wszystkim przypomniawszy sobie, w jaki sposób oświadczył jej się niecały tydzień temu. Nigdy w życiu nie spotkało jej nic równie wspaniałego jak Dante.

Chłopak nie żył już od dobrej minuty, gdy coś odwróciło uwagę Kacy.

- Ty suko jebana! - zawołał ktoś z końca korytarza. Był to agent Swann. Właśnie schylał się po pistolet, który upuściła na podłogę. - No to teraz mnie popamiętasz!

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Gdy człowiek w kapturze zrobił następny krok w jego stronę, Kowadło stwierdził, że gapi się na własne buty, licząc, że dzięki temu stanie się niewidzialny. Nie miało sensu wdawać się w pojedynek na spojrzenia z Bourbon Kidem. Po kiego wkurzać tego gościa? On i tak nie potrzebował pretekstu, żeby kogoś zabić. Jeżeli prawdą było to, co o nim powiadano, to mógł zabić Kowadło tylko dlatego, że ten spojrzał na niego krzywo. No chyba że ostatnio doznał objawienia i wyrzekł się zabijania. Tak czy owak ktoś, przynajmniej jedna osoba, miała zginąć. To akurat dla Kowadła nie ulegało wątpliwości.

Gdy Kid go mijał, ocierając się o niego lekko peleryną, Kowadło zdołał chyłkiem zejść o stopień niżej, by nieco oddalić się od tego, co bez dwóch zdań miało się tu rozegrać.

Bull i jego trzech ludzie odwrócili się w samą porę, by ujrzeć, jak człowiek w kapturze wchodzi na ich piętro. Dzieliło go od nich niecałe siedem metrów. Gdy tylko zobaczył, jak odwracają się z wycelowaną w niego bronią, sięgnął pod pelerynę. Z niesamowitą szybkością wydobył jeden ze swoich pistoletów samopowtarzalnych (ni mniej, ni więcej tylko berette kaliber 9 mm) i wymierzył w kierunku Bulla i jego trzech kompanów w głębi korytarza. Udało mu się oddać jeden strzał.

Chłopaki z Kompanii Cieni nie były ofermami. Zwłaszcza Bull nie po to zadał sobie tyle zachodu, żeby teraz stracić niepowtarzalną okazję do zemsty. Strzelił bez namysłu, waląc do wroga z ciężkiego pistoletu maszynowego. Jego ogień zaporowy w ciągu zaledwie kilku sekund podziurawił pierś Kida jak rzeszoto.

Kowadło zdążył jeszcze zobaczyć, że jedyny oddany przez Kida strzał ominął Bulla i jego ludzi, że śmiertelną precyzją śmignął przez otwarte drzwi mieszkania numer 24 i utkwiał w samym środku czoła odrażającej istoty zwisającej z sufitu. Kione był torturowany tak bezlitośnie i od tak dawna, że bez wątplenia z niewymowną ulgą przyjął to szybkie wybawienie go z opresji. W porównaniu z tym, co wycierpiał przez ostatnie osiemnaście lat, piekło było niczym spacer w parku. A teraz właśnie wybierał się do piekła. Godna pożałowania istota, a raczej jej strzęp, już nie żyła.

Gdy tylko Bull i jego ludzie otworzyli ogień, Kowadło przytomnie przycupnął na schodach, zatykając rękami uszy. Pozostali członkowie Kompanii Cieni natychmiast poszli za przykładem swojego dowódcy i także otworzyli ogień, bezlitośnie siekąc kulami cel.

Przykucnięty na schodach Kowadło patrzył, jak człowiek w kapturze zatacza się do tyłu; z każdym krokiem coraz bardziej było jasne, że lada chwila się przewróci. Prawdę mówiąc, Kowadło uważał, że padłby dużo szybciej, gdyby żołnierze zaprzestali ognia, bo tak to każda kolejna kula tylko podrzucała ciało Kida. W końcu jednak padł, a strzelanina ucichła. Zarobił co najmniej trzydzieści kulek. Z luf broni żołnierzy unosiły się gęste kłęby dymu, a z ran na ciele byłego sąsiada Kowadła tryskała gęsta krew.

Od ogłuszającej kanonady Kowadłu tak dzwoniło w uszach (mimo że zatkał je rękami), że nic nie słyszał, tym bardziej więc nie dosłyszał ciszy, jaka zapadła po strzelaniu.

Bull ruchem ręki nakazał jednemu ze swoich ludzi podejść do pozbawionego życia ciała leżącego przed nimi u szczytu schodów.

- Sprawdź go - polecił.

Nieogolony olbrzym z paskudną szramą na twarzy (Kowadło wiedziałby, że to Brzytwa, gdyby znał ich imiona) wykonał rozkaz i przyłożył palce do szyi ofiary, sprawdzając puls. Po kilku sekundach obejrzał się na dowódcę i pokręcił głową.

- No, nie żyje - powiedział.

Bull odetchnął z ulgą. Nareszcie! Po tych wszystkich latach w końcu zemścił się tak, jak o tym marzył.

- Podnieś go - warknął, wyciągając maczetę z pochwy na lewej nogawce spodni. - Chcę jego głowy.

Brzytwa, który jak oni wszyscy był niewiarygodnie silny, uniósł trupa. Najpierw dźwignął go na kolana, a potem chwycił za kaptur i podtrzymał nim głowę Kida tak, żeby jego szef mógł wykonać czyste cięcie.

Bull zamachnął się mniej więcej tak samo jak Jessica podczas niedawnej egzekucji Peta. Sekundę później jego kompan trzymał w ręku jedynie pusty kaptur, bo zakryta nim głowa odpadła od tułowia, potoczyła się po podłodze i zatrzymała, gdy stuknęła o ścianę u stóp Bulla. Była usmarowana krwią i wyglądało na to, że ma odstrzelony tył, zapewne przez kulę, która przeszła przez jeden z oczodołów.

Bull chwycił głowę za włosy i uniósł na wysokość oczu.

- No i co, kurwa, już nie jesteś taki twardy, e? Mówiłem, że cię dopadnę, skurwysynu.

Rzucił głowę żołnierzowi z różowym czubem, stojącemu za nim w korytarzu.

- Zapakuj to w lód i spierdalajmy stąd w pizdu.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Kacy potrzebowała cholernie dobrego powodu, by po tak krótkim czasie dać się odciągnąć od zwłok Dantego. Dostatecznym powodem okazał się celujący w nią z pistoletu agent specjalny Swann. Chwiał się i niezbyt pewnie trzymał się na nogach, prawdopodobnie dlatego, że stracił wiele krwi z ran, jakie mu zadała.

Wojskowe wyszkolenie i niezwykle wysoki próg odczuwania bólu pozwoliły mu odłożyć na bok myśli o swoich ranach i skupić się na ściganiu kobiety, którą z jednej strony pożądał, a z drugiej pragnął zabić. Szybko obandażował sobie tyłek i krocze, używając do tego ręczników z apartamentowej łazienki. Prymitywny opatrunek niemal powstrzymał krwotok, to zaś, w połączeniu z napływem adrenaliny spowodowanym wściekłością na Kacy, napędzało go do działania. W głębi ducha zapomniał o bólu i w rezultacie rana przysparzała mu tylko nieco irytacji. Kiedy więc dziewczyna rzuciła się pędem na koniec korytarza, chcąc zniknąć za rogiem schodów i zbiec do holu, wziął się w garść na tyle, by wystrzelić za nią dwa razy. Pierwsza kula śmignęła jej obok ucha i utkwiała w ścianie. Druga, bardziej niecelna, ponieważ gonił Kacy zakosami, trafiła w sufit, odbiła się rykoszetem i zakończyła lot w ścianie z boku. Klnąc siarczyście, Swann schował broń do kabury i pokuśtykał za dziewczyną.

Pędząc schodami w dół, Kacy słyszała, jak ją ściga, wyzywając od najgorszych, tak jak wtedy, gdy zbliżył się do niej najbardziej. Ona także nie poruszała się z typową dla siebie szybkością. Oczy łzawiły jej bowiem tak, że niemal nic nie widziała, a poza tym miała zatkany od płaczu nos. Serce jej waliło i w głębi ducha zastanawiała się, czy w ogóle warto uciekać. Dante nie żył. Nic więcej jej nie zostało. Gdyby nawet zdołała uciec, to co ze sobą pocznie? Nie miała się dokąd udać... ani z kim.

A jednak coś kazało jej nogom dalej zbiegać po schodach. Może napędzała ją myśl, że jeśli nie ucieknie, to śmierć Dantego pójdzie na marne. On by sobie życzył, żeby uciekła. No i rzecz jasna, mimo że w zasadzie pragnęła umrzeć, bo miała wrażenie, że nie ma już po co żyć, nie chciała, żeby Swann przedtem pokiereszował ją i zgwałcił. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby trafił ją z tyłu w głowę i zakończył jej życie bezboleśnie, tak by nie była tego świadoma, jednakże według wszelkiego prawdopodobieństwa zanim dołączyłaby do Dantego na tamtym świecie, czekałyby ją grube nieprzyjemności i cierpienia.

Gdy w końcu dotarła na dół schodów i wpadła do holu, trafiła w sam środek powszechnej paniki. Po prawej od schodów, przed windą, leżały czyjeś zwłoki bez głowy. W normalnej sytuacji dostałaby na ten widok hopla, teraz jednak przyjęła to zaledwie z lekkim zaskoczeniem. Działy się tu jakieś paskudne rzeczy, a zdekapitowany truposz rzecz jasna miał z tym związek. Ludzie w holu darli się wniebogłosey i właśnie się zaczął masowy exodus. Kłopot w tym, że nikt nie podążał w jakimś konkretnym kierunku. Około dwudziestu wrzeszczących osób - gości hotelowych i personelu - biegało tam i nazad niczym kurczaki z uciętymi głowami. A tego, kto pozbawił głowy tych zwłok, najwyraźniej już tam nie było. Może ten ktoś wyszedł frontowymi drzwiami? To by wyjaśniało, dlaczego rozwrzeszczany tłum tak się kłębił...

Tupot kroków Swanna na ostatnim zakręcie schodów, gdy znalazł się na półpiętrze, przyspieszył decyzję Kacy. Pędź na ulicę, dziewczyno! I to już!

Zaledwie wybiegła przez drzwi, pożałowała, że nie poszukała innej drogi ucieczki. Na dworze lało jak z cebra, a wichura przerodziła się w istny huragan. Próby zbiegnięcia po schodach przed głównym wejściem do hotelu w dużej mierze utrudniał jej szalejący na ulicach wiatr. Był tak silny, że poruszała się groteskowo powoli. Zupełnie jakby wiatr sprzysiągł się przeciwko niej i wpychał ją z powrotem do hotelu. A także wprost w ramiona agenta specjalnego Swanna, który raptem wypadł za nią przez drzwi. Kiedy usiłowała zejść z ostatniego stopnia na chodnik, rzucił się do przodu i chwycił ją, obejmując olbrzymimi łapskami - jakżeby inaczej! - za obie piersi.

Nie obrócił jej twarzą do siebie, tylko korzystając z okazji, mocno ścisnął jej piersi pod przemoczonym T-shirtem i napał na nią od tyłu, brzuchem i kroczeniem popychając ją w stronę żółtej taksówki stojącej dokładnie przed wejściem do hotelu. Brutalnie cisnął nią o bok wozu, przyciskając jej twarz do tylnej szyby po stronie kierowcy.

Burza wypłoszyła przechodniów z ulic, nikt więc nie mógł jej przyjść z pomocą. A zresztą ludzie mieli na głowie inne zmartwienia niż Swann i jego zamiary w stosunku do Kacy, jakiegokolwiek by były. Jedyne taksówkarz się zainteresował i z szumem opuścił elektrycznie sterowaną szybę w swoich drzwiach.

- Hej, kolego... - odezwał się.

Swann na chwilę puścił prawą pierś Kacy i wyciągnął pistolet z kabury pod pachą.

PIF!

Kula trafiła niczego niepodjęzającego taksjarza w twarz. Swann patrzył, jak mózg nieszczęśnika wylatuje mu z tyłu głowy i rozbryzguje się po przedniej szybie, po czym spokojnie schował broń z powrotem do kabury i ponowił ohydny atak na Kacy, która była już

zbyt słaba i wyczerpana, żeby stawiać opór. Niczym zapłakana kupka nieszczęścia, przyciskała się do boku taksówki, niezdolna do dalszej walki.

Ręce Swanna przesunęły się z jej piersi w kierunku krocza. Brzuchem wciąż przyciskał ją mocno od tyłu do drzwi taksówki, a jednocześnie zaczął gmerać przy jej dżinsach.

Deszcz więził dziewczynę w tym samym stopniu co lubieżny uchwyt Swanna. Przemoczone na wskroś ubranie ciążyło, a mokre włosy opadały na twarz. Jediną pociechę czerpała z faktu, że ślinę ciekącą w straszliwych ilościach z ust napastnika deszcz zmywał z jej pleców równie szybko, jak agent ją produkował.

W chwili, gdy poczuła, że Swann ściągnął jej dżinsy o kilka centymetrów, jak przez mgłę usłyszała głośny trzask, jakby rozbijanej szyby. W ulewnym, padającym jak z cebra deszczu zobaczyła, że w szybie samochodu, do której miała przyciśniętą twarz, coś się odbija. Na chodniku za agentem Swannem wylądowały wielkie odłamki szkła.

I dostrzegła coś jeszcze.

Ciemną, niewyraźną plamę. Wielkością zbliżoną do rozmiarów mężczyzny.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Beth zapatrzyła się w księżyc, gdy ukazał się między ciężkimi deszczowymi chmurami. Zdawało się, że zajmuje na niebie dokładnie to samo miejsce co przed tymi wszystkimi laty. Wciąż miała świeżo w pamięci noc, kiedy napadł ją Kione, zupełnie jakby to było wczoraj. Stojąc na końcu mola, niemal pragnęła, żeby ten obmierzły wampir znowu wyskoczył i ją zaatakował, po prostu dlatego, że mogłoby to spowodować powrót jej wybawcy z owej nocy, JD.

Odkąd wyszła z więzienia przed ośmiu laty, co roku w Halloween czekała na końcu mola na powrót JD. Co rok stała tam, aż skończy się godzina duchów, i co rok wracała do domu sama i rozczarowana. A jednak dla niej wciąż była to najlepsza godzina w roku. Czerpała jakąś niezdrową przyjemność z przekonywania siebie, że on kiedyś wróci, tak jak jej obiecał i jak to przewidziała stuknięta - a teraz już nieżywa - Mistyczna Dama.

Grafitowe chmury krążyły wokół księżycy, jak gdyby chciały go przed nią ukryć. I kiedy godzina duchów w Halloween znów zbliżała się do końca, tak szybko jak co roku, Beth spojrzała na fale. Burza powoli przechodziła. Chmury, które przybyły znad oceanu, wichura przegoniła znad portu w kierunku centrum miasta. Poprzednie kilka godzin chaosu pozostawiło po sobie ślady spustoszenia. Promenadę zalegały odpadki nawiane z przewróconych śmietników i roztrzaskanych donic z kwiatami. Ale przynajmniej deszcz już tylko lekko siąpił, a wyjący wichur przeszedł w łagodną bryzę, która podwiewała długą po kostki niebieską spódnicę Beth. Bluza z kapturem, którą dostała od Bertrama Cromwella, była przemoczona do suchej nitki, a mimo to dziewczyna nie odczuwała chłodu. Deszczówka, od której góra ubrania kleiła jej się do ciała, była właściwie całkiem ciepła, wręcz poprawiała jej nastrój, a unosząca się nad falami rzadka mgiełka dawała Beth poczucie, że oto stoi we własnej kolosalnej łaźni parowej na świeżym powietrzu.

Oczekiwaniem na Halloween emocjonowała się bardziej niż inne miejscowe dzieciaki. Niestety, gdy już stała na molu, zawsze spotykało ją smutne rozczarowanie, w miarę jak początkowe podniecenie i bicie serca na myśl, że JD powróci, stopniowo gasło wraz z gwiazdami. Za każdym razem nieodmiennie wracała myślami do chwili, kiedy zabiła macochę. Ale scena ta pojawiała się w jej myślach jedynie w postaci krótkich przebłysków. Przez większość czasu myślała tylko o ciepłym uśmiechu na twarzy JD i jego spokojnej

pewności siebie. W ostatnich chwilach zawsze następował końcowy przyływ podniecenia i smutku, kiedy modliła się, żeby przyszedł spóźniony. Podczas tych minut nigdy nie pozwalała sobie oglądać się na początek mola. Przeciwnie, stawała zwrócona twarzą do morza, przekonując samą siebie, że on właśnie się do niej podkrada od tyłu, żeby zaskoczyć ją, gdy księżyc zajdzie za chmury. Jednakże każdy kolejny rok przynosił rozczarowanie, a i tym razem było nie inaczej. Beth patrzyła, jak chmury przesłaniają księżyc i w pierwszej poświacie nadciągającego świtu pojawia się horyzont.

Miała nadzieję, że srebrny krzyż i łańcuszek, które dostała od profesora, w tym roku przyniosą jej szczęście. Jeżeli krzyż miał na celu odpędzać siły zła, to najwyraźniej poskutkował, ale nie sprowadził JD. Rozpięła łańcuch i zdjęła go z szyi, po raz ostatni wyglądając na ocean. Nagle, gdy po policzkach spłynęły jej łzy, rzuciła srebrny łańcuch i krzyż jak najdalej w morze.

Gdyby JD wciąż żył, na pewno by po nią wrócił. Musiała oswoić się z myślą, że nie żyje, inaczej oznaczałoby to, że nie zależy mu na niej tak, jak jej na nim. Teraz więc, bez srebrnego krzyża z dziwnym niebieskim kamieniem mającym odpędzać złe moce, w skrytości ducha liczyła, że zło przyjdzie do niej pod jakąś postacią, by skrócić jej doczesny żywot i wysłać ją na spotkanie z JD na tamtym świecie, gdzie będą mogli spędzić razem całą wieczność.

Otarła łzy z mokrych, poczerwieniałych na wietrze policzków i zawróciła w kierunku miasta. Wędrówka przez molo trwała długo, ale Beth zawsze pragnęła, żeby się nigdy nie skończyła. A jednak dobiegła końca i wkrótce dziewczyna znalazła się na promenadzie, w drodze powrotnej do domu.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

- HEJ, GNOJKU! - Głośne warknięcie niosło się ponad wyciem wiatru i bębnieniem deszczu.

Kacy poczuła, że Swann drgnął, poluzował uścisk i przestał się tak przyciskać do jej pleców. Potem poczuła, że czubek buta kopie ją w pupę. Było jasne, że główna część tegoż buta i cały impet kopniaka trafiły Swanna od tyłu między nogi. Dokładnie w jajka. Dokładnie tam, gdzie niedawno sama zraniła go zbitą żarówką. Usłyszała, że jęknął z bólu, opadł za jej plecami na kolana i puścił ją. Cokolwiek przyprawiło Swanna o taką konsternację, Kacy nie czekając na zaproszenie, skorzystała z okazji i natychmiast odskoczyła poza zasięg jego rąk.

Za Swannem, szykując się do drugiego kopa, stał budzący grozę wampir. Na jego widok większość ludzi byłaby pewnie przerażona, ale dla Kacy, był uroczo bezbronny. Był to bowiem Dante, wciąż rozpoznawalny, chociaż najwyraźniej całkowicie przeistoczył się w nocną bestię. Gdy Swann próbował wesprzeć się o taksówkę, Dante jeszcze raz z rozmachem kopnął nieszczęsnego agenta w i tak już poharatane i opuchnięte jajka. Swann miał na sobie dzinsy, a pod nimi bokserki, tyle że nie były ze stali i w rezultacie cierpiał tak, jak gdyby był goły. Instynktownie opuścił dłonie do krocza, żeby oburącz ująć szybko puchnącą i krwawiącą partię ciała między nogami, a jednocześnie za wszelką cenę starał się nie puścić pawia. Po chwili z przerażeniem patrzył, jak czyjaś ręka sięga mu do prawego ramienia, pod pachę, i wyciąga jego pistolet z kabury.

- O w dupę! - brzmiały ostatnie słowa, jakie zdołał wydusić, ale uleciały na deszczu i wietrze. Nie można powiedzieć tego samego o huku wystrzału, który nastąpił sekundę później - tak głośnego, że mógł go usłyszeć każdy w promieniu półtora kilometra od hotelu.

Kacy zbyt późno odwróciła wzrok. W rezultacie ujrzała, jak mózg Swanna wylatuje przez czoło i ochlapuje całe tylne drzwi taksówki. Następnie ciało agenta nachyliło się i walnęło w drzwi wozu, po czym powoli zsunęło się do rynsztoka. Deszcz na bieżąco zmywał z jego głowy krew, obficie i szybko wyciekającą z ziejącej rany.

Ciemnooki wampir, którym stał się Dante, spojrział w dół na zwłoki, nie mogąc powstrzymać wyrazu obrzydzenia na myśl, co też ten agent chciał uczynić jego kobiecie, kobiecie, którą kochał.

Z kolei Kacy z entuzjazmem patrzyła na kochanka, stojącego nad przemoczonym

trupem człowieka, który zamierzał ją zgwałcić i zabić. Poczula, że nie jest w stanie zapanować nad euforią, jaka ją ogarniała. Nagle cała makabra ostatnich kilku minut odpłynęła szybciej niż krew z głowy agenta specjalnego Swanna.

- Kotku, kocham cię! - pisnęła, rozkładając ręce, żeby wyściskać swojego bohatera, który powrócił. Ku jej konsternacji, Dante odskoczył do tyłu.

- Nie zbliżaj się do mnie - wysyczał strasznym głosem. - Ja już nie jestem człowiekiem. Nie podchodź do mnie, bo cię, kurwa, zabiję. Wiem o tym.

- Co? - krzyknęła dziewczyna, wyciągając rękę w rozpaczliwej próbie, żeby go choćby dotknąć.

Ale on znów się cofnął.

- Mówię serio. Trzymaj się z daleka. Mam niewiarygodną chętkę, żeby cię ugryźć. Nie żartuję, jestem zła. Poczekaaj tu. Peto ma całe to Oko Księżyca. Pożyczę je od niego i powinienem znów stać się normalny. Wtedy będziesz się mogła do mnie tulić, ile zechcesz. Ale do tej pory weź na wstrzymanie.

- Czy Peto jest tutaj? - spytała.

- No. W hotelu. On pojechał windą, ja pobiegłem cię szukać po schodach.

- Czy on też był przebrany za gliniarza, tak jak ty?

- Tak. Widziałaś go?

Kacy ze smutkiem pokiwała głową.

- Całego z wyjątkiem głowy.

- Mogłabyś to powtórzyć?

- Leżał w holu, ale jego głowa... zniknęła. Wszędzie było pełno krwi. Ludzie odchodzili od zmysłów.

- O w mordę!

Dante odwrócił się, wbiegł po schodach i wpadł przez drzwi do holu. Natychmiast na własne oczy zobaczył to, co opisała mu Kacy. Martwe ciało Peta zalewało cały dywan krwią z upiornego kikuta w miejscu, gdzie jego głowa niegdyś łączyła się z szyją. Oprócz głowy brakowało też niebieskiego kamienia na srebrnym łańcuchu, no i świętego Graala. Jediną osobą w zasięgu wzroku była już tylko recepcjonistka, która - najwyraźniej w stanie głębokiego szoku - siedziała bez ruchu i gapiła się tępo na truposza na dywanie. Dante, zapomniawszy, że teraz jest wampirem pełną gębą, odwrócił się do niej i syknął:

- Gdzie się podział niebieski kamień?!

Kobieta wyrwała się ze stanu odrętwienia, odwróciła nieco głowę i spojrzała na Dantego, który skąpany od stóp do głów we krwi, gapił się na nią z drugiej strony holu,

szczerząc parę ostrych jak brzytwa wielkich kłów. W tym momencie mogła sobie darować taki widok, więc czym prędzej zemdląła i upadła, po drodze waląc głową w ścianę za sobą.

Za plecami Dantego pojawiła się w holu zmęczona, potargana i wymizerowana Kacy.

- Chodź, kotku, wynośmy się stąd! - błagała.

Dante odwrócił się do niej. Pomimo kłów, bladej, pociętej żyłami twarzy i ciemno podkrążonych oczu oraz przemoczonej, zakrwawionej koszuli jakimś cudem sprawiał wrażenie kompletnie bezradnego. Uświadomił sobie, że ten, kto zabił Peta, zabrał mu też Oko Księżycy i pewnie już dawno uciekł. Miał przesrane! Teraz ani chybi zostanie wampirem na wieki. A Kacy wyglądała właśnie jak jego pierwszy posiłek. Wampir o niczym tak nie marzy jak o uczcie złożonej z atrakcyjnego przedstawiciela płci przeciwnej, tak więc dla Dantego Kacy stanowiła coś w rodzaju kolacji wigilijnej.

- Skarbie, uciekaj ode mnie! - syknął nagłym tonem. - Uciekaj ode mnie jak najdalej. Nachodzi mnie chęćka, żeby cię zabić. Napić się twojej krwi. Nie zmuszaj mnie do tego. Wypierdalaj!

Kacy zrzędała mina, dziewczyna wyglądała, jakby znów miała się rozplakać.

- Co takiego? - wydukała. Odkąd byli razem, nie zdarzyło się, by Dante jej nie pożądał. Nie była przyzwyczajona do czegoś takiego i nie zamierzała się przyzwyczajać.

- Ja wcale, kurwa, nie żartuję. - Dante łypnął na nią gniewnie. - Wynoś się jak najdalej ode mnie. - Przerwał, a po chwili dorzucił: - Wybacz.

W tym momencie zatkał się, zdając sobie sprawę, czego od niej wymaga. Nie miał ochoty się z nią rozstawać, tak samo jak ona z nim, a jednak musiał ją odprawić. Nic więcej nie mógł zrobić. Dobro Kacy było dla niego znacznie ważniejsze niż pragnienie, by napić się jej krwi. Dlatego teraz, dopóki jeszcze jako tako panował nad swoimi żądzami, które nasilały się szybko, musiał się jej pozbyć.

- Kocham cię, Kacy, i zawsze będę cię kochał, ale spierdalaj. Byle dalej ode mnie. Nie możemy być razem. Zabiję cię albo jeszcze gorzej, zamienię cię w takiego popapranego wampira jak ja. Wierz mi, to nie jest przyjemne uczucie.

Kacy zbliżyła się do niego. Widział łzy spływające po jej twarzy, wywołane bólem na wieść, że ją odrzuca. Poczul się jeszcze gorzej.

- Dante, kotku, czy ty niczego się nie nauczyłeś? - spytała, patrząc na niego błagalnym wzrokiem.

- O czym ty mówisz? - odparł załamującym się głosem, zdradzającym ból, który starał się ukryć.

- Mówię, żebyś mnie ugryzł, kretynie! - rzuciła z wymuszonym uśmiechem.

Dante zamarł. Czy ona naprawdę prosiła go, żeby uczynił z niej żywego trupa, takiego jak on? Czy rzeczywiście kochała go do tego stopnia, by dać mu się zabić i skazać na wieczne piekło?

- Ty... jesteś pewna, Kace? Znaczy się...

- Przymknij się - przerwała mu i pociągnęła nosem; łzy płynęły po jej policzkach jeszcze szybciej. - Po prostu się zamknij, dobrze? Uwiodłeś mnie, mówiąc mi „Ty gnojku!”.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że do niego dotarła. Zdradziły go oczy - Kacy była pewna, że przez sekundę błysnęła w nich łza. Znikła wprawdzie w okamgnieniu, a jednak ją widziała. On nadal jej pragnął i za nic nie był w stanie tego ukryć.

- Kocham cię, Kace - powiedział.

- Wiem. Więc chodź i weź mnie, zanim się rozmyślę.

Dante podszedł, objął ją i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Czy najpierw mogę cię pocałować?

- Spróbowałbyś nie!

Zaledwie po kilku minutach oboje już byli nocnymi bestiami, którym przeznaczenie kazało spędzić ich wieczny żywot wśród żywych trupów na poszukiwaniu bezcennego niebieskiego kamienia zwanego Okiem Księżyca.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Ramzes Gaius siedział ukontentowany przy biurku w swoim owalnym gabinecie. Wyglądało na to, że wszystko poszło zgodnie z planem. Teraz już musiał tylko poczekać na powrót dwóch nowych Najwyższych Kapłanów, którzy mieli dostarczyć mu to, czego od tak dawna pragnął.

Pierwszy z nich przybył tuż po północy. Ktoś zapukał do drzwi. Nie było to zbyt głośne pukanie, właściwie pod każdym względem bardzo łagodne, niemniej całkowicie słyszalne.

- Proszę - zawołał Gaius.

Drzwi otworzyły się do środka, pchnięte przez wynajętego najemnika, który stał na warcie na zewnątrz. Był on jednym z wielu mundurowych, członków klanu Brudnych Świń, który opuścił w potrzebie De La Cruza i spółkę. Gaius był przywódcą o wiele większego kalibru i wszystkie żywe trupy czuły się zaszczycone, mogąc służyć pod jego rozkazami.

Wartownik przytrzymał drzwi gabinetu Gaiusa i do pokoju wkroczyła nowa Najwyższa Kapłanka, a zarazem jego jedyna córka - smukła, tradycyjnie odziana na czarno Jessica. Pod prawą pachą trzymała paczkę opakowaną w grube brązowe sukno. Wartownik zamknął za nią drzwi i został na zewnątrz. Słyszając szcęk zamka, Jessica natychmiast schyliła głowę w pokłonie.

- Ojczy, mam Oko Księżyca i świętego Graala - powiedziała, prostując się i spoglądając mu w twarz. - A także głowę mnicha, który je posiadał.

Wyciągnęła spod pachy paczkę w brązowym suknie i nie mogąc powstrzymać wampirzego uśmiechu, rzuciła Gaiusowi. Złapał ją oburącz w chwili, gdy wstawał z fotela, i położył na biurku przed sobą. Ujął róg sukna i powoli, ostrożnie, rozpakował paczkę. W środku była zdeformowana i nieco już skurczona głowa Peta, ostatniego z hubalan. Gaius przeciągnął ręką po zakrwawionych dredach mnicha.

- A zatem ukrywał się pośród Dredów. Należałoby ich ukarać za to, że go nie zwąchali. Jeżeli po dzisiejszych zabójstwach jacyś z nich pozostali przy życiu, dopilnuj, żeby umarli, zanim któryś pokaże mi się na oczy.

- To będzie czysta przyjemność. - Jessica uśmiechnęła się. Uniosła ręce ponad głowę i odpięła srebrny naszyjnik, który miała na szyi. A na misternie wykonanym łańcuchu wisiało

Oko Księżyca. Kładąc go na biurku przed ojcem, zobaczyła, jak jego twarz rozjaśnia się z radości. Następnie sięgnęła prawą ręką za wiele odsłaniający dekolt (głęboko wycięty w serek w czarnej tunice kimona do karate) i wyjęła lśniący złoty kielich. Święty Graal! Pomachała nim ojcu przed nosem, uśmiechając się przy tym szeroko. - No, słucham, co dla mnie masz? - zapytała. - Są jakieś wieści o tych dwóch draniach, którzy postrzelili mnie podczas zaćmienia Słońca?

- Obaj powinni już być martwi, moja droga. Właśnie oczekuję na ostateczne potwierdzenie.

- Naprawdę? A jak zginął Bourbon Kid?

- Załatwił go Bull, twój nowy partner. - Wskazał na drzwi. - To pewnie on. - Ktoś zastukał dwukrotnie. - Wejść! - polecił Gaius.

Drzwi otworzyły się ponownie i wszedł Bull, a za nim jego trzech towarzysze z Kompanii Cieni. Podobnie jak Jessica, także i on niósł pod pachą pakunek zawinięty w brązowe sukno. Bez słowa rzucił go Gaiusowi. Przywrócony na stanowisko Pan Ciemności złapał paczkę, położył ją na biurku i zaczął rozwijać z dużo większym pośpiechem niż w przypadku paczki od Jessiki. Na tej zależało mu najbardziej i nie mógł się doczekać, kiedy ujrzy, co jest w środku.

Sztywne od krwi brązowe sukno spadło na podłogę i Gaius odtrącił je na bok kopniakiem. Pod materiałem znajdowała się kolejna ucięta głowa, którą teraz trzymał w wielkich łapskach. Podniósł ją przed sobą, a Jessica, Bull i jego trzech siepacze przyglądali mu się, czekając na jego reakcję.

- No proszę - powiedział, oddychając głęboko, z satysfakcją. - Głowa Bourbon Kida, syna Taosa. Teraz już nie wygląda tak groźnie, co?

Pozostali roześmiali się uprzejmie, podczas gdy Gaius wpatrywał się w jedyne pozostałe oko zmasakrowanej głowy, którą miał w rękach. Gęste ciemne włosy, sklezione grubą skorupą krzepnącej krwi, kleiły się do czoła i przesłaniały większą część twarzy. Gaius odsunął je na bok i uśmiechnął się z zadowoleniem, spoglądając w twarz martwego Bourbon Kida. Po kilku sekundach przeniósł wzrok na Bulla i jego siepaczy, z trudem ukrywając rozpierającą go radość.

- Dziękuję ci, Bull. Twoja pozycja jako Najwyższego Kapłana jest niezagrożona. Będziemy świętować nasze zwycięstwo podczas przyjęcia dzisiaj wieczorem.

- Dziękuję panu - odparł Bull, na znak szacunku schylając głowę.

Za plecami usłyszał głos Jessiki, która zawołała do niego swoim najbardziej seksownym głosem:

- Hej, żołnierzu, masz jakieś plany na najbliższe pół godzinki?

Bull zlustrował wzrokiem od stóp do głów ponętą figurę Jessiki.

- No, teraz z chłopakami weźmiemy prysznic. Musimy zmyć całą tę krew, rozumiesz?

- Wiecie co? - powiedziała Jessica, spoglądając na trzech kompanów Bulla. - Mnie też przydałby się prysznic. Co wy na to, żebyśmy do was dołączyła?

Natychmiast rozległy się gromkie okrzyki aprobaty ze strony czterech żołnierzy, którzy szybko skierowali się do drzwi.

Korzystając z okazji, że Jessica zajęta jest flirtowaniem z żołnierzami, Ramzes Gaius wyjął swoje bezużyteczne zielone oko i zastąpił je o wiele bardziej estetycznym i ładniejszym niebieskim kamieniem, Okiem Księżyca. Gdy tylko Oko znalazło się na swoim prawowitym miejscu w oczodole, rozjarzyło się lekko w środku. Gaius poczuł, że znów tworzy jedną całość.

Uśmiechnął się z satysfakcją zza biurka, patrząc, jak jego jedyna córka wdzięczy się do facetów z Kompanii Cieni. Zwłaszcza Bull wydawał się nią szczególnie zauroczony, jak zresztą na to liczył. Gaius z uznaniem pokiwał głową, gdy dowódca Kompanii Cieni ujął Jessicę za rękę i szorstko wydał rozkaz jednemu z podwładnych:

- Brzytwa, otwieraj drzwi! Panie przodem.

Brzytwa wykonał rozkaz i otworzył drzwi, przepuszczając Jessicę, kołyszącą biodrami na użytek czterech żołnierzy. Lecz kiedy ruszyli w jej ślady, Gaius zatrzymał ich.

- Wyjaśnijcie mi tylko jedno - zawołał, spoglądając na głowę Bourbon Kida na swoim biurku. - Dlaczego on ma wytatuowane na czole słowo „CIPA”?

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Nocne niebo wciąż było zaciągnięte chmurami i nadal padała lekka mżawka, za to morze się uspokoiło i drobne fale uderzające o promenadę wydawały łagodne, kojące dźwięki. Kolejny Halloween pełen krwawej jatki, masakry i śmierci się skończył. Beth szła spacerkiem pustą ścieżką, spoglądając w niebo. Co roku podczas tej długiej drogi do domu skręcało ją z rozczarowania, a teraz jeszcze na dodatek rozbolewały ją nogi. Buty całkiem przemokły na deszczu i stopy pulsowały lekko w miejscach ocierających się o mokrą skórę.

Zadarła głowę, sprawdzając, czy na nocnym niebie widać jakieś gwiazdy. Chmury się rozprasały i znów zaczął przebijać przez nie księżyc w pełni. Na jej twarz padł łagodny blask, jak gdyby na całej ziemi nic innego nie mogło poczuć promieni księżyca.

Gdzie jesteś, JD? Co ci się przydarzyło tej nocy sprzed wielu lat? Z biegiem lat zadawała sobie te pytania milion razy. Oddałabym wszystko, by móc cię znowu zobaczyć, choćby tylko na pięć minut. Żeby się dowiedzieć, co się z tobą działo. Gdziekolwiek jesteś, liczę, że odzyskałeś spokój duszy.

Gdy chmury się rozwiały i księżyc oświetlił ją pełnym blaskiem, usłyszała za plecami jakiś dźwięk. Było to szuranie buta o ziemię. Zaraz po nim doleciał ją czyjś głos:

- Twoja matka też, co?

Serce Beth zabiło mocniej. Odwróciła się i ujrzała ciemną postać stojącą w blasku księżyca na promenadzie, nie dalej niż metr od niej. Był to mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce narzuconej na czarny T-shirt, w niechlujnych dżinsach. Jego twarz zdradzała łagodne, acz namiętne usposobienie, uśmiech zaś potrafiłby stopić serce każdej dziewczyny.

Beth z zapartym tchem podeszła bliżej, głęboko spojrzała w oczy tego mężczyzny i rozpoznała w nich chłopaka, którego знаła przed laty.

- Jack? - wyjąkała. - Jack Daniels?!

- Wybacz, że się spóźniłem.

- Gdzie się podziewałeś?

- Trochę się pogubiłem. - Poszukał wzrokiem jej oczu i po raz pierwszy od bardzo dawna pozwolił sobie na autentycznie szczery uśmiech. - No a poza tym czekałem, aż się dowiesz, jak się nazywam. To jak, jesteś już gotowa na randkę, czy nie?

Beth odpowiedziała mu promiennym uśmiechem, lecz naraz przypomniała sobie, że na

prawym policzku ma ohydną bliznę - pamiątkę po starciu z macochą przed osiemnastu laty. Odruchowo uniosła rękę i zakryła ją, jednocześnie uświadamiając sobie, że to na nic. On prawdopodobnie i tak już zauważył. Nie mogło być inaczej.

- Mam tę bliznę - wymamrotała ze wzrokiem spuszczone na obolałe stopy, zawstydzona i zażenowana z powodu swojej ułomności.

JD wyciągnął rękę i zadarł jej brodę. Czekwała nerwowo na jego reakcję, nie śmiać spojrzeć mu w twarz w obawie, że ujrzy na niej wyraz rozczarowania. Tymczasem mężczyzna nachylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Beth z wdzięcznością oddała pocałunek. Uczucie to było równie cudowne jak ich pierwszy pocałunek przed tylu laty. Gdy w końcu odsunął się od niej, spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. A wtedy on zaledwie pięcioma słowami rozproszył jej wszelkie obawy:

- Skarbie, my wszyscy mamy blizny.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

Sanchez zamknął lokal na noc i zadumał się nad kolejnym gównianym dniem. Fakt, z jednej strony przeżył jeszcze jedną wizytę Bourbon Kida, z drugiej jednak Jessica znów od niego odeszła, tym razem może już na dobre. Siedząc w Tapiocie na stołku przy kontuarze po stronie klientów i przerzucając kartki *Księgi śmierci*, chcąc nie chcąc, czuł się nieco przybity.

Niewątpliwie za kilka dni miejscowe dzieciaki znów będą ganiać po ulicach z plastikowymi pistoletami, udając Bourbon Kida albo jednego z tutejszych gliniarzy. Wkurzał się na myśl, że idolami tych szczeniaków są osławieni masowi mordercy albo skorumpowani policjanci. A kiedy on wreszcie zostanie bohaterem? Pewnie nigdy, chociaż szemrana społeczność Santa Mondega bez niego byłaby niczym, gdyby nie zapewniał jej względnie bezpiecznego miejsca, gdzie można było się napić i poudzielać towarzysko. Jego ciężką harówkę, dzień w dzień, przyjmowali jak coś, co im się zwyczajnie należy. Może więc też powinien na własną rękę się wypuścić, w morderczym szale urządzać krwawą jatkę i przynajmniej zyskać złą sławę?

Popijając ciepłe piwo z kufła, próbował pocieszać się wiarą w to, że prędzej czy później nadejdzie jego czas. Pewnego dnia ktoś taki jak Jessica doceni dobroć, kryjącą się w głębi jego serca⁵. Sanchez nader skutecznie ukrywał swoje dobre strony i zwłaszcza kobiety wyraźnie nie zdawały sobie sprawy, że to świetny facet. Jeszcze raz wyobraził sobie piękną twarz Jessiki, po czym uznał, że należy dopić piwo i udać się do łóżka.

Jakby jego przygnębienia było mało, *Księga śmierci* nie dostarczyła mu odpowiedzi na żadne z pytań, które go nurtowały. Nie było w niej nic na temat Jessiki, Oka Księżycy czy Bourbon Kida, jedynie spis nazwisk ludzi, którzy nie żyli. Przeglądając ją po raz ostatni, zatrzymał się w końcu na pustej stronie pod koniec tomu. Gapił się niewidzącym wzrokiem na żółtawy pergamin i dumiał, co by tu dalej począć ze swoim życiem. Skoro zabrakło Jessiki, nie miał się kim opiekować, klientów też mu zostało niewiele. Czy w ogóle warto się trudzić?

Kiedy tak siedział i z lubością rozczulał się nad sobą, zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął ją z kieszeni spodni od dresu i odebrał po drugim sygnale.

- No? Tu Sanchez.

- Hej, Sanchez, mówi Rick. Rick z Olé Au Lait.

- Hej, człowieku. Trochę późno na pogaduszki przez telefon, nie sądzisz?

- Mam dla ciebie dobre nowiny, Sanchez. Pamiętasz, jakieś mnie pytał swego czasu o tę babeczkę, Jessicę? No to mam dla ciebie te informacje, co żeś o nie prosił.

Barman wyprostował się nieco na stołku.

- Tak? Naprawdę się dowiedziałeś, kto zamieścił to ogłoszenie o zaginionej w gazecie?

- Niezupełnie, stary, ale była tu dziś wcześniej z jakimś wielkim facetem. Wyglądali na parę. Mam jego nazwisko, jeśli cię to interesuje.

- Poczekaj, niech wezmę ołówek.

Sanchez odstawił kufel i telefon komórkowy na kontuar obok *Księgi śmierci*, wciąż otwartej na stronie, do której doszedł. Na półce ze szklankami za barem jak raz leżał czarny długopis. Sanchez położył się na ladzie, wyciągnął i ujął go koniuszkami dwóch palców. Potem klapnął z powrotem na stołek i zaczął bazgrać na pustej stronie *Księgi śmierci*, sprawdzając, czy długopis pisze. Z ulgą przekonał się, że tak. Sięgnął więc po telefon.

- Dobra. Nawijaj.

- Gość się nazywa Ramzes Gaius. Swoją drogą, kawał wielkiego skurczybyka.

- Ramzes Gaius? - Sanchez myślał usilnie. Nazwisko to nic mu nie mówiło, ale może jeśli poszpera trochę w Internecie, to coś mu się skojarzy. No ale wszystko w swoim czasie. Wetknął telefon pod obfity podbródek i zanotował długopisem nazwisko na pustej stronie leżącej przed nim książki, żeby na pewno nie zapomnieć. - Dzięki, Rick. Czy jeszcze coś powinienem wiedzieć?

- No. Ta babeczka, Jessica, zdaje się, że ma na nazwisko Xavier.

Mimo że Sanchez znał Jessicę od tak dawna, nigdy nie udało mu się poznać jej nazwiska, wobec tego - znów na potrzeby szperania w Internecie - zapisał jej imię i nazwisko w *Księdze śmierci*.

Ramzes Gaius

Jessica Xavier

- Jeszcze raz dzięki, Rick. To chyba masz u mnie flaszkę, co?

- A żebyś wiedział, że mam, Sanchez - odparł ostro Rick.

- Co to ma być?

- Jack Daniels. Wpadnę po nią jutro.

- Dobra. Niech no zapiszę, żeby nie zapomniał - rzekł Sanchez.

Nabazgrał literę „J” pod nazwiskami Ramzesa Gaiusa i Jessiki Xavier. Nagle coś mu

⁵ Naprawdę bardzo, bardzo głęboko.

przyszło do głowy. Bourbon jack daniels był drogi jak jasna cholera; a nuż uda się osiągnąć kompromis?

- Rick, a może wolałbyś flaszkę jima beama?

KONIEC (choć kto wie...?)